Nina Chruszczowa
USA mają broń masowej miłości
▶13

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Co chłopcom zrobili tata z mamą?
▶4

FOT. GETTY IMAGES

WYSOKIE OBCASY
Magda Linette
Zamrożenie jajeczek to moja polisa

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Czyj prezydent? Czyj premier?

▶8

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 28>

Schizma, ekskomunika
W co grają lefebryści?
▶20

Jaguary i rakiety
Kosmodrom w Gujanie Francuskiej
▶27

Wspinaczka, Biegi Rzeźnika,
by nie zostać samemu ze sobą
▶30

Rana Wołynia
sama się nie zagoi
▶40

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 11-16 lipca 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 160.11259, 1 Nakład 68 tys. + **322 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 4ba45f9584

Agnieszka Kublik

Zdrowe pytania

Czy lekarze zarobią, skoro w naszym systemie ochrony zdrowia, nieustannie reformowanym, ulepszanym, unowocześnianym, ratowanym i co tam jeszcze politycy wymyślą, umyka im etyka?

Zarobią.

W sondażu CBOS sprzed kilku dni – a więc przeprowadzonym już po wybuchu afery Kacprzyka w Szpitalu Południowym – blisko połowa Polaków widzi, że lekarze zarabiają ogromne pieniądze. Zbyt ogromne.

A czy lekarze dobrze leczą, skoro etyka im umyka?

W badaniu CBOS sprzed roku aż 70 proc. z nas miało fatalną opinię o służbie zdrowia. Bo – i to się nie zmienia od lat – brak dostępu do specjalistów, do badań diagnostycznych, za mało lekarzy w szpitalach. No i większość wie, że leczenie w Polsce wcale nie jest bezpłatne.

Lekarze właśnie dostaną kolejne podwyżki. Należą im się z automatu. To PiS wprowadził taką zasadę, ale „za" głosowała i KO.

Te podwyżki w tym roku mają kosztować co najmniej 4,5 mld zł. Problem w tym, że NFZ nie ma kasy. Ma za to dziurę. Do końca tego roku zabraknie mu 16 mld, a w przyszłym dziura spuchnie o 21 mld zł

Czy lekarze dobrze leczą, skoro etyka im umyka?

Dlatego do wszystkich istotnych pytań, co zrobić z systemem ochrony zdrowia, by był wydolny, skuteczny, sprawny, empatyczny, dorzucę garść pytań o istotę relacji lekarz-pacjent.

Tak, mam kilka zdrowych pytań:

Dlaczego pieniądze, które miały podążać za chorym, pędzą za lekarzami?

Dlaczego lekarze stali się biznesmenami?

Dlaczego są podwyżki z pieniędzy, których nie ma w NFZ?

Dlaczego lekarz częściej nie służy chorym, a zarabia na chorych?

Dlaczego pacjent nie jest partnerem dla ministerstwa zdrowia, NFZ a nawet lekarza czy pielęgniarki?

Dlaczego dla lekarza pacjent jest sposobem na zarabianie?

Dlaczego dla NFZ pacjent jest sposobem na oszczędzanie?

Czy lekarz, który coraz lepiej zarabia, staje się coraz lepszym lekarzem?

Dlaczego nie opłaca się leczyć niektórych chorych – na przykład na interii, pediatrii, geriatrii – czyli dlaczego w służbie zdrowia działa prawo podaż-popyt?

Dlaczego w sytuacji konfliktu dobra pacjenta i własnego zysku lekarz nie stawia na chorego?

Dlaczego lekarze nie znają fundamentalnych zasad komunikacji z pacjentami i ich rodzinami?

Dlaczego lekarze nie są sami w stanie ocenić, jak długo mogą pracować, by pacjentowi ze zmęczenia nie szkodzić?

Czy da się nauczyć lekarzy empatii, wrażliwości, współczucia?

Dlaczego lekarze uważają, że mają prawo odmawiać pomocy choremu ze względu na swoje przekonania moralne?

Te wszystkie pytania to w zasadzie jedno pytanie: gdzie się zgubiła etyka medyka? ●

Andrzej rysuje

Nieludzka populacja
Liczenie krabów

FOT. REUTERS/ANN WANG

Wolontariusz oznacza kraba mangrowego podczas akcji liczenia krabów i śledzenia ich migracji do morza. Park Narodowy Tijiang, Tanan, Tajwan.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Cytat tygodnia

Jedną z rzeczy, o których będziemy mówić, jest to, że damy wam licencję na tworzenie Patriotów, to całkiem fajne. W ten sposób nie będziecie mogli narzekać, że nie dajemy ich wystarczająco dużo

DONALD TRUMP
do Wołodymyra Zełenskiego podczas szczytu NATO w Ankarze

Nowa płyta The Rolling Stones.
Martwią się o Amerykę

Stonesi A.D. 2026 brzmią naturalnie i surowo. Niezmiennie pozostają najlepszym brytyjskim zespołem grającym amerykańską muzykę.

Nic dziwnego, że interesują się Ameryką również w szerszym, pozamuzycznym kontekście. „Foreign Tongues" naszpikowana jest politycznymi aluzjami. Tu pojawia się tłum, pragnący tyranii, tam „dystopijne wartości", ówdzie trująca chmura, wisząca nad chorym krajem. Którym krajem?

Zatroskana Statua Wolności może być podpowiedzią. Za to już Musk dostąpił zaszczytu wskazania w tekście piosenki Stonesów po nazwisku, żeby nie było wątpliwości, kogo zespół ma za „szalonego oligarchę". W innej piosence miliarderów, uciekających od odpowiedzialności za bałagan, którego narobili, jest więcej.

Na szczęście nie tylko źli ludzie Stonesom w głowach. Fani muzyki odnotują obecność znakomitych gości. Paul McCartney zagrał parę nut na basie – czyż to nie piękny epilog historii rywalizacji Stonesów z Beatlesami, którą kiedyś żył cały świat?

Wzruszyła mnie też obecność na tej płycie Amy Winehouse, w postaci coveru „You Know I'm No Good". Na pewno byłaby najszczęśliwsza na świecie, gdyby

FOT. KEVIN MAZUR/GETTY IMAGES FOR UMG

wiedziała, z jaką żarliwością Jagger śpiewa jej piosenkę. Choć oryginału i tak nie udało im się przebić.

Jasne, nie wszystkie piosenki są równie udane, ale tych, których słucham z wielką przyjemnością, jest więcej, niż mógłbym sobie życzyć. Nie spodziewałem się też, że Stonesi zamiast zajmować się celebrowaniem własnej legendy i żonglowaniem wspomnieniami równie barwnej, co bzdurnej młodości, zmierzą się, zupełnie na poważnie, ze współczesnością. ●

Jarek Szubrycht

W poniedziałek „Duży Format"

Gdy dziecko zabija dziecko

Z sieci ściągała memy i rysunki: pistolety wycelowane w głowę, różne chwyty noża, poćwiartowana świnia, grafika porównująca psychopatę z socjopatą. Mem z tekstem: „Wiesz, co się liczy? Przecięcie tętnicy".

RYS. BARBARA NIEWIADOMSKA

Reportaż Katarzyny Włodkowskiej

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

Rząd PiS-Braun jest możliwy

Jak trwoga, to do Korony

Ludzie ze środowiska Brauna już mają szerokie kontakty wśród trumpistów. Ich poglądy są w Waszyngtonie doskonale znane i nie budzą sprzeciwu

Mazzini

Mało wydarzeń tak dobrze ilustruje zmieniającą się dynamikę amerykańskiej polityki, jak konferencja prasowa z 20 maja we Frankfort, stolicy stanu Kentucky.

Na mównicę wyszedł Thomas Massie, republikański kongresmen, jedna z najbardziej barwnych postaci bieżącej kadencji. Był zaciekłym krytykiem Donalda Trumpa. Nie bał się go atakować za bezsensowną wojnę w Iranie, a przede wszystkim oskarżał o tuszowanie szczegółów relacji z Jeffreyem Epsteinem. Często zdarzało mu się głosować w Kongresie niezgodnie z linią partyjną, wsławiał się głośnymi wypowiedziami dla mediów.

Za niesubordynację – nie za poglądy, bo te Trumpa nie obchodzą – zapłacił najwyższą cenę w amerykańskiej polityce. Prezydent wystawił przeciwko niemu kandydata w prawyborach i Massiego się pozbył. Kandydatem Republikanów w listopadowych wyborach połówkowych został Ed Gallrein, były rolnik i weteran elitarnej jednostki Navy SEAL.

Massie, w swoim stylu, nie gryzł się w język. Wyszedł na scenę i zaczął od przeprosin. „Wybaczcie, że musieliście na mnie tak długo czekać" – mówił. „Chciałem najpierw pogratulować zwycięstwa swojemu rywalowi. Ale zajęło mi to sporo czasu, bo, jak się okazuje, trudno jest o tej porze dodzwonić się do Tel Awiwu".

Odchodzący kongresmen chciał w ten sposób podkreślić niemal symbiotyczne relacje Gallreina z Izraelem, a przede wszystkim z AIPAC. To skrót od American Israel Public Affairs Committee, jednej z najpotężniejszych i najbogatszych organizacji lobbingowych w amerykańskiej polityce. AIPAC od dekad dba o utrzymanie bezwarunkowego poparcia USA dla Izraela – choć przez większość czasu było to wyzwanie o niewielkiej skali.

Niemniej w amerykańskiej polityce po 1945 roku istniał ponadpartyjny konsensus, że Izrael trzeba wspierać we wszystkim, co robi. Ten konsensus właśnie zaczyna pękać z trzaskiem. Jeszcze niedawno za taki komentarz Massie zostałby poddany ostracyzmowi. Dzisiaj mało kto go krytykuje, a spora część elektoratu nagradza brawami.

Należy przyznać, że Massie nie mija się z prawdą, mówiąc o związkach konkurenta z organizacjami lobbingowymi. AIPAC i podmioty wspierające Izrael wpłaciły na konto jego funduszu kampanijnego ponad 15,5 mln dolarów. To oczywiście nie jest ani przestępstwo ani odstępstwo od normy, w USA każdy może płacić politykom, ile chce. Co nie zmienia faktu, że korzystanie z pieniędzy o tak konkretnym politycznym pochodzeniu nie pozostaje bez wpływu na późniejsze działania w Kongresie.

W tym samym momencie, w którym Massie ironicznie szukał Gallreina w Tel Awiwie, w Polsce na poziomie ponad 8 procent stabilizowało się poparcie dla Konfederacji Korony Polski. Te dwa zdarzenia tylko pozornie nie są powiązane. Patrząc na nie szerzej, można odczytać trend, który wiele powie o prawdopodobnym układzie sił w polskiej polityce jesienią przyszłego roku.

Partia Grzegorza Brauna może liczyć w tej chwili na ponad 30 mandatów w Sejmie nowej kadencji. Do wyborów został wprawdzie ponad rok i można się oczywiście zastanawiać, czy „koroniarze" w ogóle do nich dotrwają – partie wodzowskie, skupione wokół charyzmatycznego lidera, ale pozbawione szerokich struktur terenowych, miewają często problemy z rekrutacją odpowiedniej liczby kandydatów i przekuciem popularności założyciela na dobry wynik całej listy. A zwłaszcza, kiedy charyzma przywódcy bierze się w dużej mierze z ekscentryczności, której granice łatwo przekroczyć. Nawet jeśli jest wystudiowana i pod kontrolą.

Nie zmienia to jednak faktu, że w tej chwili większość koalicyjna prawicy bez Brauna byłaby arytmetycznie niemożliwa.

Wśród publicystów i polityków opcji rządzącej panuje przekonanie, że dla Donalda Tuska te sondażowe sukcesy Brauna są korzystne. KKP to partia na tyle radykalna, że łatwo można będzie straszyć jej postulatami i w ten sposób mobilizować własny, coraz bardziej rozczarowany elektorat.

Już ten argument jest wątpliwy, wszak rząd jest w defensywie komunikacyjnej, szkodzi mu wciąż rozwijająca się afera w Szpitalu Południowym, a premier zamiast kształtować bieżącą politykę, wszedł w rolę komentatora i woli ją opisywać na sejmowej mównicy.

Jeszcze bardziej nietrafiona jest jednak druga teza – że do trzyczęściowego rządu prawicy nie dojdzie, bo jakąkolwiek koalicję z Braunem zablokują Amerykanie.

Miałoby tak być, bo Braun jest antysemitą, co rzekomo dla Waszyngtonu jest czerwoną linią. USA będą więc naciskać na PiS, żeby Koronę trzymał poza nawiasem polskiej polityki. Krytyka państwa Izrael i Benjamina Netanjahu, jawny antysemityzm, negowanie zbrodni na Żydach w czasie drugiej wojny światowej – to wszystko żelazne elementy „Szerokiego Frontu Gaśnicowego".

Więc – głosi teoria – administracja Trumpa nie zgodzi się na utrzymywanie relacji z kimś, kto promuje takie tezy, więc Jarosław Kaczyński będzie skazany na rząd mniejszościowy albo na wywindowanie na premiera lubianego przez Amerykanów Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Opieranie nadziei na ewentualnym amerykańskim wecie jest aktem skrajnej politycznej naiwności, bo nic nie wskazuje, że do takiego weta mogłoby dojść. Owszem, politycy KKP są zdecydowanie antyizraelscy, a Braunowi zdarzało się powiedzieć, że stojące w Auschwitz do dziś komory gazowe i krematorium to „dekoracja". Nie ma jednak powodu, dla którego Ameryka spod znaku MAGA miałaby tego nie zaakceptować.

Otoczenie Brauna już mocno rozwija kontakty za oceanem, w kręgach mających znaczące wpływy w Waszyngtonie. Kluczowy w tym procesie jest Tomasz Sommer, redaktor naczelny magazynu „Najwyższy CZAS!" i jeden z najbliższych współpracowników Brauna.

Razem opublikowali wywiady-rzeki Sommera z Braunem: dyptyk „Nowa Normalność" oraz „Gram vabank". Przewodniczący KKP regularnie od lat gości też w kanałach internetowych i publikacjach Sommera.

Jednocześnie Sommer od 2013 roku ma stanowisko non-resident fellow w Institute of World Politics w Waszyngtonie. To instytucja naukowo-dydaktyczna mało znana, ale ważna w ekosystemie MAGA, przyciągająca sporo osób z elit ery Trumpa.

Za akceptacją Konfederacji Korony Polskiej w ewentualnym rządzie tworzonym przez Kaczyńskiego przemawia też argument geopolityczny. Po upadku Orbana administracja Trumpa potrzebuje kraju, który będzie sypać piach w tryby Komisji Europejskiej

W 2016 roku do IWP na pełen etat dołączył Sebastian Gorka, jedna z najbardziej wyrazistych postaci w dzisiejszym Białym Domu. Przez lata był publicystą na platformie Breitbart kierowanej przez głównego spin-doktora MAGA i ojca pierwszego zwycięstwa Trumpa, Steve'a Bannona. Potem katapultował się do polityki, w pierwszej kadencji Trumpa był młodszym asystentem prezydenta odpowiedzialnym za strategię.

W 2025 roku wrócił, dostając portfolio antyterrorystyczne. Eksperci od razu wypunktowali go za całkowity brak doświadczenia, mimo to Gorka koordynuje działania FBI, CIA, Pentagonu i Narodowej Rady Bezpieczeństwa w tym zakresie, przygotował też Narodową Strategię Antyterrorystyczną. Dokument niemal w całości skupia się na „lewicowych ekstremistach", ignorując jakiekolwiek zagrożenie ze strony radykalnej prawicy.

Co ciekawe, Gorka ma w kwestii Izraela poglądy krańcowo odmienne od braunistów. Znany jest z wypowiedzi, że „nie ma czegoś takiego jak Palestyna", podczas gdy Sommer uważa, że polityka Izraela w Palestynie jest zbrodnicza i szowinistyczna, a Żydzi „znormalizowali holokaust Palestyńczyków". Nie przeszkadza im to jednak funkcjonować pod egidą tej samej organizacji, z którą związane, także poprzez nagrody i tytuły honorowe, są inne ważne osoby ze świata MAGA i Trumpa: jego pierwszy sekretarz obrony James Mattis, czy były doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Michael Flynn.

Profesorem historii na IWP jest też Marek Jan Chodakiewicz, polsko-amerykański publicysta, stały współpracownik Sommera w „Najwyższym CZASIE", z którym zrobił film „Jedwabne. Historia Prawdziwa", kwestionujący ustalenia Jana Tomasza Grossa na temat wojennego mordu ma jedwabieńskich Żydach. W 2017 roku polskie media pisały, że z Chodakiewiczem konsultowali się speechwriterzy z Białego Domu przygotowujący przemówienie Trumpa w czasie jego wizyty w Warszawie.

Ludzie ze środowisk związanych z Braunem mają więc już teraz szerokie kontakty w Waszyngtonie. Ich poglądy są tam doskonale znane i jak na razie nie budzą sprzeciwu. Nie ma powodu sądzić, że do przyszłego roku ulegnie to zmianie.

Zwłaszcza, że za akceptacją KKP w ewentualnym rządzie tworzonym przez Kaczyńskiego przemawia też argument geopolityczny. Administracja Trumpa oficjalnie już komunikuje, że powstrzymanie procesu wzmacniania i pogłębiania integracji europejskiej jest dla niej najważniejszym celem w Europie. Dlatego tak potrzebuje mieć po drugiej stronie Atlantyku partnera, za pomocą którego będzie Komisji Europejskiej sypać piach w tryby. Dotychczas służył im do tego Viktor Orbán, jako jedyny gotów wetować wszystkie postulaty Ursuli von der Leyen bez względu na koszty.

Orbána jednak już nie ma, a innych kandydatów do forpoczty MAGA w Europie brak. Włoska premier Giorgia Meloni demonstruje solidarność unijną, wspiera Ukrainę i coraz częściej z Trumpem kłóci się publicznie. Czesi i Słowacy mają u władzy populistów, ale nie proamerykańskich. Nawet jeśli we Francji wybory prezydenckie wygra Marine Le Pen, ona akurat Waszyngtonu słuchać się nie będzie, zgodnie z francuską tradycją suwerenistycznej antyamerykańskości. Zostaje Polska, kraj duży, geopolitycznie coraz ważniejszy, w którym za rok może rządzić bliski Trumpowi prezydent i taki sam premier.

Jeśli ceną za tak korzystny układ sił miałoby być tolerowanie paru ministerstw oddanych partii antysemickiej – która mając w perspektywie tak niesamowity awans, dostęp do konfitur i szansę zakorzenienia się w systemie w razie potrzeby złagodzi retorykę, ukrywając lub pozbywając się szczerych, ideowych radykałów – nikt w Białym Domu nie będzie o to robić awantury.

Skoro można już w amerykańskim głównym nurcie krytykować Izrael, można też współistnieć z Grzegorzem Braunem, zwłaszcza w imię wyższych celów. ● **Mateusz Mazzini**

eprasa.pl 4ba45f9584

TEMAT NUMERU

„Mój ty mały mężczyzno”, „Ty byś nie zrobił mamusi tego, co zrobił tatuś” – słyszą chłopcy

Naprawianie mężczyzny

Z **JACKIEM MASŁOWSKIM***, PSYCHOTERAPEUTĄ, WSPÓŁZAŁOŻYCIELEM FUNDACJI MASCULINUM
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

– „Komu świecisz? Sobie świecisz?”. Kiedy wypowiadam to zdanie na warsztatach, które prowadzę, chłopaki od razu zaczynają się śmiać, bo doskonale rozumieją, o co chodzi.

Wyjaśnisz?
– Ono się odnosi do tych wszystkich historii, kiedy to ojciec zaprasza cię, a raczej każe ci coś z nim zrobić, na przykład naprawić. Tu masz coś przytrzymać, tam coś przytrzymać – śrubokręt, młotek, cokolwiek. No i oczywiście według ojca robisz to nie tak jak trzeba, tylko byle jak. Nie nadajesz się.

Wielu mężczyzn, jak słyszy to: „Komu świecisz?”, mówi: „Aha, mój ojciec też tak miał! Tylko zamiast tekstu o świeceniu, rzucał na przykład: „Jak ten klucz trzymasz? Nie tak trzymasz!”. Oczywiście ma to miejsce w różnych sytuacjach, ale jeśli ciągle się powtarza, buduje w tych chłopcach, a później mężczyznach, przekonanie o jakiejś takiej ich fajtłapowatości, nieudolności, niewystarczalności.

Ostatnio słuchałem ciekawego podkastu, w którym profesor Matczak rozmontowywał patriarchalne wzorce ojcostwa. Jednym z nich jest zdanie: „Patrz, synek, i się ucz!”. To jest trochę z tego samego rozdania, że „oto ja, ojciec, jestem mistrzem, nie popełniam błędów”, natomiast „ty, synu, jesteś jednym wielkim błędem”, można powiedzieć. Takie zdania rzadko padają, choć się zdarzają.

Ta ciągła krytyka jest jednym z dwóch rodzajów przemocy psychicznej, jakiej mężczyźni najczęściej doświadczyli w dzieciństwie od ojców lub ojczymów, bo i oni się pojawiają w ich opowieściach.

A jaki jest ten drugi?
– To przemoc związana z brakiem kontaktu. Pewien rodzaj opuszczenia. Mężczyźni mówią: „Ojca po prostu nie było” albo „Nie widział mnie”, „Był ciągle czymś zajęty”, „Nie rozmawiał ze mną”. Zwracają uwagę, że nigdy nie usłyszeli od niego: „Kocham cię”, ale też, że nie słyszeli pochwał.

Co ciekawe, mężczyźni często nie rozpoznają przemocy psychicznej jako takiej. Przynajmniej dopóki o tym nie pogadamy.

Z przemocą fizyczną jest inaczej?

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

FOT. GETTY IMAGES

– Ten rodzaj przemocy, o ile nie dochodzi już do regularnego katowania czy innego rodzaju brutalnych napaści, mężczyźni często racjonalizują. Uznają, że słusznie dostawali.

Słusznie, bo?
– „Bo coś złego zrobiłem", „Bo sobie zasłużyłem" i „to mi wyprostowało pewne sprawy".

Opowieści o przemocy fizycznej ze strony ojców, poczynając od – nazwijmy to – klapsów przez poszturchiwanie czy szarpanie, na laniu kończąc – słyszę bardzo dużo.

A co z przemocą ze strony matek?
– Zacznijmy od tego, że wielu mężczyzn, których spotykam, było wychowanych przez matki – przy nieobecnych albo źle obecnych ojcach. Przez to stawały się one dla swoich synów takimi głównymi figurami, a przemoc, którą ci chłopcy z ich strony doświadczali, była najczęściej psychiczna, związana z różnymi rodzajami parentyfikacji.

Parentyfikacja to sytuacja, kiedy dziecko wchodzi w rolę rodzica swojego rodzica.
– Albo partnera. I z tym spotykam się najczęściej.

Bardzo wielu mężczyzn ma takie doświadczenie, że matki umieściły w nich całą masę różnych oczekiwań związanych z tym, jacy oni powinni być jako mężczyźni. Na przykład, że nie powinni sprawiać problemów, a tłumacząc to na język polski: „Nie przychodź do mnie ze swoimi potrzebami".

Skutkuje to tym, że duża liczba mężczyzn nie potrafi dziś ponazywać swoich potrzeb w relacjach, a już szczególnie w stosunku do kobiet. Bo pokutuje w nich przekonanie, że kiedy zwracają się do ważnej dla nich kobiety – partnerki, ale też na przykład dorosłej córki z jakąś potrzebą – to ją tym obciążają. Myślą: „jestem ciężarem", „balastem", „sprawiam jej trudność".

Jak inaczej może być powiedziane to: „Nie przychodź do mnie ze swoimi potrzebami"?
– To nigdy nie jest tak powiedziane. Raczej: „Do grobu mnie wpędzisz", „Umrę przez ciebie", „Tak się poświęcam, a ty co?", „Znowu ci się coś nie podoba". To cała litania sentencji tego rodzaju.

Ale słowa nie są jeszcze takie najgorsze. Gorsze są postawy. Kiedy na przykład widzisz matkę ciągle zmęczoną, zasmuconą, zmartwioną i nabierasz przekonania, że jesteś tu trochę po to, żeby ją uszczęśliwić.

Towarzyszą temu dość często takie komunikaty wypowiedziane wprost, ale i nie wprost: „Mój ty mały mężczyzno", „Ty byś nie zrobił mamusi tego, co zrobił tatuś" i tak dalej.

Widząc matkę w tak trudnych stanach, ci chłopcy zaczynają rozumieć, że jak teraz z czymś do niej przyjdą, to dodatkowo się dołożą do jej cierpienia. A przecież nie mogą ani nie chcą być jak ten niedobry ojciec czy w ogóle ci inni krzywdzący mężczyźni, bo i takie narracje się pojawiają.

Od wielu mężczyzn, z którymi pracuję – i podkreślam to cały czas, bo to jest pewien wycinek rzeczywistości, a nie statystyka – słyszę też, że matki oczekiwały od nich, że będą takim trofeum w ich życiu.

gdzie ta kara miała zostać wymierzona, nie wykonywali jej, za to mówili: „Tylko ani słowa matce!".

Budowali cichą sztamę z nim. W oczach takiego chłopca, a później mężczyzny, ojciec był kimś, kto nie krzywdzi, ale też kimś, kto wzbudza pogardę.

Takim „pantoflarzem"?
– Oni to znacznie dosadniej nazywają, bo też mają w sobie bardzo dużo złości do tych ojców za to, że się tak podporządkowali.

Ta kategoria ojców przekazała synom, w dużym uproszczeniu, taki komunikat: „Chodźmy wokół matki na palcach, nie budźmy w niej trudnych emocji, bo jak nie, to ona przyjdzie i nas zje".

Dla wielu mężczyzn, którzy tego doświadczyli, kobiety jawią się później jako te groźne, co najczęściej przekłada się na dwa rodzaje postaw. Pierwsza – skoro kobieta jest groźna, to będę taki jak tata, czyli ulegnę, podporządkuję się.

A druga – będę ją kontrolował, co może przybierać różne formy. Od kontroli ekonomicznej przez psychiczną po wybieranie kobiet, które funkcjonują w skrypcie ofiary. Po to, żeby móc się nimi opiekować. Tych możliwych scenariuszy jest zresztą więcej.

Słyszysz czasem opowieści o fizycznej przemocy ze strony matek?
– Oczywiście. Tylko że ona jest często bagatelizowana.

Mężczyźni mówią na przykład: „No, dostawałem ścierą, takie tam" albo „Matka lała mnie kablem od prodiża".

I to jest mówione, jak rozumiem, takim samym tonem jak: „O, ptaszek przeleciał".

Jest rodzaj przemocy ze strony matek, który wywołuje furię u mężczyzn. To kłamstwo dotyczące ojca – albo tego, kim jest, albo jaki jest

Najczęściej sprowadzało się do tego, że ci chłopcy mieli się po prostu dobrze uczyć. Sukcesy w nauce z jednej strony miały oznaczać: „zajmij się swoimi rzeczami i nie sprawiaj mi problemów", a z drugiej: „jesteś wyjątkowy", „jesteś opus magnum mojego życia". Dzięki temu te matki mogły się swoimi synami chwalić.

A jednocześnie nie widziały ich takimi, jacy są.
– Dokładnie. I mam w pamięci kilka takich procesów terapeutycznych, które wyraźnie pokazały, jak to później wpłynęło na życie tych mężczyzn, że oni w zasadzie całe swoje poczucie wartości, a będąc wśród kobiet już w ogóle, budowali wyłącznie na osiągnięciach.

Byli przekonani, że muszą świetnie zarabiać, mieć pozycję, dobry zawód i tylko to się liczy. Dopóki zdobywali te wyznaczniki, osiągali te „kejpiaje" [kluczowe wskaźniki efektywności], dopóty inni mogli na nich spojrzeć jak na kogoś wartościowego.

Kolejny rodzaj przemocy ze strony matek, o której często słyszę, to przemoc w białych rękawiczkach pod tytułem: „jak przyjdzie ojciec, to zobaczysz". W takich sytuacjach matka powoływała ojca do wymierzenia kary, którą sama zasądziła. Najczęściej była to rzecz jasna kara fizyczna.

I tutaj różnie z tymi ojcami bywało. Jedni rzeczywiście to robili...

...a inni się stawiali?
– Nie, w ogóle nie mam takich opowieści. Robili coś innego. Na przykład zaprowadzali syna do pomieszczenia, – „Przeleciał" i – za przeproszeniem – „nasrał mi na głowę". Trochę jest to opowiadane półżartem, trochę jako anegdota, ale pod spodem jest dużo wstydu.

Bo o ile w tym męskim świecie, zaznaczam – w tej mojej bańce – możemy sobie powiedzieć, że przemoc ze strony mężczyzn jednak bolała, jednak niszczyła, o tyle, jak rozmawiamy o przemocy ze strony kobiet, nie tylko matek, a szczególnie tej fizycznej, dojście do takich wniosków jest o wiele trudniejsze. Tak jakby przyznanie tego oznaczało, że jestem słaby. Na zasadzie „kobieta mnie zlała", „nie poradziłem sobie".

Dlatego mężczyźni często wolą to obśmiać albo uznać, że nic się takiego nie stało.

Czy mężczyźni czują się jakoś bardziej lojalni wobec matek i z tego powodu też trudniej im mówić o przemocy z ich strony?
– Ci, którzy weszli w rolę partnera czy opiekuna, to są zwykle ci lojalni. I oni często mają takie poczucie, że muszą te matki chronić. A kiedy na warsztatach pracujemy wokół relacji z matką, a w nich odzywają się różne trudne emocje, to często pada: „Nie będę źle mówił o matce". Tak jakby to było zabronione. Mimo że tej matki tam nie ma, jej uwewnętrzniony obraz się aktywuje i staje się takim cenzorem, który tego mężczyznę knebluje.

Ale są też mężczyźni, którzy są megawkurzeni na swoje matki. Ta złość jest tak silna, że wielu z nich zrywa z nimi relacje albo wypowiada się o nich w sposób skrajnie obraźliwy.

Zastanawiam się, co takiego musi się wydarzyć w życiu chłopca, żeby później postanowił zerwać tę więź?
– Dzieją się bardzo różne rzeczy. Ogólnie ci mężczyźni mają poczucie, że matki odebrały im tożsamość, że były tak manipulujące, wikłające, że oni dziś właściwie nie wiedzą, kim są, po co żyją.

Na to często nałożony jest jeszcze taki komunikat, że jak się temu przeciwstawisz czy jakoś to zmienisz, to będziesz ten zły. Winny.

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Jacek Masłowski**

• psychoterapeuta, psycholog, filozof. Współzałożyciel Instytutu Psychoterapii Masculinum oraz Fundacji Masculinum. Autor m.in. książek „Czasem czuły, czasem barbarzyńca" (z Tomaszem Kwaśniewskim), „Mężczyzna na zakręcie" (z Magdaleną Adaszewską), „Uwolnić męskość" (z Anną Maruszeczko).

eprasa.pl 4ba45f9584

Niektórzy z tych mężczyzn, choć zdarza się to dość rzadko, doświadczyli też seksualnych naruszeń ze strony matek. O tym się praktycznie nie mówi, ale takie rzeczy też się dzieją. Znam kilka takich przypadków, kiedy to matka wykorzystywała seksualnie syna. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale to są przejmujące opowieści.

Są jednak bardziej powszechne naruszenia cielesności, na przykład związane z polucją. Kiedy to matka, odkrywając, że prześcieradło czy piżama syna są mokre, uruchamia całą taką zawstydzającą narrację. „A co to tutaj się stało?", „Co ty takiego robiłeś w nocy?".

Czy słyszysz o wykorzystywaniu seksualnym przez ojca, brata, wujka?
– Zdarza mi się to na warsztatach, gdzie jest dużo przestrzeni do kontaktu fizycznego.

Zawsze przed rozpoczęciem zaznaczam, że mamy taką zasadę, że zanim ktoś pójdzie kogoś przytulić, bo pojawia się dużo takiego spontanicznego odruchu, najpierw musi spytać tę osobę o zgodę. I co jakiś czas pojawia się granica. Mężczyzna, który ją stawia, często przyznaje: „Nie chcę takiego kontaktu, bo mam za sobą doświadczenie bycia molestowanym seksualnie przez mężczyznę".

Dopytujesz?
– Nie. Warsztat to nie jest miejsce na taką pracę, tylko psychoterapia.

W terapii osobiście nie miałem takiego przypadku, aczkolwiek oczywiście my, psychoterapeuci, się z nimi spotykamy.

Jest jeszcze jeden rodzaj przemocy ze strony matek, który wywołuje furię u mężczyzn. To kłamstwo dotyczące ojca – albo tego, kim jest, albo jaki jest.

Zdarza się, że mężczyźni dopiero pod koniec życia matki dowiadują się, kim był ich prawdziwy ojciec. Spotkałem takich mężczyzn i nie potrafię opisać tego, co przeżywali. Po prostu świat się im zawalił. Łącznie z tym, że się zastanawiali, kim w ogóle są.

To są relatywnie rzadkie przypadki. Duże częstsze natomiast są takie, że matka wykluczyła ojca z życia syna i opowiedziała mu o nim rzeczy, które po wielu latach, kiedy ten syn się z nim spotkał i spróbował odbudować relację, okazały się nieprawdziwe.

Mężczyźni, którzy tego doświadczyli, często czują się tak, jakby im ktoś ukradł bardzo ważną część życia, której nie da się już odtworzyć.

Jakiej jeszcze przemocy doświadczali mężczyźni jako dzieci?
– W szkole. I nie chodzi wyłącznie o przemoc rówieśniczą. Bo pamiętajmy, że są tam również nauczyciele, którzy też ją stosują. Dziś już oczywiście znacznie rzadziej, ale wielu dorosłych mężczyzn wychowało się w świecie, w którym była ona właściwie normą.

Sam jestem takim chłopakiem.

Opowiedz.
– Pamiętam, jak w drugiej klasie podstawówki na długiej przerwie musieliśmy chodzić w parach po korytarzu w kółko. Trochę tak jak na więziennym spacerniaku. Pośrodku stał pan od fizyki, który przy kluczach miał przypiętą plecionkę z żyłki, długą na 30-40 cm, i jak mu się coś nie podobało, podchodził do nas i uderzał nas po rękach albo po łydkach. Jak dostałaś takie smagnięcie i miałaś te osiem lat, to naprawdę czasami zwieracze mogły puścić.

Nie zliczę też, ile połamano na mnie drewnianych linijek. „Wyciągnij rękę!" – to był standard, którego doświadczyło wielu dorosłych dziś mężczyzn.

W szkole byliśmy zwyczajnie bici. Wracaliśmy do domu, gdzie też często byliśmy bici. Ksiądz także potrafił przyłożyć, więc w tej naszej świadomości wyglądało na to, że tak po prostu jest.

Dziś jest inaczej. Świadomość się zmienia. Bicie dzieci jest u nas prawnie zabronione od 2010 roku.
– Ale ci trochę młodsi mężczyźni wspominają na przykład gnębienie, które najczęściej sprowadzało się do regularnego upokarzania na forum publicznym.

Nauczyciel czy nauczycielka wywoływali takiego chłopaka do tablicy, a potem przy całej klasie wyśmiewali go za to, że nie radzi sobie z jakimś zadaniem. Jeśli to była jego codzienność, to później często przekładało się na to, jak on funkcjonował w grupie. Jak w ogóle myślał o sobie.

Wielokrotnie spotkałem mężczyzn, którzy mają ogromną trudność z publicznymi wystąpieniami. Kiedy staraliśmy się dojść, co się mogło na to złożyć, praktycznie za każdym razem okazywało się, że mieli za sobą podobne doświadczenia. Zwykle to był jakiś konkretny nauczyciel albo konkretna nauczycielka, którzy upatrzyli sobie takiego chłopaka i nękali go na zasadzie: „to ja ci teraz, gnoju, udowodnię".

Zdarzało się też, że nauczyciele wystawiali takiego chłopca klasie jako cel żartów i prześladowań.

Jak to mogło wyglądać?
– Miałem takie doświadczenia, więc powiem.

Jestem okularnikiem. Mam oczopląs, co polega na tym, że czasem trzęsą mi się gałki oczne. Mój nauczyciel od polskiego, jak coś mu się nie podobało w moim zachowaniu, szydził ze mnie, że mam padaczkę oczną. Oczywiście dzieciaki to od razu podchwytywały. No i potem byłeś takim odmieńcem. Wiesz, jak to działa...

Rozmawiałam niedawno z grupą chłopców w wieku 15-17 lat, którzy powiedzieli mi, że właściwie od piątej-szóstej klasy podstawówki czują się niesprawiedliwie traktowani przez nauczycieli. Ciągle słyszą, że źle się zachowują, źle uczą, że sprawiają same problemy. Jeśli nawet robią coś fajnego, na przykład poza szkołą uprawiają sport albo zajmują się muzyką, to jest to kompletnie niezauważane.
– Mam kontakt z chłopakami w wieku szkolnym i słyszę od nich dokładnie te same komentarze.

I co o tym myślisz?
– Zacznę od takiego metapoziomu. Moim zdaniem jako społeczeństwo bardzo mocno zajęliśmy się przemocą w domu, uświadamianiem na ten temat, i bardzo dobrze, ale praktycznie w ogóle nie zajęliśmy się przemocą w szkole. Fizyczna przemoc nadal w niej jest, tyle że ogranicza się do grupy rówieśniczej. A psychiczna przychodzi zarówno od rówieśników, jak i nauczycieli oraz nauczycielek. Głównie nauczycielek, bo to one w szkole stanowią większość.

Mam wrażenie, że czasem jest to zwykły mechanizm „przeniesieniowy", co polega na tym, że niektóre nauczycielki swoją złość albo frustrację związaną ze światem mężczyzn kierują właśnie do tych chłopców. A ci chłopcy po raz kolejny doświadczają braku wsparcia ze strony mężczyzn. Bo ich tam po prostu nie ma albo jest ich niewielu.

W szkole mojego syna jest jeden nauczyciel i ksiądz. Tyle. Pozostały personel to kobiety. Oczywiście nie jest tak, że każda nauczycielka się tak zachowuje.

Są też nauczycielki szczerze zaciekawione chłopcami i ich światem.
– Ale od chłopaków słyszę też, że bardzo często są porównywani z dziewczynkami, gdzie te dziewczynki przedstawiane są jako te lepsze. Bo są grzeczniejsze, lepiej się uczą, mniej hałasują.

To samo stwierdzają Katarzyna Chajbos i Zofia Małkowicz, autorki raportu „Nastoletni chłopacy o dyskryminacji i swojej codzienności". Piszą w nim: „Najczęstszą formą dyskryminacji, jakiej doświadczają chłopcy, z którymi rozmawiałyśmy, jest faworyzowanie dziewcząt w odniesieniu do oceniania czy generalnie obowiązków szkolnych".
– Ja mam poczucie, że w szkole mocno kastruje się chłopięcą energię. Też jakiś naturalny dla chłopców rodzaj rywalizacji między nimi czy zdrową agresję.

Jak taka ciągła krytyka w środowisku szkolnym może wpłynąć na dorastającego chłopaka?
– Trochę to zależy od tego, co się dzieje w domu. No bo dom jest jednak portem i przystanią.

Jeżeli taki chłopak ma w domu inne wzorce. Ma na przykład matkę, która jest nim zaciekawiona, wspiera go, ale też ojca czy innego ważnego mężczyznę, który pokazuje mu, że dorosła męskość może być fajna, może być takim ruchem do świata, ale też dawać oparcie, to ma szansę temu nie ulec.

Zastanawiam się, w jakim stopniu to jest powiązane z tym kastrowaniem chłopięcej energii, ale coraz częściej słyszę, że chłopcy w podstawówkach organizują sobie różne wyzwania. Gdzieś koło szkoły albo nawet na jej terenie, na przykład na boisku czy placu zabaw, zbiera się grupa chłopaków, po czym ktoś rzuca hasło: „Udowodnij, że...". „Wyskoczysz z rozbujanej huśtawki", na przykład. Albo „Wygrywa ten, który..." – i tu, dajmy na to, „przytrzaśnie koledze z klasy głowę drzwiami" albo „wyleje koleżance wodę w plecaku".

Jeśli propozycja jest taka, że chłopcy mają być „grzeczni", a jak nie, to będziemy ich karać, to dla mnie jest jasne, że oni będą szukać ujścia dla tej swojej energii w inny sposób. Kompletnie niekonstruktywny również.

A jak widzisz przemoc rówieśniczą?
Z najnowszego raportu Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę „Rówieśnicy" wynika, że co trzeci chłopiec w wieku 10-17 lat był dręczony przez rówieśników. Sprawcami w 30 procentach są chłopcy, 19 procent stanowią dziewczynki.
– Pamiętajmy, że chłopaki w pewnym wieku budują pewne struktury społeczne w przestrzeniach szkolnych. Pojawia się walka o bycie liderem, o bycie zaakceptowanym przez daną grupę, czemu towarzyszy całe spektrum zachowań takich, jak wykluczanie, wyśmiewanie i wiele innych.

Dorośli mężczyźni często opowiadają mi, że jako chłopcy doświadczali ze strony rówieśników szykan, bo byli grubi albo nosili okulary czy nie byli zbyt sprawni. Co ciekawe, rzadko upatrują w tym przyczyn swoich dzisiejszych trudności, choć wielu z nich ma przez to zakrzywiony obraz siebie i kompensuje tamte doświadczenia.

Co to znaczy?
– Na przykład obsesyjnie ćwiczą, żeby już nigdy nie mieć nadwagi. Wyglądają świetnie. Tyle że nie jest to zbudowane na zdrowym obrazie siebie...

Czuję smutek. Bo wiele z tych kobiet musi projektować na mężczyzn własne doświadczenia, głównie z ojcami

...tylko na ucieczce od tamtych przeżyć?
– Mało tego, często te kompensacje zmieniają się w bycie przedsiębiorcą na przykład.

Pracuję z wieloma z nich i wiem, że ta ich przedsiębiorczość czasem wcale nie bierze się z chęci budowania czegoś czy z czystej kreatywności, tylko jest próbą nadrobienia tego, że kiedyś byli poniewierani.

Wielu walczy albo z narracją ojca, który im cały czas udowadniał, że są do niczego, albo z narracją grupy rówieśniczej lub jakiegoś człowieka z tej grupy, który ich permanentnie upokarzał. Albo z kombo – czyli i z jednym, i z drugim.

Te ich zewnętrzne atrybuty są pozytywne, bo jak mówisz, jedni fajnie wyglądają, inni robią karierę, budują coś. A w środku nich co się dzieje?
– No właśnie te atrybuty wcale nie są pozytywne, dlatego że to jest trochę tak jak z alkoholem. Jak pijesz po to, żeby pozbyć się napięcia, to później zwykle musisz pić coraz więcej, żeby osiągnąć ten sam efekt, i się uzależniasz.

Ci ludzie sukcesu, o których mówię, często dochodzą do takiego momentu w życiu, w którym zasadniczo wszystko już mają – fajną rodzinę, partnerkę, mieszkanie, w ogóle fajne życie. Osiągnęli naprawdę dużo. I nagle, kiedy kończy się ta „tabletka", która przez długi czas uśmierzała ich ból, zaczynają widzieć, że to ich wcale nie leczy. Wtedy wchodzą w bardzo duży kryzys. Ludzie wokół widzą tylko to świetne życie, ale w środku jest albo depresja, albo duży lęk, albo jakieś uzależnienie.

Mówisz o ludziach dorosłych, którzy kiedyś doświadczali przemocy psychicznej

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 4ba45f9584

Chłopcy zgłaszają przemoc rzadziej niż dziewczynki

Dr Szymon Wójcik, doktor nauk socjologicznych, koordynator działu badawczego Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę:

„W naszych najnowszych badaniach dotyczących przemocy rówieśniczej („Rówieśnicy") przyglądaliśmy się różnym formom przemocy fizycznej, psychicznej oraz cyberprzemocy. Przynajmniej jednej z nich doświadczyło aż 9 na 10 uczniów i uczennic.

Chłopców częściej spotyka przemoc fizyczna. Celowego uderzenia doświadczyło 56 proc. z nich (49 proc. dziewcząt). Zaczepiany lub bity przez grupę był prawie co trzeci (co piąta dziewczynka). Niemal co trzeci też miał skradziony jakiś przedmiot albo pieniądze (27 proc. dziewcząt).

Dotyka ich również przemoc psychiczna. Wyśmiewania lub krytykowania wyglądu doświadczyła ponad połowa chłopców (64 proc. dziewcząt), 52 proc. otrzymała nieprzyjemne wiadomości (58 proc. dziewcząt), 47 proc. było wykluczonych z grupy lub z jakiejś aktywności w internecie (59 proc. dziewcząt). O wykluczaniu mówimy często, bo wielu dorosłych nie postrzega go jako czegoś krzywdzącego, a dzieci ciągle nam je zgłaszają. Gdy życie klasy lub grupy rówieśniczej toczy się na komunikatorach, wyrzucenie kogoś z niego czy ostentacyjne niedołączanie, też jest formą przemocy.

Co czwarty chłopiec (27 proc. dziewcząt) padł ofiarą rozsyłania kompromitujących treści w internecie. Mówimy tu o zdjęciach czy filmikach zrobionych bez zgody, w celu ośmieszenia osoby, który na nich jest. Dzięki udoskonalonym narzędziom sztucznej inteligencji otworzyło się całe pole nowych możliwości. Wchodzą w to również materiały z podtekstem seksualnym. To akurat częściej dotyka dziewczęta.

W ogóle przemoc seksualna, choć z naszych innych badań „Diagnoza przemocy wobec dzieci", gdzie przyglądaliśmy się również przemocy ze strony dorosłych, wynika, że chłopcy również padają jej ofiarami. Zarówno z kontaktem fizycznym, jak i bez niego. Otrzymują seksualne wiadomości, komentarze, a ich zdjęcia też ulegają przeróbkom.

Badania „Przemoc w sporcie" pokazały nam z kolei, że prawie jedna trzecia chłopców doświadczyła przemocy seksualnej ze strony innych współzawodników (w tym obraźliwych komentarzy o charakterze seksualnym, niechcianych zachowań czy zmuszania do kontaktu seksualnego). Prawie tyle samo, co dziewczęta. Ze strony trenerów i opiekunów – 8 proc. chłopców.

Ponad 40 proc. chłopców doświadczyło przemocy fizycznej ze strony innych współzawodników (przy 21 proc. dziewczyn), a 44 proc. ze strony trenerów i opiekunów (przy 39 proc. dziewcząt). To nie tylko popychanie, uderzanie, podduszanie czy rzucanie w zawodnika przedmiotami, ale również zmuszanie do trenowania ponad siły, mimo kontuzji, czy wbrew zaleceniom lekarza.

Chłopcy dużo częściej niż dziewczęta deklarują granie w gry, a także korzystanie z takich komunikatorów, jak Twitch czy Discord, gdzie często dochodzi do przemocy rówieśniczej. Gra też może być pretekstem do hejtu, gnębienia, ośmieszania czy wykluczania.

Badanie „Rówieśnicy" pokazało nam też, że chłopcy rzadziej od dziewcząt zgłaszają przemoc rówieśniczą. Zarówno wtedy, gdy dotyczy to ich samych, jak i wówczas, gdy dotyczy to innych.

Można się zastanawiać, czy nie ma to coś wspólnego z kodami kulturowymi, które każą chłopcom być tymi twardymi. Brać takie zachowania na klatę i nie mówić o nich nikomu.

Jeśli chodzi o „bullying", czyli uporczywe dręczenie rówieśnicze, doświadczyła go po równo – jedna trzecia chłopców i dziewczynek. Różnica jest w sprawstwie. 30 proc. chłopców i 19 proc. dziewcząt przyznało, że uczestniczyło w takich zachowaniach.

Byłbym jednak ostrożny z interpretacją tych wyników. Może być tak, że chłopcy rzeczywiście częściej sięgają po takie zachowania, ale może być też tak, że część dziewcząt ma większą trudność z przyznaniem się, że też to robią. ●

i fizycznej. Dziś doszedł jeszcze jeden jej rodzaj: cyberprzemoc.
– I to jest dramat. Przemoc w sieci jest czymś powszechnym. Stała się normą. Zaczyna się od komentarzy pod zwykłym postem na Facebooku.

Jak to będzie wpływało na chłopców, którzy jej doświadczają?
– Już wpływa. Najczęściej tak, że wycofują się ze świata i zapadają, na przykład w gry.

Gra komputerowa jest produktem idealnie skonstruowanym pod chłopięcy mózg. Dlatego że tam masz i poczucie kontroli, i natychmiastową gratyfikację, co chłopięcy mózg lubi.

Tam się ucieka od – jak ja to nazywam – „brudnej" rzeczywistości, która ciągle częstuje człowieka jakimiś wyzwaniami i trudnościami. Świat gier jest bardziej przewidywalny, skalowalny. Rzeczywistość jest nieskalowalna.

W grach chłopcy czują się mocniejsi?
– Nie wiem, czy czują się mocni, ale wiem, że tam nie czują się źle. Nie czują się beznadziejni.

Tomasz Szlendak, socjolog, niejednokrotnie mówił, że w badaniach, które prowadzi, widać, że o ile kobiety idą do życia, eksperymentują, konfrontują się z nim, o tyle coraz większa rzesza młodych mężczyzn po prostu się z niego wycofuje.

Uważasz, że to jest po części reakcja na przemoc, która ich spotyka?
– Jestem tego pewien. I to nie tylko na przemoc psychiczną, fizyczną czy cyberprzemoc. Bo jest jeszcze jeden rodzaj, o którym nie powiedzieliśmy – to przemoc płynąca z narracji na temat mężczyzn i męskości.

Jak zajrzysz w media głównego nurtu, to bardzo często usłyszysz albo przeczytasz, że męskość jest problemem, że mężczyźni źle się zachowują, że w ogóle „przemoc jest mężczyzną".

Jeżeli mężczyzn przedstawia się głównie przez ich negatywne zachowania czy wady, to młodzi mężczyźni wchodzą w dorosłe życie z podkopanym poczuciem wartości. Z samego faktu, że są mężczyznami. Taki mężczyzna jeszcze nic nie musiał zrobić, ale on już jest Nim. Tym Złym.

Faktem jest, że to mężczyźni w ogromnej większości są sprawcami przemocy domowej czy seksualnej. Więcej mężczyzn dopuszcza się też różnych innych przestępstw.
– Zgoda. Z tym nie ma co polemizować. Chodzi o to, że ta dominująca narracja jest wyłącznie negatywna. Albo żadna. Bo mężczyźni też znacznie częściej niż kobiety popełniają samobójstwa na przykład. I to też się skądś bierze, a o tym rzadko rozmawiamy.

Nie mamy w narracji publicznej praktycznie żadnych pozytywnych wzorców męskości. Te złe po prostu dobrze się „klikają", a wiadomo, że dziś to się głównie liczy.

Powiedziałeś o tym, jak niekonstruktywnie próbują sobie radzić mężczyźni z doświadczeniem przemocy. A jakie są te konstruktywne sposoby?
– Pięknym zjawiskiem jest ruch nowoczesnego ojcostwa, który jest ruchem oddolnym. Nie został zainicjowany na żadnym pochodzie pierwszomajowym, tylko wyszedł od samych mężczyzn.

Tacy mężczyźni, pamiętając dokładnie swoje trudne przeżycia, przede wszystkim ze strony ojców, podejmują decyzję, że oni nie chcą tak funkcjonować.

Jak pytam mężczyzn, którzy przychodzą na terapię albo na warsztaty, o ich motywację, to prawie połowa z nich mówi, że najważniejsze jest dla nich to, żeby być dobrym ojcem dla swoich dzieci.

Wspaniałe.
– I o takich rzeczach należy mówić więcej.

Mężczyźni, którzy do nas przychodzą, często mówią, że chcą siebie „naprawić". Boją się, że ta trauma, której doświadczyli, może się w krytycznym momencie objawić i że nad tym nie zapanują. No, bo umówmy się, że jeśli byłeś ofiarą przemocy, to masz taki wzorzec, że „przemoc załatwia sprawę".

Który to wzorzec możesz ponieść dalej.
– Oczywiście. Przychodzą więc, żeby popracować nad sobą – nad swoją złością, w ogóle nad umiejętnością kontaktu z różnymi emocjami. Chcą się nauczyć je rozpoznawać, wyrażać, ale też poznać swoje potrzeby. Oraz sprawdzić, czy przypadkiem nie projektują na swoje dzieci siebie samego jako tego małego, skrzywdzonego chłopca. I czy to nim się nie opiekują tak naprawdę, używając do tego swoich dzieci.

To musi być trudne, umieć to rozdzielić.
– Trudne, ale tym się między innymi zajmują.

Każdy z nas nosi jakąś ranę. Naszym męskim zadaniem – mówię „męskim", bo rozmawiamy teraz o mężczyznach, ale to dotyczy każdego człowieka – właściwie najważniejszym jest podjęcie decyzji: czy zamieniam tę ranę w zasób, czy też przenoszę ją na kolejne pokolenie? Czy to będzie transformacja, czy transfer?

To jest puenta naszej pracy z mężczyznami. I żałuję, że kobiety nie mogą zobaczyć, co się z nimi wtedy dzieje.

A co się dzieje?
– Po pierwsze, to ich zatrzymuje. Zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że mają coś w rodzaju misji życiowej. Bo to się nie tyczy wyłącznie ich dzieci, ale w ogóle relacji, w których są – jako partnerzy, liderzy, relacji ze sobą też.

Po drugie, zyskują motywację, poczucie sensu, ale też mocy płynącej ze świadomości, że ta rana, którą noszą, nie musi robić z nich ofiary, która będzie się ciągle domagała czegoś od świata albo zastygnie w bezruchu...

...albo, która zamieni się w kata.
– Albo tak. Tylko że po pewnej wykonanej pracy może się stać ich ogromnym kapitałem.

Czego potrzebują mężczyźni, którzy nie mają dostępu do terapii czy do takich warsztatów, żeby móc zmierzyć się z trudną przeszłością i spróbować jej nie odtwarzać?
– Pamiętajmy, że wielu mężczyzn, podobnie jak zresztą wiele kobiet, którzy doświadczyli przemocy w dzieciństwie, nie ma kontaktu z tym bólem. Ten mechanizm obronny służy im do tego, żeby mogli jakkolwiek w miarę pozytywnie funkcjonować. To, czego więc potrzebują przede wszystkim, to świadomość tego, o czym tu rozmawiamy.

Potrzebują odkryć, że noszą w sobie takie ziarno, które albo wykiełkuje w coś pozytywnego, albo może stać się takim ziarnem kąkolu. Trucizną, którą będą wszczepiać dalej. Na szczęście jest coraz więcej książek, podkastów, które te tematy poruszają.

Druga rzecz to pozytywne wzorce mężczyzn, którzy funkcjonują już nie w telewizji czy na YouTubie, tylko w ich bezpośrednim życiu. Dlatego rozwijamy sieć męskich kręgów, które nie są ani terapią, ani warsztatem, tylko próbą odpowiedzi na tę potrzebę, gdzie ci mężczyźni mogą się spotykać z innymi mężczyznami, ale też z samymi sobą. Ale takich kontaktów i relacji można też szukać w swoim otoczeniu. I je tworzyć.

A czego potrzebują twoim zdaniem chłopcy?
– Tego samego, co ci mężczyźni. Obecnych, stabilnych, wyregulowanych mężczyzn, czyli takich, którzy potrafią zarządzać swoimi emocjami i dźwigać te trudne – swoje i innych. Potrzebują mądrych ojców, nauczycieli, pedagogów, mentorów.

W szkole powinno być więcej mężczyzn?
– Chciałbym, żeby tak było. Nawet nad tym pracujemy i być może uda nam się ruszyć z pewną inicjatywą. Choć to jest trudne do przeprowadzenia, bo spotykamy się z ogromnym oporem.

Z której strony?
– Niedawno miałem takie doświadczenie. Na pewnym wydarzeniu rozwojowym spotkałem się z grupą 70 kobiet. Nie były to więc przypadkowe kobiety, tylko te otwarte, chcące pracować nad sobą itd. W pewnym momencie poprosiłem je, żeby sobie wyobraziły, że przyjechały tu, a swoje dzieci oddały do przedszkola, w którym opiekę nad nimi sprawowaliby głównie mężczyźni. Większość z nich natychmiast się zablokowała.

Jak to rozumiesz?
– Wracam do tej dominującej narracji. Mężczyzna i dziecko oznacza, że zaraz na pewno wydarzy się coś złego. To pedofilia, niekompetentni ojcowie, przemoc itd. Zostawienie dzieci z mężczyznami to megaryzyko.

I jak widzisz taką blokadę, to co sobie myślisz?
– Przede wszystkim czuję smutek. Bo rozumiem to tak, że wiele z tych kobiet musi projektować na mężczyzn własne doświadczenia, głównie z ojcami.

Rozmawialiśmy dużo o nieobecności ojców w życiu chłopców. Ale ci sami ojcowie mają też córki, które dziś są dorosłymi kobietami, i one też doświadczyły z ich strony przemocy, porzucenia czy ich bezradności.

Poza smutkiem czuję też złość, że na tym, co złe, robi się taką propagandę. I że ta dominująca negatywna narracja nikomu nie służy. W mężczyznach budzi coraz większą frustrację, a w kobietach wzmacnia lęk, którego i tak mają już sporo. ●

eprasa.pl 4ba45f9584

KRAJ

ASTROLOGIA *Tuska*, METODYKA *Nawrockiego*

Premier ma największe doświadczenie spośród wszystkich polityków, mnóstwo czyta, przerasta wiedzą dosłownie każdego w parlamencie, wie, co się dzieje w Europie. Ma szerokie horyzonty oraz dostęp do najlepszych badań i ekspertów. Jak to się dzieje, że w sondażach rośnie nie rządowi, a prezydentowi?

Arkadiusz Gruszczyński

Karol Nawrocki otoczył się profesjonalistami, a Donald Tusk znowu zamknął się w gabinecie. I dlatego politycznie przegrywa z prezydentem. – A było gorzej: rok temu w lipcu byliśmy przekonani, że nie dojedziemy do końca kadencji – uważa współpracownik premiera.

Kiedy mówię politykom PiS, że to Karol Nawrocki mebluje dzisiejszą politykę, uprzedza ruchy Tuska i odbiera tlen koalicji rządzącej, widzę na ich twarzach dwie reakcje: najpierw zaskoczenie, że słyszą coś takiego z ust dziennikarza „Wyborczej", a potem szansę na sprzedanie partyjnej narracji o sukcesach prawicy.

– Oficjalnie przyznamy panu rację: prezydent narzuca tematy, zmusza rozleniwiony rząd Tuska do pracy i udowadnia, że tylko jemu zależy na Polsce i Polakach – zaczyna mój rozmówca, który wie, że ma kilka minut na przekaz ustalony w centrali na Nowogrodzkiej, bo potem zacznę drążyć.

•

Zanim wyciągnę z rozmówcy partyjne lęki, musimy spojrzeć na scenę polityczną chłodnym okiem, zostawić na chwilę sympatie polityczne i wydestylować z chaosu narracyjnego, który wycieka z platform społecznościowych oraz małych gabinetów spin doktorów, to, co jest prawdą.

Sprawa wydaje się oczywista: to, jak wygląda dzisiejsza polityka, wynika głównie z decyzji Karola Nawrockiego.

Najpierw prezydent zareagował na amerykańskie zapowiedzi ograniczenia liczebności wojsk stacjonujących w Polsce. Obecna administracja w Białym Domu nie jest zainteresowana obroną Europy, angażuje się w innych częściach świata, USA nie finansują nawet wojny w Ukrainie, tylko sprzedają sprzęt za pieniądze europejskich stolic. Zapowiedź Pentagonu nie powinna więc dziwić, ale reakcje polityków były przewidywalne: skargi i oburzenie, że Polska jako najwierniejsza sojuszniczka została potraktowana jak nieistotny gracz. A Amerykanie nad Wisłą są kluczowi w odstraszaniu Rosji.

Co zrobił Nawrocki? Wysłał SMS-a do Donalda Trumpa, a ten po chwili opublikował wpis, w którym ogłosił zmianę decyzji. Kilka tygodni później nasz prezydent bawił się na urodzinach gospodarza Białego Domu.

Efekt: Polacy w Nawrockim dostrzegają męża opatrznościowego i sprawnego polityka.

A potem prezydent wywołał debatę o Ukrainie. Zaczęło się od decyzji Wołodymyra Zełenskiego, który nadał jednemu z oddziałów imię „bohaterów UPA". Oburzony Nawrocki odebrał mu Order Orła Białego i sprawił, że pierwszy raz od dawna cała klasa polityczna w naszym kraju mówiła jednym głosem: każdy polityk skrytykował prezydenta Ukrainy i stwierdzał, że oddziały UPA dokonały ludobójstwa na polskich obywatelach.

Efekt? Według badań CBOS prezydentowi Polski ufa 53 proc. Polaków, o 5 proc. więcej niż przed miesiącem.

Choć gdy spojrzeć na szerszy kontekst oraz kulisy tych dwóch spraw, obraz nieco się komplikuje.

Odebranie prezydentowi Ukrainy najważniejszego polskiego odznaczenia wywołało niepotrzebny kryzys, który może zaszkodzić interesom polskich firm, a także popsuć relacje między Polakami a Ukraińcami mieszkającymi w naszym kraju.

Jasne: decyzja Zełenskiego była skandaliczna, choć trzeba pamiętać, że w Ukrainie o UPA mówi się inaczej niż w Polsce, pamiętając głównie antysowiecką partyzantkę po wojnie. Nawrocki nie skorzystał jednak z okazji, żeby łagodzić radykalne nastroje, nie zrobił więc tego, czego byśmy wymagali od prezydenta. Za to dopalił konflikt. I – niestety – znowu wygrał. Z sondażu dla Wirtualnej Polski tylko 19,7 proc. Polaków obwinia prezydenta o zaostrzenie konfliktu na linii Warszawa – Kijów.

Jeśli chodzi o kontyngent USA, to ogromną pracę wykonał rząd, z ministrem obrony narodowej Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem na czele, który jest w stałym kontakcie ze swoich amerykańskim odpowiednikiem. Co przełożyło się na poniedziałkową informację przekazaną przez premiera i MON o kontynuacji rotacyjnej wymiany żołnierzy amerykańskich w Polsce.

Jednak w społecznej wyobraźni to Nawrocki wyjaśnił Trumpowi, że jego wojska muszą bronić polskiej ziemi. Ludzie zapamiętują obrazki, a także prosty przekaz: to Nawrocki, a nie Tusk, był na kolacji urodzinowej w Białym Domu.

Ale Nawrocki wygrywa wizerunkowo również na innych polach.

– Rząd uważa, że, blokując projekty ustaw napisane przez ludzi prezydenta, kompromituje Karola. A przecież to idealny prezent dla nas: dokładnie za rok prezydent w ogniu kampanii parlamentarnej wyjdzie przed kamery i powie, że Polska potrzebuje rządu współpracującego z prezydentem, a nie większości blokującej jego wspaniałe i potrzebne ustawy – mówi mi na sejmowym korytarzu poseł od Kaczyńskiego.

A wśród tych ustaw – co z tego, że niechlujnie napisanych i z niejasnymi źródłami finansowania – są te obniżające rachunki za prąd, związane z wielkimi inwestycjami oraz ochroną wsi i rolników, podwyższające najniższe

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

emerytury czy wprowadzające zerowy PIT dla rodzin. To gotowy program wyborczy, który rymuje się z zapowiedziami Przemysława Czarnka, kandydata PiS na premiera.

●

W tym czasie Donald Tusk znów zapadł w polityczną drzemkę – mówią mi ludzie Koalicji Obywatelskiej.

– Premier trzy tygodnie czekał z reakcją na aferę w Szpitalu Południowym. Cały Sejm huczał od plotek: jedni mówili, że Kierownik doskonale zdaje sobie sprawę, jakie jeszcze brudy mogą wypaść z szafy, którą można nazwać: „nasi ludzie korzystają z łatwiejszego dostępu do szpitali, przychodni, zabiegów i operacji, a także obsadzają stanowiska córkami i zięciami". Mówiliśmy między sobą: po co premier ma teraz dymisjonować ministrę zdrowia, skoro za dwa tygodnie będzie musiał znowu kogoś wywalić z rządu – opowiada poseł KO.

Lecz spóźniona, mdła i koniunkturalna reakcja premiera na zgniliznę warszawskich struktur – to słowa rozżalonych polityków partii rządzącej – to tylko część obrazu.

– Rok temu premier był załamany porażką Trzaskowskiego, który jako prezydent miał dać nam drugą kadencję, załatwiając jedynym podpisem przywrócenie praworządności, przyspieszając wymianę kadrową w najważniejszych instytucjach, które obsadza Pałac Prezydencki, czy zwyczajnie sprzyjając koalicji. Rok temu Tusk siedział załamany w Sopocie, spotykał się z przyjaciółmi spoza polityki, pytał ich, co ma zrobić, skoro cały plan rozpadł mu się w rękach – wspomina rozmówczyni z KO.

– Nie było żadnego pomysłu, rekonstrukcja się przeciągała, Kierownik odciął się od ludzi. I dzisiaj jest to samo: niby premier jeździ po Polsce, otworzył jedno połączenie kolejowe do Łomży, przeciął wstęgę na jakieś drodze szybkiego ruchu, był w elektrowni słonecznej. Ale my się łapiemy za głowę: naprawdę premier chce wygrać takimi małymi akcjami? – dziwi się polityczka.

Te narzekania rymują się z rozpoznaniem kilku czołowych publicystów, którzy – tak jak Jakub Dymek – przekonują, że społeczeństwa oczekują dużych inwestycji infrastrukturalnych, podniesienia dobrobytu przez wpompowanie w gospodarkę publicznych pieniędzy i naprawdę wielkich projektów. Otoczenie premiera zdaje się to rozumieć, inaczej Port Polska, czyli do niedawna Centralny Port Komunikacyjny, a także sieć połączeń kolejowych oraz mieszkania na tani wynajem w całym kraju nie byłyby realizowane.

Problemem jest ciągle to samo, coś, co stało się znakiem rozpoznawczym liberałów na całym świecie: komunikacja. Dlaczego premier, który ma szerokie horyzonty intelektualne, największe doświadczenie spośród wszystkich polityków, przerasta wiedzą każdego w parlamencie, nie potrafi zarządzać informacją? Jak to się dzieje, że Tusk, który sporo czyta, widzi, co dzieje się w Europie, ma dostęp do najlepszych badań i ekspertów, popełnia podręcznikowe błędy w komunikacji?

Dzwonię do niepolitycznego zaplecza premiera, czyli wpływowych, ale nikomu nieznanych spin doktorów, speców od przekazu politycznego, analityków i ekspertów od badań. Słyszę od nich opowieść o premierze, który rzuca jednego dnia pomysł, jego ludzie uruchamiają machinę państwa, a po tygodniu Tusk o wszystkim zapomina, skupia się na czymś innym.

– Przykładów jest tak dużo, że nie wiadomo, od czego zacząć. Weźmy G20. Kierownik rzuca rewelacyjny pomysł: jesteśmy w elitarnym gronie najbogatszych państw świata, trzeba to umiejętnie ograć, żeby ludzie połączyli ten sukces z rządem. Machina rusza: premier nagrywa rolkę, pisze na portalu X, dziennikarze są spinowani, zamawiamy klipy. Łączymy to z powrotami Polaków do kraju. Chcemy wysłać Tuska do Londynu, żeby stanął w sercu Anglii i powiedział, że co prawda to piękny kraj, ale Polacy dzięki mądrym decyzjom mojego rządu wracają do siebie – rozkręca się rządowy analityk.

– Pewnie się pan zastanawia, gdzie są efekty naszej pracy. Dostaliśmy jednego maila: zmieniamy priorytety, proszę schować projekt do szuflady.

Od pewnego wiceministra słyszę nieco inne wyjaśnienie, które być może nie zostało przekazane ambitnym dyrektorom kreatywnym. – Przecież G20 to pułapka, w porę się zorientowaliśmy. Jeśli premier mówi, że jesteśmy w gronie najbogatszych krajów, to dlaczego w małym miasteczku przychodnia działa jak w latach 90.? Takie pytania mogłyby nas zabić.

Co jeszcze mówią na zapleczu rządu?

– My to nazywamy astrologią Tuska. Głównym wróżbitą jest Igor Ostachowicz, niby społeczny doradca Kierownika, ale naprawdę kreator przekazu łapiący w lot najważniejsze cele rządu. Wielu z nas ma poczucie pracy w totalnym, pogłębiającym się z miesiąca na miesiąc chaosie. Ściągnęli mnie tu z rynku, zgodziłem się na pracę za żenujące pieniądze, ponieważ, po pierwsze, mam unikalne kompetencje, które mogą pomóc rządowi, a po drugie, praca dla premiera pomoże mi w karierze – opowiada gorzko kolejny rządowy specjalista.

– Ale kiedy jednego dnia słyszę, że mamy chwalić się powrotami Polaków, drugiego stawiać na nacjonalizację przemysłu, trzeciego wpada pomysł o Polsce piastowskiej, a w kolejnych dniach Tusk mówi o deregulacji, renegocjacji Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka oraz odrzuceniu Zielonego Ładu, to mam wrażenie, że premier zwyczajnie w świecie nie ma pojęcia, do kogo mówi.

Takich głosów jest mnóstwo: premier każdego tygodnia ogłasza przełomowe decyzje, które nie znajdują przełożenia na komunikację rządu.

– Nie chodzi o to, żeby szef rządu nie chwalił się sukcesami. Nam to nawet imponuje, że Tusk ma tak szerokie horyzonty i dobrze odczytuje nastroje społeczne, które są dzisiaj antyliberalne i nacjonalistyczne. Ale brakuje w tym jego działaniu jednego: przegadywania każdego pomysłu w szerszym gronie ludzi, którzy nie są politykami, ale znają się na socialach, YouTubie, starych i nowych mediach i wiedzą, w jaki sposób można ubrać opowieść w atrakcyjne szaty – dodaje ten sam ekspert.

Problemem Tuska jest też wewnętrzna komunikacja.

– Premier nadal nie spotyka się z posłami, wydaje mi się, że pan widzi częściej Kierownika niż ja – mówi jedna z posłanek. – Podam przykład: pod koniec tygodnia z mediów dowiaduję się, że Tusk zwołuje konferencję prasową. Na niej słyszę o ultimatum postawionym ministrze zdrowia i prezesowi Narodowego Funduszu Zdrowia. To dzień sejmowy, więc cały klub jest na Wiejskiej. Konferencja się kończy i dziennikarze od razu do nas podbiegają. A my nie mamy na mailu ani przekazu premiera, ani podsumowania w punktach konferencji – żali się polityczka.

●

Ale polityka to nie jest system naczyń połączonych ani gra o sumie zerowej. Więc spójrzmy w stronę prezydenta.

– Pyta pan, jak pracuje prezydent. Tak samo jak w czasach kierowania IPN i podczas kampanii – zaczyna opowieść jeden z czołowych posłów PiS.

– Pojawia się temat, który podoba się prezydentowi. Omawia go na wszystkie możliwe sposoby ze współpracownikami, przygotowuje plan i wydaje jeden, precyzyjny rozkaz: macie się skupić tylko na tym, za dwa dni proszę o konkrety. Mówiąc krótko: on jest wręcz perwersyjnie zadaniowy, nie rozprasza się, nie zmienia planów, ma wszystko rozpisane w punktach.

– Proszę zauważyć, że ludzie prezydenta nie przeciekają, nie ma na mieście żadnych plotek o tym, co dzieje się w kancelarii. A jak Sławek Cenkiewicz przestał się dogadywać z Marcinem Przydaczem, kluczowym specem Nawrockiego od spraw międzynarodowych, to ten pierwszy ustąpił, boby się tam pozabijali – dodaje inny polityk PiS.

– Poza tym mózgiem tej prezydentury jest opromieniony ogarnięciem kampanii wyborczej Paweł Szefernaker, który pilnuje porządku, nie pozwala wrzucać w krótkim czasie kilku tematów, dba o przekaz. Jak na razie mechanizm działa perfekcyjnie.

To kusząca publicystycznie perspektywa: prezydent otoczył się sprawnymi organizatorami, więc wygrywa polityczny pojedynek z premierem, a Tusk słucha tylko podszeptów kilku osób, więc musi przegrywać. Na szczęście świat polityki jest bardziej skomplikowany.

– My się cieszymy z popularności Karola, w końcu został prezydentem z naszym poparciem. A bez Jarosława Kaczyńskiego nie byłoby Nawrockiego – mówi mi pierwszy poseł PiS. – To, że Nawrocki wetuje tak wiele ustaw, wynika wprost z logiki partyjnego interesu – dodaje.

Prezydent do tej pory nie podpisał się pod 39 projektami ustaw, w tym tych najbardziej krytycznych dla bezpieczeństwa państwa: zawetował mechanizm ułatwiający wydawanie pieniędzy z unijnego programu SAFE finansującego zakupy wojskowe; nie zgodził się na regulację rynku kryptowalut ani na wyrzucenie z Bałtyku trujących statków; nie zgodził się na działalność rzeczników praw ucznia we wszystkich szkołach; w niesmak była mu większa przejrzystość głosowania, kiedy Sejm chciał uporządkować składy komisji wyborczych; z powodów niejasnych nawet dla licznych polityków PiS zgodził się na trzymanie psów na łańcuchach.

Ten ostatni przykład jest znaczący, ponieważ wtedy Nawrocki pierwszy raz publicznie sprzeciwił się partii. Jarosław Kaczyński jest znanym przyjacielem zwierząt i głosuje za ich prawami.

– A potem było jeszcze ciekawiej: pan prezydent powołał na stanowisko prezesa Sądu Najwyższego sędziego, który 20 lat temu oczyścił Lecha Wałęsę z podejrzeń o agenturalność. W klubie parlamentarnym wywołało to popłoch – przyznaje mój rozmówca z PiS, polityk młodszego pokolenia, który jawnie i prywatnie sympatyzuje z Nawrockim.

Prezydent wysłał do Sądu Najwyższego Zbigniewa Kapińskiego, którego w Telewizji Republika zwalczał historyk Sławomir Cenkiewicz, były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego i jeden z ojców chrzestnych kariery Nawrockiego w IPN. Potem do krytyki przyłączył się Kaczyński. Prezydent nic sobie z tego nie zrobił.

Nawrocki sprzeciwił się w jeszcze jednej sprawie Kaczyńskiemu: zerwał z tradycją zapalania świec chanukowych, którą wprowadził do Pałacu Prezydenckiego Lech Kaczyński.

A tak naprawdę cała polityka zagraniczna Nawrockiego stoi w jawnej sprzeczności ze spuścizną najważniejszego prezydenta prawicy: Lech Kaczyński dbał o włączenie Ukrainy i Gruzji do zachodnich struktur i uważał – powtarzając za legendarnym emigracyjnym myślicielem politycznym i wydawcą Jerzym Giedroyciem – że nie ma niepodległej Polski bez wolnych Ukrainy i Białorusi.

Na naszych oczach nowe pokolenie prawicy, którego liderem został prezydent, zrywa z tym kursem i jednoznacznie przekreśla tożsamość polskiego konserwatyzmu. Sam Jan Olszewski, a więc hołubiony przez prawicę premier z pierwszych lat wolnej Polski po komunizmie, w 2018 roku stwierdził, że granie kartą UPA i Wołynia „nie powinno przysłaniać polskiej racji stanu", ponieważ naszym wrogiem jest Rosja, a nie Ukraina.

– Nikt tego panu od nas pod nazwiskiem nie powie, ale my doskonale zdajemy sobie sprawę, że Nawrocki nie jest człowiekiem PiS, tylko dzieckiem ruchu narodowego – mówi mi „w zaufaniu" polityk PiS. – Pan prezydent nie mówi tego wszystkiego pod publiczkę, naprawdę ma takie poglądy, serio uważa, że naszym zagrożeniem jest silna Unia Europejska, z przekonaniem krytykuje pomoc, jaką udzielamy Ukrainie, i na serio chce zwalczać lewactwo. On naprawdę wierzy, że tylko katolicka Polska jest w stanie uchronić naród przed upadkiem. I nie ma w tym za grosz cynizmu. Nie ukrywamy, że ten zestaw poglądów jest naszym problemem.

Z kuluarowych rozmów z politykami PiS wyłaniają się trzy najważniejsze niebezpieczeństwa, które niosą dla nich narodowe i nacjonalistyczne poglądy prezydenta.

„Karol może nam się zerwać ze smyczy i w 2030 roku wystartować wyłącznie z poparciem Konfederacji oraz Grzegorza Brauna" – ten motyw przewija się stale.

Jego poglądy, które są nieprzemakalne, mogą przy okazji zmiany nastrojów społecznych stanowić poważne obciążanie. Kto wie, może za cztery lata naród będzie w stanie zaakceptować kobietę prezydentkę albo atmosfera zmieni się nie do poznania i będzie bardziej liberalna czy lewicowa – martwią się dodatkowo niektórzy.

I w końcu: Nawrocki chce być prezydentem całego obozu prawicy. – A przecież my się nie dogadamy z Braunem i Sławkiem Mentzenem – słyszę w PiS.

Do tego dochodzi jeszcze jedna zmienna: kim będzie Karol Nawrocki i gdzie znajdzie „polityczne złoto" prawica, jeśli Ukraina wygra wojnę z Rosją?

●

A co na to wszystko rząd?

– To, że jesteśmy zagubieni w tym sporze, to nic. My zostaliśmy brutalnie ograni przez Nawrockiego – mówi mi jedna z bardziej rozpoznawalnych posłanek KO. – Kiedy poseł Janusz Kowalski szukał Ukraińców w polskim rządzie, premier wyszedł na mównicę i nazwał rzeczy po imieniu: „szczucie jednych na drugich doprowadzi do tragedii". Tylko że w tym samym czasie policja tropiła Ukraińca, który łowił ryby. Nielegalnie, więc dostał zakaz wjazdu do Polski.

– Ale to nie były jakieś tam płotki, tylko wielki, stary sum. I nie łowił w jakimś stawie na przedmieściach, tylko w wielkomiejskim parku. Właśnie brak reakcji na coś takiego byłby wodą na młyn szowinistów – kontruję.

– Może. A może afera przetoczyłaby się przez X, Facebooka i ucichła, a tak zyskała dopalenie medialne. Coś panu powiem: wiem, że nastroje są antyukraińskie, lecz brak zdecydowanej reakcji rządu i Koalicji Obywatelskiej

◀ **Sierpień 2025, Karol Nawrocki, Donald Tusk (I) i szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki (nachyla się) na posiedzeniu Rady Gabinetowej** FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ukraina, Unia Europejska, lewactwo – pan prezydent nie mówi tego wszystkiego pod publiczkę. Jego zestaw szczerych poglądów jest naszym problemem – słyszę w PiS

eprasa.pl 4ba45f9584

jest osłabiający – mówi ta sama posłanka. Choć z jej aktywności wynika, że sama nie za wiele robi, żeby to zmienić.

W podobnym duchu wypowiada się wielu ludzi związanych z obozem rządowym: skoro ton w polskiej polityce nadaje prezydent nacjonalista, to naturalną odpowiedzią byłaby narracja włączająca, liberalna i tolerancyjna. – Ale Tuskowi się wydaje, że wygra bronią Nawrockiego. Tylko jak to sobie wyobraża? Mamy jeździć po Polsce i opowiadać, że Ukrainki uciekające przed wojną z małymi dziećmi mają się natychmiast wyprowadzić? Kto nam w to uwierzy? – emocjonuje się jedna z bardziej lewicowych posłanek KO.

W grę Nawrockiego próbuje grać Włodzimierz Czarzasty, który zbudował się politycznie na krytyce prezydenta. I to, że marszałek Sejmu nie jest bierny ani nie ucieka w zgrane schematy, tylko kombinuje, jest godne podziwu. Niemniej o słabości lewicy – a pośrednio również obozu rządzącego, którego jest komponentem – świadczy prozaiczna obserwacja: to nie prezydent musiał określić wroga w osobie lidera Nowej Lewicy, tylko odwrotnie.

– Po wyborach prezydenckich zdawaliśmy sobie sprawę, że nie dowieziemy wielu światopoglądowych obietnic. Nie będzie dostępu do aborcji ani związków partnerskich. Rząd się odbudował, Nawrocki bardzo służy całej koalicji, ponieważ motywuje nas do pracy. Ale nam obecny lokator Pałacu Prezydenckiego nie służy, ponieważ nie możemy wyjść z podniesioną głową i powiedzieć, że, wchodząc do rządu, jesteśmy naprawdę skuteczni – analizuje poseł lewicy.

Dlatego Czarzasty atakuje Nawrockiego, ośmiesza prezydenta za błędy w projektach ustaw, w niepodrabialny sposób poucza głowę państwa. Co z tego, skoro sondaże Nowej Lewicy nie drgnęły.

Jeszcze inaczej zachowuje się Władysław Kosiniak-Kamysz, któremu przez chwilę się wydawało, że będzie pomostem między rządem a Nawrockim. Do czasu, aż prezydent po swojemu wręczał nominacje oficerskie i wojskowe, nie informując o tym szefa Ministerstwa Obrony Narodowej. Jednocześnie Nawrocki wypuszcza do mediów swoich współpracowników, którzy otwarcie krytykują wicepremiera i lidera PSL.

Coś, na co liczono w otoczeniu Tuska – polityczna przyjaźń koalicjanta pozwalająca jakoś współpracować z „dużym Pałacem" przynajmniej w najważniejszych sprawach – zostało odrzucone.

Prezydent obrał linię eliminacji każdego przeciwnika.

Z tymi wszystkimi pytaniami i tropami dzwonię w piątek późnym wieczorem do bliskiego współpracownika premiera. I mam na myśli nie ministra, który widzi Tuska raz w tygodniu, tylko kogoś, z kim premier konsultuje większość spraw.

– Stawia pan te tezy zbyt ostro – odpowiada po uprzejmej uwadze, że rozmawia ze mną w piątek wieczorem, co powinienem docenić. – W krótkoterminowej dynamice politycznej pan prezydent z nami wygrywa, zgadzam się. W sposób wiarygodny odpowiedział na antyukraińskie nastroje społeczne, zaskoczył nas konsekwencją i radykalizmem. Jednak z naszej perspektywy pan prezydent realizuje tę samą agendę co Leszek Miller, który jako jeden z pierwszych rzucił w przestrzeni publicznej pomysł odebrania orderu prezydentowi Ukrainy. Nie wiemy więc, czy pan Karol Nawrocki na pewno chciałby zostać skojarzony z Kremlem – mówi gładko i bez zająknięcia.

– Obserwujemy również, że pan prezydent staje się zakładnikiem jednego tematu, to jest Ukrainy. Nie wiemy, jak poradzi sobie z budowaniem pozycji politycznej, kiedy wojna za naszą wschodnią granicą się zakończy. Przypuszczamy, że pan prezydent nie będzie potrafił wyjść poza swoje własne ograniczenia. I tutaj zaczynają się dla pana Karola Nawrockiego problemy, ponieważ na własnej skórze zobaczył, że społeczeństwo jest zmienne. Jesienią jego notowania drastycznie spadły, dzisiaj nieco urosły. Obserwujemy to ze spokojem – ciągnie z uprzejmym jadem mój rozmówca. A ja wyobrażam sobie jego uśmieszek, który wyraża jedno: przeżyłem tyle upadków, że chwilowa popularność niedoświadczonego chłopaka z gdańskiego blokowiska jest jak mrugnięcie powieki.

– Powiem panu więcej, skoro poświęcam panu piątkowy wieczór – słyszę znów ten sam wyrzut podszyty satysfakcją, że „niech młody pismak łyknie trochę naszych zakulisowych rozmów, zrozumie, że, co my rozumiemy, doświadczenie w końcu bierze górę nad zapałem".

– We wrześniu zobaczyliśmy, że po ataku rosyjskich dronów na Polskę ludzie docenili współpracę pana prezydenta z panem premierem. To było autentyczne: na gorącej linii byli poszczególni ministrowie i osoby z Kancelarii Prezydenta. Wiem, że rzecznik Adam Szłapka konsultował kilka spraw z ludźmi prezydenta. Ale szybko się okazało, że, współpracując, my zyskujemy w sondażach, zyskuje też nieco pan prezydent, ale traci Kaczyński. I sielanka się skończyła, pan prezydent wrócił do regularnego okładania rządu.

Jednego dnia Tusk rzuca pomysł, jego ludzie uruchamiają machinę państwa, a po tygodniu o wszystkim zapomina – frustrują się specjaliści z zaplecza premiera

Po czym polityk płynnie przechodzi do swojego ogródka.

– Popełnia pan też błąd w ocenie rządu, ponieważ przy okazji programu SAFE pokazaliśmy, że potrafimy ograć prezydenta, który posłuchał podszeptów partii, zamiast wykorzystać moment i się politycznie zbudować. Wybrał weto zamiast współpracy z rządem, na czym na pewno by skorzystał – opowiada. – To samo widzimy przy okazji kryptowalut: wychodzi nam z badań, że 60 proc. Polaków obwinia o chaos w tej sprawie pana prezydenta. Przy czym musi pan pamiętać, że przy innych sprawach proporcje rozkładają się pół na pół. I czyja to zasługa? Premiera.

Mój rozmówca zwraca również uwagę na ubiegłoroczny kryzys po wyborach prezydenckich, kiedy „obawialiśmy się, czy dojedziemy do końca kadencji". – Podnieśliśmy się, na nowo rozdzieliliśmy zadania, wymieniliśmy część rządu, komunikacja się poprawiła, konsekwentnie realizujemy swoje cele, co widać w sondażach. Słyszę, co chce pan powiedzieć: że oceny rządu są fatalne. Ale Koalicja Obywatelska w sondażach ma się znacznie lepiej – przekonuje.

– A przecież my się sami wystawiamy na ataki – dodaje nieco tajemniczo. Więc drążę, za co niby skuteczniej Nawrocki mógłby krytykować rząd. W końcu słyszę, że „chociażby za powolne tempo podpisywania umów w ramach programu SAFE i wydawanie środków unijnych". – Doceniamy Zbigniewa Boguckiego za jego polityczny spryt, szef prezydenckiej kancelarii to naprawdę dobry zawodnik, który wie, jak prowadzić spór, zna też nasze problemy. Ale przypomnę panu na sam koniec, że w 2011 roku Bronisław Komorowski cieszył się większym poparciem niż Karol Nawrocki w analogicznym okresie.

Tu następuje piknięcie zakończonego połączenia.

Jacek Żakowski, nestor polskiej publicystyki, niegdyś filar „Polityki", dziś ważny głos Radia TOK.fm, powiedział mi niedawno, że Karol Nawrocki przypomina mu „ambitnego chuligana". Pytanie, czy „kierownik, który się ciągle wścieka", znajdzie sposób na te niebezpieczne dla Polski ambicje. ●

Sztywność poznawcza

Eksperymenty psychologiczne prowadzone po wojnie sugerowały, że tyrana nosi w sobie każdy, wystarczy, że znajdzie się w odpowiedniej sytuacji.

Marcin Matczak

Magazyn „Psyche" opublikował artykuł, który wyjaśnia, dlaczego tak wiele osób się radykalizuje, a świat zmierza w stronę ekstremizmu. Leor Zmigrod, badaczka z Cambridge, przeprowadziła na tysiącach ludzi prosty test: pokazała im na ekranie cztery karty z prośbą, aby dołożyli piątą, która najlepiej pasuje do tej czwórki. Uczestnicy dość szybko odkrywali regułę: czerwona do czerwonych, czarna do czarnych, a więc decydują kolory. Za każde trafienie gracz dostawał punkty.

Ale nagle, bez ostrzeżenia, reguła się zmieniła. Dopasowanie kolorem przestało działać, zaczęły liczyć się symbole: serce do serca, trójkąt do trójkąta. Ta zmiana to moment, w którym rzeczywistość zaczęła się wymykać dotąd ustalonym zasadom.

Niektórzy z uczestników – nazwijmy ich elastycznymi – po kilku nieudanych ruchach zaczęli eksperymentować i odnaleźli nową regułę. Drudzy – sztywni – uparcie stosowali regułę koloru, choć już nie działała. Dokładali czerwoną do czerwonych, punktów za to nie dostając, ale twardo brnęli dalej. Mylili się więc nie tyle z głupoty, ile z wierności starej wizji świata. Skoro reguła ogarniania rzeczywistości kiedyś działała, musi działać nadal. A jeśli nie działa, tym gorzej dla tej rzeczywistości.

Zmigrod pokazuje, że ci sami ludzie, którzy w neutralnej, apolitycznej grze w karty nie potrafią porzucić martwej reguły, w życiu publicznym częściej wybierają ideologiczny dogmat. To oni posłuszeństwo wobec władzy stawiają wyżej niż troskę o drugiego człowieka i prawo do bycia sobą. To oni najchętniej odrzucają fakt, który nie pasuje do przekonania, i to oni, po obu stronach sceny, lewej i prawej, religijnej i świeckiej, najłatwiej godzą się na przemoc w imię swojej racji. To ludzie, których cechuje sztywność poznawcza łatwo przekształcająca się w sztywność ideologiczną.

O byciu ekstremistą nie do końca decyduje więc, co człowiek myśli, ale to, jak myśli. Dlatego skrajna prawica i skrajna lewica, tak bardzo się zwalczające w realu, w laboratorium okazują się bliźniakami. Jedni i drudzy próbują uparcie dogiąć świat do swoich oczekiwań.

Kto nie słucha rozkazów?

Eksperymenty psychologiczne prowadzone po wojnie sugerowały, że tyrana nosi w sobie każdy, wystarczy, że znajdzie się w odpowiedniej sytuacji. Na przykład poważny, starszy pan w kitlu każe mu razić prądem badanego (eksperyment Milgrama) albo mundur strażnika skłoni go do sadyzmu wobec „więźniów" (eksperyment Zimbardo). To teoria poniekąd wygodna. Skoro wszyscy poddalibyśmy się presji, nikt nie jest winny. Tyle że z tych eksperymentów wypływała jeszcze jedna konkluzja: 35 proc. ludzi jednak odmówiło wykonania poleceń. Kim są więc ci, którzy nie słuchają rozkazów? Niekoniecznie są to ludzie moralnie wybitni. Test z kartami sugeruje, że to raczej ludzie elastyczni poznawczo.

Zmigrod pisze jednak, że większość z nas uważa się za elastycznych poznawczo, również ci najbardziej sztywni. Dogmatyk nie chodzi więc po świecie z poczuciem, że jest dogmatykiem. Potwierdza się tym samym stare powiedzenie, że niewidomego od dogmatyka odróżnia to, że niewidomy wie, że nie widzi.

Jakie zmiany w świecie odpowiadają zmianie reguły w teście z kartami? Na przykład taka, że przez trzy dekady po 1989 roku obowiązywał u nas prosty algorytm: Zachód i postęp są super, liberalizm wygrał raz na zawsze, ucz się, pracuj, bierz kredyt, a będzie tylko lepiej. Albo ta dotycząca facetów – zawsze będziesz panem domu, a twoja żona, matka Polka, będzie wychowywać ci dzieci. Wystarczy, że do reguły się zastosujesz i na pewno wygrasz.

A tu nagle stare reguły przestały działać. Nie tylko te powyższe. Zamiast wiecznego pokoju jest wojna za miedzą. Zamiast jednolitej rasowo i kulturowo Europy jest Europa coraz bardziej zróżnicowana. Kobiety zarabiają więcej niż mężczyźni, Ameryka przestała być gwarantem powszechnego ładu, a sztuczna inteligencja podważyła regułę społecznego awansu: dyplom i pilność już nie zapewnią ci bezpiecznej przyszłości.

Jak rozmiękczyć dogmat

Te zmiany przenoszą grę na poziom, na którym umysł sztywny wpada w panikę i robi to, co najlepiej umie: chce dalej stosować starą regułę. Stąd oszałamiająca polityczna kariera słowa „przywrócimy": wielkość, porządek, normalność, suwerenność, nieważne co, byle było jak dawniej. Autorytaryzm najlepiej sprzedaje obietnicę, że reguła nigdy więcej się nie zmieni. I ta obietnica trafia do umysłu, którego nikt nie nauczył, że zmiana reguły jest nie końcem świata, ale jego normalną cechą.

Skoro podatność na ekstremizm to nie kwestia poglądów, ale stylu myślenia, to gdzie ów styl się produkuje? Najbardziej prawdopodobna odpowiedź brzmi: w szkole.

Warto się zastanowić, czy polska szkoła w dużym stopniu nie jest wciąż wnuczką szkoły pruskiej, zaprojektowanej tak, by produkowała pokornych urzędników i całkowicie przewidywalnych rekrutów. Czy nie króluje w niej religia jednej poprawnej odpowiedzi, która jest najgorszą wersją intelektualnego posłuszeństwa? I dlaczego interpretowany w tej szkole poeta ma najczęściej na myśli dokładnie to, co autor klucza do testu maturalnego?

To jest trening jak ten z testu z kartami: przez 12 lat nagradzamy dokładanie czerwonej karty do innych czerwonych i dziwimy się potem, że dorosły obywatel nie umie zmienić zdania pod naporem faktów. Codzienny mały Milgram: nie pytaj, po co. Wykonuj.

Na szczęście test Zmigrod przynosi odrobinę nadziei: elastyczność poznawcza jest – nomen omen – elastyczna. Można ją trenować i w zasadzie wiadomo, jakie ćwiczenia na nią dobrze działają.

Na przykład filozofia w szkole, uczona nie jako historia cudzych poglądów do wykucia na blachę, ale jako trening zadawania pytań. Albo debata oksfordzka, w której losujesz, po której stronie jesteś, i bronisz tezy, w którą nie wierzysz. Nic tak nie rozmiękcza dogmatu jak konieczność empatycznego zrozumienia przeciwnika.

Każda z tych praktyk to w gruncie rzeczy gra w karty z ciągle zmieniającą się regułą: kontrolowane spotkanie z niepewnością, po którym młody umysł uczy się, że zmiana schematu nie musi boleć. I dzięki temu staje się bardziej odporny na ekstremizm. ●

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

TERAPIA NIEINWAZYJNA

Z polskiego na nasze:
co chciał powiedzieć, a czego powiedzieć nie mógł Tusk w przemówieniu o naprawie służbie zdrowia

• **Sierpień 2025, nowa ministra zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda zmierza na posiedzenie rządu** FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dominika Wielowieyska

Jolanta Sobierańska-Grenda to projekt premiera Donalda Tuska. A ponieważ pani minister nie potrafi się komunikować z opinią publiczną, to de facto Tusk został ministrem zdrowia. Współczuję mu, ale sam sobie taką wybrał rolę – słyszę od polityków KO.

Teraz dymisji pani minister nie będzie, ale Tusk ma strategię na następne miesiące. Lecz wyjaśnijmy sytuację od początku.

W sprawie ochrony zdrowia mamy wiele teatralnych gestów i grę pozorów. Warto zajrzeć za kulisy tej gry i cofnąć się do początku 2024 roku, kiedy to Koalicja 15 Października doszła do władzy.

PiS pozostawił system w bardzo złym stanie i zadekretował wysoką waloryzację pensji w ochronie zdrowia. Od dawna wiadomo – wie to rząd Tuska, wiedzieli premierzy i ministrowie Zjednoczonej Prawicy – co należy zrobić: uchwalić nowelizację ustawy o sieci szpitali i wprowadzić przepisy, które mogą skutkować likwidacją części oddziałów w niektórych szpitalach, bo ich funkcjonowanie w danym miejscu jest nieracjonalne, a liczba zabiegów niewielka. Ale likwidacja jakiegoś oddziału czy nawet szpitala może spotkać się z protestami lokalnych środowisk, więc jest ryzykowna z punktu widzenia interesów partii rządzących.

Utrzymywanie obecnego stanu rzeczy powoduje, że szpitale walczą o lekarzy, bo bez nich określony oddział nie może funkcjonować. Rządzącym się wydawało, że oddziały będą likwidowane oddolnie, także w efekcie decyzji samorządów. Tak się nie stało. Szpitale walczyły o lekarzy i płaciły im horrendalne stawki, bo i tak zarabiały dzięki pieniądzom z NFZ, który mniej lub bardziej hojnie wyceniał poszczególne procedury.

Wszyscy wiedzieli, że system źle działa, jednak drastyczne zmiany niosły ze sobą olbrzymie ryzyko polityczne. Wystarczy spojrzeć na awanturę wokół likwidacji porodówki w Lesku.

Mimo że to decyzja samorządowców, i tak odium spadało na rząd. Przypomnijmy teatralne gesty Marceliny Zawiszy z Partii Razem, która w Sejmie usiłowała wręczyć premierowi petycję mieszkańców domagających się ratowania zadłużonego szpitala. Fotki były wspaniałe: wzburzona posłanka z plikiem papierów stoi nad siedzącym w rządowych ławach ponurym Tuskiem.

Ministerstwo zdrowia kierowane przez Izabelę Leszczynę miało odpowiednie projekty, choć oczywiście można dyskutować o szczegółach rozwiązań. Nowelizacja ustawy o sieci szpitali weszła w życie w zeszłym roku, ale najbardziej kontrowersyjne rozwiązania zostały wycięte, jak kryterium w postaci minimum 400 porodów rocznie jako warunek utrzymania finansowania porodówki w ramach sieci szpitali.

Zmiany blokowali koalicjanci, którzy obawiali się politycznych skutków, a na końcu rację przyznał im Tusk. Od 2024 roku mieliśmy wybory samorządowe, wybory europejskie, a na końcu prezydenckie. „Kierownik" rozumował następująco: my zgłosimy niepopularną reformę, prezydent Andrzej Duda i tak ją zawetuje, a na dodatek w kampanii prezydenckiej Rafał Trzaskowski będzie maglowany, czy podpisze ustawę, która przewiduje budzące emocje i opór zmiany w szpitalach.

Premier zakładał, że Trzaskowski wygra i w pierwszych miesiącach klepnie sieć szpitali oraz ograniczenia pensji lekarzy, a Koalicja 15 Października będzie miała czas uporać się z kryzysem z tego wynikającym do jesieni 2027 roku, kiedy to odbędą się wybory parlamentarne. Ale wygrał Karol Nawrocki, który – jak sądzono wówczas – żadnej trudnej reformy nie podpisze i prawica sprawę wykorzysta populistycznie przeciwko rządowi. Same straty wizerunkowe, korzyści systemowych żadnych, więc Tusk powiedział Leszczynie, że musi zejść z linii politycznego strzału, i postawił na czele resortu menedżerkę z branży medycznej, zakładając, że sprawę będzie można naprawiać mikromanewrami.

Jolanta Sobierańska-Grenda została ministrem zdrowia w lipcu 2025. Ma doświadczenie menedżerskie – jako prezeska spółki Szpitale Pomorskie przeprowadziła konsolidację kilku szpitali w sieć regionalną i wypracowała zysk. Te sukcesy sprawiły, że Tusk postawił właśnie na nią.

Teraz jednak wybuchła afera ze Szpitalem Południowym i staliśmy się obserwatorami spektaklu, w którym wzywa się szefa NFZ Filipa Nowaka i ministrę Sobierańską-Grendę na dywanik. Są żądania rozwiązań, które – jeśli okażą się niewystarczające – mogą skutkować dymisjami.

Ale przecież prawda jest taka: ani jedna, ani druga minister niewiele mogła zdziałać, jeśli nie ma zielonego światła ze strony premiera i koalicjantów do przeprowadzenia trudnej reformy. A nie było go ze względu na polityczne ryzyko. Poza tym zmiany mogłyby wywołać sprzeciw lekarzy, których spora część to elektorat KO. Sobierańska-Grenda już kilka miesięcy temu proponowała ograniczenie ich zarobków, ale szybko się z tego wycofała.

Politycy KO już w trakcie obecnego kryzysu wywołanego aferą w Szpitalu Południowym mówili nieoficjalnie: jeśli nie będzie głębszej reformy sieci szpitali, to kryzys będzie się pogłębiał, a przepisy o limicie zarobków lekarzy czy limicie godzin pracy pozostaną kosmetyką na użytek politycznej propagandy.

Od kilku tygodni wychodzą na jaw – nie bójmy się tego słowa – szachrajstwa, a w najlepszym razie kombinatorstwa, wąskiej grupy medyków, którzy bezwzględnie wykorzystują niewydolny system.

Zjawisko ma charakter ponadpartyjny.

Mamy byłego radnego Dawida Kacprzyka, lekarza bez specjalizacji, który zarobił w ciągu jednego roku 1,6 mln zł, pracując w kilku

eprasa.pl 4ba45f9584

szpitalach. Informator Kanału Zero Emil Jędrzejewski podpisał ze szpitalem umowę, która dawała lekarzowi 10 proc. zysku wypracowanego przez oddział chirurgii. I zysk był, tyle, że wynikał z kreatywnej księgowości, bo ordynator Jędrzejewski wyprowadził koszt anestezjologii do budżetu oddziału intensywnej terapii. Teraz mamy kolejną aferę. Lekarze założyli spółkę Spine, która tak sobie ustawiła zarobki za zabiegi, że stawka za godzinę pracy medyków sięgała sumy 26 tys. zł.

Te przykłady można mnożyć. Lekarze teoretycznie pracują jednocześnie w bardzo wielu placówkach na raz i nikt nie jest w stanie skontrolować, czy faktycznie przepracowali tyle godzin i ile zarobili.

•

Niezależnie od krytyki przeciwników politycznych, która spada na rząd, ludzie są wzburzeni takimi praktykami. Dlatego jest to jedyny możliwy moment, aby wprowadzić racjonalne zmiany. Opór lekarzy jest mniejszy, środowisko zdaje sobie sprawę, że te bulwersujące przypadki idą na ich konto, choć oczywiście kombinatorzy stanowią wąską grupę.

Nawrocki nie będzie chciał brać na siebie odium kryzysu w ochronie zdrowia i może ustawy podpisać. Tym bardziej, że pomysły PiS idą w podobnym kierunku jak te rządowe.

Tusk najpierw postraszył dymisjami. Oświadczył, że oczekuje od resortu zdrowia rozwiązań, a jak go nie zadowolą, to podejmie decyzje personalne. W sejmowych kuluarach mówiono, że szanse na odwołanie ministry zdrowia określane są 50:50. Pojawiły się informacje, że to Nowa Lewica naciska na dymisję Sobierańskiej-Grendy, ale szefowa tego klubu Anna Maria Żukowska na platformie X je zdementowała i uznała, że plotki to próba Tuska próbę uwikłania Nowej Lewicy w odpowiedzialność za ochronę zdrowia i decyzje personalne. A tymczasem Nowa Lewica zamiast dymisji chce rozwiązań systemowych.

We wtorek tuż przed posiedzeniem rządu Tusk złagodził ton i stwierdził, że nie dymisje są najważniejsze. – Moim zadaniem jako premiera rządu nie jest szukanie kozłów ofiarnych. Ci, którzy odpowiadają za konkretne sytuacje w konkretnych szpitalach, jak wiecie, będą odpowiadać. Także niektórzy przed wymiarem sprawiedliwości – stwierdził. I dodał, że szefowa resortu zdrowia oraz prezes NFZ mają „pilny obowiązek przygotowania konkretnych rozwiązań". – Także systemowych, dotyczących nieprawidłowości w systemie płac, wyceny świadczeń, organizacji pracy szpitali. Nad tym siedzieliśmy ostatnich kilkadziesiąt godzin. Jeszcze dzisiaj będziemy te rozmowy kontynuować i mam nadzieję, że jutro pani minister i jej współpracownicy będą gotowi do prezentacji naszych ustaleń. Będziemy dalej działać na rzecz uzdrowienia sytuacji w ochronie zdrowia – wyjaśnił.

Tłumacząc z polskiego na nasze: chodzi o to, by zaproponować realne zmiany, ale jak najmniej ryzykowne z punktu widzenia skutków społecznych.

•

Tusk jest w o tyle lepszej sytuacji w porównaniu z ubiegłym rokiem, że dziś mało kto będzie bronił pensji lekarzy. Naczelna Izba Lekarska na czele z Łukaszem Jankowskim nie stawia już tak dużego oporu.

I nie budzi sympatii. Bo wyciekły konwersacje Jankowskiego na jednym z komunikatorów, gdzie szef NIL sytuował się na pozycji partii opozycyjnej. „Żaden rząd nie wygrał z lekarzami" – pisał i z satysfakcją wieszczył wielkie kłopoty rządu jesienią.

Co więcej, NIL postanowił twardo protestować przeciwko wejściu w życie przepisów, które pozwalają rządowej Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji na wgląd w wynagrodzenia lekarzy w powiązaniu z ich PESEL-em. Takie stanowisko samorządu lekarskiego to kolejny strzał w stopę, bo pacjenci się zastanawiają, dlaczego pracodawca, czyli państwo nie może mieć wiedzy o zarobkach, które finansuje?

Ministra Sobierańska-Grenda już kilka miesięcy temu proponowała ograniczenie zarobków lekarzy, ale szybko się wycofała. Spora ich część to elektorat KO

Słabnący autorytet samorządu medyków też jest sprzyjającą okolicznością dla rządu, który chce wprowadzić zmiany w systemie wynagradzania personelu medycznego.

Więc Tusk postanowił zbudować napięcie, grożąc dymisjami i żądając radykalnych rozwiązań. A ostatecznie owo napięcie posłużyło koncentracji uwagi opinii publicznej na konferencji prasowej ministry zdrowia i szefa NFZ. Chodziło o to, aby przekaz był nieprzesądzający, ale dostatecznie mocny: chcemy naprawiać system, mamy pomysły i będziemy je konsultować. Ale jesteśmy zdeterminowani, aby je wprowadzić.

Dymisji ministry nie będzie, owszem, rozważano dymisję szefa NFZ i propagandowo nawet dałoby się to nieźle przedstawić, bo Filip Nowak pracował tam także za czasów PiS. Ale Nowaka broni Sobierańska-Grenda.

Tusk ma inny plan, który wprowadzi w zależności od dynamiki zdarzeń. Niech ministra przedstawi projekt zmian, niech je przeprowadzi przez rząd i Sejm. Niech razem z Nowakiem próbuje na bazie tych ustaw uporządkować system. Ale prawdopodobnie jesienią równo na rok przed wyborami parlamentarnymi nastąpi rekonstrukcja rządu i wtedy…

Gdyby Tusk teraz zdecydował się na dymisję, to tak, jakby się przyznał do błędu, pozapartyjna ministra to jego pomysł. A tak za kilka miesięcy sam skoryguje swój plan – i to nie pod naciskiem opozycji, lecz w ramach szerszej reorganizacji oraz usprawniania państwa.

•

Podstawową wadą Sobierańskiej-Grendy jest to, że nie potrafi się komunikować z opinią publiczną.

Raz zdecydowała się na wywiad w TVN24 i powiedziała, że ochrona zdrowia działa coraz lepiej. Wtedy posypały się na nią gromy. Każdy, kto miał styczność z ochroną zdrowia 20 lat temu, widzi, że nastąpił wielki postęp, ale aspiracje i wymagania są coraz większe, kolejki do zabiegów długie – i samozadowolenie pani minister ludzi zirytowało.

Burza wokół dochodów ministry to też skutek problemu z komunikacją. Jolanta Sobierańska-Grenda ujawniła w oświadczeniu majątkowym, że w 2025 roku zarobiła 725 tys. Zł. Dziennikarz Wirtualnej Polski Paweł Buczkowski trzykrotnie zadał jej pytanie, skąd się wzięły te dochody w rubryce „różne". Ministra nie odpowiedziała. Potem okazało się, że było to zaległe wynagrodzenie z tytułu kontraktu ze Szpitalami Pomorskimi jeszcze za 2024 i 2025 rok oraz odszkodowanie za zakaz konkurencji plus umowa z województwem podlaskim. Tylko dlaczego nie można było tego powiedzieć od razu? Poza tym trochę dziwi fakt, że menedżerka, która zdecydowała się odejść do pracy w administracji rządowej, dostaje pieniądze za zakaz konkurencji.

Kolejna sprawa: w zeszły czwartek ministra wraz z prezesem Nowakiem zjawiła się na posiedzeniu klubu KO. Chciała wyświetlić prezentację. – Jak zobaczyliśmy, że ona się szykuje do pokazania nam czegoś, to pomyśleliśmy, że to jakiś żart – mówi jeden z posłów KO. Skończyło się na tym, że prezentacji nie było, ale były pytania i odpowiedzi, a główny atak szedł na Nowaka. Posłowie chcieli wiedzieć, jak mają tłumaczyć ludziom przyczyny kryzysu i jakie są pomysły na jego zażegnanie.

Sobierańska-Grenda nie jest polityczką. Często słyszymy slogany, że ministrem powinien być ekspert, a nie polityk. Tusk sądził, że krytyka za problemy w ochronie zdrowia mniej obciąży KO, jeśli resort obejmie osoba spoza polityki.

Ale to mrzonka. Dziś mamy tego skutki. Ekspertami powinni być wiceministrowie i dyrektorzy departamentu. W okresie przedwyborczym ministrem musi być polityk, bo on umie sprawnie komunikować się z wyborcami, umiejętnie bronić rozwiązań, na które zdecyduje się rząd, stawiać czoła krytyce. Polityk ustoi na ringu pod gradem ciosów, które na pewno na niego spadną.

Wymiana eksperta na polityka byłaby ruchem racjonalnym i Tusk o tym myśli przy okazji jesiennej rekonstrukcji, jest jednak mały problem: niewiele osób jest w stanie sprostać temu wyzwaniu. Ale premier ma trochę czasu na wybór opcji.

•

Gdy już napięcie odpowiednio wzrosło, w środę o 13 na konferencji prasowej pojawiła się ministra Sobierańska-Grenda wraz z prezesem Nowakiem. Ich propozycje zmian to limity zarobków lekarzy, ograniczenie liczby placówek, w których lekarze pracują jednocześnie, rejestracja godzin pracy, zmiany w wycenie procedur medycznych – bo wysokie wyceny nakręcały rywalizację o lekarzy z danej specjalizacji – oraz dalsze prace nad e-rejestracją na badania i zabiegi. Nie ma zmian w sieci szpitali, ale jeśli lekarze będą mieli ograniczone możliwości pracy w wielu placówkach, to i tak może skończyć się zamknięciem konkretnych oddziałów w niektórych szpitalach.

Można więc uznać, że racjonalizacja ma być wprowadzana tylnymi drzwiami, a nie za pomocą nowelizacji ustawy o sieci szpitali.

Obawa jest taka: może oddziały będą się zamykać, ale czy to na pewno będą te oddziały, które zamknąć by należało. Bo kryterium nie będzie mała liczba zabiegów, ale to, że menedżer w tym szpitalu ma mniejszą siłę przebicia.

Resort zdrowia wybrał tę opcję, bo jest mniej ryzykowna, ruszanie sieci szpitali na pewno spotka się z protestami lokalnych społeczności, dla których taka instytucja bywa istotnym pracodawcą. A ograniczanie liczby miejsc medyków już takich emocji nie budzi, choć efekt może być podobny.

Podstępy, uniki i wizerunkowe kombinacje rządu nie zmieniają faktu, że – pomijając już oddanie sprawiedliwości, iż wcześniej resort nie tkwił w letargu, przedstawione propozycje mielił od 2024 roku, tyle że szanse na ich wprowadzenie były znikome – zmiany mogą przynieść pozytywne efekty. Przede wszystkim ograniczyć kominy płacowe i poprawić kondycję finansową szpitali. Choć mogą się też pojawić skutki uboczne, jak brak lekarzy na niektórych oddziałach.

Rząd ma rok z kawałkiem, aby dowieść, że zmiany zablokują skandale zarobkowe. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

PROSTATA

• Co jest lepsze, laparoskopia czy operacja?
• Dieta „na zdrową prostatę"
• Najnowsze terapie na raka prostaty

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

ŚWIAT

WalMart House

Trump tylko poszedł krok dalej i powiedział otwarcie to, co uważali wszyscy amerykańscy prezydenci

Z **NINĄ CHRUSZCZOWĄ**
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

• **16 stycznia 2021, Nevada, zwolenniczka Trumpa znana jako Cowboy Barbie podczas protestu przeciwko inauguracji prezydenckiej Bidena** FOT. TY O'NEIL/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET VIA GETTY IMAGES

Jak długo mieszka pani w Stanach Zjednoczonych?
– 35 lat.

Wystarczająco długo, żeby przejść przez kilka epok politycznych. Druga kadencja Donalda Trumpa jest naprawdę taka wyjątkowa?
– I tak, i nie. Prawdziwą rewolucję ten kraj przeszedł dużo wcześniej. Naprawdę przełomowe było osiem lat rządów George'a W. Busha, a w zasadzie jego wiceprezydenta Dicka Cheneya. To oni, zwłaszcza Cheney, trwale zmienili kształt państwa, rozpoczęli wywalanie bezpieczników, które mogły zapobiec marszowi kogoś takiego jak Trump w kierunku autokracji.

Jednak Trump sam w sobie jest wyjątkowy jako osoba. To najbardziej amerykański prezydent w historii Ameryki, skupia w sobie wszystko, co można powiedzieć o tym kraju. Jego prezydentura po prostu musiała się wydarzyć, jest logicznym następstwem wszystkiego, co w amerykańskim społeczeństwie, kulturze, mass mediach czy polityce działo się przez cały wiek XX.

Niezły determinizm na początek rozmowy.
– W czasie kampanii przed wyborami w 2016 roku nikt, nawet on sam, nie spodziewał się tego zwycięstwa. Jasne, Hillary Clinton była obiektywnie fatalną kandydatką i wszyscy to wiedzieli, ale jednak wizja prezydentury Trumpa była tak abstrakcyjna i szokująca, że większość nawet nie dopuszczała jej do siebie. A dla mnie było całkowicie oczywiste, że wygra – napisałam nawet felieton do Project Syndicate, w którym przepowiadałam jego wygraną. Taki kandydat jak on, w takim kraju, jakim były Stany Zjednoczone w 2016 roku – po prostu musiał wygrać.

Dlaczego?
– Jeśli przed jego epoką ktoś rzeczywiście patrzył na Amerykę jako na reaganowskie, nigdy zresztą nieistniejące lśniące miasto na wzgórzu, ostoję liberalnej demokracji i czego tam jeszcze, to rzeczywiście mógł uznać, że Trump jest błędem systemu, barbarzyńcą w ogrodzie.

Ale dla mnie Ameryka to zawsze był La La Land, kraj oparty na kulturze imitacji, co zresztą przez lata było jego wielką siłą. W takim ujęciu Donald Trump to perfekcyjny Amerykanin, kwintesencja tożsamości narodowej USA. Obrazowo rzecz ujmując, jest Walmartem na Wall Street.

Czyli?
– Walmart to najpopularniejsza sieć supermarketów w USA. Kupi pan tam każdą możliwą rzecz, choć nie wszystkie sklepy oferują ten sam asortyment, on zmienia się w zależności od geografii. Na Wschodnim Wybrzeżu eksponowane są warzywa i owoce, ale na południu kraju czy na środkowym zachodzie ważniejsza jest broń palna, naboje czy robaki dla wędkarzy.

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

Dlatego Walmart jest kwintesencją Ameryki. Tak samo jest nią Wall Street, bo uosabia amerykański sen, potęgę finansową i niezachwianą wiarę w neoliberalny kapitalizm. Trump łączy w sobie obie te rzeczy.

Wielu ludzi go uwielbia, bo w głębi duszy chcą być prości i wulgarni, ale ich formuły cywilizacyjne im na to nie pozwalały. Teraz tama pękła, można wszystko. Nadmiar, nihilizm, amoralność są jak najbardziej dopuszczalne. Wszystko jest trywialną rozrywką. Stany Zjednoczone osiągnęły „Nowy wspaniały świat" Huxleya pięćset lat wcześniej, niż zakładała książka.

Trump musiał wygrać. Jego druga kadencja może jest szokiem, ale na pewno nie niespodzianką.

Skoro Trump jest najwyższą formą amerykańskości, to skąd powszechne przekonanie, że aż tak bardzo różni się od poprzednich amerykańskich prezydentów?
– Jeśli czymkolwiek się różni, to intensywnością tych cech, które w sobie łączy, a nie ogólnym paradygmatem działania. Joe Biden był takim samym prezydentem z La La Landu, tylko wcielił się w inną rolę w swoim filmie. Chciał być jak Gary Cooper z westernu „W samo południe" – samotnym starym szeryfem, który poprowadzi Amerykę do starcia z Rosją, pojedynku twarzą w twarz ze złem.

Niesamowicie mnie to denerwowało, bo on nie był żadnym kowbojem, tylko starą miernotą – mógłby po prostu odejść i pozwolić amerykańskiej demokracji swobodnie funkcjonować. Ale nie zdobył się na to, musiał próbować dalej.

To też nie powinno zaskakiwać nikogo, kto obserwuje Amerykę od środka. Żyję tu od 35 lat. Wykładam na uczelni, zajmuję się mediami, środkami masowego przekazu, propagandą, postprawdą. Od wczesnych lat dwutysięcznych widzę, jak USA budują tę niewyobrażalną, napędzaną przez globalizację kulturę konsumpcji, w dodatku przesiąkniętą narcyzmem. Siłą rzeczy prezydenci tego kraju tacy są – narcystyczni, hollywoodzcy – skoro stanowią emanację swojego społeczeństwa.

Uważam, że następny prezydent będzie w miarę normalnym politykiem, bo amerykańska polityka porusza się w rytm przeciwstawnych cykli, ale już kolejny będzie typem z kreskówki.

Czyli co, Królik Bugs w Białym Domu?
– Niech pan spojrzy na sukcesję prezydencką od lat 60. Pierwszy jest Kennedy, postać prosto z fabryki marzeń w Hollywood, młody i przystojny rycerz, książę, którego Ameryka nigdy nie miała.

Potem pojawia się Reagan, kowboj klasy B z taniego westernu.

Następnie mamy Busha, który dla mnie zawsze był postacią rodem z „Doktora Strangelove'a" Stanleya Kubricka, filmowego jastrzębia z gatunku „zbombardujmy ich".

A teraz jest Trump, Walmart na Wall Street.

To oczywiście nie jest dobre dla demokracji, ale amerykańska kultura sama doprowadziła się do tego miejsca.

Mam wrażenie, że jednak ciągle nie doszliśmy do sedna tej diagnozy. Zgadzam się, że Trump jest wcieleniem wszystkiego, co typowo amerykańskie: konsumpcjonizmu, patologicznego indywidualizmu...
– ...chciwości...

...ale też braku poglądów. Moim zdaniem najważniejszą jego cechą jest to, że jest ideologicznym agnostykiem. Nie ma przekonań. Tylko że jeśli rzeczywiście on musiał się wydarzyć, bo jest kolejnym stadium ewolucji amerykańskiej kultury, to co czyni jego drugą kadencję tak wyjątkową?
– Po prostu nigdy nie widzieliśmy tego wszystkiego tak bezpośrednio. Żaden prezydent nie był z Amerykanami tak szczery jak Trump.

Wrócę do asortymentu w Walmarcie. Kiedy ludzie z Nowego Jorku czy Bostonu jadą gdzieś w głąb kraju, przyzwyczajeni do swojego mleka i jajek w sklepie, i nagle na prowincji, gdzieś w Maryland, Wirginii czy w Teksasie, widzą naboje, strzelby i przynęty zaraz przy wejściu, najpierw są w szoku, a potem się z tego śmieją. Nie wiedzą, jak się zachować, bo dla nich ten środek własnego kraju jest jak inna planeta. I to właśnie tacy ludzie, wykształciuchy ze Wschodniego Wybrzeża, są teraz w szoku, bo poprzedni prezydenci przed nimi swoją chciwość, obłudę i indywidualizm ukrywali.

Biden krytykował Trumpa za jego hasło: America First, mówiąc, że taka polityka jest zła dla gospodarki, przyniesie wzrost bezrobocia, podniesie inflację. Nie mogłam znieść jego hipokryzji. Przecież on też uprawiał America First, tylko inaczej to opowiadał. Cała ta narracja, że Waszyngton będzie liderem wolnego świata w walce z Rosją – to też America First.

Ta doktryna istniała u każdego powojennego prezydenta USA, bo każdy chciał, żeby Ameryka była postrzegana jako kraj niezbędny, bez którego nic dobrego nigdzie się nie wydarzy. Po prostu Biden, w przeciwieństwie do Trumpa, ukrywał swoje interesy pod ładniejszymi dekoracjami. Przekonywał, że chce pod amerykańskim przywództwem zjednoczyć demokratyczny świat w walce z autokracją, bo przez to wszystkim będzie się żyło lepiej.

I na tym poziomie to była prawda. Natomiast Trump wysadził w powietrze szerszą hipokryzję. On i Putin dokonali tego samego: wzięli całą tę misternie utkaną po 1945 roku sieć norm, połączeń, zależności i pokazali światu, że jest niewiele warta.

Może z usterkami, może niekiedy pod dyktando interesu Ameryki, ale jednak działała.
– Ale oni powiedzieli coś atrakcyjnego dla ogółu elektoratu: w gruncie rzeczy w tej sieci wartości i krępujących norm chodziło o to, żeby robić jedno, mówić drugie, a krytykować innych za trzecie, więc po co ta hipokryzja. Trumpowi nigdy nie chciało się bawić w gry pozorów i dlatego jest wyjątkowy – że realizuje swoje interesy bez żadnych eufemizmów.

Oczywiście nie on pierwszy. Absolutnym mistrzem takiej gry był Dick Cheney, najwybitniejszy przedstawiciel amerykańskiej niedemokracji.

Niby ideowy neokonserwatysta, ale cynik. Człowiek, który swobodnie łączył interesy swojego rządu i koncernów naftowych, z którymi był związany. Oszukiwał opinię publiczną i sojuszników, żeby doprowadzić do interwencji w Iraku. Robił interesy z Saudami i innymi autokratami, akceptował ataki na dziennikarzy, prowadził tajny program tortur. Ale prezentował się waszyngtońsko i od młodości był członkiem politycznego establishmentu, w końcu był szefem personelu w Białym Domu już w latach 70., u Geralda Forda.
– Właśnie. To Cheney był tym prawdziwym, oryginalnym fiutem w amerykańskiej polityce. Fascynował mnie, zawsze chciałam go poznać.

Udało się pani?
– Tak – i okazał się niesamowitym człowiekiem. Kiedy 18 lat temu Rosja najechała na Gruzję, rozmawiałam z nim o tym, czy Amerykanie wyślą Gruzinom broń ofensywną, żeby oparli się rosyjskiemu najazdowi. Odpowiedział fascynująco, bo niby z pryncypialnym, takim bardzo amerykańskim idealizmem, a w istocie z rozbrajającym, bardzo amerykańskim cynizmem: „Musi pani zrozumieć, że amerykańskie zbrojenia są zawsze bronią masowej miłości. To obce bomby są bronią masowego rażenia".

FOT. MADDIE MCGARVEY/GETTY IMAGES

• **Październik 2016, Ohio, kandydat Trump podczas wiecu w końcówce kampanii wyborczej.**

To zdanie doskonale oddaje sposób, w jaki Stany Zjednoczone patrzą na resztę świata. A przynajmniej patrzyły, bo Trump z tym zerwał. Powiedział wszystkim, że nie chce mu się wysilać z jakąś argumentacją, przekonywaniem, że on niesie dobrobyt i pokój. Jest tym, kim jest – i tyle.

Sekretarz generalny NATO Mark Rutte przyjechał niedawno do Waszyngtonu i korzył się przed Trumpem w sposób upokarzający. Dał do zrozumienia Trumpowi, że jest najważniejszą osobą również w Europie – no bo w końcu NATO to przede wszystkim europejski sojusz. Różnica polega na tym, że z poprzednimi prezydentami Ameryki nie trzeba było tego robić, bo było to ewidentne, zrozumiałe dla wszystkich. Dyplomacja odbywała się grzecznościowo, za pomocą uścisków dłoni, bo nie było potrzeby mówić imperatorowi, że jest imperatorem. Trump porzucił konwenans, teraz trzeba padać na kolana, wszystko odbywa się bezpośrednio i wprost.

Kiedy ludzie z Nowego Jorku czy Bostonu na prowincji, gdzieś w Maryland, Wirginii czy w Teksasie widzą naboje, strzelby i przynęty zaraz przy wejściu do WalMartu, nie wiedzą, jak się zachować, bo dla nich środek własnego kraju jest jak inna planeta

W trakcie kampanii 2016 roku zrobiłam ze studentami eksperyment. Podzieliliśmy ekran na dwie części i oglądaliśmy, prawie synchronicznie, Hillary Clinton i Trumpa. Ona mówiła językiem świata tradycyjnego, analogowego, zakorzenionego w materialnej rzeczywistości. Opowiadała, co trzeba zmienić, jak państwo może i musi działać lepiej. A obok on gadał o złotych kiblach i o tym, że wszystkim będzie świetnie, jeśli zostanie prezydentem.

Wtedy zrozumiałam, że on uosabia najważniejszą prawdę naszych czasów, czyli fakt, że rzeczywistość nie jest już jedna, wspólna. Żyjemy w czasach rzeczywistości hybrydowej, w której sami sobie wybieramy i konstruujemy, co jest dla nas prawdziwe.

Na poziomie jednostki, czyli konsumenta, to widać w codziennych zachowaniach. Technologia pozwala nam wejść na stronę internetową sklepu z ciuchami, wrzucić swoje zdjęcie i wirtualnie przymierzyć nowe ubrania na siebie, nie wychodząc z domu. W polityce jest to samo, wirtualnie przymierzamy sobie własnych przywódców. Funkcjonujemy w różnych uniwersach, każdy ma swoją cyfrową wersję własnego świata, którą sobie wybiera i w którą wierzy.

Trumpa należy rozumieć jako konsekwencję zmiany technologicznej, która przyniosła zmianę kulturową. Internet, potem platformy społecznościowe, teraz sztuczna inteligencja – Trump jest elementem tego zestawu. Sa-

eprasa.pl 4ba45f9584

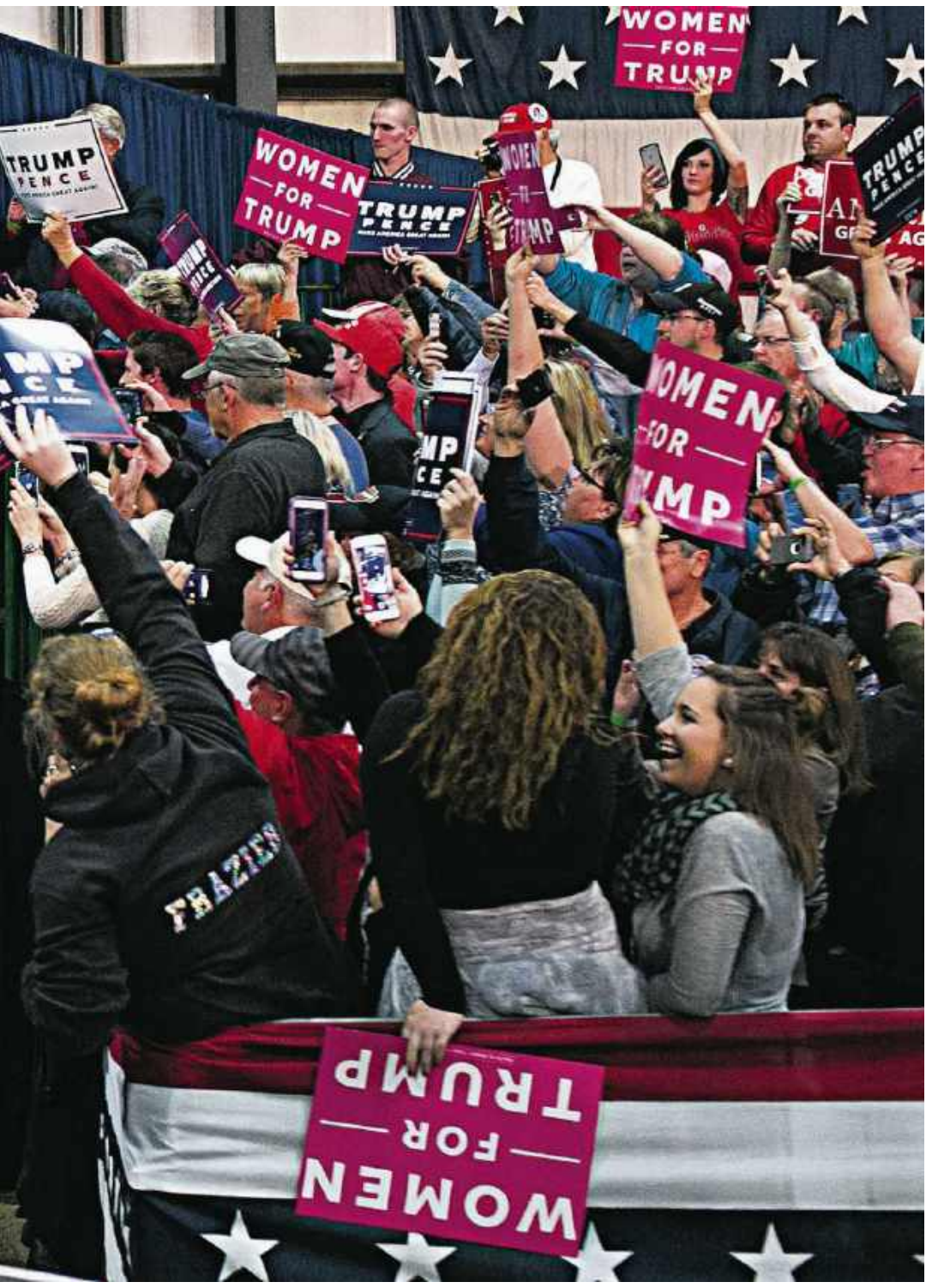

mym środkiem rewolucji, która się dzieje. Jego prezydentura przygotowuje nas wszystkich na alternatywną rzeczywistość – taką, która całkowicie już zdominuje rzeczywistość fizyczną.

Czyli Trump to postać z Hegla? Zeitgeist, duch czasów, człowiek, który uosabia swoją epokę i jednocześnie ją kształtuje, tworząc samonapędzającą się dynamikę? Mogę się z tym zgodzić, ale jednocześnie to przecież postać na wskroś fizyczna, analogowa i to jest jego wielki atut. Jest prosty, wręcz prymitywnie witalny, nieustannie mówi o męskości, o seksie, kobiety traktuje przedmiotowo, kieruje się wyłącznie instynktami. Na urodziny kazał sobie postawić przed domem klatkę dla zapaśników jak cesarz w starożytnym Rzymie. Chyba nie jest aż taki cyfrowy.
– Ale to w ogóle nie jest nietypowe albo sprzeczne z moją diagnozą. Po prostu jest typowym politykiem o tendencjach autokratycznych. Wszyscy porównują go do Putina, ale Trump uosabia znacznie więcej postaci. Jest taki sam jak Viktor Orbán, Narendra Modi, Xî Jinping czy Recep Erdogan. To są jego pobratymcy.

A co do Putina, to pod względem prosto rozumianej męskości Trump nie dorasta mu do pięt. Putin jest samcem alfa, przykładem tego, co w latach 80. w Hollywood nazywano hard body. Zwykły, prosty twardziel.

Taki wizerunek wykreowała wtedy amerykańska popkultura, od Sylvestra Stallone'a w „Rambo" poczynając. W naturalny sposób, jak wszystkie inne tendencje kulturowe, to przeszło do amerykańskiej polityki, więc Ronald Reagan też chciał być bohaterem w typie hard body, stworzył w ten sposób całą doktrynę hard body. Twardy dla przestępców, broniący swoich interesów. Ktoś, kto nie bawi się w czułe słówka.

Trump też chce uprawiać polityczne hard body, ale sam tak nie wygląda – dlatego zamiast oryginału wychodzi marna kopia, pretensjonalny gniot. Dlatego mówię, że on jest tylko metafiutem, bo stanowi jedynie pretensję do męskości. I z tego względu cała ta kadencja wygląda tak absurdalnie, bo na każdym polu mamy rozdźwięk między opowieścią a faktem.

Natomiast sama metoda nie jest niczym nowym. Prezydent Rosji fotografował się bez koszuli, na koniu, na paralotni, Silvio Berlusconi robił sobie zdjęcia w rękawicach bokserskich, tak samo ugandyjski dyktator Idi Amin. Jeśli Trump wniósł do niej coś nowego, to to, że z całej swojej prezydentury zrobił heroiczno-konsumpcyjne reality show.

To przypomina mi chyba najbardziej reprezentatywne słowa tej kadencji. W kwietniu ubiegłego roku w wywiadzie dla „The Atlantic" powiedział: „W pierwszej kadencji miałem dwa zadania: rządzić krajem i przetrwać. W drugiej też mam dwa, ale inne: rządzić krajem i rządzić światem".
– Otóż to.

Ale w takim razie kto lub co nastąpi po Trumpie? Ameryka jest w stanie wyprodukować jeszcze jednego takiego prezydenta?
– Oczywiście. Głupotą jest zakładanie, że po nim Stany Zjednoczone wrócą do normalności. Normalność straciliśmy dawno temu, właśnie w czasach Cheneya. On był pacjentem zero. Teoretycznie powinnam mówić o Bushu juniorze, ale on był tak naprawdę pośrednikiem dla Cheneya i ówczesnego sekretarza obrony Donalda Rumsfelda, realizując jedynie ich pomysły na rządzenie światem.

Po nich przyszedł Barack Obama i trochę do tej normalności wróciliśmy, przynajmniej naskórkowo – bo Obama pozostawił wiele zmian, których dokonał Cheney. Swoją drogą to też opowieść o hard body – mało kto wie, że Rumsfeld, sekretarz obrony u Busha, był bardzo znanym zapaśnikiem podczas studiów na Princeton. To się wszystko łączy.

Dlatego następnym – może nie dosłownie, bo z reguły mamy przerwę na jedną, dwie kadencje – ale kolejnym amerykańskim produktem będzie postać kreskówkowa. Nie wiem, może ktoś z Simpsonów zdecyduje się ubiegać o prezydenturę? A może tego prezydenta wykreuje sztuczna inteligencja? W końcu w Albanii mają już ministra stworzonego za pomocą AI, czemu miałoby się to nie wydarzyć w USA.

W każdym razie po Trumpie nie wrócimy do tego, co było. Nie wróciliśmy po Bushu i Cheneyu, nie wrócimy i tym razem.

Z tego by wynikało, że „Nowy Wspaniały Świat" nihilizmu i indywidualizmu istnieje też wśród zwykłych Amerykanów, na poziomie społecznym. Kiedy się zaczął? Robert Putnam napisał „Samotną grę w kręgle", wybitną książkę o rozpadzie więzi społecznych w USA, już 26 lat temu.
– Zna pan historię debaty prezydenckiej pomiędzy Kennedym a Richardem Nixonem?

Tej, w której Nixon wcale nie był gorszy merytorycznie, ale wypadł fatalnie, bo strasznie się pocił?
– Właśnie. Wśród tych, którzy słuchali ich w radiu, lepiej wypadł Nixon, i to zdecydowanie, ale wśród oglądających debatę w telewizji wygrał Kennedy. Bo miał wizerunek, dosłownie – w swoim ślicznym uśmiechu uosabiał całość przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Ameryki.

Niech pan teraz przewija na ekranie kolejnych prezydentów: piękny Kennedy, kowboj Reagan, obaj Bushowie na ranczu w Teksasie, Biden i jego Corvette, i cały wizerunek w stanowczym typie Clinta Eastwooda, a po nim Trump na ruchomych schodach swojego drapacza chmur.

Skoro prezydenci odzwierciedlają popkulturowo ducha czasów, to kolejny prezydent USA będzie jakimś symbolem zmiany technologicznej, na przykład awatarem. Tylko czy amerykańskie państwo administracyjne – jego struktury panujące nad tym, co publiczne – coś takiego zdoła przetrwać? Bo przecież w Stanach jest masa ludzi, którzy tylko czekają, żeby państwo się zawaliło. Miliarderzy z Doliny Krzemowej chętnie by je przekształcili w kawałek terenu pomiędzy dwoma oceanami podzielony między kilka korporacji.
– Uważam taką ocenę sytuacji za bardzo trafną. Rozmawiamy cały czas o figurze amerykańskiego przywódcy i o amerykańskiej potędze – a nie wspomnieliśmy jeszcze o Elonie Musku. On jest najbogatszym, pod wieloma względami ogromnie potężnym człowiekiem, ale dla mnie najbardziej znaczące są jego zachowania w miejscach publicznych. Podczas kampanii prezydenckiej wyszedł na scenę i skakał, krzycząc, jak fantastyczny jest Trump. Ale był w przyciasnej koszulce, pewnie pamiętającej czasy, kiedy był młodszy, sprawniejszy i mniej zmęczony, więc brzuch mu wylał się spod T-shirtu.

Najbogatszy, pod wieloma względami najpotężniejszy facet na świecie skacze na scenie ze zwisającym brzuchem. Przeraża mnie to.

Dlaczego?
– Bo tak wygląda Huxley dograny do samego końca. Dzikus John umiera, ale inni zostają – i być może tymi innymi są właśnie liderzy z Doliny Krzemowej, ludzie od sztucznej inteligencji, przeciwnicy Antychrysta, o którym mówi Peter Thiel.

Nie mam pojęcia, co ludzie z Doliny Krzemowej chcą ostatecznie osiągnąć, ale mogliby na przykład połączyć siły, żeby stworzyć wirtualnego prezydenta za pomocą AI. Nawet jeśli społeczeństwo będzie jednak oczekiwało, żeby reprezentował je jakiś fizyczny byt, to da się to zrobić. Dekadę temu, kiedy Erdoganowi w Turcji jeszcze zależało na poparciu społecznym, lubił na wiecach wyświetlać własne hologramy. Był jednocześnie w Stambule, w Ankarze, w kilku innych miejscach – a ludzie reagowali jak na prawdziwego Erdogana.

Hologramy w kampanii stosował też Jean-Luc Mélenchon, lider francuskiej antysystemowej alt-lewicy.
– Sam pan widzi – z tą różnicą, że on to robił niedawno, a Erdogan już 10 lat temu, długo przed drugą kadencją Trumpa i całą tą wirtualną rzeczywistością.

Trump nigdy nie zostałby prezydentem zaraz po Bushu, bo jednak Ameryka nie była na to gotowa, kultura nie ewoluuje tak szybko. Niemniej moja praca naukowa w USA nauczyła mnie innej prawdy o kulturze: że ona nigdy nie kłamie na temat polityki. Obserwując uważnie trendy w kulturze, da się przewidzieć to, co stanie się w świecie politycznym.

„Polityka jest wtórna wobec kultury" – to ulubione powiedzenie Steve'a Bannona. Człowieka, który ustawił pierwszą kampanię prezydencką Trumpa, intelektualnego guru alt-rightu.
– Bannon to bardzo inteligentny facet. Wielu ludzi go lekceważy, bo jest abnegatem i blisko mu do Trumpa, ale on ma doskonałe obserwacje na temat polityki. Podobnie zresztą jak Maria Zacharowa, rzeczniczka prasowa rosyjskiego MSZ. Brzmi jak szalona, czasami mówi rzeczy obrazoburcze, czasem tak przerysowane czy zaczepne, że aż komiczne, a jest piekielnie inteligentna i doskonale rozumie, co dzieje się na Zachodzie.

Oni wszyscy rozumieją, że normy kultury determinują wybory polityczne i że ten pro-

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Nina Chruszczowa

• urodzona w 1964 roku w ZSRR, profesor stosunków międzynarodowych w The New School w Nowym Jorku. Doktorat obroniła na Uniwersytecie w Princeton. Redaktorka i współpracowniczka Project Syndicate, członkini Council on Foreign Relations. Publikowała w „Foreign Policy", „The New York Times", „The Wall Street Journal", „The Financial Times". Jest autorką książek „Imagining Nabokov: Russia Between Art and Politics", „The Lost Khrushchev: A Journey Into the Gulag of the Russian Mind"; współautorką „In Putin's Footsteps: Searching for the Soul of an Empire Across Russia's Eleven Time Zones". Jest prawnuczką Nikity Chruszczowa, pierwszego sekretarza KPZR i przywódcy Związku Radzieckiego w latach 1953-64. Z Rosji wyjechała w 1991 roku.

eprasa.pl 4ba45f9584

ces jest linearny – więc wpisują się weń i jednocześnie celowo napędzają, kroczek po kroczku, słowo po słowie.

Wróćmy na chwilę do Reagana – on był aktorem, miał sportową sylwetkę, nie było specjalnego dysonansu pomiędzy tym, jak wyglądał, a tym, jaką politykę promował. U Trumpa ten rozdźwięk jest wielki, ale to nie ma już żadnego znaczenia, bo dziś, po latach bycia pod wpływem najpierw absurdalnych seriali, potem serwisów internetowych, memów, wirali, całej kultury internetowej opartej na konsumpcji i odwołującej się do prymitywnych emocji, nasze umysły działają w sposób znacznie bardziej surrealistyczny. Są przyzwyczajone do absurdów, dziwnych treści. Dlatego nie widzę żadnej siły, która mogłaby ten proces zatrzymać.

To jaki będzie koniec naszego „Nowego Wspaniałego Świata"? Niedawno w Project Syndicate pisała pani o wzroście popularności myślenia apokaliptycznego, które pojawia się w Rosji i w USA jednocześnie. Różnią się rodzaje apokalipsy – dla prawicy końcem będzie katastrofa demograficzna, dla lewicy klimatyczna – ale sama apokalipsa przyciąga nas wszystkich.

– Nie mam szybkiej i łatwej odpowiedzi, ale staram się ją znaleźć w analizie mass mediów, którą prowadzę od ćwierć wieku.

Już we wczesnych latach dwutysięcznych, kiedy globalizacja przyjęła formę ostateczną, okazało się, że żyjemy w społeczeństwie dżingli: krótkich, chwytliwych wypowiedzi czy form dźwiękowych. Od tego zaczęło się szatkowanie naszej uwagi – nie od coraz krótszego tekstu, ale wypowiedzi właśnie. Wtedy społeczeństwa stały się zatomizowane, podzielone, przestało nas łączyć cokolwiek. Widać to w przemianie przeżywania kultury masowej.

Przestaliśmy ją wspólnie konsumować. Ludzie rzadziej chodzą do kin, więcej oglądają na laptopach czy komórkach we własnych domach. Nie zbieramy się, żeby razem oglądać telewizję jak kiedyś, każdy robi to po swojemu. W rezultacie nasze umysły stały się fragmentaryczne, indywidualnie wybierają co chwilę nowe, coraz bardziej interesujące rzeczy, przez to coraz trudniej nam zbudować logiczną ciągłość zdarzeń. Nie bazujemy na linearnym, sensownym rozumowaniu, tylko kierujemy się instynktem albo emocją. A apokalipsa to emocja ostateczna, a więc najsilniejsza. Przyciąga nas, bo jest prosta do zdefiniowania i użyteczna politycznie. W dodatku do apokalipsy łatwo dojść poprzez nienawiść – ona się musi wydarzyć jako czyjaś wina, najczęściej tych, którzy są naszymi przeciwnikami. Brak dzieci to wina lewicowych aktywistów, katastrofa klimatyczna jest następstwem działań prawicy, która zmiany klimatu neguje.

I tu też można upatrywać źródeł siły Trumpa – on jest tak popularny, bo powiedział ludziom wprost, że mogą nienawidzić drugiego człowieka. Wprost, bez żadnych filtrów cywilizacyjnych. Po prostu empatia jest zła, głupia, bez sensu. Chcesz, to wylej na innych nienawiść. Czarni, kobiety, niepełnosprawni, imigranci – nie ma znaczenia. Wyciągamy na wierzch to, co w nas jest najbardziej pierwotne, a trudno o bardziej pierwotną emocję niż nienawiść.

W takim środowisku intelektualnym, przy coraz mniejszej uwadze, podzielonych umysłach, zniszczonych normach cywilizacyjnych, doszliśmy do świata, w którym wszystko można. Bannon mówi, że marksizm przetrwa jedynie na prawicy – proszę bardzo. Architekt polityki deportacyjnej Trumpa Stephen Miller, który chce wyrzucić z USA każdą niebiałą osobę – nie ma problemu. Trump, przekonany o swojej epokowej wielkości, gotów zniszczyć każdego, kto ją podważa – jak najbardziej.

To jest tak naprawdę nasza apokalipsa. Ona się zaczyna, kiedy człowiek traci zdolność do skonstruowania spójnego intelektualnego argumentu. Nie umiesz opisać ciągu zdarzeń, nie wiesz, co z czego wynika, więc ratujesz się pierwszą rzeczą, która ci przychodzi do głowy – a to zawsze jest to samo.

Co?

– Przekonanie o własnej wyższości nad drugą osobą. Studenci czasami pytają mnie, co jest najstarszym znanym ludzkości przypadkiem propagandy. Odpowiadam, że malowidła naścienne z czasów prehistorycznych, kiedy ktoś namalował homo sapiens atakujących bizona.

To jest propaganda, bo przekaz malowidła jest oczywisty. Chodzi o pokazanie innej grupie, z innego plemienia, że my jesteśmy silniejsi, bo zabiliśmy bizona. Więc druga strona nas zaczyna nienawidzić. Zaczęliśmy 20 tysięcy lat temu, a Trump jest kolejnym etapem.

Jeśli tak spojrzeć na Trumpa, to mam wrażenie, że jest tym samym, co Hitler. Nie w znaczeniu bycia faszystą, ale pod względem odpowiadania na emocje i gry na nich. Hitler dochodzi do władzy po dekadach materialnego i wolnościowego postępu. Państwo administracyjne, pierwsze prawa pracownicze, podniesienie poziomu życia, owszem, zakłócone przez traumę wielkiej wojny i wielki kryzys, ale jednak bezdyskusyjne. Po czym Hitler przekonuje Niemców, że ważniejsze są ich resentymenty, emocje, podstawowe instynkty.

– Kiedy ktoś porównuje Trumpa do Hitlera, rezygnuję z dalszej rozmowy, bo to tak gigantyczny skrót intelektualny, że wszyscy momentalnie przestają myśleć i operują tylko faszystowskimi kategoriami. Ale ma pan rację, Trump powoduje, że dla ludzi kwestia warunków bytowych, własnego realnego interesu staje się drugorzędna, bo są motywowani nienawiścią, strachem czy tożsamościową dumą.

Jakaś wersja tej historii rozgrywa się właśnie w Dolinie Krzemowej. Liderzy technologiczni już zarządzają ludzkimi emocjami, znieczulają na rzeczywistość – a Trump czyści im przedpole przed ekspansją polityczną. Kasuje wszystkie normy, blokady instytucjonalne, punkty oporu, po czym w takiej fragmentarycznej, podzielonej rzeczywistości oni przekształcają świat ludzki w coś zupełnie innego. W co – sami jeszcze nie do końca wiedzą. Dystopię społeczną, świat bez ludzi, ale z maszynami, nowy porządek feudalny, poligon doświadczalny przed kolonizacją Marsa – to mniej istotne, ważne, żeby obecny porządek został zburzony.

A co z bardziej przyziemnym scenariuszem, w którym Ameryka imploduje? Pod naporem własnych sprzeczności, długów, obciążeń klimatycznych, technologii, wszystkiego naraz po prostu zapada się do środka. Często mam wrażenie, że bardzo dużo mówi się o kryzysie Europy, a jednocześnie wszyscy ignorujemy głębię zapaści Stanów Zjednoczonych.

– Wielokrotnie za mojego życia ludzie przepowiadali koniec Ameryki i za każdym razem ta Ameryka jakoś z kłopotów wychodziła.

Wojny domowej w USA nie umiem sobie wyobrazić, bo USA przeszły już tyle wielkich napięć – w latach 30., 60., 70. – że wojna miała zawsze być tuż za rogiem i ciągle nie nadeszła. Niektórzy spodziewali się wojny domowej w przypadku zwycięstwa Trumpa, inni przy jego porażce, a tymczasem, choć z zewnątrz Ameryka wygląda jak kraj na krawędzi upadku, wszystko przebiega raczej normalnie. Przerażająco, ale normalnie. I całe szczęście, bo implozja Ameryki dotknęłaby nas wszystkich, gdyż wszyscy żyjemy w amerykańskim świecie.

Owszem, w odległej przyszłości implozja USA jest jak najbardziej możliwa, jeśli na przykład skończy się stabilność systemu dwupartyjnego. Jeśli nagle nie ma już ani Demokratów, ani Republikanów, tylko powstaje coś nowego i architektura instytucjonalna upada. Ale takie przewidywania – że system polityczny się załamie czy ustrój radykalnie ewoluuje – można snuć o każdym państwie, bo historia uczy, że wcześniej czy później dzieje się coś przełomowego i niespodziewanego, żadne państwo nie trwa w jednej formie wiecznie.

Ale teraz jeszcze na to za wcześnie. Po Trumpie przyjdzie ktoś relatywnie normalny, może Marco Rubio, jak Obama po Bushu. Wszyscy znowu dadzą się uwieść tej iluzji powrotu do przeszłości, podczas gdy naprawdę ważne procesy kulturowe, a w ślad za nimi polityczne, będą postępować.

Dick Cheney powiedział mi: Musi pani zrozumieć, że amerykańskie zbrojenia są zawsze bronią masowej miłości. To obce bomby są bronią masowego rażenia

Michaił Zygar, rosyjski dziennikarz, pisarz polityczny i dysydent, powiedział rok temu w CNN, że Ameryka Trumpa przypomina mu ZSRR Gorbaczowa. Przywódca jest syndykiem masy upadłościowej, wszystko jedzie siłą rozpędu, bo ludzie już nie wierzą w fundamentalną ideologię państwa. W ZSRR to był marksizm-leninizm, w USA – liberalna demokracja.

– Zygar w Ameryce mieszka od niedawna. Nie chcę być protekcjonalna, ale tu wszystko jest dla niego nowe, więc wydaje mu się, że zaraz się zawali.

Żeby miał rację, musiałaby zawalić się prawdziwa ideologia dominująca w USA, czyli American Dream. Nie sama liberalna demokracja, ale prowadząca do awansu społecznego możliwość jej uprawiania. Ameryka może się zawalić, jeśli ludzie przestaną awansować – ale jak dokładnie miałoby to nastąpić? Nie umiem sobie tego wyobrazić.

Przecież dzisiejsza Ameryka to całe życie na dorywczych posadach od wypłaty do wypłaty, bez nawet iluzji stabilności. Coraz droższe mieszkania, horrendalnie kosztowna służba zdrowia, niemal nieistniejące usługi publiczne. No i sztuczna inteligencja zastępująca klasę kreatywną, menedżerów niższego szczebla, prawników, techników medycznych...

– Obserwujemy teraz w amerykańskiej polityce olbrzymią falę zwycięstw młodych socjalistów. Nie jestem fanką Zohrana Mamdaniego w roli burmistrza Nowego Jorku, podejście jego wielbicieli do gospodarki i życia społecznego jest dla mnie zbyt sowieckie, ale gdyby zyskał odpowiednio duże poparcie w skali kraju – kto wie? Jakaś nowa partia, która ma coś nowego do zaoferowania? Nie przesądzałabym, że Ameryka jest skończona.

Zgadzam się, że amerykańska demokracja nie skończy się z Trumpem, bo moim zdaniem skończy się wraz z tymi, którym on utoruje drogę do władzy. Alex Karp, założyciel Palantira, już nawet nie ukrywa, że chciałby zbudować amerykańskie państwo od nowa. W książce „The Technological Republic" snuje wizję fuzji sektora technologicznego z państwowym aparatem przymusu. Chciałby, żeby ten nowy twór dominował w całości nad życiem obywateli, eliminował „szkodliwe ideologie" z życia społecznego, technologicznie kontrolował granicę i zapobiegał przybywaniu do USA ludzi, których kultura jest inna od jego wizji kultury amerykańskiej. Co jest o tyle ciekawe, że Karp studiował we Frankfurcie u Jürgena Habermasa – filozofa dialogu, który uważał, że demokratyczne republiki przetrwają tylko wtedy, jeśli będą oparte na dialogu.

– Zgadzam się, to zastanawiające, że amerykańskie technopaństwo miałby zbudować uczeń największego adwokata porozumienia demokratycznego w powojennej Europie.

Niemniej – technopaństwo nie powstanie zaraz po Trumpie, za wcześnie na to. Przejdziemy przez moment oporu, który zresztą już się zaczął. Będzie jak po Bushu z Cheneyem – chwila wytchnienia, a potem kolejne szaleństwo.

A jeśli ten cykl zostanie przerwany? Pojawi się coś nowego? Opór wobec nieludzkiej tyranii nowych technologii może prowadzić do bardzo nieoczywistych koalicji politycznych – dzisiaj jego głównymi przedstawicielami są przecież właśnie Bannon, ideolog prawicy, oraz ikona lewicy, senator Bernie Sanders.

– Sanders jest stary.

Bannon też.

– No właśnie. Taki obóz polityczny musiałby naprawdę włożyć bardzo dużo wysiłku w działania propagandowe, żeby przeciągnąć na swoją stronę większość młodych Amerykanów.

Nie wykluczam, że to się stanie, im więcej będzie AI w naszym życiu codziennym, tym większy będzie sprzeciw społeczny. Lecz żeby taki opór przyniósł realną zmianę w amerykańskiej polityce, musiałby być oparty na potężnej machinie propagandowej. Sam Bannon i Sanders tego nie osiągną, potrzeba przekonywania młodych ludzi na masową skalę, że istnieje dla nich alternatywa w polityce, ale ta alternatywa jest antytechnologiczna. Do tego daleka droga.

Wie pan, panie Mateuszu, ja w ogóle jestem słaba w przewidywaniu przyszłości...

...ale Trumpa pani przewidziała.

– Nie w tym rzecz. Ja od dawna mieszkam, pracuję, wykładam w Stanach Zjednoczonych. Jestem jeszcze w stanie mówić o możliwych scenariuszach, znajdować trendy i je omawiać. Ale lata pracy w USA prowadzą do tego, że mózg się upraszcza. Widać to nawet na przykładzie sprzętów, z których wszyscy korzystamy. iPhone, MacBooki – do ich obsługi nie potrzeba myślenia, więc naprawdę jest dla idiotów. Wszyscy stajemy się nie bardziej złożeni, ale bardziej zidiociali.

Jednym z powodów, dla których zwycięstwo Trumpa było możliwe, jest fakt, że nasze mózgi są po prostu coraz głupsze, choć wydaje się nam, że jesteśmy coraz mądrzejsi. Tak nie jest ani nie będzie, bo sztuczna inteligencja sprawi, że rzeczy proste już teraz będą jeszcze prostsze.

Dojdzie do dezewolucji ludzkości. To zajmie może lata, a może dekady, ale cofniemy się w rozwoju, bo rzeczy, które nas pchały do przodu, wymagały ćwiczenia mózgu, a my przestaniemy to robić. Najpierw zabrał nam to iPhone, a potem zrobi to sztuczna inteligencja.

Zrujnuje nas nie nienawiść, ale komfort. Koniec świata, jaki znamy, przyniesie dostępność wszystkiego, co ludzkość kiedykolwiek wymyśliła, a nie żaden Putin, nie mówiąc nawet o Trumpie. ●

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

MIŃSK
JAK MATPLANETA

Jak pachnie metro w Mińsku? Co grozi za zostawienie jedzenia na talerzu i czy czarny bocian z centrum miasta to czarny łabędź? Z takich szczegółów składa się opowieść o Mińsku, która nie pasuje do oficjalnego obrazu.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

1 RP • **Przestawianie miejskiego zegara w centrum Mińska z czasu letniego na zimowy 24 października 2007 r. I czasami ma się wrażenie, że w mieście faktycznie czas się cofnął** FOT. ALEXEY GROMOV / AFP

eprasa.pl 4ba45f9584

Od końca maja do początku lipca państwowe media pokazują Mińsk jako miasto sukcesu. Trwają Dni Kazania – „masztabno, koloritno, po-bratski" („z rozmachem, barwnie, bratersko"). Tysiące Mińszczan na placu przy Pałacu Sportu próbuje tatarskich potraw i ogląda występy.

Przyszli lekarze oddają krew. Milicjanci odbierają nowe mieszkania. Powstaje trzecia linia metra, projektuje się czwartą. Aleksander Łukaszenka gratuluje stulecia Dorstrojmontażtrestowi, państwowej firmie budującej linie kolejowe. Miasto buduje, świętuje, nagradza.

Oficjalny Mińsk świętuje też pamięć radzieckiego czołgisty Michaiła Chotimskiego, który sforsował naszą Noteć i jako pierwszy w Armii Czerwonej przekroczył granicę III Rzeszy. Zastanawiać może, dlaczego akurat teraz – bo swojego czynu dokonał 28 stycznia 1945 roku, Złotą Gwiazdę Bohatera ZSRR dostał 6 kwietnia – i dlaczego w Mińsku, skoro urodził się po drugiej stronie Puszczy Białowieskiej, w Szerszowie? Oficjalna wersja: maj miesiącem zwycięstwa. Więc i to składa się na obraz Mińska, który z poziomu państwowych mediów jawi się jako „zbiór kwadratów oraz podzbiór tęgich walców", jak w popularnym w latach 80. programie „Przybysze z Matplanety" wychwalał rzeczoną planetę Andrzej Zaucha.

W czasie, gdy Mińsk z pompą świętował, w centrum zauważono coś, czego nikt się nie spodziewał – czarnego bociana. Spotkać tego ptaka nawet na łonie dzikiej przyrody to wielkie szczęście, a co dopiero w środku miejskiej dżungli. Czytelnicy lokalnych mediów sugerowali, że mógł uciec z zoo, ale na zdjęciu nie widać obrączki na nodze. Ornitolodzy twierdzą, że to najprawdopodobniej młody ptak, który wrócił z Afryki. Niedoświadczony i dlatego wleciał do miasta. Bo dorosłe osobniki unikają ludzi. Polują w lasach, na kanałach i przy rzekach. „Wiodą skryty tryb życia" – mówi jeden z mińskich ornitologów. Pod tą wypowiedzią czytelnik pyta: „A może czarny bocian to symbol Białorusi?". W komentarzach szybko zaczęto dopisywać kolejne znaczenia. Nam zaś trudno nie pomyśleć o czarnym łabędziu z koncepcji Nassima Nicholasa Taleba, symbolu zdarzeń nieprzewidywalnych, które zmieniają bieg rzeczy. Od tej chwili sami zaczynamy składać Mińsk z rozsypanych fragmentów.

• **Popiersie Lenina i graffiti, które zostało namalowane za zgodą władz. Bez tego nie pomalujesz** FOT. GETTY IMAGES

Praca, jeża, żyłło

Państwowy portal gsz.gov.by wyświetla dla Mińska i okolic blisko 33 tys. ofert pracy. Dla porównania: popularny polski serwis dla Warszawy i okolic – ok. 18 tys. Najwyższe wynagrodzenia w sektorze IT: inżynier-programista w firmie turystycznej – 12 tys. rubli białoruskich (ok. 15 600 zł), menedżer w Samsungu – 21 080 rubli (ok. 27 400 zł). To elita. Na przeciwległym biegunie sprzątaczka w szpitalu – 950-1300 rubli (1235-1690 zł).

Niewiele lepiej zarabiają lekarze. Kardiolog w państwowym centrum Kardiologia – 1700-2500 rubli (2210-3250 zł). Zaskakuje brak rozwarstwienia znanego z Polski: medyk nie zarabia dużo więcej niż kasjerka (1900-2030 rubli, czyli 2470-2639 zł). W ogłoszeniach prawie nie ma benefitów: kart na siłownię, owocowych czwartków, prywatnej opieki medycznej. Jedynie premie świąteczne i „materialny dodatek do urlopu", czyli nasza grusza.

Białoruski Barometr Zatrudnienia na 2026 rok kreśli ostry podział: najbardziej poszukiwani są kierowcy, monterzy i budowlańcy, najmniej – bibliotekarze, projektanci i kosmetyczki.

Jedzenie. W Mińsku za podstawowe produkty zapłacimy mniej niż w Warszawie, za to nad Wisłą tańsze są słodycze. W mińskiej kawiarni na śniadanie wydamy 20-35 rubli (26-46 zł), w Warszawie to co najmniej 40-60 zł. Restauracje typu „jesz, ile chcesz" kuszą ujednoliconą opłatą, np. 35 rubli (46 zł), ale uwaga z tym, „ile chcesz", bo obowiązuje grzywna 10-15 rubli za pozostawienie jedzenia na talerzu.

Na mińskich targach w sezonie ceny owoców spadają. Truskawki po niespełna 7 rubli (ok. 9 zł) za kilogram. Trafia się sporo nadpsutych, ale mimo to kolejki są długie, kupujący biorą wiadrami na dżemy i kompoty. Czarne jagody po 10-20 rubli (ok. 13-26 zł) za pół litra. Grzyby – 29 rubli (ok. 38 zł) za kilogram, ale jest ich bardzo mało.

Mieszkania. Średnia cena metra kwadratowego w Mińsku w 2026 roku: kawalerka – 6800 rubli (ok. 8840 zł), trzypokojowe – 5500 rubli (ok. 7150 zł). W Warszawie to ponad 15 300 zł za metr. Inaczej też wyglądają koszty najmu: przeciętna miesięczna opłata za jednopokojowe to ok. 360 dol. (ok. 1440 zł) plus media. To poza zasięgiem sprzątaczki zarabiającej ok. 1300 zł. Stąd nowy trend – wynajem gołych ścian. Tu stawki za najmniejsze zaczynają się od 421 rubli (ok. 550 zł). Kto się na to decyduje? Studenci, młodzi specjaliści, ale też firmy wynajmujące lokale pracownikom.

Mińsk stale się rozbudowuje i w czerwcu 2026 roku zarejestrowano 1077 „transakcji mieszkaniowych". Tyle że wiele bloków stoi pustych. Jeden z komentujących pod artykułem o sprzedaży mieszkań pyta: „A napiszcie, ile z nich sprzedano przedstawicielom naszego przepięknego wschodniego sąsiada?". Co najmniej 10 proc. nowych mieszkań nabywają Rosjanie. Dla nich stolica Białorusi to paradoksalnie eldorado swobód, no i niższe ceny. Ci jednak osiedlają się głównie w bardziej prestiżowych dzielnicach, przykładowo na osiedlu Majak Mińska (latarnia morska Mińska), gdzie ceny sięgają 12 000 rubli za metr (ok. 15 600 zł).

A Rosjanie płacą i śmiecą. I bynajmniej nie są to słowa rzucone na wiatr, ale na chodnik – na Niamihę, jedną z centralnych ulic miasta. W ostatnich dniach media społecznościowe rozgrzewa sprawa osiemnastolatka z Kraju Ałtajskiego, który w Mińsku rzucił niedopałek na świeżo posprzątany chodnik. Kilka godzin później został namierzony przez milicję, zatrzymany i postawiony przed sądem. Białorusini komentują (cyt. m.in. za „Naszą Niwą"): „Wszystkim przyjezdnym – na Białorusi nie śmiecić. Szanujcie kraj, do którego przyjechaliście"; „Nieznajomość i nieprzestrzeganie praw obcego kraju nie zwalnia z odpowiedzialności"; „Przyjeżdżają tam, gdzie jest czysto, podoba im się czystość i porządek, ale zostawiają po sobie tylko brud, śmierć i zniszczenie".

• **Handlarka rozstawia uliczny stragan warzywny w centrum Mińska. W sezonie ceny warzyw i owoców w stolicy Białorusi spadają** FOT. NIK WHEELER/CORBIS VIA GETTY IMAGES

„Okazyjna kawalerka"

Są tacy, którzy w mińskiej miejskiej dżungli czują się jak ryba w wodzie. Jak choćby An-

eprasa.pl 4ba45f9584

żelika Mielnikawa. Kiedyś była trzecią osobą w opozycyjnym gabinecie cieni białoruskiej emigracji z siedzibą w Warszawie. 25 marca 2025 roku przestała odbierać telefony. Razem z nią z konta Rady Koordynacyjnej zniknęło 150 tys. dol.

Odnalazła się w Mińsku jako właścicielka trzech mieszkań. We wrześniu 2025 kupiła klasyczną kawalerkę na Prospekcie Lubimowa, kolejne przejęła po byłym mężu, a w styczniu tego roku kupiła lokal 91,8 m kw. na Majaku Mińska, przy ul. Mścisławca 24. Co ciekawe, w dokumentach to mieszkanie figuruje jako lokal z jednym pokojem.

KiberPartizani Biełarusi, czyli Cyberpartyzanci, hakerzy, którzy od lat drążą reżimowe tajemnice, ustalili, że zakup tego mieszkania to swoista specoperacja. Zanim lokal trafił do Mielnikawej, należał do niejakiej Angeliny Rodionowej. Problem w tym, że taka osoba według Kiberpartyzantów nie istnieje. Nie ma jej w żadnych państwowych bazach, a jej paszport wydano zaledwie trzy dni przed transakcją. Miesiąc urodzenia miała taki jak Mielnikawa, a dzień i rok zmieniono nieznacznie. Potem mieszkanie przeszło na Aleksieja Czałajewa. Kolejne nieistniejące nazwisko, choć pod nim, jak twierdzą hakerzy, kryje się prawdziwy człowiek: Aleksiej Łabiejew, agent KGB i kochanek Mielnikawej, który podróżował z nią na Sri Lankę.

Po co tworzono taki łańcuch fikcyjnych właścicieli – nie wiadomo. Ustaliliśmy, że w budynku przy Mścisławca 24 mieści się prywatna szkoła języka angielskiego. Napisaliśmy do właścicielki: „Czy pani wie, że w tym samym bloku Mielnikawa kupiła lokal?”. Odpowiedziała błyskawicznie: „Nie mieszkam w tym budynku, mam tam biuro. Nigdy jej w życiu nie widziałam. Tylko w materiałach na TikToku”. Uczyła na uczelni, na której studiowała Mielnikawa, wśród znajomych miała menedżerkę Coca-Coli Białoruś, gdzie pracowała także Mielnikawa. Sama szkoliła personel dyplomatyczny, w tym rosyjskich dyplomatów. Przejrzeliśmy jej media społecznościowe. W ciągu roku Paryż, Dubaj i znów Paryż. Na takie życie może sobie pozwolić niewielu Białorusinów.

Lata u horadzie

Czyli lato w mieście. Jeszcze w czerwcu urząd miasta wskazał 23 oficjalne plaże. „Woda w tych zbiornikach jest obrzydliwa, błotnista i śmierdzi” – napisał jeden z komentujących na portalu Onlíner, największym białoruskim portalu miejskim. Inny zauważył: „Dziwne, mało ludzi w wodzie, głównie tłoczą się na brzegu. O co chodzi? Sytuacja mikrobiologiczna?”.

Na przełomie czerwca i lipca temperatury przekraczały 30 stopni. Nad Kamsamolskim Wozieram – sztucznym zbiornikiem na rzece Świsłocz – od rana tłoczno. Na plażach nad Mińskim Morzem, drugim co do wielkości sztucznym jeziorze Białorusi, pięć kilometrów na północny zachód od Mińska, atmosfera nieco inna: więcej przestrzeni, sosnowy las podchodzi prawie pod sam brzeg. Zamiast miejskiego hałasu – muzyka z głośników. Wodę czuć bagnem, ale upał jest silniejszy, Mińszczanie chcą się schłodzić. Dlatego na drodze do popularnego akwenu Dubrowskoje, jakieś 15 kilometrów na wschód od miasta, ogromny korek.

Letnim przebojem miejskim jest zaceperyzm, czyli trainsurfing. Szesnasto- i siedemnastolatek wieczorem 26 czerwca weszli na dach elektryczki jadącej na wschód od miasta na trasie Mińsk – Krasnoje Znamia (Czerwony Sztandar). Milicja szybko ustaliła tożsamość zaceperów; Mińsk należy do jednych z najgęściej monitorowanych miast na świecie. Trainsurferom grozi mandat w wysokości trzech tzw. wielkości bazowych, czyli do 135 rubli białoruskich (ok. 180 zł). „Zaceperyzm może prowadzić do ciężkich obrażeń lub śmierci” – ostrzegli funkcjonariusze.

Dwa miliony Mińszczan i prezydent

Za co Mińszczanie kochają swoje miasto? Co w nim cenią? Jak wygląda ich codzienność? Rozesłaliśmy prawie pięćdziesiąt maili i wiadomości do mińskich lokali, coworkingów, blogerów, subkultur, a także – nostra culpa – kilku opozycjonistów. Ci ostatni odpowiedzieli dość uprzejmie, że już tam nie mieszkają.

Poza tym otrzymaliśmy zaledwie trzy odpowiedzi. Kawiarnia Zerno pochwaliła się, że wśród jej gości bywają Polacy. Klub fitness poinformował, że nie ujawnia informacji o klientach. Forum miejskich hulajnóg lakonicznie stwierdziło, że u nich nie ma takich problemów jak w Warszawie z „samokatami”, czyli hulajnogami. Na subkulturowej grupie odezwał się natomiast dwudziestolatek, który właśnie wrócił z wojska: „Prawie nikt nie chce służyć. Ci, którzy mają władzę, wykorzystują ją do znęcania się nad słabszymi. Po powrocie szukam pracy, ale myślę tylko o ucieczce do Unii. Boję się, że lada dzień wybuchnie wojna”.

Jego przyjaciele organizowali kiedyś koncerty. Dziś – jak mówi – jest to praktycznie niemożliwe. Życie kulturalne się kurczy. Zauważa jednak, że wraca moda na język białoruski.

Statystyki mówią jednak coś innego. Jeśli w obwodzie mińskim po białorusku uczy się 16,4 proc. dzieci i młodzieży, a w obwodzie brzeskim – 12,7 proc., to w samym Mińsku zaledwie 1,6 proc. Stolica, która powinna być centrum narodowej kultury, pozostaje miastem głęboko zrusyfikowanym.

Jaki jest więc dzisiejszy Mińsk? Od dawna nie byliśmy na Białorusi. Po kilku tygodniach przeglądania mediów, forów i prób nawiązania kontaktów z Mińszczanami odpowiedź wcale nie wydaje się oczywista. Państwowe media mają monopol, otwarta krytyka systemu pozostaje niemożliwa, ale lokalne portale i fora pokazują miasto znacznie bardziej złożone. Wyłania się społeczeństwo, które bardziej przystosowało się do systemu, niż go zaakceptowało. Dla wielu zarobki wystarczają przede wszystkim na przeżycie kolejnego miesiąca.

Młodzi myślą o wyjeździe, choć dla większości nie jest to realna perspektywa. A jednocześnie ludzie planują przyszłość. Latem w Mińsku bierze się śluby. Przedstawicielka branży pisze: „Jeśli planujecie wesele do 40 osób za miastem, to około 20 tysięcy rubli (ok. 26 tys. zł)”. Popularna jest też wersja minimum – ślub w urzędzie we dwoje, a później kameralne przyjęcie na wsi za 3000 rubli (ok. 3900 zł).

Dorosło już pokolenie, które nie zna innego państwa niż Białoruś rządzona przez Aleksandra Łukaszenkę. Mińsk nie jest jednak peryferiami odciętymi od świata. Przeciwnie – odwrócony od Zachodu coraz częściej przyciąga Rosjan szukających spokojniejszego i bardziej przewidywalnego miejsca do życia.

Są również tacy, którzy decydują się wrócić. Jak relacjonuje „Nasza Niwa”, niejaka Aleksandra Skripko po 23 latach w USA buduje dom w stolicy. Chce urodzić dzieci na Białorusi, „żeby były rosyjskojęzyczne”. I przekonuje, że tamtejsza medycyna jest lepsza od amerykańskiej, choć uposażenie kardiologów zdaje się podważać tę tezę.

> **Mińsk** nie jest peryferiami odciętymi od świata. Przeciwnie. Odwrócony od Zachodu coraz częściej przyciąga Rosjan szukających spokojnego miejsca

Kilofy komsomolskiej kohorty

Korespondowaliśmy też z Żmicierem Vinsentem Papką, muzykiem i aktorem. Vinsent od kilku lat nie mieszka już w kraju, ale dla nas pozostaje wykonawcą, który w 2017 roku jeszcze na Białorusi współtworzył projekt „(Nie) rasstralanaja” („(Nie)Rozstrzelana”). Zapytaliśmy go, co sprawia, że Mińsk jest wyjątkowy. Odpisał: „Bardzo specyficzny zapach metra, a także zapach pociągów na dworcu. Na przykład w Polsce ani metro, ani dworce tak nie pachną. Zresztą ten zapach metra powoli znika, bo zmieniają technologię konserwacji szyn”.

Brzmi abstrakcyjnie? A co powiecie o historii Siemiona Jermołinskiego alias Andrieja Millera, za sprawą którego dziś Mińsk jest jednym z centrów grimdarku, mrocznego nurtu fantasy, w którym moralność nie istnieje, a zwycięstwo nie przynosi ulgi.

Rosjanin, syn arcymistrza szachowego, a równocześnie członek faszyzującej bandy z Jekaterynburga, która w 2012 roku zamordowała co najmniej 14 osób. Nazywali się „sanitariuszami miejskiej dżungli”, zabijali dla przyjemności. Jermołinski był jednym z egzekutorów. Przed sądem uciekł do Mińska, gdzie pod fałszywym nazwiskiem wynajął mieszkanie i zaczął pisać dark fantasy. Jego opowiadania publikowano w rosyjskojęzycznym kultowym magazynie „Darker”, w 2021 roku wydał powieść „Straszny wiek”.

Recenzenci chwalili realizm opisów. Postacie wykreowane przez Millera doskonale wiedziały, jak nożem urżnąć człowiekowi głowę albo jak się ukryć. W opowiadaniu „Bezkarność” jego bohater mówi: „lewy paszport załatwiłem dawno temu, umożliwiły to powiązania w milicji”. I on sam tak właśnie żył w Mińsku – pod inną tożsamością, z podrobionymi dokumentami. Ale zaraził się koronawirusem, bał się pójść do lekarza i zmarł w wynajmowanym mieszkaniu. Na dniach jego historię przypomniała „Komsomolska Prawda”.

Albo sprawa z dziwną przemianą Pomnika Lenina... W kwietniu, podczas akcji porządkowej, Pomnik Lenina na Placu Niepodległości starannie umyto. Zrobił się całkowicie czarny i błyszczący. Pod tekstem na portalu Nasza Niwa zaroiło się od komentarzy: „Czarnego psa nie umyjesz” – napisał niejaki?. „Może posmarowali olejem rzepakowym? Albo jakimś smarem... Wyszła prawdziwa czarnośliwka” – napisał NaMascie i chodzi tu o suszoną śliwkę węgierkę. „Był pomnik Lenina, a stał się pomnikiem Martina Luthera Kinga” – skwitował internauta Indrid Cold.

Ów monument zaprojektował Józef Langbard, ten sam architekt, który nadał kształt dzisiejszemu centrum Mińska. Urodzony w 1882 roku w naszym rodzinnym Bielsku Podlaskim (stał tam długo jego zabytkowy, drewniany dom, widoczny jeszcze w „Znachorze” Jerzego Hoffmana, dziś już zburzony). To on zaprojektował w Mińsku Dom Rządu (1929-1934), Teatr Opery i Baletu (1930-1938) oraz gmach Akademii Nauk (1935-1939). Współtworzył także układ urbanistyczny dzisiejszego centrum. Jego styl – surowy, geometryczny, monumentalny – wyznaczył kanony architektury na dekady. Miasto za jego sprawą stało się „miejscem-utopią”, „miastem słońca” zaklętym w kamieniu, jak ujął to współczesny białoruski artysta Artur Klinau.

To paradoks w kontekście miasta, które w 1937 roku niemal całą swoją inteligencję pogrzebało w Kuropatach – rozstrzelano tam 130 miejscowych artystów, poetów i naukowców, a w 2020 roku stłumiło ruch prodemokratyczny. Bo taki właśnie, pełen sprzeczności, także tragicznych jest dzisiejszy Mińsk.

Ziama Piwawarou, miński poeta piszący po białorusku, w 1934 roku wychwalał z autentyczną wiarą w nowy świat „kajła kamsamol’skaj kahorty” – kilofy komsomolskiej kohorty. Jego też pogrzebano w Kuropatach. Po latach Żmicier Vinsent Papko dopisał do jego wiersza postscriptum:

Dzieści pad Mienskam szumić Niamiha, Ale ja baczu tolki cichuju Świsłacz, Ty żadau hrukat staliewych maszynau, My atrymali kuropackuju ciszu...

(Gdzieś pod Mińskiem szumi Niamiha, Ale ja widzę tylko cichą Świsłocz, Ty pragnąłeś huku stalowych maszyn, My otrzymaliśmy kuropacką ciszę...)

(tłum. M. i A. Goworscy)

Mińsk miał być miastem przyszłości. Nie został ani socjalistyczną utopią, ani postsowiecką ruiną. Pozostał normalnym europejskim miastem uwięzionym w systemie, który ogranicza jego rozwój. I może właśnie dlatego może wydać się nam tak bliski. ●

eprasa.pl 4ba45f9584

ROZBRAT Z BRACTWEM

Schizma, ekskomunika – wróciły dawno niesłyszane w Kościele słowa. W co grają lefebryści?

• **1 lipca lefebryści wyświęcili bez zgody papieża nowych biskupów. Następnego dnia zostali wyrzuceni z Kościoła katolickiego**
FOT. JEAN-GUY PYTHON/PRESSE-AGENTUR DUKAS/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Tomasz P. Terlikowski

Czas dialogu, głaskania, prób przekonywania i próśb się skończył. Watykan wytoczył przeciwko Bractwu Kapłańskiemu św. Piusa X najcięższe działa. Związani z nim księża, biskupi czy zaangażowani wierni – choć uważają się za ostatnich prawdziwych katolików – zostali 2 lipca wykluczeni z Kościoła katolickiego. Watykan ogłosił także, że sakramenty sprawowane w kaplicach lefebrystów, jak popularnie nazywa się członków Bractwa, są sprawowane w sposób niegodny (mowa o mszy świętej), a nawet że są nieważne (chodzi o spowiedź i sakrament małżeństwa).

Ta decyzja, choć surowa, nie jest zaskakująca. Była pewna, od kiedy w lutym ks. Davide Pagliarani, przełożony Bractwa, oświadczył, że jego wspólnota zamierza ponownie wyświęcić własnych biskupów.

1 lipca w głównej siedzibie Bractwa w Écône w Szwajcarii czterech duchownych lefebrystów przyjęło biskupie święcenia.

Powtórka z rozrywki

Reakcja Watykanu na zapowiedzi ks. Pagliaraniego była zdecydowana. Dykasteria Nauki Wiary ostrzegła lefebrystów przed wyświęcaniem biskupów bez zgody papieża: „Gest ten będzie stanowił akt schizmatycki, a formalne przystąpienie do schizmy stanowi poważną obrazę Boga i pociąga za sobą ekskomunikę ustanowioną przez prawo kościelne" – napisał w maju kard Víctor Manuel Fernández.

Dzień przed planowanymi święceniami biskupów Bractwa przypomniał zaś o tym w osobistym liście sam papież: „Wzywam was i proszę z całego serca: zawróćcie z tej drogi! – pisał Leon XIV. – Zachęcam was, abyście z całą powagą rozważyli dobro duchowe wiernych, ponieważ akt schizmy, którego byście się dopuścili, pozbawiłby ich możliwości godziwego, a w niektórych przypadkach nawet ważnego przyjmowania sakramentów, które miłują i których poszukują dla swojego uświęcenia".

Bractwo Kapłańskie św. Piusa X też musiało wiedzieć, jak to się wszystko skończy. Choćby dlatego, że dla dwóch biskupów (Alfonso de Galarrety i Bernarda Fellaya) wyświęcających nowych hierarchów, to była „powtórka z rozrywki". Oni już raz byli ekskomunikowani, przez Jana Pawła II, gdy założyciel Bractwa abp Marcel Lefebvre wyświęcił ich w 1988 r. na biskupów.

Dlaczego wówczas doszło do święceń? Z tego samego powodu, co i teraz. Bractwo zostało zbudowane, by zachować to, co jego założyciel uważał za fundamenty prawdziwego katolicyzmu, a co – jego zdaniem – zostało odrzucone przez Watykan podczas Soboru Watykańskiego II. Symbolem tych zmian była nowa msza święta, już w językach narodowych, a nie po łacinie i w zmienionym rycie. Tej mszy członkowie bractwa nie tylko nie odprawiali, ale i uznawali ją przejaw protestantyzacji katolickiego kultu.

Abp Lefebvre i jego zwolennicy odrzucili także inne reformy soborowe, nie zgadzali się na dialogi ekumeniczny i międzyreligijny czy akceptację demokracji liberalnej. Wszystkie te zmiany uznawali za zdradę prawdziwej wiary Kościoła.

Benedykt XVI zdjął z nich później ekskomuniki, ale do pojednania nie doszło.

Bractwo wróciło do punktu wyjścia i ponownie wyświęciło własnych biskupów. Kara musiała być więc analogiczna.

Prawo kanoniczne dla każdego identyczne

Prawo kanoniczne jest w tej sprawie absolutnie jednoznaczne: „Biskup, który bez papieskiego mandatu konsekruje kogoś na biskupa, a także ten, kto od niego konsekrację przyjmuje, podlega ekskomunice wiążącej mocą samego prawa, zastrzeżonej Stolicy Apostolskiej" – czytamy w kanonie 1382 Kodeksu Prawa Kanonicznego. Ekskomunika jest więc automatyczna, nie ma nawet potrzeby jej ogłaszania (choć w tym przypadku ją ogłoszono).

Jan Paweł II – właśnie po wspomnianych święceniach w Bractwie – doprecyzował także rozumienie prawa kanonicznego i jasno wskazał w Liście Apostolskim „Ecclesia Dei", że wyświęcenie biskupa bez zgody Watykanu, jest „aktem nieposłuszeństwa wobec Biskupa Rzymu w materii najwyższej wagi, mającej kapitalne znaczenie dla jedności Kościoła" i „stanowi akt schizmatycki". Schizma zaś – i tu znowu trzeba wrócić do Kodeksu Prawa Kanonicznego – oznacza dla osoby w nią popadającą karę ekskomuniki „wiążącej mocą samego prawa".

I nie jest tak, że zasadę tę stosuje się tylko wobec Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X. Trudno szukać dokładnej analogii, bo po progresywnej stronie Kościoła nie ma podobnej sytuacji. Nie działa tam zgromadzenie zakonne, które twierdzi, że jest katolickie i uznaje władzę papieską, ale od pół wieku funkcjonuje poza kontrolą Rzymu, i od czasu do czasu święci swoich biskupów. Warto jednak przypomnieć, że ekskomunice podlegają także kobiety katoliczki przyjmujące święcenia kapłańskie i biskupie, a także – gdyby wyświęcili ich biskupi katoliccy – ich konsekratorzy. Tak stało się jeszcze za czasów Jana Pawła II, gdy w 2002 r. ekskomunikowano siedem kobiet, które przyjęły święcenia kapłańskie.

Wyświęcił je abp Rómulo Antonio Braschi, przywódca schizmatycznego Apostolskiego Charyzmatycznego Kościoła Katolickiego Chrystusa Króla. Watykan uznał, że udzielenie święceń na statku przez abp. Braschiego stanowiło symulację sakramentu, więc są one nieważne i należy je uznać za nieistniejące, a samo usiłowanie ich udzielenia jest ciężkim przestępstwem kanonicznym. Kongregacja Nauki Wiary wezwała kobiety, aby uznały nieważność swoich święceń i przeprosiły za zgorszenie wiernych, a także zagroziła im ekskomuniką.

Gdy napomnienie nie przyniosło skutków, uczestniczki święceń zostały ekskomunikowane, a później doprecyzowano prawo kanoniczne, które teraz pozwala wymierzać analogiczne kary z automatu. I naprawdę się je wymierza.

Spór nie tylko o posłuszeństwo

Argumentacja Watykanu nie przekonuje – co oczywiste – władz Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X. Dlaczego? Bo ich zdaniem usprawiedliwieniem dla wyświęcenia biskupów bez mandatu papieskiego ma być stan wyższej konieczności, w jakim znajduje się Bractwo. Jego członkowie i wierni upatrują w sobie ostatniej sprawiedliwej cząstki Kościoła, strażników prawdziwej Tradycji i prawdziwej wizji Kościoła, która musi zostać zachowana na czasy, gdy papiestwo do niej powróci. A jako że nie ma Kościoła bez biskupa, bo tylko on może wyświęcać kolejnych księży i nowych hierarchów, to trzeba zachować własną, odrębną hierarchię, która będzie mogła formować i wyświęcać własnych duchownych.

Dlaczego ma być to konieczne? Wystarczy przeczytać jedno z pierwszych kazań Michaela Goldade wyświęconego ostatnio w Écône. Według niego Watykan stał się „Kościołem modernistycznym", a to właśnie w Bractwie trwa Kościół katolicki. „Jeśli Kościół katolicki, wierny swojej Tradycji, rodzi życie, to Kościół modernistyczny jest pustynią. Zabija, zabija wszystko, czego dotknie; zabija życie nadprzyrodzone, niszczy źródła łaski i wszystko wysusza. Dlaczego? Ponieważ postawił człowieka na miejscu Boga, odwracając się tym samym od samych źródeł życia" – mówił. Aby przetrwał prawdziwy Kościół katolicki, potrzebni są więc odrębni, nieskażeni papieskimi odstępstwami od prawdziwej wiary, kapłani i biskupi. I stąd uparte trwanie w realnym nieposłuszeństwie wobec papieża, dopóki Watykan nie powróci do prawdziwej wiary trwającej w Écône.

Nie chodzi tylko o powrót do starej liturgii, ale także odrzucenie przez Stolicę Apostolską personalizmu chrześcijański (tak określają lefebryści papieskie stanowisko, że fundamentem etyki i polityki jest godność osoby ludzkiej, a nie tylko prawo religijne), dialogu międzyreligijnego, ekumenizmu jako drogi do budowania jedności chrześcijan, a nawet uznania świeckości państwa czy zasady wolności religijnej.

Watykan zaś – co też oczywiste – na takie zmiany przystać nie może. Po pierwsze, oznaczałoby to, że nieomylność w sprawach wiary i moralności nie przysługuje już biskupowi Rzymu, ale biskupom pomocniczym (a takie stanowisko w ich własnej opinii przysługuje hierarchom Bractwa), którzy dyktować mają stanowisko papieżom i całemu Kościołowi.

Niewyobrażalne z perspektywy Rzymu jest także zawrócenie z drogi Soboru Watykańskiego II, a także uznanie, że Paweł VI, Jan Paweł II, Benedykt XVI i Franciszek tkwili w błędzie, a rację miał abp Marcel Lefebvre.

Kościelna ściema

Naturalną i oczywistą drogą w takiej sytuacji byłoby rozejście się dróg obu wyznań. Tak już w historii Kościoła bywało. Na przykład gdy po Soborze Watykańskim I głównie niemieckojęzyczni katolicy nie uznali decyzji tego gremium, to – dzięki święceniom otrzymanym od biskupów Utrechtu – ukształtowali własne wyznanie. Starokatolicy uważają, że to oni zachowali pełnię wiary starego Kościoła i odrzucają „nowinki" XIX-wiecznego soboru.

Oni jednak zachowują się uczciwie; deklarują, że nie są w jedności z Rzymem i stanowią odrębne wyznanie. Lefebryści zaś – od

eprasa.pl 4ba45f9584

momentu pierwszej schizmy w 1988 r. – grają w zupełnie inną grę.

Jak ją określić? W największym skrócie: chcą mieć ciastko i zjeść ciastko. Chcą być niezależną od Watykanu wspólnotą z własnymi biskupami, jednocześnie twierdząc, że są częścią Kościoła katolickiego, i to tą „prawdziwą", pozostającą w jedności z Rzymem.

Dzięki temu mogą przekonywać wiernych, że nie decydują się na zmianę wyznania. I nie stają wobec wyzwania, jakim byłoby albo odrzucenie papiestwa (jak zrobili starokatolicy), albo uznanie, że Tron Papieski jest pusty (jak czynią tradycjonalistyczni sedewakantyści, którzy uznają kolejnych papieży za uzurpatorów i nie udają wierności im), albo wybór własnego papieża. Dla nich deklaratywna wierność Rzymowi, która nie przekłada się na żadne konkrety, jest więc teologicznie i praktycznie opłacalna. I dlatego wciąż grają wciąż w tę samą grę. A grają, bo, jak się wydaje, naprawdę wierzą, że są ostatnimi strażnikami prawdy, którą inni porzucili.

Watykan przez lata im tę grę umożliwiał. Benedykt XVI, mając nadzieję na pojednanie bractwa z Kościołem, zdjął ekskomuniki z wyświęconych przez Lefebvre'a biskupów i rozpoczął cierpliwy teologiczny dialog z tą wspólnotą. Prawnicy ówczesnego papieża podkreślali, że Bractwo nie znajduje się w stanie schizmy, a status jego członków jest nieuregulowany.

Franciszek, choć ograniczał możliwość uczestnictwa w mszy trydenckiej w samym Kościele, Bractwu (a dokładniej jego wiernym, ale lefebrystyczni duchowni wykorzystali to dla siebie) poszedł jeszcze bardziej na rękę i przyznał jego duchownym misję kanoniczną do spowiedzi i do błogosławienia małżeństw. To jeszcze bardziej znormalizowało pozycję Bractwa i zbudowało wrażenie ich powolnego zmierzania w kierunku pełnej jedności z Rzymem.

Tak jednak nie było, bowiem gdy dochodziło do prób uzgodnienia stanowisk, władze Bractwa odmawiały głębszych ustępstw i przekonywały, że to Watykan powinien zmienić stanowisko.

Gdy zaś uznały, że zagraża im sytuacja, w której nie będą już mieli własnych biskupów, bo ci wyświęceni przez Lefebvre'a zaczęli się starzeć, to wrócili do punktu wyjścia i ich – wbrew woli papieskiej – wyświęcili. Dialog z Watykanem potraktowali więc jako element gry, a nie jako realną próbę budowania jedności.

I w tym także nie ma wielkiego zaskoczenia, bowiem niemal identycznie traktował kolejne rozmowy z Rzymem i papieżami założyciel Bractwa arcybiskup Marcel Lefebvre (którego niezmiennie uznają za mistrza i świętego, choć z niego ekskomunik nie zdjęto aż do śmierci). Jego celem było nie tyle znalezienie doktrynalnego kompromisu, ile wymuszenie na papieżach wycofanie się z decyzji Soboru Watykańskiego II albo stworzenie przestrzeni, w której prawdziwy – jego zdaniem – Kościół przetrwa do momentu, gdy kiedyś w przyszłości „Rzym się nawróci".

Lefebryści są ruchem monarchistycznym i nacjonalistycznym, niechętnym liberalnej demokracji. To zbliża ich do skrajnej prawicy.

Zwody Lefebvre'a

Skąd taka postawa? Wiele wskazuje na to, że dla Marcela Lefebvre'a (1905-91), francuskiego księdza, członka Zgromadzenia Ducha Świętego, misjonarza w Afryce, pierwszego arcybiskupa Dakaru, wychowanego w atmosferze polemiki antymodernistycznej, głęboko wierzącego w słuszność linii odrzucającej wszelki dialog ze współczesnością, Sobór Watykański II i następujące po nim zmiany, były głębokim szokiem.

Obserwował, jak zmienia się liturgia, jak z kapłaństwa w ciągu dziesięciu lat po reformach soborowych odchodzi sto tysięcy księży, jak błyskawicznie laicyzują się dotychczasowi wierni. O to wszystko oskarżał Sobór Watykański II (którego był uczestnikiem, ale którego części z dokumentów nie uznał). Odpowiedzią na kryzys miał być jego zdaniem powrót do tego, co było. Do Kościoła jego młodości.

Aby to stało się możliwe, Lefebvre założył w 1970 r. Bractwo Kapłańskie św. Piusa X i by zapewnić mu księży, którzy nie będą podlegać modernistycznym wpływom, powołał dla nich w Écône własne seminarium. Początkowo nawet zatwierdził je miejscowy biskup. Kolejne deklaracje Lefebvre'a, który już w 1974 r. głosił, że odrzuca „podążanie za Rzymem o tendencjach neomodernistycznych i neoprotestanckich, które wyraźnie doszły do głosu podczas Soboru Watykańskiego II" i że „wszystkie te reformy w rzeczywistości przyczyniły się i nadal przyczyniają się do zniszczenia Kościoła...", sprawiły jednak, że Paweł VI najpierw cofnął zgodę na działanie seminarium i Bractwa, a później go suspendował. On sam jednak niewiele sobie z tego robił i dalej publicznie sprawował nabożeństwa. To powinno go doprowadzić do ekskomuniki, ale zmęczony pontyfikatem Paweł VI takiej decyzji nie podjął.

Jan Paweł II próbował nowego otwarcia w relacjach z Lefebvre'em. Latami trwały rozmowy i wymiany listów, aż wreszcie w 1988 r. prefekt Kongregacji Nauki kard. Joseph Ratzinger i jej sekretarz abp Alberto Bovone rozpoczęli osobiste rozmowy z abp. Lefebvre'em. Doprowadziły one do porozumienia, które miało się stać fundamentem porozumienia doktrynalnego.

Co się w nim znajdowało? Wszystko, czego mógł chcieć abp Lefebvre. Bractwo miało zostać stowarzyszeniem życia apostolskiego, otrzymać niezależność, a jeden z jej członków miał zostać wyświęcony na biskupa. W zamian Bractwo miało uznać wierność wobec papieża, zaakceptować kluczowe deklaracje Soboru Watykańskiego II dotyczące władzy papieskiej, a także przyjąć pozytywną postawę wobec nauczania Soboru i unikać z nim polemik. Droga do porozumienia i obecności wewnątrz Kościoła była otwarta.

W bezpośrednich rozmowach Lefebvre wszystko to zaakceptował, ale już kilkanaście dni później odrzucił jakikolwiek dialog i zapowiedział, że wyświęci własnych biskupów bez mandatu papieskiego.

Dlaczego? Znakomity watykanista Andrea Tornielli przekonuje, że abp Lefebvre uznał, że „Stolica Apostolska nie znalazła wśród duchownych Bractwa Kapłańskiego osób nadających się do biskupstwa", a także z powodu „obawy, że nowy biskup pochodziłby spoza Bractwa".

2 czerwca 1988 r. – choć rozmowy dotyczące zapobieżenia święceniom trwały – Lefebvre wysłał list do Jana Pawła II, w którym poinformował, że Bractwo nie podpisze żadnego porozumienia. I będzie czekać na „bardziej sprzyjający moment na powrót Rzymu do tradycji", a także modlić się, aby „dzisiejszy Rzym, dotknięty modernizmem, ponownie stał się Rzymem katolickim".

Efekt już znamy. Zarówno Lefebvre, jak i wyświęceni przez niego duchowni zostali ekskomunikowani.

Wciąż to samo

Od tego momentu nic praktycznie się nie zmieniło. Kolejne rozmowy, kolejne próby porozumienia zawsze kończyły się tak samo. Bractwo kluczy, zrywa rozmowy, dokonuje święceń bez zgody papieskiej, by na koniec z jednej strony zapewniać o wierności Rzymowi, a z drugiej – o oczekiwaniu na jego nawrócenie.

Po ogłoszeniu ekskomuniki przełożony Bractwa ks. Davide Pagliarani list takiej właśnie treści skierował do papieża Leona XIV. „Jesteśmy pewni, że pewnego dnia Wasza Świątobliwość lub jeden z Jej następców zechce uczynić swoim program świętego Piusa X: »Wszystko odnowić w Chrystusie« – »Instaurare omnia in Christo«. W tym dniu Ojciec Święty odkryje w Bractwie św. Piusa X nie zbiorowisko węży i skorpionów, lecz małą armię lojalnych synów, gotowych na wszystko, by wesprzeć Papieża w dziele odnowy wszystkich rzeczy w Chrystusie Panu oraz żeby wobec całej ludzkości upominać się o niezbywalne prawa Chrystusa Króla nad wszystkimi duszami i nad wszystkimi narodami" – napisał przełożony lefebrystów.

I podkreślił: „W tym dniu Ojciec Święty odkryje z wielką radością i głęboką pociechą autentycznie katolickie dusze, których więź z Kościołem nigdy nie opierała się na ruchomych piaskach dwuznacznego dialogu, lecz na skale Piotrowej wiary. Prosimy Najświętszą Dziewicę Maryję, by przyśpieszyła nadejście tego dnia, a przede wszystkim życzymy Waszej Świątobliwości, żeby jak najszybciej zaznał tej radości i pociechy".

Jednym słowem, lefebryści deklarują, że zachowują wierność papieżowi przyszłości, który kiedyś ich doceni, a nie temu, który obecnie sprawuje władzę.

Co z tego wszystkiego wynika? Otóż mniej więcej tyle, że – niezależnie od tego, co opowiadają teraz członkowie i zwolennicy Bractwa, znajduje się ono na kursie ku zbudowaniu własnej wspólnoty wyznaniowej. Mają własnych duchownych, własnych biskupów, własną sieć przeoratów (które pełnią funkcję parafii), których kilkanaście, w każdym niemal większym mieście, istnieje także w Polsce, a nawet własne wyznanie wiary. Jest więc tylko kwestią czasu, gdy uznają, że powinni osiągnąć pełną niezależność.

Doktrynalnie jest to dla nich trudne, bo oznacza zerwanie z papiestwem, a doktryna jakiej pozostają wierni, jest ultramontańska, oparta na przekonaniu o absolutnej, także politycznej, władzy papieża, oraz skupiona wokół papiestwa (idealnego, a nie realnego, ale jednak), ale logika ich działania, a także dynamika kolejnych decyzji pcha ich nieuchronnie w tym kierunku.

Kościół skrajnej prawicy

Usamodzielnieniu Bractwa sprzyja także dynamika polityczna – rozwój prawicowego populizmu. Dlaczego? Bo tak się składa, że ruch ten, szczególnie dobrze widać to we Francji, jest monarchistyczny i nacjonalistyczny, głęboko niechętny liberalnej demokracji i wrogi zmianom obyczajowym, co zbliża go do części populistycznej, skrajnej prawicy.

Tę bliskość buduje także wspólna niechęć populistycznej prawicy i lefebrystów do watykańskiej obrony migrantów i dialogu z islamem.

Wszystko to razem sprawia, że w postkatolickich krajach europejskich Bractwo Kapłańskie św. Piusa X może wobec populistów pełnić funkcję analogiczną do tej, jaką w USA wobec ruchu MAGA pełnią ewangelikalne wspólnoty protestanckie. To zaś będzie coraz mocniej odpychać te wspólnotę od Watykanu, który z przyczyn teologicznych niechętnie spogląda na te nurty myśli prawicowej.

Prędzej czy później więc, szczególnie jeśli Watykan nie poda po raz kolejny lefebrystom ręki (a niewiele wskazuje na to, by miało się tak stać), powstanie nowy Kościół z Écône. Ekskomuniki watykańskie tylko ten proces przyspieszą. ●

eprasa.pl 4ba45f9584

• Umęczonym kryzysami rodakom Javier Milei obiecywał rozgonienie kasty złodziei i pasożytów

FOT. TOMAS CUESTA/GETTY IMAGES

ARGENTYNA: REPUBLIKA POGRUCHOTANA

Od dwóch lat Argentyńczycy żyją w szokowej terapii ultraliberalnego kapitalizmu. Szok jest głęboki, gospodarka się powoli dźwiga. Ale zbawiennych owoców poniesionych ofiar Argentyńczycy wciąż nie widzą.

Maciej Stasiński

Kiedy dwa lata temu prezydent Javier Milei obejmował władzę, obiecywał odrodzenie Wielkiej Argentyny, niczym Donald Trump Wielkiej Ameryki. Zapowiadał walkę na śmierć i życie przeciw „przestępczej kaście", która przez kilkadziesiąt lat wpędzała kraj w chroniczną biedę. Niczym prorok anarcho-turbo-kapitalizmu twierdził, że uwolni gospodarkę i przedsiębiorczość z kleszczy opresyjnego wszech państwa. Przyrzekał drastyczne okrojenie Lewiatana, rozdętego i obrosłego w klientelistyczną torbiel.

Symbolem jego drakońskich cięć stała się piła mechaniczna, którą wymachiwał na wiecach. Przemawiał na nich do ludzi językiem pełnym gróźb, obelg i wyzwisk, zapewniając, że oczyści politykę z plagi łapowników, „złodziei", „pasożytów", i „mandryli".

Może nie uprzedzał Argentyńczyków, jak Winston Churchill Brytyjczyków, że czekają ich krew, pot i łzy, ale i tak większość z nich wiedziała, że idą ciężkie czasy. I jeśli Argentyńczycy kupili tę jawnie niedobrą nowinę, to dlatego, że mieli dość tego, co było.

I póki co gotowi są kupować dalej, choć poparcie dla Milei zwolna słabnie.

Milei: polityka jak wojna

Krach gospodarczy, kompromitacja rządzącej ekipy peronistów z obozu Kirchnerowców (Nestora i Cristiny Kirchner) i dosłownie degeneracja polityki, jakie zgotowały Argentyńczykom poprzednie władze, na razie wystarczają na pokrycie czeku in blanco, jaki wystawili nowemu prezydentowi.

Ale bilans jego rządów jest na razie mieszany. Ile w nich libertariańskiej demagogii i populizmu, a ile skutecznej polityki, nie wiadomo. Sukces makroekonomiczny jest niewątpliwy. Trzycyfrową w 2023 roku inflację (211 procent) zbił do 2-3 procent miesięcznie (w skali roku wynosi ok. 30 proc). Rząd zlikwidował deficyt budżetu i zanotował nadwyżkę, co nie zdarzyło się od lat, zniósł także masowe dotacje do cen energii, paliw, gazu. Obciął podatki od eksportu płodów rolnych (zbóż i mięsa), ściął wydatki budżetowe o 1/3. Po raz pierwszy w nowożytnej historii Argentyny budżet jest finansowany z podatków.

Otworzył gospodarkę chronioną podatkami i wysokimi cłami importowymi (przeszło 12 procentowymi) na import towarów i inwestycje kapitału zagranicznego.

Sprywatyzował 8 wielkich przedsiębiorstw państwowych (choć zamierzał 30).

Do pogrążonej od kilkunastu lat w stagnacji gospodarki, po kolejnym spadku w 2024 roku o 1,3 procent, w 2025 wrócił 4-procentowy wzrost i zapewne utrzyma się w 2026 roku.

Ale choć rosną górnictwo (wydobycie i eksport ropy, gazu i minerałów z przebogatego zagłębia Vaca Muerta) oraz sektor rolno-przemysłowy, dzięki światowej koniunkturze na surowce i żywność, to pozostałe dziedziny odpowiedzialne za zatrudnienie wciąż stoją. Sektor rolno-przemysłowy to 16 procent argentyńskiego PKB i 58 procent całego eksportu, ale zatrudnia ok. 4 mln, czyli ok. 20 procent wszystkich zatrudnionych.

Bolesny rachunek drakońskich cięć płaci nie „kasta", lecz klasa średnia, która gwałtownie zbiedniała, zwłaszcza dotyczy to osób pracujących w sektorze publicznym (o 33 procent), których jest ok. 4 mln (ponad 20 proc. zatrudnionych). To, wraz z liberalizacją prawa pracy, uwolnionego od państwowego gorsetu umów zbiorowych i potężnej centrali związkowej UGT, racjonalizuje i uelastycznia zatrudnienie, ale pobudza bezrobocie.

Upadło 22 tysiące małych i średnich przedsiębiorstw. Bezrobocie wzrosło do prawie 8 procent. Ludzie zjadają oszczędności, jeśli jeszcze je mają, by „dotrwać do pierwszego".

Nie udało się zreformować przeładowanego systemu podatkowego, państwowego systemu emerytalnego i ubezpieczeń społecznych oraz racjonalizować patologicznego systemu podziału podatków pomiędzy budżetem federalnym i 23 prowincjami (niekiedy oznaczającego podwójne opodatkowanie tych samych towarów lub usług).

Ze sztandarowej sanacji moralnej, czyli ze zniszczenia „kasty", nie tylko nic nie wyszło. Przeciwnie, starą zastąpiła nowa albo, przez kooptację nowa/stara. Rząd Javiera Milei, zdominowany przez nowych ludzi ze skrzyknięte j naprędce nowej partii Libertad Avanza (Naprzód Wolność), amatorów bez doświadczenia w polityce i zarządzaniu, za to głodnych władzy i bogactwa, traktuje politykę jak wojnę a władzę jak zdobyczne łupy.

Siostra Karina czyli „Szef"

Korupcja w rządzie, zamiast zostać zlikwidowana, panoszy się jak dawniej. Szef gabinetu prezydenta zbił w dwa lata fortunę, z której nie umie się wytłumaczyć, w mediach i parlamencie huczy, a prezydent nic z tym nie robi.

Dygnitarze rządowi rabowali miliony dolarów publicznych pieniędzy z funduszu dla niepełnosprawnych przeznaczonego na lekarstwa i renty. Oskarżonych jest 6 osób, w tym szef funduszu i osobisty adwokat prezydenta, oraz kilkunastu szefów firm farmaceutycznych pasożytujących na kontraktach publicznych.

Sam prezydent jest oskarżany o szwindel krypto walutami. Rząd jest rozdzierany bezwzględną walką o władzę między grupami interesów, którymi steruje siostra prezydenta Karina Milei, którą brat nazywa „Szefem".

– Ten rząd to koszmar – mówią mi rozmówcy, choć wolą, by ich nie cytować, bo dobrze życzą gospodarczej sanacji kraju.

– Kampania „Antykasta" to była tylko retoryka, żeby wygrać wybory w 2023 roku – mówi bez ogródek Luis Alberto Romero, wybitny historyk dziejów najnowszych i nieubłagany kronikarz dwudziestowiecznej zapaści Argentyny. – Milei nie ma pojęcia o rządzeniu, kieruje się ideami fixe, fantazjami, które przychodzą mu go głowy. Zachowuje się jak zbawiciel. Za to jego siostra Karina stąpa twardo po ziemi, tyle że resorty np. pracy, zdrowia czy robót publicznych, traktuje jak maszynkę do robienia interesów. Władza służy gromadzeniu łupów.

Uznani ekonomiści, którzy w przeszłości ze zmiennym powodzeniem podpowiadali kolejnym rządzącym, że tylko liberalne reformy mogą wydobyć gospodarkę z chronicznej stagnacji, chwalą cięcia budżetowe i sanację finansów publicznych, liberalizację rynku pracy oraz otwieranie gospodarki na świat. Ale uznają je dopiero za pierwszy krok w kierunku koniecznego przewrotu strukturalnego, m.in. reformy federalnych przepływów z budżetu centralnego do prowincji, czy też systemu emerytalnego.

Nie jest jasne, czy prezydent ma taki kompleksowy projekt państwa i gospodarki i czy, nawet jeśli go ma, to gotów jest forsować głęboką reformę ustroju, jakiej Argentyna potrzebuje po dziesięcioleciach dekadencji.

Wiadomo natomiast, że brakuje mu siły politycznej, by je przeprowadzić. Nie dba bowiem o sojusze partyjne w parlamencie, w którym jego ugrupowanie jest wciąż w mniejszości: ma 101 posłów (na 257) oraz 20 z 72 senatorów. Wystarcza to do uchylania ewentualnego weta parlamentu dla prezydenckich dekretów, ale nie do forsowania regularnych ustaw, bez których nie da się rządzić na dłuższą metę. Dalekosiężne reformy wymagają cierpliwych uzgodnień, w tym z silnym ugrupowaniem prowincjonalnych gubernatorów (Argentyna jest państwem federalnym, gdzie prowincje mają dużą władzę autonomiczną). Javier Milei nie ma do tego głowy.

Jego „flagowy" minister deregulacji Federico Sturzenegger opracował szczegółowy wykaz uchwalonych za poprzednich rządów ustaw, które pozwalają na robienie złodziejskich interesów na finansach publicznych. Ale korygująca je mega ustawa tzw. Ley Omnibus przepadła w parlamencie, a prezydent nie ma cierpliwości, żeby tę reformę kontynuować, tym bardziej, że w mętnej wodzie ryby łowią jego nowi ludzie.

„Milei mnie rozczarował"

Tymczasem rządy Javiera Milei i jego koterii, panosząca się korupcja, intrygi, chamskie maniery i brutalność budzą niesmak i sprzeciw opinii publicznej, w tym także tych, którzy reformom gospodarczym, jako ozdrowieńczym, sprzyjają. Aprobata dla Milei spadła poniżej 40 procent, podczas gdy ok. 60 procent mu nie wierzy.

Prezydent Milei sojuszników bowiem nie szanuje, a krytyków, nawet przychylnych, nie toleruje na jotę. Pozbył się i poobrażał najlepszych doradców liberalnych, jak Domingo Cavallo czy Ricardo Lopez Murphy, którzy z nadzieją witali jego prezydenturę. Murphy, były minister obrony i gospodarki, polityk i ekonomista, uważa, że cały pomysł na rządzenie prezydenta Javiera Milei to jest państwo bez żadnych regulacji prawnych.

– Zgadzam się z Lopezem Murphym – mówi Domingo Cavallo, autor reform liberal-

eprasa.pl 4ba45f9584

nych z lat 90. ubiegłego wieku, m.in. powiązania waluty argentyńskiej 1:1 z dolarem amerykańskim. – Milei mnie rozczarował, stracił busolę. On nie jest żadnym liberałem, tylko anarcho kapitalistą. Nie ma pomysłu na budowę nowej republiki.

Politykę prezydent traktuje jak wolną amerykankę, podział władz i państwo prawa jako zawalidrogę i zawracanie głowy. Niedawno usiłował poniewczasie zablokować powołanie sędzi Veroniki Michelli na urząd sędziego federalnego, gdy dowiedział się, że jeden z czołowych dziennikarzy tropiących korupcję władzy jest jej kuzynem. Senat odrzucił ten zamach prezydenta przytłaczającą większością głosów, a do sprzeciwu przyłączyła się jego do niedawna kluczowa minister ds. bezpieczeństwa i szefowa klubu senackiego partii prezydenckiej Patricia Bullrich.

Wolna prasa jest dla Milei wrogiem publicznym, bo dziennikarze tropią afery, zaglądają za fasadę władzy, jak wcześniej, gdy demaskowali skandale korupcyjne rządów Nestora i Cristiny Kirchnerów, Mauricio Macriego czy Alberto Fernandeza.

Dla Kirchnerów prasa była znienawidzoną tubą „neoliberalnej oligarchii". Dziś ta sama prasa, wielkie dzienniki „Clarin" i „La Nacion", są według Milei tubą „kasty" i prezydent zwalcza ją, jak może. Dziennikarzy odgrodził od rządu. W pałacu prezydenckim Casa Rosada, gdzie od lat polowali na newsy i przecieki, ministrowie ich ignorują, śledzą ich kamery, a do toalet mogą iść tylko w eskorcie personelu wojskowego. „Nigdy nie dość nienawiści do dziennikarzy!" – napisał na X prezydent. Wcześniej poświęcił dziennikarzom, których bezustannie wyzywa od „koperciarzy" i „mandryli", pół tysiąca tweetów, którymi porozumiewa się z opinią publiczną.

– Javier Milei doszedł do władzy owinięty flagą oskarżeń wobec przekupnej kasty i obietnicy oczyszczenia bagna. Po dwóch latach, wg. badań opinii, obsada personalna kręgu władzy jest oceniana źle. Milei nie wywiązał się z powierzonego mu mandatu. Brakuje tylko, by uznano, że zepsuł to, co obiecywał naprawić – uważa wiodący komentator dziennika „La Nacion", Carlos Pagni.

Outsider chuligan

Od dwóch lat Argentyńczycy żyją w szokowej terapii ultraliberalnego kapitalizmu. Zgodzili się na szok, bo dziesięciolecia poprzednich rządów peronistów skończyły się katastrofą.

Milei rządzi jak prorok i chuligan. Na krytyków nie zważa, sojuszników nie szuka, doradców obraża. Na głosy, że tak rządzić się nie da, jeśli wydobycie Argentyny z wieloletniej zapaści i marazmu ma się udać, jest głuchy.

Lepszy słuch miał 3 lata temu, gdy jako „czarny koń", poseł ale spoza wiodących partii, niezbyt znany ekonomista i ekstrawagancki publicysta telewizyjny, stanął do wyborów prezydenckich i je wygrał.

Usłyszał bowiem, że Argentyńczycy, zrozpaczeni z powodu kolejnego kryzysu, mieli dość. Uznali wówczas, po kolejnych czterech latach rządów peronistowskich, że tak dalej rządzić krajem się nie da, a oni sam tak dalej nie chcą żyć. Przemawiała przez nich 200-procentowa hiperinflacja i obszar biedy ogarniający 40 procent społeczeństwa.

Javier Milei zdołał ich przekonać, że to on właśnie, outsider, przyniesie im lepsze jutro. Wrzeszczał i lżył, tępił państwo i socjalizm jako systemowe złodziejstwo, wielbił wolność i własność, szczuł na „pasożytów i szczury", które zniszczyły Argentynę, obiecywał rozgonić na cztery wiatry całą kastę polityków, groził („drżyjcie, lewackie skurwysyny!") i szydził, zaprzeczał globalnemu ociepleniu, rehabilitował dyktaturę wojskową, argentyńskiego papieża wyzywał od komuchów. – Podatki to grabież! Państwo to gang przestępczy! Socjalizm to rak! A ja jestem lwem! – krzyczał.

Nikt z licznych rozmówców: historyków, ekonomistów, publicystów i polityków, których w dwa lata po jego zwycięstwie w wyborach pytałem w Buenos Aires o gwiezdny lot Javiera Milei, nie ma wątpliwości, że najpoważniejszym źródłem jego zwycięstwa i kariery były gniew, a nawet wściekłość Argentyńczyków na katastrofalne dziedzictwo rządów Kirchnerów. Tylko to tłumaczy, że nie przeszkadzały im ani maniery, ani język, ani grubiaństwo Milei. Wszystko uchodziło mu na sucho.

Niezależnie od brutalnego języka nienawiści Milei, dopiero zrozumienie tego, co przyniosły niemal dwudziestoletnie rządy tzw. obozu kirchnerystów, czyli Nestora i Cristiny Kirchner (2003-2023 z krótką przerwą na lata 2015- 2019), a szerzej rządy peronistów (od Juana Domingo Perona, prezydenta w latach 1945-1955), pomaga pojąć, jak społeczeństwo wyrosłe pod urokiem peronizmu, mogło po dobroci zaakceptować ultraliberalny szok, który Javier Milei im otwarcie obiecywał.

Historyk Luis Alberto Romero i Camila Perochena, pisarka Norma Morandini, ekonomiści liberalni Domingo Cavallo, Ricardo Lopez Murphy czy Nicolas Dujovne, publicyści „Clarina" i „La Nacion" nie mają ideowo ze sobą wiele wspólnego. Ale jedno wiedzą. A mianowicie, że peronizm, a szczególnie „kirchneryzym", to czas upadku, który pogrążył Argentynę w bez mała cywilizacyjnej zapaści.

Kirchnerowie wywodzą się z peronizmu, czyli ruchu zapoczątkowanego z końcem drugiej wojny światowej przez Juana Domingo Perona. Jego świeckim dogmatem i propagandowym refrenem stało się, że władza pochodzi od ludu i tylko ludowi służy. Dla „przyjaciół ludu" z ruchu Perona i jego kontynuatorów sztandarem stał się nacjonalizm, a narzędziem realizacji interesów ludu/narodu – Państwo. Ideologia peronistowska wykluczała walkę klas, a Państwo miało harmonizować kapitał i pracę, ale najpierw musiało wziąć pod opiekę świat pracy.

W latach swoich rządów Peron ustanowił prawa pracownicze i dał władzę związkom zawodowym. Symbolem władzy ludu stał się Dekalog Praw Robotnika z 1947 gwarantujący robotnikom m.in. prawo do pracy, wykształcenia, wypoczynku, rozwoju zawodowego, ubezpieczenia społecznego, dobrobytu i godności. Gwarancję tych praw wzięło na siebie Państwo, które stało się gigantycznym rozdawcą dóbr materialnych i niematerialnych: od żywności, odzieży i maszyn po szycia, zapomóg i stypendiów na naukę, dodatków na urlopy po opiekę społeczną i zdrowotną. Ludową dobroczynnością zajmowała się fundacja Evy Peron, a ona sama została dożywotnią a pośmiertnie świecką świętą, matką dobrodziejką obdarzającą lud łaskami i dobrami.

Opiekuńcze i dobroczynne Państwo Peron finansował z rezerw dewizowych, nacjonalizacji banku centralnego i zasobów naturalnych, państwowego monopolu na handel zagraniczny oraz nadzwyczajnych dochodów z eksportu żywności wysyłanej do krajów zrujnowanych w drugiej wojnie światowej oraz przez drukowanie pieniędzy.

Perón przeorał hierarchie społeczne, awansował i uobywatelnił robotników, wykluczonych i biednych, dał prawa wyborcze kobietom, budował szpitale i szkoły, sierocińce i domy opieki społecznej. Dyktował propagandę własnych ludowych rządów i mesjańskiej misji żony powielaną w szkolnych podręcznikach. Prawomyślności pilnowała powszechna cenzura. Elity Peron postponował, a na publiczne stanowiska promował „sankiulotów", ludzi z ludu, wiernych, choć miernych. Jego rządy zapisały się w pamięci zbiorowej milionów Argentyńczyków jako złoty czas, gdy lud został nakarmiony, ubrany i wychowany, a nade wszystko doceniony.

Perona obaliła armia w 1955 r, ale jego mit przetrwał jako sztandar ideologiczny sprawiedliwości społecznej kolejnych rządów powołujących się na peronistowski rodowód.

Peroniści kontra goryle

Peronizm padał i wstawał, gromiony przez dyktatury wojskowe po 1955 roku, przez prawie 20 lat był zakazany jako partia i wyjęty spod prawa jako pojęcie. Przemieniał się niczym kameleon w odmiany to prawicowe (druga kadencja Perona i jego drugiej żony Izabeli 1973-1975), czy liberalne rządy Carlosa Menema (1989-1999), to lewicowe a nawet rewolucyjne, jak terrorystyczna partyzantka miejska Montoneros w latach 60-70, ale trwał niezmiennie jako mit ludowy i narodowy. Argentyna stała się na dziesięciolecia polem bitwy między peronistami i antyperonistami, zwanymi potocznie „gorylami".

Kolejna, wyjątkowo zbrodnicza dyktatura wojskowa, która opanowała Argentynę w latach 1976-1983, skłóciła tylko społeczeństwo i tak już podzielone ma wrogie obozy.

Peronistowski mit ludowego zbawienia przez zbrojną rewolucję nie tylko przetrwał dyktaturę, która w imię Boga i Ojczyzny wymordowała co najmniej 9 tysięcy ofiar, a dziesiątki tysięcy wypędziła na wygnanie, ale został wyryty w wielu argentyńskich głowach niczym w kamieniu. Wysiłki zasypania przepaści społeczeństwa podzielonego na wrogie hufce spełzły na niczym. Główni generałowie junty zostali wprawdzie osądzeni i skazani za zbrodnie, ale głębsze rozliczenia armia zastopowała pod groźbą kolejnego puczu. Za terroryzm skazano także trzech komendantów Montoneros, jednak ich mit nie został zrewidowany.

Peronistowski prezydent Carlos Menem chciał pojednania narodowego, więc w 1989 roku ułaskawił zarówno generałów, jak i komendantów Montoneros. Na nic. Wielu Argentyńczyków pozostało w przekonaniu, że peroniści jako przyjaciele ludu zawsze stoją po słusznej stronie historii, a naprzeciw mają nieprzejednanych wrogów.

Społeczeństwo w końcu zażąda wyników swoich wyrzeczeń. I jeśli się ich nie doczeka, Javier Milei przegra wybory 2027 r. I co wtedy?...

Zwycięskiego i niemal odkupicielskiego zmartwychwstania mitu podjęli się Nestor Kirchner i jego żona Cristina. W 2003 roku, niedługo po krachu finansowym kraju, Kirchner, gubernator patagońskiej prowincji Santa Cruz wygrał wybory prezydenckie (22 procent głosów w pierwszej turze dało mu prezydenturę, gdy z drugiej wycofał się Menem).

Odbudowanie gmachu państwa dobroczynnego w służbie ludu zrazu poszło dobrze. Boom światowy na żywność i inne surowce pomagały dźwignąć Argentynę z upadku 2001 roku. PKB rósł o 7-8 procent rocznie, bieda się kurczyła. a bezrobocie spadało. Kraj spłacił długi zaciągnięte w MFW. Koniunktura pomagała dotować ceny, finansować programy społeczne, rozdawnictwo dóbr. Państwo się rozrastało i zatrudniało miliony pracowników na pensjach. Wydatki publiczne wzrastały lawinowo (z 25 proc. PKB w 2006 r do 42 proc. pod koniec rządów Kirchnerów), a wraz z nimi szybował deficyt budżetu.

Jednocześnie Nestor Kirchner tkał sieć mafijnych interesów zbijanych przez zaprzyjaźnionych biznesmenów na państwowej kasie bez dna (zamówienia rządowe za łapówki). Korupcja stała się krwiobiegiem rządu.

– Za Kirchnerów nastąpił prawdziwy skok jakościowy – mówi Luis Alberto Romero. – Państwo przechwyciła kleptokracja. W środku matni siedział pająk Nestor Kirchner, który kontrolował wszystko.

„Kleptopaństwo" Kirchnerów

Gmach państwowej dobroczynności zaczął się chwiać, gdy zabrakło pieniędzy. Wówczas rząd sięgnął po rezerwy banku centralnego, nacjonalizację koncernu petrochemicznego YPF (od 1999 r. należącego do hiszpańskiego Repsolu) i fundusze emerytalne.

– Rząd wywłaszczył YPF-Repsol bez odszkodowania, opróżnił jego aktywa, po czym akcje rozdał prowincjom i „swoim", czyli figurantom prezydenta – opowiada Domingo Cavallo, były minister i liberalny ekonomista.

Nie zapłacone Repsolowi 16 mld dolarów odszkodowania darował rządowi Argentyny sąd w USA dopiero w 2024 roku. W 2008 rząd Kirchnerów upaństwowił prywatne fundusze emerytalne i skonfiskował 24 mld dolarów oszczędności ok. 9.5 mln Argentyńczyków. – Ta polityka to była prawdziwa grabież stulecia – mówią dzisiaj Cavallo i Lopez Murphy.

Wywłaszczenia, nacjonalizacje firm, przejmowanie rezerw banku centralnego na potrzeby bilansowania bankrutujących finansów państwa, drukowanie pieniędzy napędzających inflację stały się na lata sposobem rządzenia „kleptopaństwem" Kirchnerów.

– Z punktu widzenia wiedzy ekonomicznej Kirchnerowie dokonali w Argentynie prawdziwego mordu na gospodarce – podsumowuje były minister i ekonomista Nicolas Dujovne.

Państwo K, jak nich powszechnie nazywano, byli także sprawnymi inżynierami dusz. Kultywowali propagandę własnych dokonań, którą niepomni orwellowskich skojarzeń nazwali nawet „Pensamiento Nacional" (Myśl Narodowa), a w 2024 roku wręcz ustanowili ministerstwo prawdy – Sekretariat ds. Strategicznej Koordynacji Myśli Narodowej.

Propaganda głoszona za pośrednictwem transmitowanych na żywo przemówień Cristiny Kirchner dowodziła, że Nestor i Cristina są drugim wcieleniem „dwójcy świętej" Juana Domingo i Evy Peron. Na opozycję, media, czy ekspertów nie klaszczących rządowi, spadały obelgi, że należą do oligarchii, „sługusów korporacji", „neoliberałów" i „puczystów".

Kasta za nic nie zapłaci

Dziś epoka Kirchnerów minęła. Nestor nie żyje od 2011 r, a wdowa po nim odsiaduje w domu 6 lat więzienia, skazana za jedną z wielu afer korupcyjnych w jej rządzie.

– Gospodarczo rzecz biorąc bilans rządów Kirchnerów jest katastrofalny – mówi Domingo Cavallo. – Zacofany z braku inwestycji i zdewastowany aparat produkcji przemysłowej, kolosalny deficyt finansów publicznych, hiperinflacja, dekapitalizacja gospodarki. Poza tym korupcja systemowa, indoktrynacja akademicka, przepisywanie na nowo historii kraju.

– Skutkiem jest zbankrutowany system opieki zdrowotnej, społecznej i emerytur. Rozdęty sektor publiczny, ogromne przerosty zatrudnienia w administracji państwowej i prowincjonalnej. I, co gorsza, całkowity rozwód aspiracji społecznych z produktywnością gospodarki – wtóruje mu Lopez Murphy.

– Czy peronizm umarł? – pytam. – Czy Argentyna skazana jest dalej na popadanie ze skrajności w skrajność? Czy peronizm może wrócić w kolejnym przebraniu?

– Peronizm miał skonać, kiedy byłem dzieckiem, a potem jeszcze kilka razy – mówi mi Luis Alberto Romero. – Mity nie umierają. Potrzeba co najmniej dwóch kadencji, 8-10 lat racjonalnych rządów, żeby peronizm zdelegitymizował się w oczach społeczeństwa.

– Cristina Kirchner wciąż ma wielu zwolenników. Argentyńczycy przywykli do życiowego cwaniactwa, do życia poza prawem. Jeśli za rządów Javiera Milei gospodarka się nie odrodzi, wahadło zawróci w stronę peronizmu – uważa Camila Perochena.

– Milei to niezrównoważony narcyz, nie zna granic, uważa, że może wszystko. Chce rządzić poza i ponad instytucjami – mówi Carlos Malamud, argentyński historyk z hiszpańskiego think tanku Real Instituto Elcano. – On potrzebuje „kasty" Kirchnerów jako wroga. Mówi, że zapłaci za wyrzeczenia szokowej terapii gospodarczej. Ale sam jej część zaadoptował do swojego rządu i rządzi w jej imieniu. Kasta za nic nie zapłaci. Płaciło i płaci społeczeństwo, klasa średnia. Społeczeństwo w końcu zażąda wyników swoich wyrzeczeń. I jak się ich nie doczeka, Milei przegra wybory w 2027 roku.

I co wtedy?...

eprasa.pl 4ba45f9584

NAUKA PSYCHOLOGIA

Choroba pioniera

Ameryka wymyśliła przyszłość. I utknęła w jej pierwszej wersji

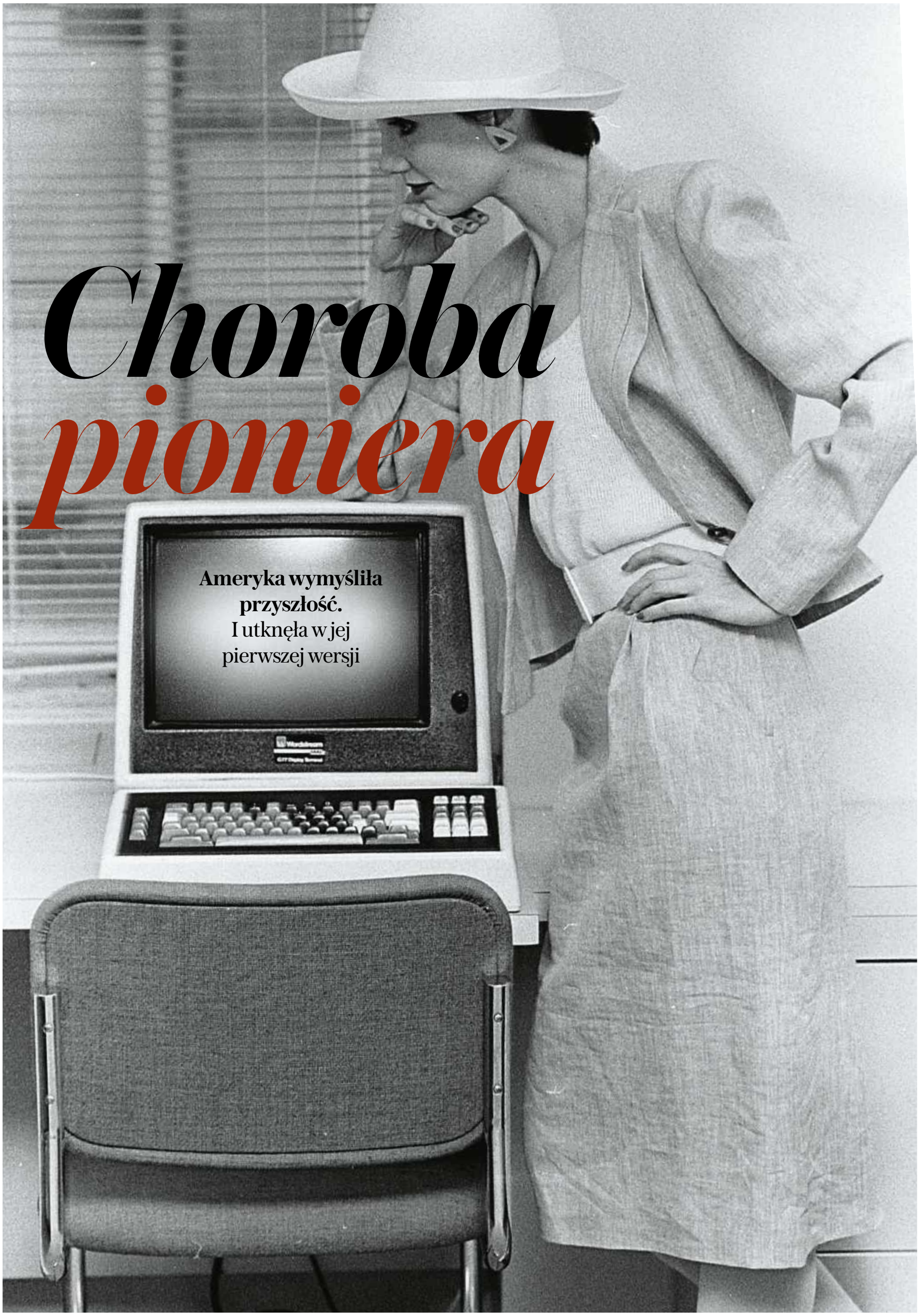

FOT. THOMAS IANNACCONE/DUSTIN PITTMAN/TONY PALMIERI/WWD/PENSKE MEDIA VIA GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

Piotr Cieśliński

W 250. rocznicę powstania Stanów Zjednoczonych najłatwiej byłoby napisać tekst o tym, że Ameryka się kończy, a jej miejsce światowego lidera zajmują Chiny. Ale to zbyt prosta i łatwa puenta. Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, historia amerykańskiej nauki i technologii jest bardziej przewrotna.

USA wciąż są jedną z największych maszyn innowacji, jakie stworzyła ludzkość. Dały światu internet, GPS, Dolinę Krzemową, loty na Księżyc, współczesną biotechnologię, szczepionki mRNA, wielkie platformy cyfrowe, sztuczną inteligencję i półprzewodnikowe imperia. To kraj, w którym powstają technologie zmieniające pracę, medycynę, wojnę, komunikację i sposób myślenia o przyszłości. A jednocześnie to kraj, w którym codzienność potrafi wyglądać tak, jakbyśmy oglądali film z poprzedniej epoki. Czeki, faksy w ochronie zdrowia, telefoniczne rezerwacje, archaiczne systemy urzędowe, brak wspólnej infrastruktury cyfrowej, kolejki, papierowe dokumenty i pośrednicy.

Ameryka ma OpenAI, Google'a, Nvidię, Apple'a i Microsoft. Ale obywatel, który kontaktuje się z lekarzem, bankiem, urzędem albo szkołą, często trafia na system, który pamięta jeszcze czasy drukarek igłowych.

To nie jest prosty dowód zacofania. Raczej paradoks kraju, który jako pierwszy zbudował wiele elementów nowoczesności, a potem utknął w ich najstarszych wersjach.

Można to nazwać chorobą pioniera. Kto buduje infrastrukturę pierwszy, ten później najdłużej żyje z konsekwencjami jej starzenia się. W momencie powstania system jest nowoczesny, imponujący, czasem rewolucyjny. Potem stopniowo się starzeje, ale jest tak rozbudowany i obudowany przepisami, interesami, usługami, nawykami użytkowników, lokalnymi wyjątkami i prawnymi zasiekami, że jego wymiana staje się praktyczną niemożliwością. Można co najwyżej dostawiać kolejne nadbudówki, aż całość staje się kompletnie niefunkcjonalna. USA mają takich systemów wiele. Bankowość, ochrona zdrowia, administracja publiczna, transport, edukacja, infrastruktura miejska. Każdy z nich ma własną historię, własnych obrońców i własne powody, dla których „nie da się tego po prostu zmienić".

Dla kogoś, kto przyjechał do USA z Europy Środkowej na początku XXI wieku, ten kontrast był uderzający. Kiedy w 2006 roku spędziłem wiele miesięcy w Bostonie, Ameryka nie wyglądała dla mnie jak kraj zacofany. A jednak nad ulicami Cambridge wisiała plątanina kabli rozpiętych na starych drewnianych słupach, czasem wyraźnie przechylonych, jakby od lat czekały na remont. Podobne widziałem dwa tygodnie temu w Albanii. Codzienność potrafiła tam wyglądać zaskakująco staroświecko.

Najbardziej zapamiętałem czeki. W Polsce karta płatnicza była już dla mnie czymś zwyczajnym, tymczasem w USA wciąż wypisywało się czeki za czynsz, rachunki, usługi, czasem za rzeczy, które u nas coraz częściej załatwiało się elektronicznie. Nie odbierałem tego wtedy jako zapóźnienia. Raczej jako znak zaufania społecznego: wystawiam kawałek papieru, podpisuję się, a odbiorca wierzy, że za tym podpisem stoją pieniądze. Dopiero później zacząłem rozumieć, że w tym zaufaniu było też coś innego: bezwład starego systemu, który trwał, bo wszyscy nauczyli się w nim żyć.

Podobne wrażenie robiła infrastruktura. Boston był miastem Harvardu, The Massachusetts Institute of Technology (MIT) i szpitali z absolutnej światowej czołówki, ale jego metro sprawiało wrażenie urządzenia z poprzedniej epoki. Wagon potrafił jęczeć, peron wyglądać jak scenografia do horroru, a system biletowy był daleki od prostoty, do której przyzwyczajała się Europa. W czasach, gdy miasta na świecie zaczynały oswajać karty zbliżeniowe i jednolite bilety, w Bostonie wciąż można było mieć poczucie, że komunikacja publiczna jest zszyta z kilku epok naraz.

Podobnie było z drogami. Wielka Ameryka autostrad, zbudowana dzięki wielkim powojennym federalnym inwestycjom, miejscami wyglądała tak, jakby od tamtej pory nikt jej nie tknął. Beton, wiadukty, tunele, mosty, potężne węzły drogowe: wszystko to przypominało, że USA potrafiły kiedyś budować z rozmachem. Ale jednocześnie coraz trudniej było ukryć, że wielkie konstrukcje też się starzeją, a państwo, które umiało je stworzyć, nie radzi sobie z ich utrzymaniem.

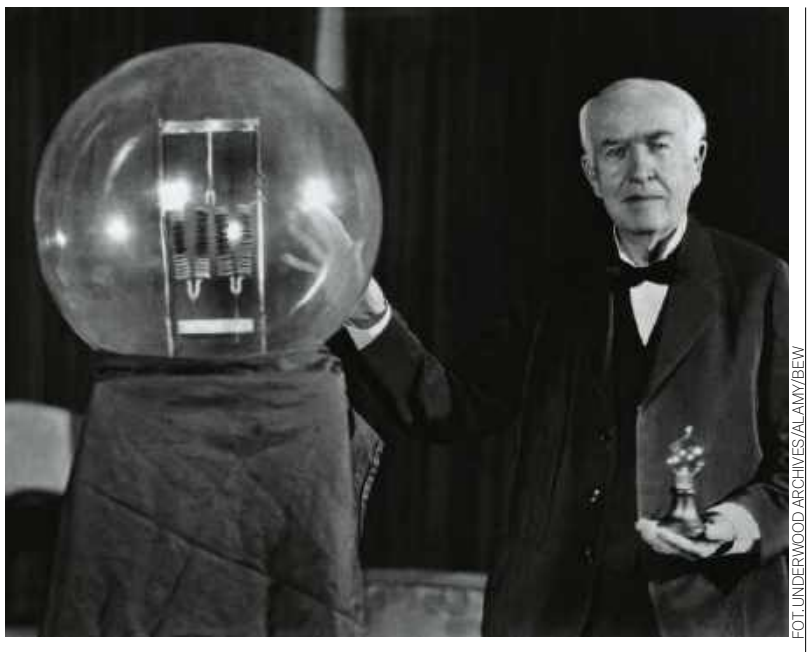

FOT. UNDERWOOD ARCHIVES/ALAMY/BEW

• **Thomas Edison z repliką swojej pierwszej udanej żarówki. Obok szczyt ówczesnej techniki oświetleniowej – lampa o mocy 50 tys. watów**

Boston miał zresztą własny symbol tych kłopotów: Big Dig, gigantyczny projekt drogowy, który miał naprawić miasto – schować pod ziemią cały fragment autostradowego systemu, razem z węzłami, tunelami i połączeniem z lotniskiem, które odcinały Boston od dzielnic portowych. Udało się, ale cena tego była ogromna: gigantyczne przekroczenia budżetu, opóźnienia, niekończące się przecieki, błędy nadzoru czy tragiczny wypadek spowodowany zapadnięciem się fragmentu tunelu w 2006 roku.

Zderzeń z kłopotliwą amerykańską codziennością miałem więcej. W gabinetach lekarskich i urzędach wypełniało się kolejne papierowe formularze, często podając te same dane po raz któryś. W bankach i instytucjach wciąż królowały podpisy, druki, poczta i pośrednicy. Rezerwacje telefoniczne doprowadzały mnie do szału. Karty płatnicze działały często przez przeciągnięcie paska magnetycznego i podpis, nie przez PIN, co dla Europejczyka było już sporym zapóźnieniem. W skrzynce pocztowej lądowały rachunki, kupony, pisma z uczelni, od ubezpieczyciela i z banku.

Cyfrowa przyszłość gdzieś tam już istniała, ale papierowa teraźniejszość wcale nie zamierzała ustąpić jej miejsca.

To było charakterystyczne dla USA: współistnienie skrajności. W tym samym mieście można było rano przechodzić obok laboratoriów, w których powstawała przyszłość medycyny i informatyki, a po południu stać w kolejce do systemu, który był dziedzictwem zeszłej epoki.

Ameryka nie była krajem bez nowoczesności. Tam nowoczesność i archaiczność mieszkały drzwi w drzwi.

•

Oczywiście, myśmy mieli łatwiej. W Europie albo Azji niektóre usługi publiczne powstawały później, już w cyfrowej epoce. Poza tym w mniejszych państwach łatwiej było je ujednolicić czy zmienić. Co więcej, w krajach, które modernizowały się później, dało się czasem od razu przeskoczyć etap papieru, czeków i lokalnych baz danych. Ameryka nie przeskakiwała. Wymyślała schody, a potem przez dekady musiała po nich chodzić.

FOT. GETTY IMAGES

• **Motorola Dyna TAC 8000X. Pierwsza na świecie „komórka" dostępna w sprzedaży**

Ameryka ma OpenAI, Google'a, Nvidię, Apple'a i Microsoft. Ale obywatel, który kontaktuje się z lekarzem, bankiem, urzędem albo szkołą, często trafia na system, który pamięta jeszcze czasy drukarek igłowych

Polska na przykład bez trudu wdrożyła telefonię komórkową, bo zwykłe telefony nigdy się nie rozpowszechniły, zawsze były dobrem rzadkim. Kiedy przeniosłem się do USA, byłem bezbrzeżnie zdumiony, że sieci nie pokrywają całej Ameryki, co u nas było już standardem. Za to telefoniczne budki stały na każdym kroku, nawet w środku parku narodowego.

Ale „syndrom pioniera" tłumaczy tylko część sprawy. Druga część jest polityczna i społeczna. USA są mistrzem prywatnej innowacji, ale znacznie słabiej radzą sobie z publiczną modernizacją. Ich model technologiczny świetnie produkuje firmy, platformy, patenty, produkty i miliarderów. Dużo gorzej tworzy równe, sprawne i powszechne usługi.

To widać szczególnie dobrze w kontraście między Doliną Krzemową a codziennym państwem.

Amerykańskie firmy potrafią trenować modele sztucznej inteligencji na gigantycznych zbiorach danych, projektować układy scalone o kosmicznej złożoności i budować rakiety wielokrotnego użytku. Ale to nie znaczy, że zwykły człowiek ma sprawny dostęp do lekarza, transportu publicznego, internetu szerokopasmowego, taniego mieszkania czy prostego cyfrowego kontaktu z administracją.

Przyszłość w USA istnieje. Tyle że jest nierówno rozprowadzona. Jedni żyją w świecie indywidualnych terapii genowych, prywatnych klinik, autonomicznych samochodów, edukacji za setki tysięcy dolarów, domów naszpikowanych elektroniką i pracy z najnowszymi narzędziami AI. Inni muszą się borykać z brakiem ubezpieczenia zdrowotnego, wielogodzinnymi dojazdami, słabym internetem, beznadzieją upadłych miasteczek, niedofinansowanymi szkołami i infrastrukturą, która pamięta zdecydowanie lepsze czasy.

W tym sensie USA nie tyle są krajem przyszłości, ile krajem wielu przyszłości naraz. Niektóre są olśniewające. Inne przypominają dystopie.

•

Przy okazji warto rozbić jeden z najtrwalszych amerykańskich mitów: opowieść o pucybucie, który zostaje milionerem, albo o genialnym chłopaku z garażu, który sam zmienia świat. Takie historie są częścią legendy tego kraju, ale prawdziwa historia amerykańskich innowacji jest dużo ciekawsza i mniej indywidualna.

Nie została stworzona w samych garażach. Stworzyły ją państwowe pieniądze, wolne uniwersytety, zamówienia wojskowe, laboratoria federalne, drenaż talentów z całego świata, prawo patentowe i venture capital, czyli fundusze gotowe pompować pieniądze w młode firmy technologiczne, z których większość przepadnie, ale kilka może zmienić cały rynek. Do tego dochodziła kultura akceptująca ryzyko porażki oraz ogromny rynek wewnętrzny. To był system, który przez dekady potrafił połączyć pieniądze podatników, ambicje naukowców, potrzeby armii, wyobraźnię przedsiębiorców i marzenia ludzi przyjeżdżających do USA z całego świata.

Projekt „Manhattan", który doprowadził do budowy bomby atomowej, nie był historią jednego geniusza. Był gigantycznym federalnym przedsięwzięciem rozpiętym między laboratorium w Los Alamos, zakładami wzbogacania uranu w Oak Ridge i produkcją plutonu w Hanford.

Księżycowy program „Apollo" nie był garażowym start-upem, tylko mobilizacją całego państwa, NASA, uczelni i przemysłu: od MIT, które pracowało nad systemami naprowadzania, po wielkich wykonawców budujących moduły, rakiety i elektronikę.

Internet nie narodził się z fantazji prywatnych firm, lecz z finansowanego przez agencję zaawansowanych projektów badawczych ARPA projektu ARPANET rozwijanego przez uczelnie, państwo i firmy technologiczne.

Także współczesna biotechnologia nie wyrosła poza uniwersytetami i publicznym finansowaniem badań, czego przykładem jest Human Genome Project, wielki publiczny program mapowania ludzkiego genomu.

Nawet Dolina Krzemowa, symbol prywatnej przedsiębiorczości, była zanurzona w państwowych zamówieniach, uczelniach, kontraktach wojskowych i pracy naukowców z wielu krajów. Przykładem jest Elon Musk.

W popularnej opowieści to samotny wizjoner, który rzucił wyzwanie skostniałej NASA. Tyle że SpaceX nie wyrósł poza państwem, lecz dzięki niemu. Gdy firma po serii nieudanych startów była blisko upadku, kluczowe okazały się programy i kontrakty NASA, zwłaszcza zamówienie na dostawy ładunków na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS).

eprasa.pl 4ba45f9584

Podobnie było z Teslą, która korzystała z pożyczki Departamentu Energii, ulg dla nabywców aut elektrycznych, kredytów regulacyjnych i zachęt stanowych dla fabryk. Państwo stworzyło warunki, w których prywatna firma mogła przetrwać najtrudniejszy etap, zdobyć klientów i urosnąć do skali, przy której zaczęła zmieniać cały przemysł samochodowy.

Amerykańska innowacyjność była od początku projektem zbiorowym. I w ogromnej mierze imigracyjnym. USA przez dekady potrafiły zasysać talenty z Europy, Azji, Związku Radzieckiego, Indii, Chin, Iranu, Izraela i wielu innych miejsc. To imigranci i dzieci imigrantów współtworzyli amerykańską fizykę, matematykę, inżynierię, medycynę, informatykę i biznes technologiczny. Ameryka wygrywała nie dlatego, że rodziła i kształciła wszystkich geniuszy u siebie. Wygrywała, bo potrafiła przekonać talenty z całego świata, że właśnie tam warto pracować, zakładać laboratoria, firmy i rodziny. To była jedna z największych przewag USA. Kraj, który zbudował mit niezależności, w praktyce zbudował potęgę na zależności od globalnego talentu.

Dlatego w 250-lecie USA warto zapytać, czy Ameryka wciąż utrzymuje mechanizmy, które zrobiły z niej naukową potęgę.

Co na miarę teflonu i Google wynalazły Uber i Airbnb

Część z nich wyraźnie zaczęła się zacierać. Jest nawet gorzej: zaczyna rozjeżdżać się cały układ współzależności. USA nadal mają fantastyczne firmy, uczelnie i kapitał, ale coraz częściej nie potrafią zmienić tych przewag w sprawne państwo. Dziś w tym modelu kuleje prawie każdy element, choć nie każdy w tym samym stopniu.

Drenaż mózgów z całego świata nadal działa, ale słabiej niż kiedyś. USA wciąż przyciągają najlepszych, lecz coraz częściej odstraszają ich kosztami życia, chaosem wizowym, niepewnością polityczną, podejrzliwością – jak na przykład wobec badaczy z Chin – i atmosferą wojny kulturowej wokół uczelni. Kraj, który wygrał XX wiek dzięki importowi talentów, zaczyna traktować część potencjalnych talentów jak zagrożenie.

Inwestycje publiczne są wciąż ogromne, ale mniej stabilne.

Federalne finansowanie badań stało się przedmiotem politycznych szarpanin, ideologicznych cięć i budżetowych wojen.

Uniwersytety badawcze nadal są potęgą, ale coraz bardziej przypominają oblężone twierdze. Rosną koszty studiowania, narasta biurokracja, badacze żyją od grantu do grantu, a uczelnie stały się celem politycznych ataków. Autonomia uczelni i wolność badań są pod presją polityczną, finansową i ideologiczną. To zabija ten typ badań, z których po latach rodzą się przełomy.

Zamówienia wojskowe i kosmiczne wciąż napędzają przełomy, ale coraz mocniej przesuwają innowacje w stronę bezpieczeństwa, nadzoru, broni, kosmosu i technologii strategicznych. To daje efekty, ale wypacza priorytety. Łatwiej znaleźć miliardy na system obronny niż na powszechną modernizację usług publicznych.

Ogromny rynek wewnętrzny nadal jest przewagą, ale jest też coraz bardziej nierówny i rozdrobniony. USA mają jeden wielki rynek, lecz z dziesiątkami stanowych regulacji, potężnymi monopolami, drogą służbą zdrowia, drogimi mieszkaniami i domami oraz dramatycznymi różnicami regionalnymi.

Kapitału wysokiego ryzyka w USA nadal nie brakuje. Tyle że coraz częściej płynie on nie tam, gdzie rodzi się wielki przełom naukowy, lecz tam, gdzie można szybko zbudować platformę, zdobyć użytkowników i podbić wycenę firmy.

Uber nie wynalazł taksówki, tylko zamienił zamawianie przejazdu w aplikację i globalną „platformę mobilności". Airbnb nie był pionierem wynajmu pokoi, tylko opakował go w cyfrowy rynek krótkoterminowego noclegu.

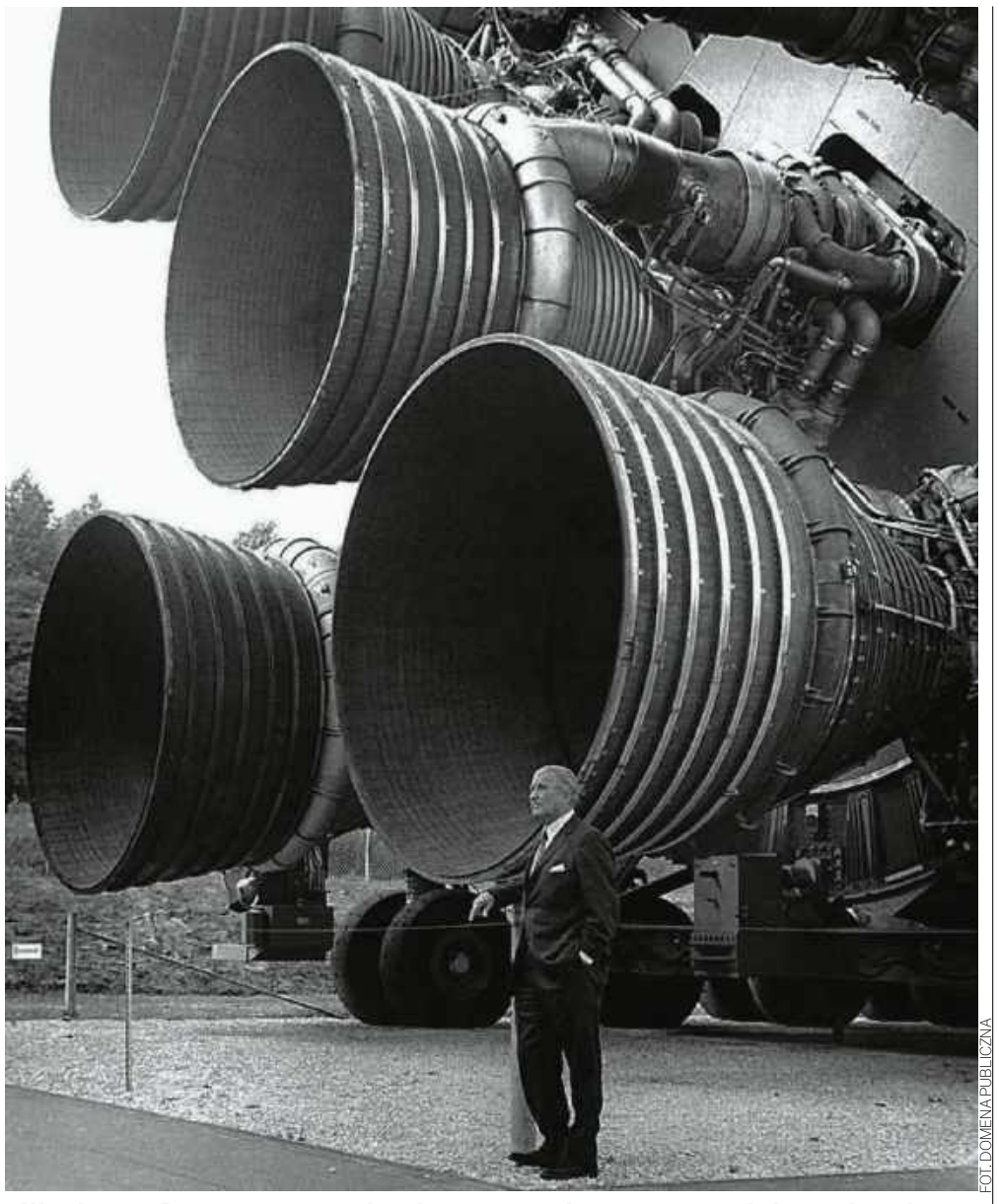

FOT. DOMENA PUBLICZNA

• **Wernher von Braun, ojciec amerykańskiej programu kosmicznego, z silnikami rakiety księżycowej Saturn V, 1969 rok**

DoorDash nie wynalazł jedzenia na wynos, a Instacart nie wynalazł zakupów spożywczych. Obie firmy opakowały stare usługi w aplikację, łącząc restauracje, sklepy, kurierów i klientów oraz pobierając prowizję od tego pośrednictwa. WeWork przez chwilę sprzedawał wynajem biurek jako technologiczną rewolucję w pracy, choć w rdzeniu był firmą od nieruchomości.

Jedną z bardziej groteskowych historii Doliny Krzemowej jest spółka Juicero, która zebrała miliony na podłączoną do internetu drogą wyciskarkę do saszetek z sokiem, które dało się wycisnąć ręką.

To nie znaczy, że wszystkie te rozwiązania i start-upy były pozbawione sensu. Część naprawdę poprawiła wygodę usług, logistykę i dostęp do rynku. Ale pokazują zmianę akcentu: kapitał wysokiego ryzyka coraz częściej nagradza nie przełom, lecz model pośrednictwa. Innowacja nie oznacza nowego odkrycia, tylko nowy sposób pobierania prowizji za starą czynność.

Mit przedsiębiorczości i szybkiego awansu społecznego nadal jest silny, ale realna mobilność społeczna go nie potwierdza. Założenie firmy wymaga nie tylko pomysłu, ale też zabezpieczenia zdrowotnego, kapitału, kontaktów, miejsca do życia i tolerancji na porażkę. Jeśli porażka oznacza utratę ubezpieczenia, mieszkania albo lat spłacania długów, to przedsiębiorczość staje się dostępna przede wszystkim dla tych, którzy mają jakąś poduszkę bezpieczeństwa.

Natomiast kultura komercjalizacji badań działa aż za dobrze. USA świetnie zamieniają odkrycia w firmy, patenty i produkty. Tyle że coraz gorzej wychodzi na tym dobro publiczne.

Sojusz państwa, nauki i biznesu coraz częściej wygląda jak układ, w którym państwo finansuje ryzyko, a prywatne firmy przechwytują zysk. Publiczne pieniądze pomagają tworzyć wiedzę, infrastrukturę i ludzi, ale owoce bardzo często lądują w prywatnych kieszeniach.

To nie musi być złe, dopóki społeczeństwo dostaje coś w zamian. Problem zaczyna się wtedy, gdy podatnicy płacą za fundamenty przełomu, a potem muszą kupować jego owoce po cenach ustalonych przez monopolistę.

Widać to od cyfrowych gigantów po farmację. Google wyrósł z algorytmu PageRank rozwijanego na Stanfordzie przy wsparciu publicznej Narodowej Fundacji Nauki (NSF). Szczepionka Moderny przeciw COVID-19 powstała we współpracy z federalnym NIAID i przy ogromnym wsparciu publicznych pieniędzy. Badania akademickie i publiczne finansowanie pomagały tworzyć podstawy wielu terapii, ale końcowy produkt trafiał na rynek z ceną dyktowaną przez prywatne firmy – tak było na przykład z lekiem Xtandi na raka prostaty.

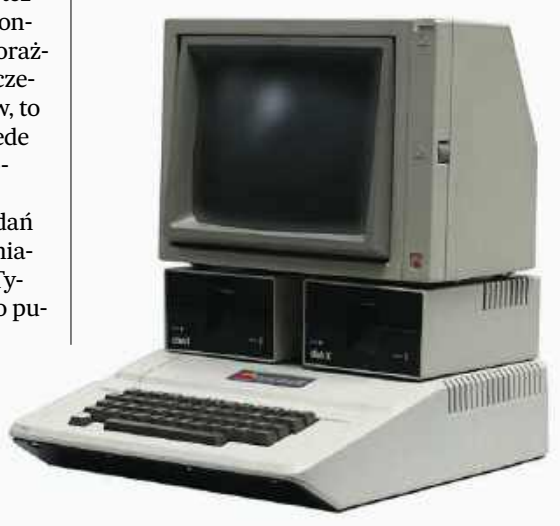

FOT. WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 2.0 FR

• **Apple II, pierwszy w pełni funkcjonalny i dostępny dla każdego komputer osobisty**

Społeczeństwo nie dostaje sprawiedliwego zwrotu z ryzyka, które samo finansowało.

•

USA nadal narzucają światu język technologii, ale ich miękka siła, soft power, słabnie. Wojny kulturowe, polityczna niestabilność, chaotyczna polityka imigracyjna i rosnąca konkurencja Chin sprawiają, że amerykański model nie wygląda już dla wszystkich jak oczywista przyszłość. Nadal jest atrakcyjny, ale przestał być bezkonkurencyjny.

Współpraca z Chinami, przez lata ważna dla wielu dziedzin nauki, stała się obszarem strategicznego lęku. Za Pacyfikiem rośnie konkurent, który nie jest już montownią świata, tylko coraz częściej sam wyznacza kierunek badań.

Chiny inwestują w naukę i technologię w skali, która nie ma precedensu. Budują laboratoria, uniwersytety, firmy, programy kosmiczne, przemysł półprzewodnikowy, sztuczną inteligencję, biotechnologię i zielone technologie. I coraz częściej widać to nie tylko w deklaracjach, lecz w konkretnych wynikach.

W czerwcu chiński superkomputer LineShine z Shenzhen wskoczył na pierwsze miejsce listy TOP500, wyprzedzając amerykańskiego El Capitana. I nie przeszkodziły mu w tym amerykańskie ograniczenia eksportu zaawansowanych chipów.

Podobnie jest w kosmosie. Chang'e-6 przywiozła na Ziemię pierwsze w historii próbki z niewidocznej strony Księżyca, a kolejne chińskie misje mają badać okolice księżycowego bieguna południowego, czyli miejsce strategiczne dla przyszłych baz i poszukiwania lodu wodnego. Niewykluczone, że przed końcem tej dekady na Srebrnym Globie pierwszy postawi nogę chiński astronauta, a NASA będzie musiała przełknąć gorycz porażki.

W zielonych technologiach Chiny dominują w bateriach LFP, tańszej i bezpieczniejszej odmianie baterii litowo-jonowych, które coraz mocniej napędzają rynek aut elektrycznych i magazynów energii.

W patentach widać podobny kierunek: chińscy wynalazcy mają dziś ogromny udział w zgłoszeniach dotyczących AI, biotechnologii, półprzewodników i technologii kwantowych.

Dlatego coraz trudniej mówić, że Chiny tylko kopiują. W wielu dziedzinach kopiowały, potem ulepszały, a dziś coraz częściej narzucają tempo.

W wielu dziedzinach przewaga USA nie jest już oczywista. Czasem nadal jest realna, ale czasem szybko topnieje.

Oczywiście wiele zależy to od tego, jak mierzymy sukces: liczbą publikacji, jakością odkryć, patentami, komercjalizacją czy wpływem na świat. Jednak w każdej z tych konkurencji przewaga USA się zmniejsza.

Za wcześnie konkludować, że USA się skończyły, a Chiny przejęły przyszłość. Coraz bardziej jednak przypomina to zmianę układu sił. USA nadal są wyjątkowo silne tam, gdzie potrzebne są ryzyko, kapitał i nieprzewidywalność. Problem w tym, że chaos bywa źródłem przełomów, ale też źródłem rozpadu. A Chiny budują przyszłość systemowo.

Ameryka nie umarła jako potęga innowacji. Ale jej model stał się mniej oczywisty, bardziej nierówny i bardziej kruchy. Paradoks polega na tym, że hasło: „Make America Great Again" może dziś działać przeciw temu, co naprawdę uczyniło Amerykę wielką.

Bo – powtórzmy – jej siła nie brała się z zamykania granic, podejrzliwości wobec uczelni i wojen z ekspertami, lecz z czegoś dokładnie odwrotnego: z przyciągania talentów, wolności badań, publicznych inwestycji i zdolności łączenia państwa, nauki oraz biznesu.

Jeśli te mechanizmy zostaną osłabione, USA wciąż będą miały wielkie firmy i wielkie pieniądze. Ale mogą stracić system, który przez dekady zamieniał jedno i drugie we wspólną przyszłość. ●

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

JAGUARY I RAKIETY

Kosmodrom w Gujanie Francuskiej to tropikalny skrawek Europy w Amazonii, a dziś też sanktuarium dzikiej przyrody. Ale budowa kosmicznej infrastruktury ma swoją trudną historię. I dobrze, że Francuzi tego nie ukrywają.

• **Wejście do portu kosmicznego w Kourou. Aleja z flagami państw Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA) i jej partnerów oraz model rakiety nośnej typu Ariane** FOT. MATYAS REHAK/SHUTTERSTOCK

1 RP

Aleksander Gurgul

GUJANA FRANCUSKA

Renata Bragance urodziła się w Macapá, prawie półmilionowym brazylijskim mieście nad Amazonką, ale dorastała już w Gujanie Francuskiej, gdzie skończyła szkołę średnią. Potem wyjechała do USA podszkolić angielski i na studia do Paryża.

Ma kilka ulubionych anegdotek z pracy. Jedna z nich: jechała autobusem i mówiła coś do pasażerów odwrócona plecami do kierunku jazdy, kiedy kierowca krzyknął, że na drodze widzi duże zwierzę. Rzuciła mikrofon i złapała za telefon. Zdjęcia jaguara, które zrobiła Renata trafiły na platformy społecznościowe Europejskiego Portu Kosmicznego (EPS).

Jaguar to jedna z przyrodniczych ozdób eurokosmodromu w Gujanie Francuskiej. Dzika przyroda ma się świetnie w miejscu, gdzie tuż „za ścianą" pracuje blisko 1,6 tys. ludzi w przemyśle niezwykle skomplikowanych technologii. Jak to możliwe?

Port kosmiczny i rezerwat z zakazem polowań

Niesamowita bioróżnorodność kwitnie wokół EPS m.in. dlatego, że na jego terenie całkowicie zakazano polowań. Euro-kosmodrom stał się za to poligonem badań naukowych. W 2012 r. Centre National d'Études Spatiales (CNES, francuski Państwowy Ośrodek Badań Kosmicznych) porozumiał się w tej sprawie z rządową agencją zajmującą się bioróżnorodnością (OFB).

Co ciekawe, do badań środowiska na terenie i wokół EPS, m.in. tego, jaki wpływ mają starty rakiet, także wykorzystuje się zwierzęta, choćby pszczoły z kilku uli, które bada się pod kątem obecności metali ciężkich.

O tym, że Paryż chwali się bioróżnorodnością Gujany przekonałem się m.in. na szczycie klimatycznym COP30 w brazylijskim Belem. (10–21 listopada 2025 r.) Przy wejściu do pawilonu francuskiego gości witał baner przypominający, że Francja ma w Gujanie ponad 8 mln ha lasów tropikalnych, z czego 3,4 mln ha w parku narodowym.

To łącznie ok. 690 km kw. Tylko 10 proc. tego terenu wykorzystywane jest pod działania związane ze startami rakiet w przestrzeń kosmiczną. Reszta służy dzikiej faunie i florze.

Stéphanie Barthe, badaczka z OFB cieszy się, że dziką przyrodę można tu obserwować przez cały rok.

Na terenie EPS żyją liczne gatunki ptaków, płazów i gadów, a także pumy, pekari (w lasach wokół kosmodromu stada mają nawet po kilkaset sztuk!), małpy, tapiry, mrówkojady, pancerniki, aguti, oceloty, jaguarundi i wreszcie jaguar – władca tutejszych lasów i sawanny. A w zasadzie dwóch typów sawanny: suchej oraz okresowo zalewanej.

Francuscy przyrodnicy monitorują stan zdrowia tych nieuchwytnych kotów m.in. zbierając ich odchody. Ale do monitoringu wykorzystują także nowe technologie: w 2023 r. łącznie w 30 miejscach na obszarze ok. 300 km kw. rozmieszczonych było ponad 70 fotopułapek (służą jednocześnie do wykrywaniu potencjalnego kłusownictwa):

Jaguary udaje się także czasem schwytać dla celów badawczych. W 2015 r. dwa samce zaobrożowano, by następnie wypuścić na wolność i monitorować ich zachowania w środowisku naturalnym. Naukowcy niektórym monitorowanym zwierzętom nadali imiona: Sputnik, Galileusz, Orion czy Ewa. Badania nad ich zachowaniami są ważne, bo poznając lepiej ruchy drapieżnych kotów, łatwiej zapobiec ich konfliktom z ludźmi.

Hotspot bioróżnorodności

O tym, kto rządzi w lokalnej przyrodzie przypomina nam znak drogowy z sylwetką jaguara, który mijamy jadąc autokarem w kierun-

eprasa.pl 4ba45f9584

Sala z widokiem na Jupiter II – centrum kontroli lotów misji kosmicznych w Kourou

FOT. ALEKSANDER GURGUL

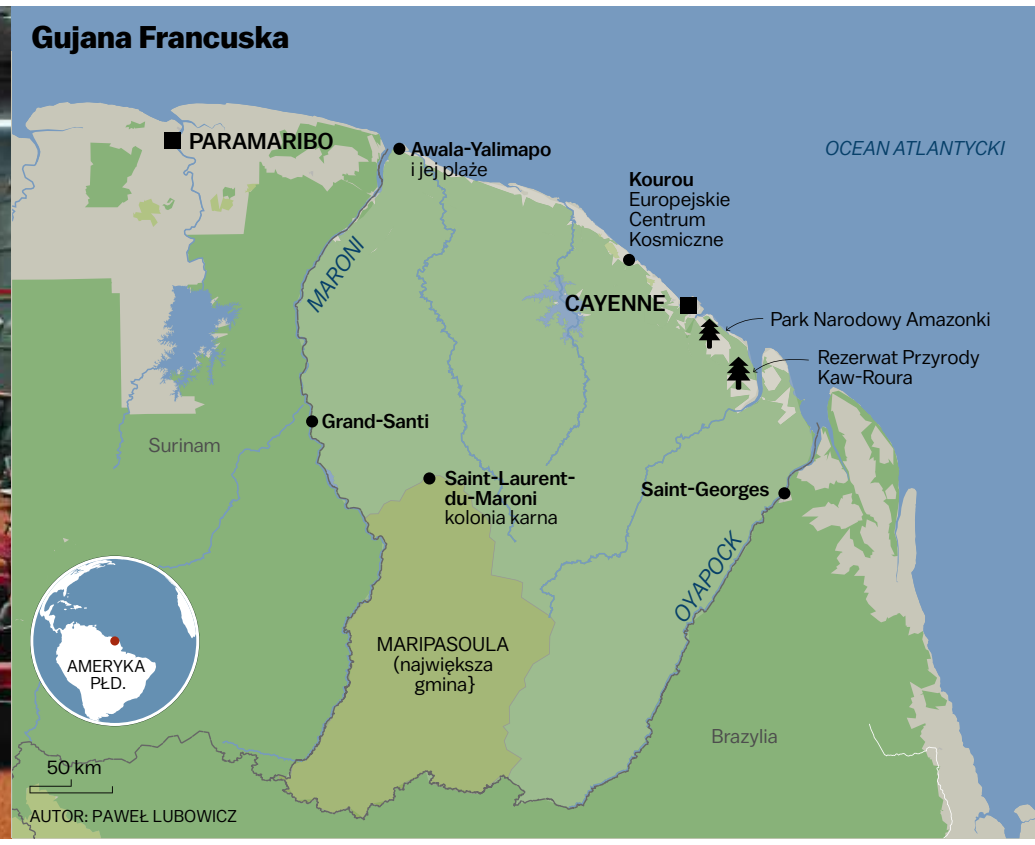

ku platformy, z której następnego dnia wystartowała rakieta Ariane 6 z misją Sentinel-1D.

Turyści mogą więc podziwiać w EPS nie tylko starty rakiet, ale także dziką przyrodę. Do tego celu organizowane są specjalne wycieczki terenowe. W lesie tropikalnym można podziwiać m.in. tukany czy ary żółtolice (najmniejsze z papugowatych), które zamieszkują Gujanę Francuską.

O tym, że władze Portu Kosmicznego odpowiedzialnie podchodzą do ochrony przyrody na swoim terenie niech świadczy opasły dokument zatytułowany „Plan de Gestion de la Biodiversité du Centre Spatial Guyanais 2021-30", czyli plan zarządzania bioróżnorodnością na lata 2021-30.

Oprócz rzadkich gatunków wymienionych wcześniej, znajduję tam innych ciekawych mieszkańców EPS (i pewnie całej Gujany Francuskiej) w tym m.in.

- żółwia oliwkowego i żółwia skórzastego,
- ibisa szkarłatnego
- brodźca żółtonogiego,
- grzechotnika straszliwego,
- manata karaibskiego,
- ariranię amazońską (to sporych rozmia rów wydra)
- pakożera leśnego (drapieżny gatunek psowatego),
- i wiele innych, w tym nietoperze (m.in. rybaka małego, łac. *Noctilio albiventris*).

Ale ta lista jest znacznie dłuższa, a lista rzadkich i cennych gatunków roślin jest co najmniej tak samo długa!

Co się robi we francuskiej Amazonii?

Nic dziwnego, że kiedy przechodzi się do hali przylotów lotniska w Cayenne, oprócz modeli rakiet wysłanych przed laty w kosmos, przyjezdnych witają foldery reklamujące przeróżne wycieczki w dzicz. Co tu można robić?

Można np. wybrać się na nocowanie w dżungli, albo na wyprawy kajakami i na SUPie. Można też popłynąć w dłuższą trasę łodziami lub motorówkami (dżunglę przecinają liczne malownicze rzeki) oraz oczywiście plażować nad Oceanem Atlantyckim.

Z miasteczka Kourou można wybrać się w rejs do porośniętych palmami trzech Wysp Zbawienia. Wśród nich bodaj najsłynniejszą jest Île du Diable – Diabelską Wyspę (akurat na nią turyści wchodzić nie mogą). Napoleon III Bonaparte urządził na niej kolonię karną (oficjalnie unkcjonowała aż do 1946 r., choć ostatnich skazańców odesłano do Francji blisko siedem lat później).

Na Île du Diable trafiali więźniowie polityczni, a także groźni przestępcy. Do najsłynniejszych tutejszych rezydentów należeli:

- kpt. Alfred Dreyfus – francuski oficer, niesłusznie skazany za rzekomą zdradę na rzecz Niemiec,
- Henri Charrière – francuski pisarz, któremu udało się nawet uciec z wyspy. Przeżycia z kolonii karnej opisał w książce pt. „Papillon" (na jej podstawie powstały także filmy),
- Vere St. Leger Goold – osiągający sukcesy w Wimbledonie irlandzki tenisista, został skazany na dożywocie za morderstwo na tle rabunkowym (do spółki z żoną).

Łącznie do Gujany Francuskiej centrala wysłała około 60 tys. skazańców.

Po pozostałych wysepkach – Royale i Saint-Joseph – można wędrować po przygotowanych dla turystów szlakach.

Rzecz jasna celem turystów jest także sam Europejski Port Kosmiczny. Najbliżej do niego z Kourou, gdzie – podobnie jak w Cayenne – jest już spora baza hotelowa.

Gdzie można zapisać się na oglądanie startu kolejnej rakiety albo na przyrodnicze wyjście w teren, czy wreszcie samo zwiedzanie europejskiego kosmodromu?

Wszystkie potrzebna informacje znajdziecie na stronie interentowej CNES.

Dlaczego Francuzi port kosmiczny zbudowali w tropikach?

Renata jest przewodniczką w EPS. Zarządzający eurokosmodromem chcą jednak, by instytucja nawiązywała jak najbliższe kontakty z lokalną społecznością, dlatego Renata chodzi też do szkół i opowiada dzieciakom, jak wygląda praca w EPS i jak buduje się rakiety, które potem startują z hukiem kilka-kilkanaście kilometrów od ich szkoły.

Niestety, nie zawsze tak miło to wyglądało.

Francuzi utrwalili swoje panowanie tutaj w XVII. Po tym jak Gujana stała się ich kolonią karną, francuską dżunglę ogarnęła krótka acz intensywna gorączka złota, która opadła do początku lat 20. XX wieku.

Po II wojnie światowej liczbę jej mieszkańców szacowano na 28,5 tys. osób.

Przełomową datą w historii był 19 marca 1946 r. kiedy Gujana uzyskała status departamentu zamorskiego, co miało (przynajmniej formalnie) zerwać z historią francuskiego kolonializmu w tej części świata.Zaczęto snuć plany, by ubogą społeczność zbliżyć standardem życia do metropolii w Europie: poprawić zaopatrzenie w żywność, wyposażenie mieszkań, zbudować infrastrukturę oraz sieć ośrodków zdrowia.

Kolejna ważna data, być może nawet ważniejsza, to 16 kwietnia 1964 r., gdy Francja zdecydowała o ulokowaniu w rejonie Kourou centrum startowego programu kosmicznego.

Dlaczego rząd generała Charlesa de Gaulle'a wybrał tropikalny departament zamorski? Powód najważniejszy – bo de Gaulle chciał, by Francja obrała niezależną drogę (w stosunku do USA i Związku Radzieckiego) w kosmicznym wyścigu.

W styczniu 1959 r. w ramach koordynacji francuskich działań w dziedzinie kosmosu powołano Komitet Badań Kosmicznych.

Dwa lata później, 19 grudnia 1961 r., rząd uchwalił ustawę o utworzeniu CNES (Państwowy Ośrodek Badań Kosmicznych).

Powód kolejny – niepodległość Algierii. Jak to się wiąże z kosmodromem? Otóż od 1948 roku Francja korzystała z poligonów rakietowych w Hammaguir i Colomb-Béchar w Algierii, która wówczas stanowiła część jej terytorium. Obiekty te początkowo wykorzystywało wojsko, potem udostępniono je CNES.

W 1962 r. Algieria uzyskała niepodległość. Podpisane (w tym samym roku) porozumieniem z Évian przewidywały zawieszenie działalności w ośrodku na Saharze i wycofanie się Francji pięć lat później.

Rozpoczęły się więc poszukiwania miejsca dla kosmodromu (w międzyczasie, 26 listopada 1965 r. rakieta Diamant startując z Hammaguir umieściła na orbicie Astérix, pierwszego francuskiego satelitę). Brano pod uwagę inne lokalizacje, ale ostatecznie wybór padł na Kourou. Powodów jest co najmniej kilka:

- szeroki kąt startowy (100) nad Atlantykiem, umożliwiający realizację wszystkich misji kosmicznych;
- bliskość równika (5,3 szerokości północnej), ułatwiająca osiąganie orbity geostacjonarnej;
- niska gęstość zaludnienia (45 tys. mieszkańców w 1964 r. na obszarze 83 tys. km kw, czyli ok. 1/7 powierzchni Francji), skupionego głównie na wybrzeżu, zwiększająca bezpieczeństwo;
- brak cyklonów i trzęsień ziemi;
- możliwość śledzenia trajektorii rakiet dzięki urządzeniom rozmieszczonym na okolicznych wzgórzach;
- łatwy dostęp drogą morską i lotniczą;
- nadbrzeżne sawanny między Kourou a Sinnamary to miejsce korzystne dla budowy infrastruktury technicznej i dalszej rozbudowy kompleksów startowych na północny zachód od Kourou.

21 marca 1964 r. generał de Gaulle udał się więc do Cayenne, by poinformować mieszkańców, że w Gujanie Francuskiej powstanie port kosmiczny, a 14 kwietnia 1964 r. Rada Ministrów zatwierdziła ten wybór.

Ostatecznie pod budowę przeznaczono 960 km kw obejmujący gminy Kourou, Macouria i Sinnamary oraz wspomniane wcześniej wyspy. W 1999 r. zmniejszono to 750 km kw, a w 2015 r. jeszcze bardziej ograniczono poprzez zwrot części terenów gminom, głównie Kourou i Macouria. Przy budowie pracowało około 2,5 tys. osób.

Robert Aubinière, prezes CNES w przemówieniu wygłoszonym w maju 1964 r. przed Komitetem Badań Kosmicznych powiedział: – [...] Kosmodrom przyczyni się do jej rozkwitu: jest to prawdziwa szansa dla tego regionu, pod warunkiem, że działalność kosmiczna zostanie w pełni w niego włączona. [...] Mam nadzieję, że przyjaźni mieszkańcy Gujany Francuskiej wkrótce będą mogli być dumni ze swojego regionu i swojego kosmodromu!

CNES i trudna przeszłość

Zanim jednak rozpoczęła się budowa, w maju 1965 r. – po konsultacjach społecznych – zaczęły się wywłaszczenia lokalnej społeczności, głównie kreolskiej, która straciła w ten sposób miejsca kultu, zerwano jej tradycyjny model życia i więzi z ziemią, na której mieszkali od pokoleń.

Jak czytam na stronie internetowej kosmodromu, miejsce zamieszkania zmienić musiało około 4 tys. osób.

W ramach kompleksu Jupiter II, który pełni rolę centrum kontroli lotów, funkcjonu-

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 4ba45f9584

je także muzeum. Ekspozycja jest nieco chaotyczna, staram się jednak wyłowić z niej, co dokładnie stało się na wybrzeżu porośniętym palmami, zamieszkiwanym przez garstkę ludzi w połowie lat 60. XX wieku.

Dowiaduję się, że wywłaszczenia objęły ponad 200 rodzin mieszkających w pobliżu Route de l'Anse, dawnej drogi krajowej między Carapa i Malmanoury w Kourou oraz między Malmanoury a potokiem Paracou w Sinnamary.

Rodziny te w zaledwie kilka miesięcy od jesieni 1966 r. do wczesnej wiosny 1967 r. przeniesiono do nowych osiedli nazywanych „Cité du Stade".

W Kourou łącznie powstało 59 domów, które miały od dwóch do sześciu pokoi. Kłopot w tym, że szybko rodziły się kolejne dzieci i robiło się ciasno.

W 1967 r. dobudowywano ekspresowo kolejne trzy domy, ale to wciąż było za mało.

Inna sprawa, że tradycyjnie te rodziny zajmowały się uprawą ziemi i mieszkały z dala od sąsiadów. Teraz musieli mieszkać z nimi praktycznie drzwi w drzwi, co zupełnie zmieniło relację w ramach społeczności.

Dla wywłaszczonych utworzono też strefę rolniczą (łącznie ok. 95 ha) nad pobliską rzeką, w miejscu zwanym Guatémala, gdzie przydzielono im działki. I tu pojawił się kolejny kłopot: działki były daleko od domostw i trudno się było do nich dostać piechotą.

W Sinnamary na przełomie 1969 i 1970 r. powstało kolejnych 67 domów (w każdym 3-7 pokoi). „Czasem nawet ze sklepem" – czytam w muzeum.

I dalej: „Rodziny wniosły swój wkład w budowę osiedla. Przeznaczyły na ten cel 90 proc. kwoty, którą otrzymały w ramach odszkodowania za wywłaszczenie. Kwota ta wyniosła 1,4 mln franków, co stanowiło 26 proc. całkowitych kosztów projektu"

Tym, co także powodowało napięcia było np. to, że niektóre rodziny musiały sprzedać bydło, bo nigdy nie powstało obiecywane przez władze centrum hodowli na sawannie Matiti.

Jeszcze inny był przypadek 122 rolników z wiosek Renner, Karouabo i Malmanoury, którzy pod koniec 1967 r. zaczęli uprawiać ziemię na sawannie Combi w pobliżu Sinnamary. W 1969 r. przeniesiono ich właśnie do tego miasteczka, ale ich chat jeszcze nie zburzono, bo teren na którym stały według planu miał być zapasowym miejscem do startu rakiet. Farmerzy – po zapoznaniu się z instrukcjami bezpieczeństwa – wracali więc do dawnych domostw w przerwach, gdy rakiety nie startowały. Ale kiedy przyszła odpowiednia pora, policja ewakuowała ich stamtąd do Korurou.

Tymczasowa sytuacja miała się skończyć w 1971 r., ale rolnicy z Karouabo wynegocjowali jeszcze rok dla 20 domów. Dopiero rok później wywłaszczono ostatnich ludzi z tego terenu, a w kosmos zaczęto wysyłać rakiety Diamant i Ariane.

Budowa przebiegała wręcz ekspresowo, biorąc pod uwagę, że toczyła się w lesie tropikalnym („To nie był spacer po parku" – zapewniają w muzeum). Pierwsza rakieta z Kourou wystartowała po blisko czterech latach od wbicia pierwszej łopaty.

Zarówno na oficjalnej stronie internetowej portu, jak i w muzeum jasno wybrzmiewa, że wywłaszczenia pod budowę kosmodromu z lat 60. XX wieku do dziś są bolesnym tematem lokalnej historii.

„To wydarzenie pozostawiło blizny, których wyleczenie zajmuje dużo czasu, a CNES zdaje sobie sprawę, że mogło lepiej rozwiązać tę sprawę" – czytam w muzeum.

Wywłaszczenia były „złożonym i bolesnym rozdziałem w historii Gujany Francuskiej". Przeprowadzono je „w trybie pilnym, przy niewystarczających odszkodowaniach i nieodpowiednich rozwiązaniach mieszkaniowych", co w kolejnych latach „utrwaliło frustrację i poczucie niesprawiedliwości w lokalnej społeczności" – czytam w oficjalnych dokumentach euro-kosmodromu.

• **Widok na jedną z trzech Wysp Zbawienia: Diabelską Wyspę, na której Francuzi urządzili sobie kolonię karną (istniała do 1946 r.)** FOT. SHUTTERSTOCK

• **Widok na rzękę Kourou niedaleko centrum kosmicznego. Woda ma „kawową", brunatną barwę, jak większość rzek Amazonii, z powodu dużej ilości osadów rzecznych** FOT. ALEKSANDER GURGUL

– Mamy do wykonania wielkie dzieło – wy wszyscy tutaj, w Gujanie Francuskiej, wspierani przez naród francuski. Tak wielkie, że cały świat zauważy, w którym departamencie zostało ono zrealizowane – to słowa generała de Gaulle'a z oficjalnej wizyty 21 marca 1964 r.

Polska w kosmicznym wyścigu

Dlaczego kosmodrom w Gujanie Francuskiej nazywamy „Europejskim Portem Kosmicznym"? Oficjalnie jego nazwa to Gujańskie Centrum Kosmiczne (franc. Centre spatial guyanais), ale ponieważ w znacznej mierze finansuje go i zarządza nim obecnie także Europejska Agencja Kosmiczna (ESA), zyskał on miano „europejskiego" (ang. Europe's Spaceport).

ESA to międzynarodowa organizacja, której celem jest eksploracja i wykorzystanie przestrzeni kosmicznej. Powstała 30 maja 1975 r. (miała wtedy 10 członków), by telekomunikacyjnie uniezależnić Europę od usług amerykańskiej NASA (po drodze jeszcze nie wypalił projekt ELDO, Europejskiej Organizacji Rozwoju Rakiet Nośnych, wspólne przedsięwzięcie Niemiec, Belgii, Francji, Włoch, Holandii i Wielkiej Brytanii). ESA włączyła sie w finsowanie budowę infrastruktury w kosmodromie w Gujanie. Przełom przyszedł 24 grudnia 1979 r. i zakończony sukcesem start rakiety Ariane.

Francja ma w Gujanie 8 mln ha lasów tropikalnych, w tym 3,4 mln ha to park narodowy. Łącznie ok. 690 km kw. Tylko 10 proc. tego terenu wykorzystywane jest przez kosmodrom. Reszta służy dzikiej faunie i florze

Obecnie zrzesza 23 członków (większość państw Europy), m.in. Polskę, która zdecydowała się podnieść swoją składkę na lata 2026-28 do rekordowych 731 mln euro.

Kilka państw staus stowarzyszonych (Cypr, Łotwa, Litwa, Słowacja) lub współpracuje z nia przy różnych projektach (Bułgaria, Chorwacja, Malta i Kanada)

Wycieczka po eurokosmodromie

Jedziemy przez port kosmiczny, Renata pokazuje nam kolejne wersje Ariane, zaparkowane tak, że dobrze je widać z autokaru. O każdej coś opowiada.

Mijamy checkpointy z żandarmami, centrum pogodowe, obiekty, w których odbywa się tankowanie i hangary (tzw. clean rooms), w których przygotowuje się ładunki poszczególnych misji do wystrzelenia. Na koniec hangar, w którym Ariane 6 jest składana i z którego ostatnią prostą dociera do wyrzutni.

Dzień później obserwowaliśmy razem start Ariane 6. Jej poprzedniczka – Ariane 5 – w trakcie 27-letniej kariery, zrealizowała łącznie 117 lotów.

W latach 2011-12 z eurokosmodromu zaczęły startować europejskie rakiety Vega oraz rosyjskie Sojuzy.

Współpracę z reżimem Władimira Putina przerwała rosyjska agresja na Ukrainę w 2022 r. i związane z tym sankcje.

W latach 2014 i 2016 ESA, zatwierdziła programy Ariane 6 i Vega-C. Nowe europejskie rakiety, zbudowano na wspólnych komponentach, co umożliwiło seryjną produkcję. Zostały zaprojektowane tak, by móc elastycznie obsługiwać misje ważne dla państw i rządów oraz podmioty komercyjne.

Kompleks startowy dla Ariane 6 zbudowano w latach 2015-21. Był dziewiątym stanowiskiem startowym w Europejskim Porcie Kosmicznym.

Ariane 6 udanie debiutowała w 2024 r., aczkolwiek krytycy wskazywali, że już na starcie była przestarzała.

W epoce, w której USA pod wodzą prezydenta Donalda Trumpa prężą muskuły i wywierają presje i krytykują sojuszników na międzynarodowych salonach, Europa – oby w porę – obudziła się, by stanąć do walki o podbój kosmosu.

Przedstawiciele ESA, gdy zwiedzaliśmy port w Gujanie, ciągle zapewniali, że Europa musii dbać o dwa flagowe programy: system nawigacji satelitarnej Galileo oraz satelity Sentinel, dzięki którym mamy głębsze spojrzenie na planetę i zmiany w środowisku. Regularnie przecież korzystamy – dziennikarze i czytelnicy – z unijnego programu obserwacji Ziemi „Copernicus".

Ale lepsze satelitarne oczy to także – i tego również nie kryli eksperci – lepszy wgląd w to, jakie jednostki i gdzie się przemieszczają po oceanach i w głębi lądu.

Dokładniejsze spojrzenie na świat, to także np. szybsze i skuteczniejsze reagowanie kryzysowe albo lepsza komunikacja, a to oznacza korzyści finansowe dla Europy, która może lepiej poradzić sobie m.in. ze skutkami katastrofalnych zjawisk pogodowych, zwłaszcza jeśli z obserwacji zmian klimatu i w środowisku wycofują się Amerykanie.

Strażnik dżungli, strażnik Europy

Po dniu spędzonym w eurokosmodromie wypływamy z grupą dziennikarską łodzią na jedną z rzek przecinających francuski skrawek Amazonii. Na dziobie siedzi Renata i z kapitanem wypatruje na drzewach leniwców. Ciszę dziewiczego lasu przecina w pewnym momencie charakterystyczny ptasi odgłos.

– To nasz *paypayo* – wskazuje Renata na gałęzie po drugiej stronie rzeki. Dżungla jest tak gęsta, że trudno cokolwiek dojrzeć, czasem tylko kilka papug przeleci gdzieś na horyzoncie.

– Ten ptak to taki trochę „gendarme de la forêt", czyli leśny żandarm. Jak ktoś nieproszony zjawi się w lesie, ostrzega inne zwierzęta. Czasem nazywamy go „sentinelle", czyli taki „strażnik" – dodaje.

I po chwili namysłu patrzy w niebo:
– W sumie to trochę tak jak ten satelita Sentinel, nad nami. ●

eprasa.pl 4ba45f9584

DALEJ, WYŻEJ, SZYBCIEJ

Ma ochotę trzasnąć drzwiami, powiedzieć szefowi, co naprawdę myśli, rzucić komputerem przez okno, ale – oczywiście – tego nie robi. A potem...

Z PSYCHOLOGIEM **PAWŁEM DROŹDZIAKIEM** ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Jedni przepłyną kajakiem spokojne jezioro i uznają, że wyczerpali swój wakacyjny zapas adrenaliny. Inni, dopiero podczas skoku ze spadochronem mają poczucie, że naprawdę żyją. Skąd biorą się te różnice?
– Trzeba na to spojrzeć na trzech różnych poziomach. One się czasem mieszają, ale na pewno warto wyróżnić te trzy. To poziom fizjologiczny, psychologiczny i egzystencjalny.

Zacznę od fizjologii. Lubimy myśleć, że istnieje jakiś jeden „normalny" poziom stymulacji dla wszystkich, ale tak nie jest. Są ludzie, którzy mają znacznie większe zapotrzebowanie na stymulację. Dopiero, kiedy dużo się dzieje, kiedy trzeba szybko reagować, podejmować decyzje, kiedy jest ryzyko, oni czują się dobrze. Dla innych ta sama sytuacja będzie już totalnym przeciążeniem.

Żaden z nich nie jest bardziej normalny od drugiego. Po prostu ludzie mają różne progi pobudzenia i to jest taka sama cecha jak np. wzrost. Wrodzona. Takie różnice ujawniają się zwykle bardzo wcześnie, już u małych dzieci i w trybie normalnego wychowania, czyli pomijając jakieś skrajne sytuacje urazowe, nie da się tych różnic modyfikować. Fizjologia.

Pytam o to, bo niedawno dwóch mężczyzn zmarło podczas maratonu MTB. Był upał. To wydarzenie uruchomiło mnóstwo komentarzy o brawurze, odpowiedzialności i granicach pasji. Dlaczego człowiek czasem świadomie wybiera drogę, na której ryzyko jest częścią doświadczenia?
– Nie wiemy, co wydarzyło się w tamtym konkretnym przypadku. Poza tym nie mamy upoważnienia do rozmowy o jakichś konkretnych ludziach. Natomiast możemy porozmawiać o pewnych mechanizmach, które często występują u ludzi uprawiających sporty ekstremalne czy w ogóle szukających bardzo silnych doświadczeń.

Wspomnieliśmy o tym fizjologicznym poziomie interpretacji. Człowiek funkcjonuje dobrze, jeśli ma poziom pobudzenia odpowiedni do swoich indywidualnych potrzeb. Zarówno przestymulowanie, jak i niedostymulowanie jest nieprzyjemne, dlatego warto znać siebie od tej strony.

Wiele osób naraża się na niedostymulowanie lub przestymulowanie, bo nigdy nie zadają sobie pytania, czego naprawdę potrzebują, i męczą się niepotrzebnie. Warto poobserwować siebie od tej strony i zdobyć się w tej sprawie wobec siebie na szczerość.

Bo bywa i tak, że mamy wobec siebie jakieś nierealistyczne oczekiwania i sami przed sobą udajemy albo bardziej odpornych, niż jesteśmy, albo właśnie takich, którzy wcale mocniejszych wrażeń nie potrzebują. I wtedy możemy na przykład sztucznie prowokować sobie problemowe sytuacje, bo nieświadomie dążymy do tego, by się dostymulować.

I może nam się zdawać, że np. jakiś konflikt międzyludzki jest bardzo prawdziwy i poważny, podczas gdy po prostu za długo już dla nas było spokojnie i zamiast np. kłócić się z kimś o nic w internecie, wystarczyłoby iść na trening i mielibyśmy to samo.

To, co jednego wykańcza, drugiemu daje poczucie, że żyje.

To trochę podważa popularne przekonanie, że każdy powinien zwolnić, wyciszyć się i znaleźć równowagę.
– Bo takie rady często są nieświadomie formułowane z własnej perspektywy. Ktoś mówi: „Zwolnij, idź na jogę, pij zioła, medytuj". Dla części ludzi to będzie znakomity sposób na życie. Ale dla innych po jednym dniu zacznie się nuda.

I to jest ten fizjologiczny poziom rozumienia, ale mamy jeszcze dwa inne. Psychologiczny i egzystencjalny. Na tym drugim, psychologicznym, możemy czasem zapytać, dlaczego ktoś robi to, co robi, np. bardzo ryzykuje albo skrajnie angażuje się w jakieś ćwiczenia.

Bo można szukać mocnych przeżyć dlatego, że taki ma się temperament, i wtedy wszystko jest w porządku. Ale można też robić dokładnie to samo z zupełnie innych powodów i wtedy, obserwując siebie czy taką osobę, zauważamy, że chyba to nie jest tak do końca naturalne dla niej działanie i ona chyba robi to z jakichś innych powodów niż naturalna skłonność.

Z jakich?
– Można próbować sobie coś udowodnić, bo bardzo chce się w to uwierzyć, ale się i tak nie wierzy. Albo można uciekać od jakiegoś elementu własnego życia. Można też zagłuszać jakiś lęk albo poczucie pustki. Wtedy to już nie jest do końca prawdziwe.

Wtedy z zewnątrz widzi się bardzo podobny obrazek, ale wewnątrz – to są dwie zupełnie różne historie. Na przykład ktoś miał doświadczenia, które uszkodziły jego poczucie własnej wartości, i próbuje je odbudować, robiąc coś wyjątkowego.

To go wykańcza, bo jego działania wcale nie są zgodne z jego optymalnym fizjologicznym poziomem pobudzenia. Ale on i tak próbuje to robić i im gorzej się z tym czuje, tym bardziej czuje się bezwartościowy i tym mocniej jeszcze pakuje się w tę pętlę i sam sobie robi krzywdę.

Czasem występują tu mechanizmy trochę podobne do tych w uzależnieniach. Nie radzimy sobie z jakimiś sytuacjami życiowymi i, zamiast je rozwiązywać, odreagowujemy je, dostarczając sobie jakiegoś mocnego doznania.

To pozwala uzyskać chwilową ulgę, ale tak naprawdę niczego nie rozwiązuje. Niepokój wraca, znów dostarczamy stymulację, znów

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

FOT. KRZYSZTOF ĆWIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Można używać ekstremalnych doświadczeń też po to, żeby nie zostać samemu ze sobą

pomaga na krótko, problem wraca, więc dajemy więcej tego samego.

Jeśli takie ćwiczenie lub inne dostymulowania same wywołują życiowe problemy, a często tak bywa, to zaczynamy mieć klasyczne koło uzależnieniowe, w którym próby rozwiązania pierwotnego problemu same stają się problemem lub ten pierwotny problem nasilają.

I tak można np. uzależnić się od ćwiczeń i zaćwiczać się niemal na śmierć. A czasem dosłownie na śmierć.

Można też całe życie wracać do sytuacji granicznych dlatego, że kiedyś wydarzyło się coś, czego człowiek nigdy naprawdę nie przeżył do końca. Organizm wraca do tego samego miejsca nie dlatego, że je lubi, tylko dlatego, że ciągle próbuje sobie z nim poradzić.

Można też używać ekstremalnych doświadczeń po to, żeby nie zostać samemu ze sobą. Człowiek żyje wtedy od jednego bardzo silnego pobudzenia do następnego. Najpierw ogromny wysiłek, potem kompletne wyczerpanie, później znowu wysiłek. Dzięki temu właściwie cały czas coś się dzieje. Nie ma chwili ciszy. Dla niektórych cisza jest trudna, bo wtedy zaczynają wracać pytania, od których tak naprawdę próbujemy uciec.

Czyli dwóch ludzi może biec ten sam ultramaraton, wejść na ten sam szczyt albo przepłynąć ten sam ocean. Tylko że jeden będzie robił to z poczucia wolności, a drugi z poczucia przymusu. Z zewnątrz nie odróżnisz jednego od drugiego.

A może po prostu chodzi o naszą kulturę „ultra". Że wszystko musi być bardziej, szybciej, dalej. Nie wystarczy przebiec maraton, trzeba przebiec 100 kilometrów. Nie wystarczy wejść na górę, trzeba wejść zimą. To nie jest tak, że współczesność trochę produkuje ludzi, którzy ciągle muszą przekraczać granice?

– Mamy modę na sugerowanie, że nasza kultura tworzy jakieś niezwykłe wymagania, ale prawda jest taka, że nigdy w historii planety nie było ani miejsca, ani czasu, gdzie by nie ceniono ludzi robiących coś maksymalnie dobrze.

To nie jest żaden współczesny fenomen, zmienić może się najwyżej forma. Ludzie od zawsze robili rzeczy skrajne i zawsze będą. Jedni szli na krucjaty, inni przepływali oceany, jeszcze inni całe życie zamykali się w klasztorach albo budowali jedną katedrę przez kilkadziesiąt lat.

Daję przykłady z naszej kultury, ale wszędzie było to samo. W Afryce ktoś podskakuje godzinami jak najwyżej, u Indian ktoś ściąga sobie skórę żywcem, w Azji ktoś biegnie godzinami przez góry albo siedzi nieruchomo na śniegu długie godziny. To nie są projekty ludzi umiarkowanych.

Dzisiaj jedną ze scen, gdzie człowiek przekracza samego siebie, są ultramaratony, wspinaczka, biegi rzeźnika czy ekstremalnie uprawiany kitesurfing ze skakaniem przez molo w Jastarni czy pomost w Kuźnicy.

Pomyślmy o dzisiejszym człowieku, który pracuje w korporacji w bardzo dużym napięciu. Cały dzień siedzi w pracy, gdzie właściwie nic nie może zrobić spontanicznie.

Ma ochotę trzasnąć drzwiami, powiedzieć szefowi, co naprawdę myśli, rzucić komputerem przez okno, ale – oczywiście – tego nie robi. Musi być uprzejmy, profesjonalny, opanowany.

Wraca do domu kompletnie wyczerpany, chociaż fizycznie prawie się nie ruszał. Dlaczego? Bo ciało przez cały dzień zajmuje się hamowaniem odruchów. Współczesny człowiek bardzo rzadko może zrobić to, co podpowiada mu organizm. Musi robić coś znacznie trudniejszego, czyli nieustannie tłumaczyć własne reakcje na język kultury.

Tak jak w debacie politycznej. Ludzie walczą o ogromną stawkę, tylko że nie wolno im zachowywać się tak, jak zachowaliby się w naturalnym konflikcie. Nie mogą krzyczeć, nie mogą się bić, nie mogą nawet okazać większości emocji. Muszą siedzieć spokojnie, uśmiechać się, dobierać słowa, kontrolować twarz. To jest potężny wysiłek. Dokładnie to samo dzieje się w wielu zawodach. Tylko że zamiast telewizyjnej debaty masz spotkanie z klientem albo rozmowę z przełożonym.

A potem człowiek idzie pobiegać.

– No właśnie. I wtedy nagle wszystko robi się zaskakująco proste. Bieg na dziesięć kilometrów albo dwa kilometry na basenie. Przerzucanie opony na crossficie. To jest zadanie, które organizm rozumie od razu.

Nie trzeba się zastanawiać, co ktoś miał na myśli, i czytać maila wysłanego o 22, rozkminiając czy szef był ironiczny. Po prostu się biegnie.

Dlatego wielu ludzi mówi, że na treningu odpoczywa. I oni nie kłamią. Tylko że odpoczywają nie dlatego, że przestali się męczyć, ale dlatego, że zamienili jeden rodzaj wysiłku na drugi. Taki, który jest dla organizmu dużo bardziej czytelny.

Czyli sport przywraca zgodność między ciałem i głową?

– Ciało wreszcie robi to, czego od niego oczekuje umysł. Wszystko idzie w jednym kierunku. Nie ma już tego nieustannego hamowania, tej ambiwalencji, tych sprzecznych sygnałów. Dlatego człowiek schodzi z roweru, wychodzi z siłowni albo wraca z biegu i mówi: „Ale mi ulżyło".

Problem polega na tym, że bardzo łatwo pomylić ulgę z rozwiązaniem problemu. Sport nie usuwa przyczyny napięcia. Jeżeli za każdym razem, kiedy pojawia się trudna emocja, jedyną odpowiedzią jest coraz mocniejszy trening, coraz dłuższy bieg albo coraz bardziej ekstremalna wyprawa, to zaczyna się tworzyć pętla.

Nic się nie rozwiązuje, a organizm się uczy, że za każdym razem, kiedy zrobi się trudno, trzeba jeszcze mocniej go zmęczyć.

Jeżeli jakaś pasja kończy się śmiercią, to znaczy, że człowiek, który podejmuje takie ryzyko, po prostu źle ocenia sytuację?

– Niekoniecznie. Trzeba odróżnić dwie rzeczy: ocenę ryzyka i wycenę ryzyka. To nie jest to samo. Można być przekonany, że coś jest ryzykowne, i właśnie dlatego tego nie zrobić. Ale ktoś inny może być przekonany dokładnie o tym samym. Też uważać, że to jest ryzykowne. I właśnie dlatego to zrobi.

Dla jednego człowieka samo to, że coś jest niebezpieczne, jest wystarczającym powodem, żeby nigdy w życiu tego nie robić. Pomyśli: „Po co?". A dla drugiego właśnie to, że coś jest ryzykowne, stanowi część wartości tego doświadczenia.

Ostrożnie podchodziłbym do stwierdzenia, że skoro ktoś wszedł w niebezpieczną sytuację, to znaczy, że jej nie rozumiał. Bardzo często jest dokładnie odwrotnie. Ta osoba doskonale wie, jakie jest ryzyko. Tylko na pytanie, czy warto je podjąć, odpowiada sobie inaczej niż większość z nas.

Spójrzmy na to, co się dzieje w górach. Zakładamy, że skoro ktoś zginął w górach, to znaczy, że czegoś nie wiedział. A przecież często jest dokładnie odwrotnie. Wiedział, gdzie idzie i jakie jest ryzyko.

Tylko że my cały czas mylimy ocenę ryzyka z wyceną ryzyka. Kiedy mówimy: „Taki głupi był, poszedł w te góry", to tak naprawdę bronimy samych siebie przed znacznie trudniejszym pytaniem. No dobrze... skoro on wiedział, dokąd idzie, to dlaczego jednak poszedł? Za tym pytaniem bardzo szybko pojawia się kolejne: to właściwie po co się żyje?

I tu już wchodzimy w ten trzeci poziom rozumienia tego tematu. Ten egzystencjalny.

Bo skoro ten człowiek miał rodzinę, dzieci, miał do czego wracać, a jednak uznał, że warto było tam być, warto tam iść. To jest pytanie, od którego najchętniej uciekamy.

Ale zanim o tym, jest jeszcze jedna rzecz, o której łatwo zapominamy, kiedy siedzimy w domu i oceniamy decyzje innych ludzi. Z takiego jeszcze psychologicznego poziomu. My widzimy tylko ostatnie pięć minut. Człowiek, który wychodzi w góry, często jest w tej historii od kilku albo kilkunastu lat.

Proszę sobie wyobrazić: jest na wyprawie, do której przygotowywał się dwa-trzy lata. Trafia się okno pogodowe. Wspinacz wie, że następna taka szansa może się już nie powtórzyć. Dzisiaj ma 50 lat, za pięć lat będzie miał „prawie 60".

Nie wie, czy będzie miał zdrowie, pieniądze czy w ogóle będzie w stanie tu wrócić. Wydał mnóstwo pieniędzy, podporządkował temu kawał życia. Dopiero wtedy podejmuje decyzję.

Bardzo łatwo oceniać ją z perspektywy człowieka, który siedzi przed telewizorem. Znacznie trudniej z perspektywy człowieka, który stoi pod ścianą i wie, że drugiej takiej szansy może już nie dostać.

Ale jest jeszcze jedna rzecz. Samo doświadczenie to jedno, ale z czasem człowiek zaczyna też funkcjonować w jakimś środowisku, pasja staje się pewnego rodzaju tożsamością. To też ma znaczenie?

– Oczywiście, że ma. Kiedy ktoś pływa jachtem od pięciu lat i przy 30 węzłach mówi: „Nie wypływam", to właściwie nikt się temu nie dziwi. Dobra, jego decyzja. Ale kiedy pływa 20 lat, to nagle robi się trochę inaczej.

Nikt oczywiście nie powie: „Musisz wypłynąć". Tak się takich rzeczy nie mówi. Tylko gdzieś pojawia się takie przekonanie, że skoro tyle lat pływa, skoro jest doświadczony, to w sumie te 30 węzłów to przecież nie jest na morzu jakaś tragedia. Pływa się przecież przy tym normalnie na żaglach.

On to wie i to waży w tej decyzji. Czy naprawdę dzisiaj nie wypływać? A może jednak wypłynąć? No, nie zrobi się z tych 30 zaraz 45. Albo zrobi.

Po co człowiekowi pasja?

– Tak naprawdę pytanie brzmi, dlaczego człowiek robi rzeczy, które z praktycznego punktu widzenia są kompletnie niepotrzebne. I tu już jesteśmy bardzo na tym trzecim piętrze.

Ogromna część naszego życia składa się z rzeczy koniecznych. Trzeba zarobić pieniądze, zapłacić rachunki, zrobić zakupy, odebrać dzieci, pojechać do pracy, umówić wizytę u lekarza. To wszystko jest ważne. Tylko że, paradoksalnie, człowiek nie jest w stanie żyć wyłącznie tym.

Wyobraźmy sobie rybaka w jakimś prostym społeczeństwie. Od dziecka uczył się trafiać rybę dzidą. Musiał wiedzieć, jak załamuje się światło w wodzie, musiał nauczyć się celować, bo od tej umiejętności zależy, czy będzie miał co jeść. To było konieczne.

Dzisiaj nikt już nie musi tego umieć. Rybę można kupić w sklepie. Jednak niektórzy ludzie uczą się nadal polować dzidą. Człowiek wciąż szuka umiejętności, które z praktycznego punktu widzenia są kompletnie niepotrzebne. Na przykład spotyka się dwa razy w tygodniu z kolegami, zakłada gogle, bierze gumowy nóż i ćwiczy walkę, choć doskonale wie, że nigdy z nikim walczyć nie będzie. Ale to w jakiś sposób porządkuje jego życie.

Właśnie na tym to polega, że są w życiu rzeczy, które niczemu nie służą, a mimo to nadają życiu sens i porządek. Dochodzenie w czymś takim do mistrzostwa sprawia, że reszta życia staje się sensowna i w ogóle możliwa do wytrzymania. To w jakimś sensie wchodzi wtedy w miejsce religii.

Dlaczego właściwie śmierć człowieka, który ginie podczas realizowania swojej pasji, tak bardzo nas porusza?

– Już o tym wspomniałem: nagle się okazuje, że nie da się już uciec od pytania, o co właściwie chodzi w życiu. Czy chodzi o to, żeby wychować dzieci, spłacić kredyt, wybudować dom i umrzeć we własnym łóżku?

A może chodzi o coś jeszcze? Właśnie tego pytania bardzo nie lubimy. Dlatego tak szybko próbujemy zamknąć sprawę. Mówimy: „Był nierozsądny", „Po co tam poszedł?", „Sam jest sobie winien". To działa trochę jak plaster, bo raczej nie chcemy dopuścić do siebie myśli, że ten człowiek być może odpowiedział sobie na pytanie o sens życia inaczej niż my.

No bo właściwie po co Wokulski ganiał za Izabelą? Przecież nie miało to najmniejszego sensu. On zawsze wiedział, że jej nie zdobędzie. Gdyby dzisiaj żył, to, zamiast całe życie próbować zdobyć Izabelę, zapisałby się na Bieg Rzeźnika, kupiłby kajta i opłynął świat. ●

Paweł Droździak

• psycholog, psychoterapeuta, mediator rodzinny. Autor książki „Zawsze Bezpieczna. Psychologiczne aspekty samoobrony kobiet", współautor książki „Blisko, nie za blisko".

FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 4ba45f9584

MROCZNY KURS DLA MENADŻERÓW

Zamyka dyrektorów w ciemnym pomieszczeniu i każe im słuchać Ciorana, Szymborskiej, Kafki

FOT. GETTY IMAGES

Katarzyna Tubylewicz

Tradycyjne kursy menedżerskie nie mają sensu i można to udowodnić naukowo. Podobnie jak da się udowodnić naukowo, że najlepsi szefowie to ci, którzy mają wątpliwości i odczuwają tragizm ludzkiego istnienia. Ta zdolność może się w nich obudzić, gdy doświadczą katharsis, obcując z kulturą.

W dzisiejszym świecie właściwie jedyną szansą na to, by człowiek otworzył się emocjonalnie i nawiązał kontakt z sobą samym i z rzeczywistością, jest właśnie kultura. Oczywiście ta na poziomie i z głębią, ta, która wstrząsa i porusza. To wszystko udowodnił najpierw eksperyment, a później projekt naukowy „Schibboleth" zrealizowany przez rudowłosą Julię z Bydgoszczy, wnuczkę rabina z Pińska, która od lat zmienia szwedzki sposób myślenia o władzy, zarządzaniu i roli kultury.

„Jej umysł nie zna granic. Jest damą z pieskiem, ale bez pieska, podróżniczką z wielkim bagażem, ale bez walizki, zawsze w ruchu, z wyjątkowym talentem do zatrzymania się w ciszy" – napisał o niej Jan Henrik Swahn, szwedzki tłumacz Olgi Tokarczuk.

Julia Romanowska jest perkusistką i nauczycielką muzyki z tytułem magistra z Królewskiej Akademii Muzycznej w Sztokholmie – występowała z najlepszymi szwedzkimi orkiestrami. Jest też informatyczką i doktorem medycyny, a poza tym coachem rozwoju przywództwa, analitykiem biznesowym i pisarką. Jej szwedzka książka o edukowaniu liderów wkrótce ukaże się po angielsku.

Romanowska też przez lata prowadziła salon literacki w Sztokholmie. Szwedzkie media porównywały go do najlepszych salonów nowojorskich. To od tego salonu prowadzi droga do doktoratu z nauk medycznych w prestiżowym Karolinska Institutet.

– Salon to moja wielka duma – mówi, kiedy spotykamy się w jej pełnym obrazów mieszkaniu na Östermalm. – Kosztował mnie mnóstwo energii i pieniędzy, zwłaszcza odkąd wynajmowałam przestrzeń, w której się odbywał, bo w moim mieszkaniu brakowało już miejsca, ale był realizacją marzenia.

Miałam już dość spotkań towarzyskich, na których mówiło się o błahostkach, ile tak można? To dzięki salonowi zrozumiałam, jak silnie może działać spotkanie z dobrze dobranym tekstem literackim, z muzyką. W rozmowach po moich przedstawieniach pojawiały się tematy, na które w zwykłym życiu rzadko bywa czas i miejsce.

W Szwecji silna jest wprawdzie tradycja edukacji pozaszkolnej skierowanej do szerokich warstw społecznych, tak zwanego folkbildning, ale mnie bardziej interesuje dokształcanie elit. Ludzie sprawujący władzę mają zazwyczaj duże kompetencje i wiedzę specjalistyczną, ale brak im kontaktu z rzeczywistością, z życiem zwykłych ludzi, z ich doświadczeniami. To niebezpieczne.

Człowiek, który ma władzę, potrzebuje głębokiej samoświadomości oraz zdolności widzenia innych – nie jako przypadków czy problemów do rozwiązania. W antyku uważano, że mężowie stanu powinni pielęgnować swoje cnoty i zdolność do odpowiedzialnego życia. Nie tylko rozwijać kompetencje, ale też dojrzewać jako ludzie. Ta myśl kryje się w koncepcji paidei. Świadomie do niej nawiązuję.

– Ale jak salon literacki doprowadził cię do obronienia doktoratu w Instytucie Neurobiologii Instytutu Karolinska? – pytam.

– Gdy rzuciłam karierę muzyczną i zostałam programistką, zaczęłam też zajmować się coachingiem. Prowadziłam tradycyjne kursy menedżerskie organizowane przez szwedzkie siły zbrojne.

Z początku bardzo mi się to podobało, ale po pewnym czasie zaczęła narastać frustracja. Miałam wrażenie, że program kursów infantylizuje dorosłych ludzi, że sugeruje im, iż można się w życiu i pracy uchronić przed niepewnością, niepowodzeniem i konfrontacją z trudnościami. Że nadmuchujemy ego szefów, ale nie uczymy ich, jak radzić sobie z konfliktami wartości.

Tymczasem szkolenia menedżerskie powinny dawać uczestnikom odwagę mierzenia się z rzeczywistością także wtedy, gdy jest trudna, pełna sprzeczności i bólu. Edukowanie menedżerów powinno być mocną interwencją – sięgać do głębszych warstw ich człowieczeństwa. Nie chodzi o to, żeby było wesoło, swojsko i bezpiecznie.

Dobry kurs musi zwracać się do człowieka schowanego za rolą dyrektora. Zarządzamy tak, jak żyjemy, a poczucia odpowiedzialności nie buduje się przez faszerowanie instrukcjami, jak zwiększyć efektywność pracowników.

Frustracja Julii Romanowskiej zaowocowała eksperymentem przeprowadzonym w latach 2007-08 w ramach współpracy Instytutu Karolinska i Wyższej Szkoły Wojskowej. Romanowska zamieściła w prasie ogłoszenie o darmowym szkoleniu menedżerskim, odpowiedziało na nie kilkuset dyrektorów z wszelkich możliwych branż, byli wśród nich informatycy, policjanci, dyrektorzy więzień, pastorzy, lekarze i dyrektorzy bibliotek.

Wybrano pięćdziesiątkę, która została podzielona na dwie grupy. Pierwsza grupa, kontrolna, brała udział w tradycyjnym szkoleniu menedżerskim, druga – w szkoleniu „Schibboleth", podczas którego szefowie byli regularnie zamykani w ciemnym pomieszczeniu i... wystawiani na transformujące działanie kultury.

Nie byle jakiej: proza Kafki mieszała się z fragmentami dzienników Etty Hillesum, poezja Rilkego z muzyką Alfreda Schnittkego. Eksperyment trwał rok. Nie tylko dyrektorom, ale także ich podwładnym regularnie badano krew, by określić poziom stresu.

Pracownicy szefów z grupy „Schibboleth" uspokajali się i dobrze czuli w pracy. Pracownicy szefów ze zwykłych szkoleń menedżerskich byli coraz bardziej zestresowani. Ich szefowie też. Wyszło na to, że głębokie obcowanie z kulturą naprawdę działa, a tradycyjne szkolenia menedżerskie to fasada.

– Kurs „Schibboleth" – tłumaczy Romanowska – tworzą przedstawienia składające się z czytanych na głos fragmentów dzieł literackich i muzyki. Nie ma żadnych prezentacji w Power Poincie, żadnych wzorów „dobrego" zarządzania, żadnych gotowych recept na sukces.

Nikt się na początku nie przedstawia, nie mówi, gdzie pracuje. Nie chodzi o to, by dać ludziom gotowe narzędzia, ale by skonfrontować ich z doświadczeniami i pytaniami, których nie da się uprościć. Po przedstawieniach uczestnicy spisują swoje myśli i rozmawiają.

Wiem, że słowo „schibboleth" pochodzi z hebrajskiego, ale w słowniku PWN jest spolszczone do szybolet i wytłumaczone jako „hasło rozpoznawcze, często zawierające zgłoskę lub wyraz, których cudzoziemiec nie potrafi wymówić". Co ma to wspólnego z kształceniem menedżerów? – pytam.

– Słowo to pojawia się rzeczywiście w Biblii jako hasło rozpoznawcze, wróg zostaje zdemaskowany przez to, że nie umie go wymówić. Ale mnie interesuje głębsze znaczenie schibbolethu, bo to jest także próg przejścia albo próba, czyli doświadczenie, które człowieka gruntownie zmienia.

Aby się rozwinąć, czyli przekroczyć swoje własne granice, nie wystarczy mieć wiedzę i operować właściwymi terminami. Trzeba coś przeżyć, i to głęboko. Człowiek rośnie, kiedy przerwie się oplatającą go siatkę fałszywych wyobrażeń, także na własny temat. Kultura daje nam tę szansę.

Jak udało ci się przekonać świat medycyny do badania wpływu kultury na liderów, a przecież to na ten temat zrobiłaś doktorat?

– Moje podstawowe pytanie badawcze brzmiało: czy kultura może zmienić sposób, w jaki postrzega się i sprawuje władzę? W świecie medycyny i nauk przyrodniczych pytanie to rzeczywiście mogło zostać uznane za należące do innego kontekstu. Jednak koncepcja badania była bardzo konkretna i miała przemyślaną strukturę.

Badania porównawcze jakości kursów nie były ograniczone do sprawdzania poziomu zadowolenia uczestników. Moja teza wyjściowa była dość prosta: jeśli pod wpływem kursu styl zarządzania szefów zmienia się na lepszy, to powinno to być zauważalne wśród ich pracowników – na poziomie psychicznym, biologicznym i behawioralnym.

Dlatego badałam poziom ich stresu, zawartość hormonów we krwi, a przede wszystkim ich rezyliencję, czyli umiejętność radzenia sobie z trudnościami. Sprawdzane było ich samopoczucie, sen, a także ewentualne objawy depresji i wyczerpania. Ponadto pracownicy oceniali zachowanie swoich sze-

eprasa.pl 4ba45f9584

fów, a szefowie wypełniali różne testy osobowościowe.

Ciekawe i zaskakujące, że sami szefowie widzieli tę sprawę inaczej. Ci, którzy byli w grupie kontrolnej i uczestniczyli w tradycyjnym szkoleniu menedżerskim, uważali, że dzięki niemu stali się lepszymi liderami. Za to ich pracownicy nie tylko byli bardziej zestresowani, ale uważali też, że ich szefowie po kursie wydają się czuć mniej odpowiedzialni za to, co robią.

W grupie po kursie „Schibboleth" mieliśmy efekt odwrotny. Szefowie byli bardziej krytyczni względem siebie i pełni wątpliwości, za to ich współpracownicy uważali, że dyrektorzy biorą na siebie większą odpowiedzialność i lepiej zarządzają.

Jak to rozumieć? Może tak, że uświadomienie sobie, jak trudno jest stanąć na wysokości zadania, którym jest bycie szefem, czyni ludzi bardziej pokornymi, a dzięki temu więcej od siebie wymagają i wyraźniej widzą innych?

Kultura leczy? Zmniejsza nadmuchane ego i odstresowuje?

– O nie! Dostaję alergii na hasła mówiące, że kultura jest potrzebna dla zdrowia. Kultury nie wolno instrumentalizować, tak robią dyktatorzy. Nie chodzi też o jakąś prostą korelację, że obcowanie z kulturą odstresowuje, tylko o to, że długotrwałe obcowanie z kulturą, przeżywanie jej i dyskutowanie o niej może zwiększyć ludzką samoświadomość.

W szkoleniu „Schibboleth" nie chodzi o instrumentalne wykorzystanie kultury na potrzeby menedżerów czy firm, ale o to, że konfrontowanie ludzi z kulturą ambitną, czasem wręcz trudną, z fragmentami tekstów, które zestawione razem pełne są sprzeczności i mówią coś prawdziwego o cierpieniu albo o istnieniu zła, jest trochę jak kopniak w brzuch.

To doświadczenie przebija się przez ludzkie mechanizmy obronne, przez iluzje i kalki językowe. Wywołuje niepewność i poczucie zagubienia, a nawet przeświadczenie, że coś się rozpada, ale właśnie w ten sposób wyostrza się ludzki zmysł rzeczywistości.

Przedstawienia „Schibboleth" konfrontują szefów z poczuciem winy i odpowiedzialności, z cierpieniem, miłością, złem, bezbronnością i różnymi konfliktami moralnymi. Pojawiają się w nich fragmenty tekstów takich autorów jak: Fernando Pessoa, Georges Perec, Elfriede Jelinek, Wisława Szymborska, Emil Cioran, Franz Kafka, Jerzy Kosiński, Paul Celan, Nelly Sachs, Fiodor Dostojewski, Włodzimierz Majakowski, i to razem z muzyką, w której także czuć ciężar i złożoność naszej egzystencji.

Forma artystyczna ma tu kluczowe znaczenie. Cisza, która też odgrywa dużą rolę, kontrasty i sprzeczności sprawiają, że uczestnicy kursu nie mogą w pasywny sposób skonsumować tego, co widzą i słyszą, i niczego nie da się zredukować do prostej opowieści o jednoznacznym przesłaniu.

A doświadczenie w spotkaniu z kulturą tego, co obce i inne, pozwala na zmierzenie się z tym, co obce w nas samych. Uważam, że po to, by móc brać odpowiedzialność za innych, człowiek musi nauczyć się myśleć w kategoriach tragicznych – poczuć, że życie to cierpienie, ambiwalencja i sytuacje, w których nie ma prostych rozwiązań.

Kursy „Schibboleth" tworzą przestrzeń nie dla samorozwoju, ale dla dojrzewania.

A na końcu rzeczywiście jest tak, że lepiej mieć dojrzałego szefa. W twojej książce cytujesz słowa psychiatry Kjella Andersena, który twierdzi, że w projekcie „Schibboleth" konfrontacja z kulturą pozwala na zmierzenie się z tym, co ukryte w podświadomości, na wejście w kontakt z cierpieniem. Dlaczego to takie ważne? Czy nie lepiej skupić się na tak modnym pozytywnym myśleniu?

– Zwykło się uważać, że wejście w kontakt z naszym własnym ukrytym cierpieniem, z traumą automatycznie coś w nas leczy i czyni nas bardziej empatycznymi, zwiększa zdolność do widzenia cierpienia innych.

Według mnie to nie takie proste. Skoncentrowanie na własnym cierpieniu równie dobrze może wzmocnić narcystyczne cechy, zaowocować poczuciem goryczy i przesadnym zaabsorbowaniem sobą. Tak naprawdę dopiero wtedy, gdy dochodzi do spotkania z cudzą bezbronnością i krzywdą, gdy widzi się i czuje cierpienie innych – a to może się zdarzyć w obcowaniu z dziełami kultury – mogą się w człowieku obudzić takie uczucia jak: wstyd, poczucie winy, doświadczenie moralnej niejednoznaczności, a to z kolei może prowadzić do zwiększonego poczucia obowiązku i chęci wynagrodzenia za zło.

Nasze wewnętrzne cierpienie nie znika, ale nie musimy się już przed nim tak desperacko bronić, tak mocno unikać przyznania, że jest. To daje wolność.

Czy dobrze w takim razie rozumiem, że w twoich kursach chodzi przede wszystkim o to, by szefowie stali się bardziej empatyczni i odpowiedzialni za pracowników, a nie skupiali się na dalszym zwiększeniu ich efektywności oraz tworzeniu wrażenia, że w pracy jest zawsze fajnie?

– I tak, i nie. Uważam, że słowo „empatia" bywa w naszych czasach bardzo upraszczane. Używa się go tak, jakby była to strategiczna kompetencja, która pozwala jednostce osiągnąć sukces w towarzystwie oraz pracy.

Fakt. Pamiętam, jak w Szwecji reklamowano urlopy ojcowskie jako sposób na to, by mężczyźni stawali się lepszymi szefami. Jesteś w domu z dzieckiem, rozwija ci się empatia, robisz większą karierę.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kursy „Schibboleth" wzmacniają ludzi, którzy mają władzę. Ale nie powierzchownie. Chcę, żeby byli mniej pewni siebie i swoich racji. Niech staną się ludźmi rozumiejącymi tragizm naszego bytu

JULIA ROMANOWSKA

– No właśnie. Kursy „Schibboleth" to w ogóle nie są kursy rozwoju osobistego. Chodzi raczej o postawienie dość mrocznych pytań, na przykład: Do czego jesteśmy zdolni my, ludzie, jeśli stracimy świadomość tego, że każda władza zobowiązuje i wiąże się z odpowiedzialnością za innych?

I jak to możliwe, że – jak pokazała nam historia – ludzie potrafią dokonywać bestialskich zbrodni i czuć przy tym, że są przyzwoici?

Kultura, na przykład literatura, potrafi nas czasem poruszyć mocniej niż życie, zburzyć nasz dystans do rzeczywistości, utrudnić chowanie się za abstrakcyjnymi pojęciami, rolami i profesjonalnym językiem. Nagle okazuje się, że cierpienie innych to nie jest jakaś odległa, nierealna sprawa, tylko rzeczywistość.

Moim celem jest wzmocnienie ludzi, którzy mają władzę, ale nie w sposób powierzchowny. Chcę, żeby zwiększyła się ich zdolność dostrzegania innych, żeby byli mniej pewni siebie i swoich racji. Niech staną się ludźmi rozumiejącymi tragizm naszego bytu. Paradoksalnie właśnie to czyni nas silniejszymi, nie dlatego, że życie i świat wydają nam się prostsze, tylko dlatego, że nie musimy już uciekać w panice przed konfliktami i sprzecznościami istnienia.

A co na to zwolennicy i organizatorzy tradycyjnych szkoleń menedżerskich, krytykują cię? To duży biznes.

– Oczywiście, ale dziś już w znacznie mniejszym stopniu niż wcześniej. Mam raczej wrażenie, że coraz więcej ludzi uważa moją pracę za potrzebną i docenia jej unikalność. Powracają jednak regularnie pytania, które moim zdaniem wiele mówią o czasie, w którym żyjemy: „Czy kurs »Schibboleth« czyni menedżerów bardziej efektywnymi, produktywnymi i opłacalnymi dla firmy?", „Jak można narażać ludzi na tak mocne i nieprzyjemne doświadczenia – czy to w ogóle etyczne?".

I na koniec: „Dlaczego tak eksponować w kursie doświadczenie historycznej katastrofy, którą był Holokaust, skoro jest wiele innego cierpienia, którego ludzie doświadczają tu i teraz?".

Według mnie pytania te są ze sobą ściśle powiązane. Jesteśmy ewidentnie przyzwyczajeni do tego, że edukacja ma zapewnić edukowanym natychmiastową korzyść i podnieść ich wydajność, a poza tym, że w jej procesie człowiek ma być chroniony przed tym, co nieprzyjemne.

Jednocześnie wygląda na to, że istnieje przeświadczenie, iż człowieczeństwo oraz poczucie odpowiedzialności szkodzą efektywności, sukcesowi i opłacalności.

Pytanie o to, czy etyczne jest konfrontowanie ludzi z ciemnością, którą może pokazywać kultura, chciałabym odwrócić: Co stanie się z ludźmi i społeczeństwami, jeśli nie będziemy tego robić? Odnoszę wrażenie, że już teraz nasza epoka cierpi na nadmiar uproszczeń, skupienia na sobie i strachu przed tym, co poważne.

A Holokaust ma wyjątkowe miejsce w moich kursach, bo w sposób bezlitosny naświetla pytania o odpowiedzialność, dehumanizację i ludzką zdolność akceptowania nawet tego, co niewyobrażalne. Pokazuje, jak także zupełnie zwykli ludzie potrafią popełniać potworne czyny, uważając się przy tym za osoby moralne.

Jednocześnie dystans historyczny do tych wydarzeń sprawia, że można o nich mówić, nie angażując się we współczesne debaty. Literatura na temat Zagłady może otworzyć przestrzeń na dyskusję o moralności i na najbardziej niewygodne z pytań: „Jakie zło tkwi także w nas?". To pytanie zbliża nas do widzenia rzeczywistości taką, jaką ona jest, i wyrywa z otępienia.

A otępieni jesteśmy coraz bardziej, przeładowani informacjami, zanurzeni wzrokiem w ekranach.

– Brakuje nam ciszy. Prowadząc szkolenia „Schibboleth", zauważyłam, jak bardzo ważna jest w grupie cisza, ta, która zapada po przedstawieniu. Wspólne milczenie, w którym się myśli i czuje. Tę ciszę tracimy dziś w mediach społecznościowych i wtedy, gdy używamy AI.

Bo kiedy zadajesz pytanie sztucznej inteligencji, natychmiast dostajesz odpowiedź, nieustannie trwa komunikacja. A to w ciszy dzieje się czasem najwięcej. Zwłaszcza poczucie odpowiedzialności rodzi się często w samotności i ciemności, w czymś, co trzeba długo w sobie nosić – a nie w pingpongowym dialogu natychmiastowych odpowiedzi. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

Połącz Kropki

Idealna gra na krótką przerwę

Zeskanuj QR kod i graj

APLIKACJA WYBORCZEJ

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

ADAM MICHNIK POLECA

Picasso i jego lud

To, co większość ludzi robi na hamulcu i po cichu, wielcy artyści demonstrują światu otwarcie. A przy tym często są skrajnymi egoistami i egocentrykami. W naszym interesie

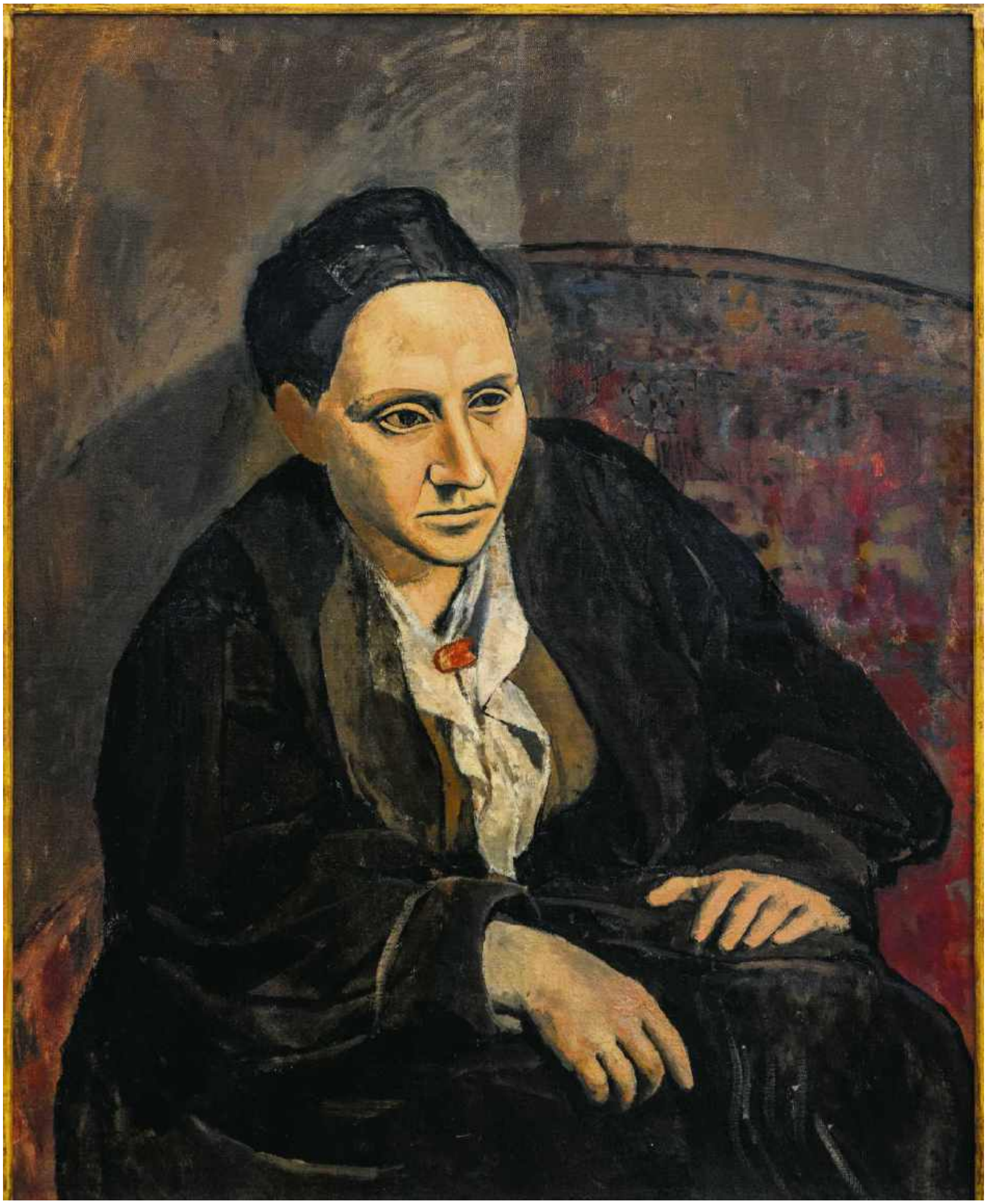

• **Pablo Picasso, „Portret Gertrudy Stein", 1906** FOT. PETER EASTLAND/ALAMY/BEW

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

Maria Anna Potocka*

Na Picassa należy popatrzeć oczami Gertrudy Stein. Ta awangardowa pisarka była najbardziej wnikliwą osobą jego czasów. Widziała wszystko „na czysto", bo nie dopuszczała do siebie cudzych opinii. Czuła obraz, słowo i istotę geniusza. Na ludzi patrzyła pod kątem ich intelektualno-twórczej przydatności dla siebie.

Picasso bardzo się jej „nadał". Na dodatek z wzajemnością: „Ależ to moja jedyna przyjaciółka, powiedział Picasso, jej dom to jedyny dom w którym bywam" (Stein, „Autobiografia Alicji B. Toklas", przeł. Mira Michałowska, Warszawa 1994).

Stali się bardzo sobie bliscy. „Ci dwoje oddają się długim samotnym rozmowom. Siedzą na dwóch niskich krzesłach kolano przy kolanie w jego pracowni i tłumaczą sobie nawzajem różne rzeczy. Mówią o wszystkim, o obrazach, o psach, o śmierci, o tym, jak jest się nieszczęśliwym" (ten i następny cytat z tej samej „Autobiografii").

Ta komunia dusz z przerwami trwała całe ich życie: „Panna Stein, zamożna Amerykanka zamieszkała w Paryżu, jest od lat naczelną kapłanką tak zwanych Nowych Artystów, Kubistów i Futurystów".

Stała za tym artystyczna intuicja tej kapłanki. „Sądy Gertrudy Stein o nowym malarstwie rodzącym się w szkole paryskiej na początku XX w., w owej epoce heroicznej, której była świadkiem i uczestnikiem - należą do najcenniejszych kart nowoczesnego piśmiennictwa o sztuce" (Gertruda Stein, „Picasso", przeł. Mira Michałowska, Warszawa 1974).

Jedynie Hiszpan mógł wynaleźć kubizm

Takie pochlebne zdanie o Gertrudzie miał Juliusz Starzyński. Wprawdzie czasem się mylił, ale tu trafił. Był historykiem sztuki, któremu zależało na przybliżaniu sztuki innym. Wyczuwał narzędzia tej trudnej operacji, aczkolwiek z socrealizmem się pomylił.

Gertruda Stein, pisząc o Picassie, wielokrotnie podkreślała jego hiszpańskość i jej wpływ na tworzoną przez niego sztukę. „Człowiekiem, który wyczuł potrzebę swojego czasu i który ją zaspokoił, był, naturalnie, Hiszpan. Hiszpanie jedni jedyni w Europie nie mają pewności, czy to, co widzą, jest rzeczywistością" („Picasso").

Według niej jedynie Hiszpan mógł wynaleźć kubizm, bo tylko w Hiszpanii widoki i architektura były wobec siebie tak obce, że nie dopuszczały do zespolenia brył.

Nie koniec na tym. Według Gertrudy genialność Picassa miała swój początek w koktajlu osobowościowym, w pomieszaniu tego, co hiszpańskie, z tym, co francuskie. To samo obserwowała u siebie; pomieszanie amerykańskiego z francuskim. Więc siebie i Picassa nazywała geniuszami.

Nie była to genialność typu „Leonardo da Vinci"; jej tajemnica nie kryła się w dziele, tylko wynikała z uwarunkowań psychicznych.

Gertruda Stein przyjmuje definicję geniusza od swojego ulubionego nauczyciela, Williama Jamesa. Według niego geniuszem jest ten, kto posiada „niezwyczajną percepcję połączoną z nadzwyczajną siłą uwagi" (cytat za: Barbara Will, „Gertrude Stein. Modernism, and the Problem of »Genius«", Edinburgh 2000).

Gertruda postawiła tę „diagnozę" sobie. I oczywiście rozpoznała ją u Picassa. Ten człowiek rzeczywiście nie potrafił na nic patrzeć jak inni. I, co charakterystyczne dla geniuszy, wszystko postrzegał z nieprzytomną wnikliwością. Na szczęście nie chował tych wrażeń dla siebie, tylko przekładał je na obrazy, rzeźby, fotografie, talerze, i nawet wiersze.

Wszystko chłonął z niezwykłą intensywnością i zapamiętywał po swojemu. „Natychmiast spod ołówka artysty wyłaniają się mieszkańcy Montmartre'u: prostytutki, podstarzałe lesbijki, narkomani i cała reszta, czyli »lud Picassa«, który pojawi się w jego dziełach w czasie najbliższych sześciu lat" (Annie Cohen-Solal, „Picasso. Geniusz. Ikona. Legenda. Biografia buntownika", przeł. Justyna Nowakowska, Kraków 2023).

20-letni [rocznik 1881] artysta podglądał marginesy Paryża, czyli poznawał tych, którzy ujawniają najwięcej i którym nie chce się kłamać.

Nigdy się nie stał własnym naśladowcą

Gertruda Stein zobaczyła wczesne obrazy Picassa w jednym z antykwariatów, kupiła kilka i wiedziała, że odkryła geniusza. Zobaczyła w młodym artyście wielkie bogactwo ducha i intrygujący poziom niecierpliwości twórczej.

• **Picasso i jego obraz „El aficionado" („Miłośnik"), 1912**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jedno i drugie natychmiast odniosła do siebie. Uznała, że ten człowiek musi stać się częścią jej życia. I tak się stało, chociaż z przerwami na olimpijskie nieporozumienia.

Picasso w pełni wynagrodził Gertrudzie jej zaufanie w jego wielkość. Okazał się płodny, uzależniony od sztuki, dociekliwy, wielostronny i oczywiście genialny. Jego oszałamiająca twórczość dzieli się na kilka wyraźnie różnych okresów. Picasso nigdy się nie stał własnym naśladowcą. Kiedy wyczerpywał problem, porzucał styl, zmieniał konwekcję i otwierał nowy okres.

W 1901 roku rozpoczyna sławny, trwający trzy lata, okres niebieski. Po nim następuje różowy. Na tych obrazach pojawiają się ludzie prości, ale zarazem wyjątkowi i specyficzni: cyrkowcy, robotnicy, prostytutki. Wszyscy eksponują ekspresję ciała, mówią nim i w nim istnieją całym sobą.

Są to między innymi: „Stary gitarzysta", „Prasowaczka", „Dziewczyna na kuli", „Kuglarze", „Rodzina arlekina". Niebieski i różowy to okresy miękkich brył. Arką przymierza między nimi a kubizmem są dwa arcysławne dzieła Picassa, „Portret Gertrudy Stein" i „Panny z Awinionu". Oba te obrazy dobitnie potwierdziły - jak zwykle słuszne - spostrzeżenia panny Stein: „Dla Picassa istnieje wyłącznie głowa, twarz, ciało człowieka" (Stein, „Picasso").

Gertruda pozowała Pablowi 80 razy. Ale „pewnego dnia Picasso nagle jednym zamachem zamalował całą głowę. Patrzę i nagle zupełnie przestaję cię widzieć, powiedział zły" (Stein, „Autobiografia").

Po czym wyjechał na dłużej. Po powrocie szybko i „z głowy" namalował jej twarz. W tym portrecie wyczuwa się przepaść czasu pomiędzy ciałem a twarzą. Kok na głowie, sławna sztruksowa suknia, ręce, żabot, kultowa broszka, wnętrze - to wszystko jest jeszcze namalowane miękko. Na to została nałożona twarz stworzona już przez innego artystę. Ta twarz jest jak wycięta z papieru; znacznie gładsza, z ostrymi konturami. Picasso zapowiadał tu już kolejnego siebie, kubistycznego. „Wszyscy mówią, że nie jest do niej podobny, ale to nie ma znaczenia, ona się upodobni do niego" („Autobiografia").

I Gertruda potwierdziła, że tak się stało. Ten obraz był dla Picassa ważny i długo w nim „siedział". Dlatego gdy „zobaczył Gertrudę Stein po raz pierwszy z obciętymi włosami, powiedział ze złością, a mój portret, ale po chwili dodał, no ale właściwie wszystko inne pozostało" („Autobiografia").

Piękno absolutne

„Panny z Awinionu" to sztandarowe wejście w kubizm. Panny są prostytutkami z burdelu w Barcelonie. Picasso zgodził się na zmianę tytułu po naleganiach świętoszków. Ale to nie zawód bohaterek obrazu był dla odbiorców głównym szokiem. W tym obrazie realizm pozwala się gwałcić „krok po kroku". Figura po lewej odważnie opuszcza dawne malarstwo Picassa, dwie w środku pozują do kubizmu, a dwie po prawej szamanią się w afrykańskich maskach.

Świat miłośników sztuki już od kilkudziesięciu lat godził się na naruszanie realnego obrazu świata. Ale tak nonszalanckie, tak nieskoordynowane traktowanie realizmu szokowało. „I tak powstały z czasem takie obrazy, jak »Panny z Awinionu« i zaczęły się dziać rzeczy straszne. Pamiętam jak Szczukin, który tak gorąco podziwiał malarstwo Picassa, przyszedł do mnie i powiedział niemal ze łzami w oczach, jaka to wielka strata dla sztuki francuskiej" (Stein, „Picasso").

Ten wybitny rosyjski kolekcjoner, którego sławnym powiedzeniem było: „Jeśli po obejrzeniu obrazu czujesz szok - kup go", najwyraźniej na widok „Panien" przeżył szok niekolekcjonerski. (Siergiej Szczukin, 1854-1936, zbierał impresjonistów i postimpresjonistów. Również wczesnego Picassa. Obecnie prace z tej kolekcji znajdują się w muzeach publicznych Rosji).

Od 1910 roku kubizm na kilka lat zdominował sztukę Picassa. Najpierw były analizy, a potem syntezy. Początek I wojny światowej domyka tę artystyczną młodość opartą najpierw na dwóch kolorach, a potem na podziałach geometrycznych.

Picasso ma prawie 35 lat i zdaje się już wszystko rozumieć. Doroślenie przyspiesza atmosfera czasu. Wielu jego przyjaciół zostaje zmobilizowanych, a Apollinaire na nasze nieszczęście zgłasza się dobrowolnie. Następuje dezorganizacja życia artystycznego oraz towarzyskiego. Przeszłość się wycofuje.

„Picasso zawsze odczuwał potrzebę całkowitego wyzwalania się z nurtującej go idei, wyczerpywania jej do końca, potrzebę opróżniania swojego artystycznego wnętrza, a że ma on zawsze wiele pomysłów, całe jego życie jest, rzec można, jednym ciągłym pasmem wyrzucania z siebie tych pomysłów" (Stein, „Picasso").

Pod koniec I wojny pojawia się nowy Picasso. Przestaje się skupiać na jednej manierze i zaczyna równolegle tworzyć różną sztukę. Klasycyzm miesza się z kubizmem, pojawiają się wdzięczne i brutalne deformacje, a nawet surrealne westchnienia i okrzyki.

Początek tego zróżnicowanego czasu był klasyczny. „Tworzył piękno, które było pięknem samym w sobie. Piękno tych obrazów jest absolutne, nie ma tam śladu owego piękna wynikającego z wysiłku twórczego" (Stein, „Picasso").

(Ten okres w twórczości Picassa Gertruda Stein nazwała „naturalistycznym", w opracowaniach historycznych nazywany jest „klasycyzującym", po wykonaniu scenografii do „Parady"; Balet Rosyjski, libretto Jean Cocteau, muzyka Erik Satie, Rzym 1917).

Przede wszystkim pokój

W 1917 roku, przygotowując scenografię do „Parady", Picasso doświadczył Włoch. Być może poczuł się zagrożony ich wspaniałością, w każdym razie coś takiego sugeruje komentarz Gertrudy: „po pewnym czasie te gigantyczne akty nabrały wyraźnych cech rzeźby. W ten sposób Picasso opróżniał swoje artystyczne wnętrze z naleciałości włoskich. Takie są jego zwyczaje" („Picasso").

I wojna światowa nie obudziła społecznego sumienia Picassa. Skupiał się wtedy na swojej przemianie artystycznej i myśleniu o wyjeździe do Włoch. Obudził go dopiero w 1936 roku wybuch wojny domowej w Hiszpanii. Opowiedział się oczywiście po właściwej stronie.

W 1937 roku republikanie zamówili u niego obraz mający upamiętnić zbombardowanie miasteczka Guernica i zamordowanie kilkuset osób. (Pokazany został w pawilonie Hiszpanii na wystawie światowej w Paryżu w 1937 roku).

Powstała sławna, gigantyczna „Guernica" - symbol protestu przeciwko okrucieństwom wojny. Podobno Picasso, zapytany przez jakiegoś Niemca, czy to on zrobił, odpowiedział: - Nie, to wy.

Naziści oczywiście gardzili sztuką Picassa. Pokazali jego obrazy w 1937 roku w Monachium na wystawie „Entartete Kunst", czyli prześmiewczej ekspozycji „sztuki zdegenerowanej". Był to pokaz wszystkiego, co najwybitniejsze w sztuce pierwszej połowy XX wieku.

Okres II wojny światowej spędził Picasso w Paryżu. Odczuwał dramat czasu. I również przygnębienie. Dla artystów polem, na którym wyrażają ważne uczucia, jest przede wszystkim sztuka.

Picasso nie angażował się czynnie - jak np. Éluard - w ruch oporu. Podczas gdy jego przyjaciółka Gertruda Stein wraz z Alicją Toklas jeździły na front fordem

Wszystko postrzegał z nieprzytomną wnikliwością. Na szczęście nie chował tych wrażeń dla siebie, tylko przekładał je na obrazy, rzeźby, fotografie, talerze. Nawet wiersze

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

przerobionym na sanitarkę, on zamknął się w świecie ciemnych obrazów. U niego krzykiem rozpaczy artystycznej były obrazy monochromatyczne, operujące czernią i wszelkimi nasyceniami szarości. Pierwsza była „Guernica".

W czasie wojny pojawiło się wiele takich mrocznych Minotaurów. Symbolizowały Hitlera oraz ciemne cechy natury ludzkiej. W momentach relaksu, zamiast ozdobnych kwiatów, malował rośliny jadalne, symbol zaradności w czasach trudnych.

Okupanci niemieccy niespecjalnie go nękali, ale bacznie obserwowali. Ci bardziej wyrafinowani kulturowo interesowali się jego sztuką i potajemnie go odwiedzali.

Po wojnie stał się prawdziwym apologetą pokoju. Dla tej idei poświęcał nawet wątpliwości polityczne. W 1948 roku wziął udział w Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu. A potem odwiedził zniszczoną Warszawę. (Przekazał wtedy Muzeum Narodowemu kolekcję ceramiki i prac na papierze).

Jak wielu - zwłaszcza Francuzów - przyjął, że system komunistyczny i stojący za nim Związek Radziecki zapewnią światu gwarancję pokoju i być może szczęścia. Wielu wybitnych twórców - chociażby Picasso, Léger, Sartre, Aragon, Éluard - wstąpiło wtedy do partii komunistycznej. Uważali ten gest za opowiedzenie się po stronie pokoju i sprawiedliwości społecznej.

Komunizm wydawał się wtedy wielu intelektualistom - również polskim - kaleką, ale jednak jedyną drogą uniknięcia wojny i poprawienia statusu życia. Symbolem tego „jedynego wyjścia" był Stalin.

Picasso narysował Stalina trzy dni po jego śmierci. Zapewne uległ błaganiom swojego przyjaciela, Maurice'a Thoreza, fanatycznego komunisty, człowieka wielbiącego ZSRR. „Kult Stalina pozostawał wielką kością niezgody między Thorezem a Picassem, ale doskonale sobie z tym radzili: pierwszy przymykał oczy, a drugi się uśmiechał" (Cohen-Solal, „Picasso").

Dziwny ten Stalin

Ta lekkość akceptowania cudzych - nawet obrzydliwych - poglądów i postępków politycznych jest zadziwiająca w środowisku artystycznym ówczesnej Francji. Prawicowy Cocteau wypisywał peany na temat artysty hołdującego Hitlerowi, a mimo to lewicujący twórcy spotykali się z nim i co najwyżej próbowali go oprzytomnić. Ale nie było w ich podejściu potępienia. Nic więc dziwnego, że „uśmiechnięty" Picasso dał swojemu przyjacielowi ten dowód przyjaźni. Jednak zachował dystans do tematu.

Stalin na rysunku Picassa nie jest do siebie podobny. To jakiś dziarski, zrelaksowany robotnik. Oczywiście pozbawiony symboli przywódczych czy atrybutów wodzowskich. Ot, zwykły człowiek, któremu okoliczności pozwoliły zmienić historię. To przedstawienie ani nie potępia, ani nie chwali swojego bohatera.

Za to niewątpliwie wyraża pewne lekceważenie. Artysta nawet „przyciął" Stalinowi wąsy; drobna aluzja do mitu Samsona i wielka przepowiednia. Ten portret to artystyczna reakcja Picassa na egzaltację, jaka pojawiła się wśród lewicujących francuskich humanistów po śmierci Stalina. Reakcja wysoce prowokacyjna.

Towarzysze Picassa z partii komunistycznej byli oburzeni tak niegodnym oraz pozbawionym szacunku przedstawieniem wielkiego wodza i wybawiciela Europy. Picasso usłyszał sporo gorzkich słów i wyrzutów. Jakiś czas później mógł z kolei usłyszeć wyrzuty, że w ogóle kogoś takiego narysował. W zależności od czasów można za to samo oberwać z dwóch różnych stron.

Znając Picassa, zapewne ani jednym, ani drugim się nie przejął. Nie dał się niczemu w pełni oszołomić, ale do końca życia pozostał członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej. Swoją sztuką nie wspierał jej ideologii i można nawet podejrzewać, że po prostu zapomniał o swoim członkostwie. Ale nigdy nie zapomniał, że podstawą wolności człowieka i artysty jest pokój.

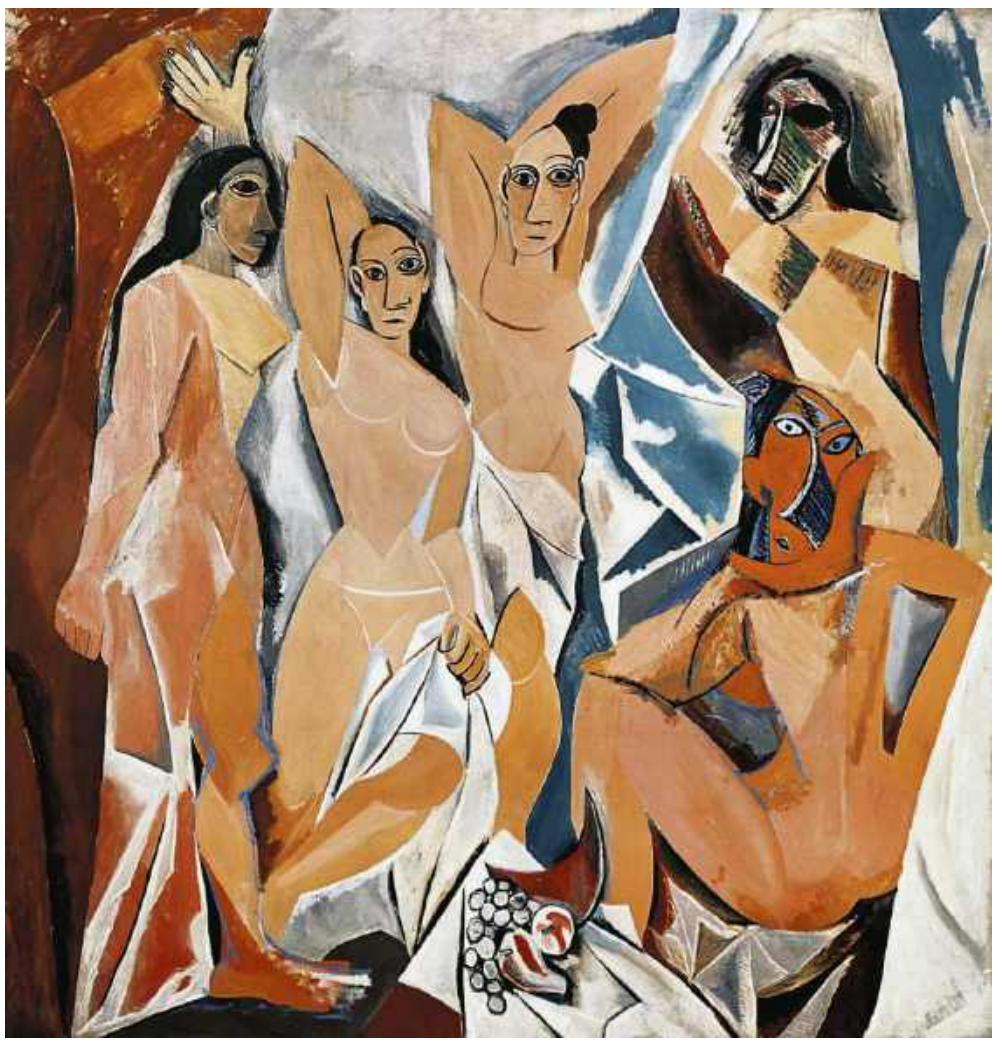

• **Picasso, „Panny z Awinionu", 1907** FOT. JOSEPH MARTIN/EAST NEWS

Protest przeciwko wojnie i apoteoza pokoju bardzo wyraźnie pojawiają się jeszcze w dwóch jego doniosłych dziełach: w obrazie „Masakra w Korei" z 1951 roku oraz w polichromii „Wojna i pokój" z 1952 w średniowiecznej kaplicy w Vallauris na południu Francji. I w bardzo wielu pomniejszych gestach artystycznych.

W 1948 roku, razem z Françoise Gilot i dwójką dzieci, zamieszkał właśnie w Vallauris, rozkosznym miasteczku nad Morzem Śródziemnym. Wrócił tam do cieszenia się własnym talentem i nieposkromieniem. Tam odkrył ceramikę i oddał się tej technice z wielką pasją. Wymagała ona wprawdzie ograniczenia się do znacznie mniejszej powierzchni, ale za to wymuszała syntezę i pozwalała na silne podkreślenie wyrazistości, np. ptaka. Poza tym faktura, mięsistość i materia ceramiki dawały poczucie gestu stwórczego. Obraz stoi obok życia, talerz bierze w nim udział. To niewątpliwie nakręcało Picassa. Na zdjęciach „ceramicznych" wygląda na jeszcze bardziej ożywionego niż zwykle.

Ceramika Picassa to piękna „wyszalnia" gestu, prostoty, swobody, impulsu. To pokaz wolności twórczej - bardzo już pewnej siebie. [„Wyszalnia" - od „wyszaleć się", termin użyty przez Stanisława Lema].

Malarz pisze wiersze

Lata 50. to kolejny okres twórczości Picassa. Ufając swojemu talentowi, podejmuje dialog z dawnymi mistrzami. Otwiera to „Masakra w Korei", której kompozycja nawiązuje do „Rozstrzelania powstańców madryckich" Goi.

Nie łudźmy się, że dostaniemy gigantyczną dawkę malarstwa – i to takiego, które gwałci wrażliwość estetyczną całego świata i podejmuje walkę o szczęście - od człowieka poprawnego i potulnego

Wśród tych otwarcie manifestowanych inspiracji i odniesień pojawiają się intrygująco odmienne przypadki artystyczne, twórcy tacy jak Velázquez, Delacroix czy Manet. Picasso „porozmawiał" sobie malarsko z historią sztuki, z tą dla niego ważną.

Ostatnie dziesięciolecie - czyli od 80. roku życia [zmarł w 1973] - to pospieszny spacer przez własne doświadczenia malarskie. Można odnieść wrażenie, że Picasso zwraca się do samego siebie. Przywiązuje znacznie mniejszą wagę do dopracowania i wykończenia formy. Coś sobie przypomina, jakby pewne rzeczy przywołuje. W tym pożegnaniu wyraźnie daje do zrozumienia, że sztuka służy przede wszystkim swojemu artyście.

Dla Picassa sztuka była formą kontaktu ze sobą i innymi. „Nie rysował przedmiotów, ale pojęcia, innymi słowy od dzieciństwa porozumiewał się za pomocą obrazów; były one jedynym jego sposobem wyrażania się, a zawsze miał bardzo dużo do powiedzenia" (Stein, „Picasso").

Po jakimś czasie okazało się, że nie tylko obrazy temu służą. Picasso od samego przyjazdu do Paryża „przyjaźnił się z pisarzami raczej niż z malarzami, bo po co przyjaźnić się z malarzami, skoro się potrafi tak malować" („Picasso").

Dlatego był przesiąknięty poezją awangardową. Ale zajęło mu wiele lat, zanim zdecydował się napisać wiersz. Zaczął pisać w 1935 roku. Być może wtedy odkrył, że obrazy kryją w sobie słowa, a z kolei słowa potrafią udawać materię. Czasem pisał po hiszpańsku i te jego wiersze tłumaczył na francuski André Breton. Gardził znakami interpunkcyjnymi, jeszcze bardziej niż Gertruda Stein. Mawiał, że interpunkcja jest koteką (ochrona penisa, twarda lub miękka), skrywającą intymne części literatury.

„Zaczął pisać wiersze, ale to jego pisarstwo nigdy nie było osobistą wypowiedzią. Egoizm malarza różni się całkowicie od egoizmu pisarza, nie mam nic do powiedzenia na ten temat, tak po prostu jest. Tak jest" (Stein, jak wyżej).

Praca, seks i tytoń

Gertruda wyczuwała, że poezja pisana przez Picassa musi być inna niż ta pisana przez poetów. Słowa Pabla były materialne, a sam wiersz stanowił szkic do obrazu, którego nie dało się namalować, bo obraz nie dopuszcza akcji. Natomiast w ruchomych wierszach Picassa - takich jak ten - widać surrealną etiudę filmową:

„ulica pełna gwiazd/ i więźniowie jedzą gołębie/ i gołębie jedzą ser/ i ser je słowa/ i słowa jedzą mosty/ i mosty jedzą spojrzenia/ i spojrzenia jedzą czarki orchaty pełne pocałunków" (tu i niżej tłumaczenie autorki z angielskiego).

Picasso był artystą pracującym zawzięcie. Jego nałogami były praca, seks i tytoń. Potrafił malować w pracowni nawet przez dziesięć godzin. Przy takim trybie życia „poezja była dla niego rodzajem gorzkiej medytacji, a jednocześnie zajęciem dość przyjemnym, które można było wykonywać w kawiarni" (Stein, jak wyżej).

Wielkim odkryciem twórczym na terenie poezji okazała się możliwość zupełnie odmiennego - niż poprzez obraz - dotknięcia kobiety. Użyte słowa działały jak palce. Pisanie takiego wiersza mogło być przyjemnym przeżyciem erotycznym z dramatem w tle. Ten poniżej kojarzy się z rzeźbą. To bardzo fizyczna fascynacja kobietą:

„Jej wielkie uda/ Jej piersi/ Jej biodra/ Jej pośladki/ Jej ramiona/ Jej łydki/ Jej ręce/ Jej oczy/ Jej policzki/ Jej włosy/ Jej nos/ Jej gardło/ Jej łzy".

Miały żyć jego życiem

Kobiety były dla Picassa bardzo ważne. Pobudzały jego energię życiową i były dowodem na piękno jego „piór". Pablo doskonale potrafił uświadamiać im swoją atrakcyjność. Jego spojrzenia i zaczepki, jego sława i swada malarska działały jak najskuteczniejsze afrodyzjaki.

Doświadczenie życia z kimś tak wyjątkowym jak Picasso było dla wielu kobiet niewątpliwie kuszące. W pewnym sensie z góry godziły się na jego warunki. Nie były wyjątkami. Całkiem sporo kobiet - w odruchu kokieteryjnej słabości - przyznaje mężczyznom prawo panowania nad wieloma aspektami swojego życia. Zaczynają żyć życiem mężczyzny, akceptując jego prawa i potrzeby.

Dla Picassa był to warunek partnerstwa. Potrzebował kobiet, które uzupełniały jego życie, a nie takich, które chcą sprowadzić mężczyznę do poziomu własnych marzeń. Wobec żadnej nie udawał, że jest inaczej, aczkolwiek bywał złudnie przymilny. Picasso chciał mieć przy sobie partnerkę na „swój wymiar i na miarę swoich potrzeb". Ponoć dzielił kobiety na boginie i na te, po których się depcze. I oczywiście traktował je jak istoty zależne.

Funkcjonują dwa wyobrażenia o związku kobiety z mężczyzną. Jeden wydaje się utopijny, bo relacja w nim ma polegać na pełnym partnerstwie i równych prawach we wszystkim, zarówno dla kobiety, jak i mężczyzny. Drugi jest „przewagowy". Tu według fantazji i potrzeb jednego z partnerów - mężczyzny lub kobiety - ustalane są zasady codzienności.

Przeszłość dawała tę przewagę mężczyźnie. Teraźniejszość ustala ją w początkowej rozgrywce dla jednej z płci. Takie sytuacje nie wykluczają szczęścia, ale zawsze ograniczają samostanowienie jednej ze stron. Picasso był w „temacie kobiety" człowiekiem przeszłości. Na dodatek przepełniał go twórczy i niezbędny egoizm artysty. Przy takim człowieku kobieta może istnieć dla niego, ale nigdy dla siebie.

Artysta jest - mniej lub bardziej skrajnym - egoistą. To warunek. Człowiek, który musi ufać swoim przeczuciom, wizjom, fantazjom i fanaberiom, tej pięknej mgle, zza której pojawia się sztuka, nie może sobie pozwolić na kompromisy psychiczne z drugą osobą; taka uległość go rozcieńczy. Jest więc kiepskim materiałem na polubowne współistnienie.

Ale z kolei tacy mężczyźni wydają się bardzo atrakcyjni. Prowokują do wysiłków miłosnych, ponieważ zaczepiają ambicję: „Przecież kiedy pokocha, będzie taki, jakiego pra-

eprasa.pl 4ba45f9584

gnę". Złudne nadzieje to zaproszenie do rozczarowania; pojawia się gorycz i poczucie krzywdy. I zaraz potem irytacja na widok „sprawcy", który nie wydaje się tym wszystkim przejęty. Ale czy tu można mówić o czyjejś winie?

Artyści mają silne, niekoniecznie świadome, poczucie odpowiedzialności wobec wewnętrznego „bulgotu" sztuki. Nadanie mu kształtu, uchwycenie jego wyrazu, to niemal nakazy egzystencjalne. Problemy codzienności, oczekiwania kobiet, cudze wyobrażenia o tym, jak powinno wyglądać wspólne życie - to wszystko przegrywa ze sztuką. Jeżeli spotykamy zgrane pary, w której jedno jest artystą, to znaczy, że druga strona poświęciła się bez reszty.

Picasso nie widział w małżeństwie odpowiedniej formy związku. Uważał je za wymuszone zobowiązanie. Według niego klejem łączącym kobietę z mężczyzną nie był ślub, tylko miłość i fascynacja. Trudno, jeżeli jedno i drugie nie okazywało się wieczne.

Wbrew tym zasadom ożenił się dwa razy. Jego pierwszą żoną była tancerka z Baletu Rosyjskiego. Zgodził się na ślub, bo powiedziano mu, że to jedyny sposób, aby zdobyć Rosjankę. Drugi raz ożenił się pod koniec życia. Zapewne uległ namowom, a przy tym uznał, że jest to jego ostatnia kobieta. Ale z większością kobiet się nie żenił, bo chciał mieć swobodę w postępowaniu z nimi, na co one się zgadzały, aczkolwiek po latach wiele mu wyrzucały.

Takie skargi najczęściej mają przyczynę w niespełnieniu czyichś marzeń. Ale z Picassem można było spełniać tylko jego marzenia.

Jednak wiele kobiet - mniej lub bardziej naiwnie - się na niego „nabierało". Cóż, miał w sobie nieposkromienie twórcze, którego energia zabarwiała wszystkie obszary życia. Z pasją - i z papierosem w ustach - przyciągał je do siebie. Wcześniej starannie je obserwował i podchodził. Potrafił wyczuć labilność kobiety i jej potrzebę „wypełnienia się mężczyzną".

Takie nastawienie do życia stosunkowo łatwo można znaleźć wśród kobiet banalnych. Ale ten ambitny człowiek szukał tych cech u kobiet niezwykłych. Chciał, aby jego sztuce, sile jego osobowości, jego potrzebom i fantazjom poddawały się kobiety twórcze, obudzone i wrażliwe.

Przez jego życie przewinęło się sześć takich miłości. Dwie - z powodu narastającego poczucia pustki po Picassie - lata po jego śmierci popełniły samobójstwo. Dwie inne miały załamania i problemy psychiczne. Jedynie Fernanda, która „umiała rozmawiać na dwa tematy. O kapeluszach i o perfumach." (Stein, „Autobiografia"), i Françoise Gilot wyszły z tego związku na własnych zasadach, ta druga nawet z dwójką dzieci.

„Faktor twórczego egoizmu"

Przy tym wszystkim Picasso naprawdę kochał swoje kobiety. Ale trochę tak, jak się kocha źródło własnego szczęścia; nie dla nich, tylko dla siebie. Jednak o nich też myślał. „Pablo zawsze twierdzi, że jak się kocha kobietę, to daje jej się pieniądze. A kiedy się chce porzucić kobietę, trzeba poczekać, aż uzbiera się dla niej wystarczająca ilość pieniędzy" (ten i kolejne cytaty z „Autobiografii" Stein).

Atrakcyjność Picassa obejmuje spory katalog cech. Miał nieprzytomnie ciekawą twarz. To nie wynikało z doskonałości rysów, tylko z psychicznego skupienia i siły jego wzroku. „Oczy Picassa były wspanialsze aniżeli kiedykolwiek, głębokie, piwne a jego ręce takie ciemne, wrażliwe i ruchliwe".

Gertruda Stein mówiła: „Był niezwykle piękny, cały w poświacie, jak gdyby miał dookoła głowy aureolę". A matka Pabla dodawała: „nie wyobraża pani sobie, jaki był urodziwy jako małe dziecko. Był piękny jak anioł i diabeł zarazem, wszyscy nieustannie się na niego gapili".

Przy tym przyciągał magiczną psychiką. „On, mały o szybkich, ale nie niespokojnych ruchach, miał oczy, które zwykł otwierać szeroko, jakby chciał wchłonąć w siebie wszystko, co widział. Był w nim jakiś dystans, a głowę niósł tak jak toreadorzy, kiedy kroczą na czele tych swoich procesji".

Wybrane kobiety, przyszpilone i zaszczycone tym spojrzeniem, czuły, że stoi przed nimi mężczyzna sięgający głębi ich istoty, który je zrozumie i doceni. I miały sporo racji. On rzeczywiście widział je znacznie głębiej niż przeciętny człowiek. Jednego nie wzięły pod uwagę - co o tyle wydaje się dziwne, że dwie z nich były malarkami, a wszystkie obracały się wśród artystów - mianowicie „faktora twórczego egoizmu".

Zadyszka biograficzna

Ludzie wielcy do wielu rzeczy mają podejście wyostrzone, nieznajdujące zrozumienia w oczach przeciętnej poprawności. To, co większość robi na hamulcu i po cichu, oni demonstrują światu otwarcie. A przy tym najczęściej są skrajnymi egoistami i egocentrykami.

Zabrzmi to paradoksalnie, ale są tacy w naszym interesie. Oni całym napięciem istnienia starają się o jak najlepszą kondycję twórczą, którą jest bezkompromisowe spojrzenie. Człowiek, przez którego ma przejść prawda, nie może dopuścić do samozakłamania. Oczywiście, obowiązują go pewne normy, ale dotyczą dopiero poziomu niezabijania.

Coś za coś... Nie łudźmy się, że dostaniemy gigantyczną, różnorodną dawkę malarstwa - na dodatek takiego, które potrząsa historią sztuki, gwałci wrażliwość estetyczną całego świata, podejmuje walkę o bezpieczeństwo i szczęście - od człowieka poprawnego, potulnego, uprzejmego i wrażliwego na smutne minki. Tacy ludzie są tak samo bezwzględni i wymagający wobec innych, jak i wobec siebie. I zawsze - choć każdy trochę inaczej - ostrzegają przed sobą.

Picassa - w codziennym odbiorze społecznym - zniszczono głupimi uwagami i dowcipami. „To taki, co maluje oko za uchem". Skądinąd ciekawe są mechanizmy populistycznej sławy. Większość ludzi zna nazwisko Picassa, ale niestety, za tą wiedzą nie stoi, powierzchowne przynajmniej, wyczucie jego wielkości twórczej i jego znaczenia dla historii sztuki XX wieku. Jego twórczością można by nakarmić kilka biografii.

Obecny obraz tego wybitnego artysty zdominowała zadyszka biograficzna, zza której nie bardzo widać obrazy. Swoboda jego życia, romanse, traktowanie kobiet i ceny jego obrazów - to ostatnie ze wszystkiego najtańsze - blokują dostęp do tej niezwykłej osobowości.

PS

Na zakończenie dwa bardzo różne przypadki recepcji sztuki Picassa. Marian Eile dostrzegł w nim największego artystę wszech czasów. Carl Gustav Jung zdiagnozował w nim pacjenta psychiatrycznego. Obaj zetknęli się z jego sztuką w latach 30. w Paryżu.

Eile przez całe życie wielbił i rozpowszechniał sztukę Picassa. Reprodukował go w „Przekroju", malował obrazy w jego stylu i publikował teksty o nim. Dzięki niemu Picasso był w Polsce tak samo znany jak we Francji.

Natomiast Jung w „rozpoznaniu" Picassa padł ofiarą nadmiernego zaufania do siebie. Zdecydował się napisać esej o nim, w którym postawił diagnozę psychiatryczną.

Zapomniał o tym, że człowieka najbardziej ogranicza świętość jego przekonań. Wtedy uznaje swoją ocenę rzeczywistości za w stu procentach słuszną i, co więcej, obowiązującą innych. Ci, którzy do niej nie pasują, są nienormalni. Ci, co nie pasują tylko trochę, są zagubieni, oszołomieni lub ogłupiali.

Bardzo wiele osób stosuje to niemądre poczucie racji do sztuki. Jung również się przed tym nie uchronił. „Diagnoza" miała zrekompensować mu poczucie bezradności wobec sztuki Picassa:

„Pacjenci z drugiej grupy [schizofrenicy] tworzą zaś obrazy natychmiast objawiające ich obcość uczuciową. (...) Obraz pozostawia nas w postawie obojętności, wydaje się przerażający ze względu na swoją paradoksalną, zaburzającą uczucie, przerażającą czy groteskową cechę nieuwzględniania widza. Do tej grupy należy Picasso" (Jung, „O zjawisku ducha w sztuce i nauce", przeł. Robert Reszke, Warszawa 2011).

Próbował się z tego tłumaczyć - ale chyba jeszcze bardziej się pogrążył - że zamiarem autora nie było uznanie Picassa za schizofrenika, tylko za człowieka, który reaguje na poważne zaburzenia psychiczne „schizoidalnym kompleksem symptomów". ●

FOT. KONRAD KOZŁOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Maria Anna Potocka**

• krytyczka i kuratorka, autorka książek o filozofii sztuki, w latach 2010-24 dyrektorka Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tetiana Własowa*

dwudziesty czwarty lutego

dwudziesty czwarty lutego wydarzył się wczoraj.
niczego nie pamiętam od tej pory.
i choć dotąd się wzdrygam, gdy dzień wstaje –
niczego nie pamiętam wcale.
niczego nie pamiętam wcale.

zapomniałam, jak to jest wsłuchiwać się w syren wycie.
z innymi, co biegną obok, zbiegać do piwnicy.
widzieć, jak dzieciństwo zamienia się w starość.
wszystko to się, na szczęście, nie zapamiętało.

rakiety i bomby – nie w filmach, a tuż obok raptem.
pierwsze zburzone budynki i pierwsze straty.
nie pamiętam, czy był strach, czy odwaga w tamtej chwili.
nie pamiętam, ileśmy płakali i o cośmy się modlili.

nie pamiętam, jak było widno od wybuchów i pożarów.
nie pamiętam, jak w panice rozjeżdżaliśmy się o poranku.
jak przez miasta jechały czołgi z krwawymi napisami.
nie pamiętam niczego, chyba tylko wściekłość i nienawiść,

nienawiść i wściekłość, a czasem jeszcze – przerażenie.
moja pamięć dopiero w dniu zwycięstwa się odmieni.
gdy wszyscy, co wyjechali, do domu będą powracać –
pamięć odrodzi się i jeszcze długo będzie się odradzać.

gdy wszystko to, co przeklęte, w przeszłości przepadnie –
nie zapomnę żadnej nocy, chwili żadnej.
nie wybaczę żadnego postrzału, żadnej śmierci.
moja pamięć się odrodzi mocno i zawzięcie.

moja pamięć wszystko, co się zdarzyło, będzie chłonąć.
nie zapomnę żadnego dziecka, które zabito czy zraniono.
dopóki nasze miasta będą się odradzać ze zgliszczy,
nie zapomnę żadnego spojrzenia, żadnego pisku.

nie zapomnę żadnego dnia tej wiosny.
nie zapomnę żadnego dnia tej wojny.

dwudziesty czwarty lutego wydarzył się wczoraj.
niczego nie zapominam od tamtej pory.

przeł. Zbigniew Dmitroca

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Tetiana Własowa** - ur. w 1986 r. w Łucku, mieszka w Kijowie. Współczesna ukraińska poetka, menedżerka kultury i działaczka społeczna. Była wokalistka zespołu rockowego VLASNA. Opublikowała zbiory wierszy „Efekt bliskości" i „Wolność". Do pierwszego wstęp, do drugiego posłowie napisał Serhij Żadan.

eprasa.pl 4ba45f9584

Śmierć to tylko „muśnięcie na twarzy”

Jest tu jeden z najpiękniejszych wierszy miłosnych napisanych po polsku: „Płakała w nocy, ale nie jej płacz go zbudził”.

Michał Rusinek

Nakładem Wydawnictwa a5 ukazuje się właśnie pierwszy polsko-angielski wybór wierszy Stanisława Barańczaka zatytułowany „Bo tylko ten świat bólu. Because Only This World of Pain”. Zawiera 40 utworów z lat 1970-1998, 22 w przekładzie samego autora, 15 w tłumaczeniu Clare Cavanagh i trzy przetłumaczone przez nich wspólnie. Przekłady autorstwa Barańczaka pochodzą z tomu „The Weight of the Body” wydanego w Chicago w 1989 roku. Było to jedyne książkowe wydanie tłumaczeń wierszy tego poety na język angielski. Aż do teraz.

Wybór ten jest częściowo dziełem przypadku: Clare Cavanagh tłumaczyła wiersze Barańczaka, swoje ulubione, poniekąd do szuflady, zapewne z myślą o obszerniejszym wyborze. Niemniej właśnie dzięki jej przekładom zyskujemy tutaj chronologiczną równowagę i książkę tę można uznać za przegląd utworów z różnych okresów twórczości poety – nawet jeśli nie taki był zamiar tłumaczki. Dodajmy, że jednej z najwybitniejszych tłumaczek poezji polskiej na język angielski.

Choć znajdziemy tu i wiersze polityczne, i liryczne, to głównym tematem tego wyboru wydaje się tytułowy ból: „tylko ten świat/ jest bólem; bo światem jest tylko ten ból”. Na okładce widzimy ilustrację do jednego z najwspanialszych wierszy Barańczaka „Pajęczyna”. Jest to jednak ilustracja nie dosłowna, tylko niejako przepuszczona przez wyobraźnię poetycką autora. Widzi on w pajęczynie najpierw dzieło sztuki, wzorem romantycznych poetów porównuje ją do żagla rozpiętego „od liścia do liścia” czy strzechy, „która cedzi gwiazdy w noc sierpniową”, czy zimowego wzorku na szybie, a wzorem poetów-lingwistów – „sita świtu” (którego niestety nie oddaje angielskie „a colander of dawn”). W tej strofie kryje się jeszcze – w nawiasach – żartobliwa rymowana niby-piosenka, a właściwie dwie różne: „więc rymujmy póki czas, bo jutro już nie będzie nas” i „let’s be poetic, there’s no better anaesthetic”.

Obraz i nastrój jednak zaraz się zmienia, ale nie dlatego, że uświadamiamy sobie, że pajęczyna jest śmiercionośną pułapką. Jej struktura przypomina bowiem już to wszystko, co kojarzy się z bólem: „rozcapierzona dłoń, którą dano ci w twarz;/ koło, na którym cię łamano; tarcza/ strzelnicza z twoją zgarbioną sylwetką;/ kręgi na wodzie, w której utonąłeś;/ twój splot słoneczny, rozjarzony/ bólem; celownik w samolocie,/ pikującym nad drogą, gdzie, pośród uchodźców,/ osłaniasz głowę rękami; szyba/ z siecią pęknięć, gdzie były twoje oczy”. To już nie piękno, ale geometria, w której czai się groza, rysunek bólu i śmierci, przecinające się ze sobą „koncentryczne kręgi” narastającego bólu i „odśrodkowe promienie” śmierci, bo „taką gwiazdą martwą się upada”. W symetrii, harmonii i porządku kryje się bowiem śmierć. Choć to tylko „muśnięcie na twarzy”.

Kiedy 30 lat temu tłumaczyłem książkę Timothy’ego Gartona Asha „Teczka”, zdałem sobie sprawę, że jej autor – tłumacząc raporty enerdowskiej tajnej policji Stasi – musiał wymyślać osobny język. Kraje anglojęzyczne nie doświadczyły bowiem komunizmu i język angielski nie został wykoślawiony przez komunistyczną nowomowę (choć, paradoksalnie, „nowomowa” to polski przekład orwellowskiego, a więc angielskiego „newspeak”). Nie miałem dostępu do oryginału raportów, więc musiałem zgadywać, o jaką strukturę językową – utrwaloną w języku NRD i PRL-u – mogło chodzić.

Stanisław Barańczak **„Bo tylko ten świat bólu. Because Only This World of Pain”,** Wydawnictwo a5

Stanisław Barańczak chętnie wykorzystywał w wierszach peerelowską nowomowę. W tej książce też znajdziemy kilka takich utworów, np. „Protokół”, „Plakat”, „Co jest grane”, „Przejściowe ograniczenia”, „Zbiorowy entuzjazm” i przede wszystkim „Określona epoka”. Po angielsku nie dało się w nich oddać nawiązania do języka, którego w angielszczyźnie nie było, więc tłumacze musieli go wymyślić. W ich przekładach pobrzmiewa tu styl kancelaryjny, miejscami prawniczy. Jeśli sztuczny i obcy, to obcością biurokratyczną, a nie polityczną, więc jakby łagodniejszą. Chyba że – jak w wierszu „Co jest grane” – gdzie zamiast puszczania oka i nie puszczania farby jest inna gra słów („we’re in on it, although we don’t let on”), a potem pojawia się już muzyka ludowa, wojskowe marsze, „terror hołubców” i na końcu stwierdzenie, że wiemy, co jest grane; stwierdzenie, które dało się już przetłumaczyć dosłownie.

Mimo że przekłady tych wierszy są bardzo dobre, to ich czytanie wymaga choćby minimalnej znajomości kontekstu politycznego, w którym te wiersze powstały. Ba, czytanie ich po polsku przez młodych ludzi też wymaga poznania tego kontekstu, którego – na szczęście – nie pamiętają. Peerelowska frazeologia i charakterystyczne dla języka tamtych czasów sowietyzmy czasami wracają dzięki niektórym politykom, ale raczej w groteskowej wersji, bo ten język na szczęście należy do przeszłości.

Wybór zamyka jeden z najpiękniejszych (Wisława Szymborska twierdziła, że najpiękniejszy) wierszy miłosnych napisanych po polsku: „Płakała w nocy, ale nie jej płacz go zbudził” i wspólny przekład Barańczaka i Cavanagh. I to tłumaczenie można bez wątpienia nazwać kongenialnym, tak kunsztownym, jakby wiersz został napisany po angielsku. Wiersz o próbie bycia z innym człowiekiem – a przynajmniej obok niego (niej). Nie możemy wniknąć, zrozumieć innego, ale powinniśmy próbować. Podobnie jest z czytaniem i rozumieniem wierszy.

Dzięki temu wyborowi tych próbujących będzie – mam nadzieję – więcej, bo dołączą do nich czytelnicy i czytelniczki z krajów anglojęzycznych. Mam też nadzieję, że to książka jaskółka i że niebawem dostaną oni wybór, a może nawet zbiór przekładów poetyckich Stanisława Barańczaka. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34414016

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:
ZDROWIE TO NOWY LUKSUS

Herstorie:
Niewidzialne służące z Zamku Książ

Podróże:
Ikaria, wciąż niezadeptana grecka wyspa

Balkon:
Dekoracje na styl włoskiego podwórka

wysokieobcasy extra

Numer dostępny z prezentem do wyboru:
skarpetkami złuszczającymi **Silcatil**
lub kolagenem do picia **Primabiotic Collagen***

*suplement diety

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

BIAŁA PLAMA CZARNEGO LĄDU

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

Kraj/34441231

eprasa.pl 4ba45f9584

Rana Wołynia SAMA SIĘ NIE ZAGOI

• **Manifestacja pod pomnikiem przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery z okazji 116. rocznicy jego urodzin. Lwów, 1 stycznia 2025 roku**

FOT. ANASTASIIA SMOLIENKO/UKRINFORM/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Uznanie win UPA dla strony ukraińskiej jest bardzo trudne, ponieważ kult tej formacji **cementuje społeczeństwo w czasie wojny.**

Z **PROF. GRZEGORZEM MOTYKĄ** ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

8 lipca premierę miała książka „Gry pamięcią. O polityce historycznej, Polsce, Ukrainie i Rosji. Grzegorz Motyka w rozmowie z Andrzejem Brzezieckim" (Wydawnictwo Literackie).

PIOTR GŁUCHOWSKI: Kiedy w wolnej Polsce narodziła się polityka historyczna?
PROF. GRZEGORZ MOTYKA: Świadoma i prowadzona z konsekwencją – w początkach XXI wieku. Zainicjowali ją tak zwani muzealnicy, czyli skupieni wokół ówczesnego prezydenta stolicy Lecha Kaczyńskiego twórcy Muzeum Powstania Warszawskiego. Wymieniłbym tu ówczesnego dyrektora Instytutu Dziedzictwa Narodowego Tomasza Mertę; historyka i publicystę Dariusza Gawina; profesora Pawła Kowala, który jest współautorem koncepcji tej placówki, i wreszcie jej dyrektora Jana Ołdakowskiego.

Niedawno prof. Sławomir Cenckiewicz mówił w TV Republika: „My jesteśmy z 4 czerwca, ale nie 1989, tylko 1992". A zatem za wydarzenie konstytuujące uznaje nie pierwsze półwolne wybory, tylko upadek rządu Jana Olszewskiego. Powiedz mi, Polaku, jakie cenisz daty, a powiem ci, kim jesteś?
– Rzeczywiście daty nas określają. Do dziś pamiętam, jak radośnie wykreślałem kolejno 35 nazwisk na liście krajowej PZPR, można więc powiedzieć, że jestem z 4 czerwca '89. W tym sensie podział proponowany przez Cenckiewicza jest prawdziwy. Ci odwołujący się do wyborów z roku 1989 będących wynikiem wcześniejszego Okrągłego Stołu opowiedzieli się za bezkrwawą rewolucją i społeczeństwem otwartym. Ci drudzy – za radykalną dekomunizacją i lustracją w wydaniu Antoniego Macierewicza. Podział sięga oczywiście głębiej w historię czy też rzutuje na jej postrzeganie. Liberałowie ciepło wspominają marszałka Józefa Piłsudskiego, potępiają zabójstwo prezydenta Gabriela Narutowicza i tak dalej. A zwolennicy opcji przeciwnej szanują raczej Romana Dmowskiego i żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Można podobne analogie ciągnąć długo, bo rozdział na dwa obozy wydaje się trwały: nazwałbym go podziałem na Polskę obywatelską i etnonacjonalistyczną.

Każda ma swoje imaginarium, do którego próbuje przekonać tych drugich. Prawa strona jest tu bardziej aktywna. Zauważacie w książce – pan i prowadzący wywiad Andrzej Brzeziecki – że wskutek polithistorycznej ofensywy tych od Dmowskiego sława „wyklętych – niezłomnych" przyćmiła nawet niewzruszalną legendę Armii Krajowej.
– Stało się tak wskutek działania machiny propagandy historycznej PiS. Ostatecznie jednak przegrzali. Piotr Zychowicz słusznie napisał, że „wyklęci" stali się dla partii Jarosława Kaczyńskiego tym, czym Armia Ludowa była dla PZPR. Obecnie, tak mi się zdaje, wraca właściwa proporcja w ocenie podziemia akowskiego i nieakowskiego.

Zawsze mnie dziwiło, że Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych ustanowiono 1 marca – w dniu egzekucji członków czwartej komendy Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, które było przecież ruchem oporu „bez wojny i dywersji". W ten sposób do jednego worka wpadli mało sympatyczni watażkowie jak Romuald Rajs „Bury" i godni najwyższego szacunku ludzie jak zamordowany właśnie 1 mar-

eprasa.pl 4ba45f9584

ca 1951 roku podpułkownik Łukasz Ciepliński, prezes WiN.
– To celowe zacieranie różnic mające na celu wyniesienie na piedestały partyzantów nacjonalistów z Narodowych Sił Zbrojnych. Chodzi o to, by postawić znak równości między Brygadą Świętokrzyską a z drugiej strony AK oraz WiN. Chociaż to były organizacje ideowo przeciwne.

Oceniacie panowie w książce, że Brygada to może nie kolaboranci, ale z pewnością niemieccy współpracownicy. Dlaczego obrona honoru tej formacji jest tak ważna dla prawicy?
– Bo dla radykałów z obozu narodowego ważniejszy od walki z Niemcami jest mit walki z komuną i afirmacja nacjonalistycznych idei głoszonych przez NSZ. Kosztem demokratycznych wartości AK. Dla narodowców akowska wizja wieloetnicznej Polski obywatelskiej była nie do zaakceptowania, a dzisiejsza prawica także ma z tym problem.

Mówi pan w książce, że najbardziej zbliżona do naukowej historiografii jest polityka historyczna liberalnych demokratów. A nie nacjonalistów. Dlaczego?
– Według mnie światopogląd liberalny zakłada, że historia winna być swobodną dziedziną wiedzy, jak matematyka, zadaniem historyka jest zaś przede wszystkim odkrywanie i trzymanie się faktów. Tymczasem historiografia narodowa chce w pierwszej kolejności zadbać o dobre imię Polaków, dopiero na kolejnych miejscach są warsztat i zgodność z faktami. No i niechętnie patrzy ona na otwarte mówienie o sprawach niewygodnych.

A jednak uznajecie w książce, że prawica „jest lepsza w historię”. Redaktor Brzeziecki tłumaczy to tak: „Na studia historyczne decydują się częściej chłopcy o prawicowych poglądach, podczas gdy dziewczyny mające z reguły bardziej lewicowy światopogląd wolą socjologię”.
– Z tym drugim członem zdania nie do końca się zgadzam. Jest natomiast faktem, że prawica, uznając historię za ważną dla tożsamości narodu, przykłada do pracy historyków największą uwagę. Za tym idą pieniądze na instytucje, w których historycy zarabiają więcej niż na uniwersytetach, już nie mówiąc o klepiącej biedę Polskiej Akademii Nauk. Liberałowie takich instytucji nie tworzą, a kiedy po wygranych przez siebie wyborach przejmują te „pisowskie” – nie wiedzą, co z nimi zrobić.

Zacytuję pana: „Rządy liberalne, mówię to z rozżaleniem, po prostu nie chcą łożyć na humanistykę, w tym i na historię”.
– A prawicowe, owszem, łożą. Tylko trzeba publikować zgodnie z politycznymi wytycznymi.

Pieniędzy na politykę historyczną nie szczędzi również Rosja. Cytuję: „Putin świetnie się odnalazł w mieszance tradycji dwugłowego orła i czerwonej gwiazdy. Hymn radziecki z nowymi słowami”.
– Dzisiejsza Rosja jest poniekąd dzieckiem takiej polityki. Ona ukształtowała obecną rosyjską tożsamość. Odwołanie do Wielkiej Wojny Ojczyźnianej konstytuuje dzisiejszego Rosjanina. Operacja specjalna w Ukrainie była i jest przedstawiana jako przedłużenie okresu drugowojennego.

Mówi pan: „Największy wpływ na Putina i wielu Rosjan ma przekonanie, że tylko imperialna Rosja może być prawdziwą”. Co to znaczy?
– Imperializm jest dla moskiewskich elit politycznych powszechnie akceptowanym fundamentem. Tak jak carowie od XVI wieku chcieli powiększać państwo i zbierać ziemie ruskie, tak potem komuniści planowali rozszerzenie socjalizmu na cały świat, a dzisiaj Aleksander Dugin, wpływowy filozof Kremla, mówi o historii i geografii jako „obiektywnej przyczynie” wojny z Ukrainą. Wedle jego koncepcji Rosja to serce Eurazji, a nawet serce Ziemi – i musi się rozszerzać od Wysp Kurylskich po Atlantyk albo zostanie ściśnięta przez pobrzeża. Trzeciego wyjścia zdaniem Dugina nie ma.

Imperializm rosyjski w praktyce... Cytuję: „Analiza propagandowych rosyjskich tekstów, w tym wypowiedzi samego Putina, pozwala postawić hipotezę, iż Rosja, nie uznając istnienia narodu ukraińskiego, postanowiła za pomocą metod eksterminacyjnych zredukować go do grupy etnograficznej w obrębie ruskiego ludu. W przypadku rosyjskiego zwycięstwa doszłoby do licznych aresztowań w ukraińskich środowiskach inteligenckich. Prowadzono by je pod hasłem zwalczania nazizmu”.
– To, co dzisiaj Rosjanie robią w Ukrainie, przypomina niszczenie Nowogrodu Wielkiego przez Iwana Groźnego czy Siczy Zaporoskiej przez carycę Katarzynę. Gdyby nie zniszczono Nowogrodu, dziś obok Białorusinów i Litwinów istnieliby Nowogrodzianie. Wiele wskazuje na to, że Putin, atakując Kijów, marzył o powtórzeniu dzieła: zajęciu terenu, wyniszczeniu elit, wynarodowieniu.

Mówi pan w książce: „Nie mogę się nadziwić naiwności polskich środowisk endeckich, które wierzą w sojusz z Rosją. One nie rozumieją, że dla Moskwy nie są partnerem, lecz użytecznym narzędziem. Według wizji Dugina wszystkie narody Eurazji będą mogły rozwijać się swobodnie, ale kluczowe stanowiska piastować będą Rosjanie”. W piątym roku wojny są jeszcze w Polsce środowiska endecko-prorosyjskie? Gdzie pan je widzi?
– Jawnie prorosyjskich grup jest niewiele. Zaliczyłbym do nich środowisko tygodnika „Myśl Polska” czy Konfederację Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Więcej jest towarzystw ukrycie prorosyjskich – ludzi, którzy wierzą, że Polska może być dla Rosji partnerem. A to fantazja. W sojuszu z Moskwą moglibyśmy być co najwyżej państwem marionetkowym. Drugą Białorusią.

Ciekawe, że Rosja popiera w Polsce właśnie nacjonalistów...
– To zupełnie logiczne. Już Józef Stalin wiedział, że czysta narodowo Polska nie stanowi zagrożenia dla Rosji. Ponieważ nie będzie w stanie niczego zaproponować Ukraińcom i Białorusinom. Rzeczpospolita Obojga Narodów przyciągała etnosy ze Wschodu i nie tylko. Wojnę trzynastoletnią z zakonem krzyżackim wygrali w dużej mierze niemieccy mieszczanie. Wizja „Polski dla Polaków” odpowiada natomiast Kremlowi jak najbardziej.

Cytuję dalej: „Filozofia Dugina zwolniła Rosjan z poczucia winy za agresywną politykę ich państwa. Napadając na Ukrainę, wypełniają jedynie naturalne prawo geografii, a trudno żądać przeprosin od wezbranej rzeki. Jeśli będzie trzeba, dokładnie tak samo będą tłumaczyli inwazję na Polskę”. Jak pan ocenia prawdopodobieństwo, że nas zaatakują?
– Dzisiaj jest ono mniejsze niż kilka lat wcześniej, bo rosyjska armia nie potrafi nawet zająć całego Donbasu. Warto jednak zwrócić uwagę, że na Białorusi popularny jest pogląd, wedle którego ta republika sowiecka jako jedyna utraciła tereny po drugiej wojnie światowej. Ponieważ pakt Ribbentrop-Mołotow przyznał im i Białystok, i Łomżę. To dlatego traktat o nienaruszalności granicy podpisaliśmy z Białorusią najpóźniej ze wszystkich sąsiadów. Trzeba o tym pamiętać, bo gdyby wojna w Ukrainie poszła Kremlowi dobrze, mogłaby pojawić się pokusa, by walczyć z „faszystami” z Białegostoku.

Mówi pan: „Wołyń, Katyń czy Holokaust to problemy międzynarodowe. W krajach poradzieckich dotyczące ich dokumenty spoczywają głównie w archiwach służb. Tematy te przyciągają grupy nacjonalistyczne, które negują zbrodnie. A takie grupy stanowią cel dla wywiadów”.
– Służby Rosji i Białorusi manipulują historią dla doraźnych celów. W państwach demokratycznych resorty siłowe tylko na określony czas blokują archiwa, potem naukowcy mają do nich w miarę swobodny dostęp. W Rosji służby wydają określone materiały w odpowiednich chwilach, starając się wpływać na wyniki badań historyków. Po inwazji na Ukrainę kilkakrotnie na stronach FSB publikowano nieznane dokumenty o zbrodniach UPA w sposób oczywisty po to, by skłócić nas z Kijowem.

Stwierdzacie panowie w książce, że rzeź wołyńska po wojnie „nie istniała w ukraińskiej świadomości niemal wcale”. A i w polskiej słabo. Jednocześnie piszecie, że Polacy wyszli z PRL z mitem „ukraińskiego rezuna”, a Ukraińcy opuścili ZSRS z figurą „złego polskiego pana”. Wzajemne animozje narosły po wojnie i dopiero z czasem?
– W Polsce Ludowej stworzono obraz złej UPA, która zabijała cywilów i komunistów. Jednocześnie nie wolno było pokazać ogromu zbrodni na Polakach ani tym bardziej miejsca zbrodni. Po co przypominać, że Wołyń to była Polska, i to przez setki lat? Przeniesiono więc Wołyń w Bieszczady i propaganda snuła fałszywą opowieść, jak to UPA zabijała masowo Polaków na Podkarpaciu. Zatem z początkiem lat 90. przeciętny Polak wiedział, że UPA, owszem, mordowała, ale skalę i szczegóły antypolskich operacji poznaliśmy dopiero po roku ’89.

• **Stepan Bandera (1909-59), dla Ukraińców bohater, dla Polaków zbrodniarz**
FOT. FINE ART IMAGES/ HERITAGE IMAGES/ GETTY IMAGES

Przypomina pan, że w 2003 roku w Porycku-Pawliwce, jednej z wiosek wymordowanych przez UPA, spotkali się Aleksander Kwaśniewski i ówczesny prezydent Ukrainy Leonid Kuczma. Kwaśniewski nazwał akcję antypolską ludobójstwem. Cytuję: „Pod polskim naciskiem doszło wówczas na Ukrainie do szerokiej debaty o zbrodni wołyńskiej. Chyba po raz pierwszy Ukraińcy dyskutowali o winach własnego narodu, niestety, najczęściej je odrzucając lub relatywizując”. Powie pan coś o tej debacie?
– Opisała ją w paryskich „Zeszytach Historycznych” specjalizująca się w relacjach polsko-ukraińskich dziennikarka Bogumiła Berdychowska. Pokazała, jak wielki sprzeciw wobec przyznania się do zbrodni wołyńskiej panuje w ukraińskich elitach. Kuczma zapowiadał budowę pomnika ofiar, a skończyło się na malutkiej tablicy z enigmatycznym napisem na ścianie budynku w Łucku, której już nikt nie pamięta.

Rosjanie mówią Ukraińcom: Wielki Głód to nasza wspólna tragedia, bo w Rosji też głodowano. A Ukraińcy Polakom: Wołyń to nasza wspólna tragedia, bo jedni zabijali drugich i odwrotnie. Kto taką narrację promuje?
– Obecne władze państwowe z Kijowa, czołowi politycy i część historyków. To obowiązująca linia narracyjna: mówimy o wspólnej czarnej karcie stosunków polsko-ukraińskich. Bohdan Hud’, autor książki „Konflikty ukraińsko-polskie w epoce nowożytnej” i kilku innych prac na ten temat, pisze nawet o „spontanicznej zemście” ukraińskich chłopów mszczących się za wieki doznanych od polskich panów krzywd. W ten sposób zdejmuje odpowiedzialność moralną za te wydarzenia ze strony ukraińskiej.

Krytycznie wspomina pan ukraińską politykę prezydenta Andrzeja Dudy, który „jako jedyny prezydent III RP podpisał się pod doktryną o symetrii win UPA i AK”, czym podżyrował tezy polityki historycznej Kijowa.
– Duda wyrządził zło kompletnie nieświadomie. Podpisał się pod wspólnym z Wołodymyrem Zełenskim komunikatem, z którego wynikało, że Polacy i Ukraińcy cierpieli tak samo, bo go zapewne nie zrozumiał. A jest to historyczna nieprawda. Ukraińscy nacjonaliści mieli plan wymordowania Polaków na obszarze kilku przedwojennych województw. Faktycznie wydali wyrok śmierci na ponad milion osób. Tymczasem ofiarą polskiej zemsty padło na Wołyniu dwa-trzy tysiące Ukraińców.

Zauważa pan, że „żaden ukraiński prezydent nie wypowiedział prostego zdania: UPA dopuściła się wobec Polaków strasznych rzeczy, nie ma dla nich usprawiedliwienia, potępiamy to, przykro nam”. Nie mogą tego zrobić, bo by się elektorat odwrócił?
– W ukraińskich publikacjach bez trudu znajdziemy opinię, że Ukraina wielokrotnie przepraszała za Wołyń. Ich autorzy mają tu na myśli użycie formuły zaczerpniętej z „Listu polskich biskupów do niemieckich”: wybaczamy i prosimy o wybaczenie. Tyle tylko, że jeśli się nie dopowiada, za co się przeprasza, to tak naprawdę ta formuła staje się pusta. Gorzej, jest alibi do rezygnacji z dociekania, co się naprawdę stało. W efekcie później narastają głosy o rzekomym wzajemnym zabijaniu się Polaków i Ukraińców. A to była – jak mówiłem – zaplanowana, nowoczesna czystka etniczna. Podobna zresztą do tej przeprowadzonej w czasie wojny na Serbach przez chorwackich Ustaszy.

Mówi pan: „Rosjanie zręcznie rozegrali zarówno Polaków, jak i Ukraińców odnośnie do ekshumacji. Jestem pewien, że za skłócenie nas w tej sprawie kilka osób w Moskwie dostało odznaczenia”. Proszę opowiedzieć o tym rozegraniu.
– Dekadę temu rosyjskie służby sprowokowały lub przeprowadziły akcję niszczenia ukraińskich pomników w Polsce i polskich na Ukrainie i Białorusi. Przyłączyły się do tego radykalne środowiska, zaczęła się wymiana zarzutów, atmosfera zgęstniała. W tej zaognionej sytuacji w roku 2017 strona ukraińska odmówiła zgody na dalsze szukanie mogił i dialog polsko-ukraiński praktycznie stanął. Tak było do wybuchu pełnoskalowej wojny.

KSIĄŻKA

Grzegorz Motyka w rozmowie z Andrzejem Brzezieckim

Gry pamięcią. O polityce historycznej, Polsce, Ukrainie i Rosji

Wydawnictwo Literackie

eprasa.pl 4ba45f9584

Sądzę, że gdyby nie rosyjska prowokacja i jej efekt – blokada ekshumacji – te rany wołyńskie sprzed prawie stulecia tak by nie bolały i rozmowę na ten temat odłożono by do końca wojny. I pewnie nie byłoby afery o jednostkę imienia bohaterów UPA.

Może w Ukrainie jest autentyczny opór społeczny przeciw ekshumacjom?
– Niechęć dotyczy przede wszystkim elit. One są bardziej zdystansowane do państwa polskiego niż średnia wśród Ukraińców. Oczywiście trzeba też pamiętać o rosyjskiej agenturze wpływu, która wykorzystuje traumy przeszłości do kształtowania przyszłości.

Andrzej Brzeziecki słusznie pyta: „Jak to zatem jest, że dwa państwa, w sumie przyjazne wobec siebie, głoszące wolę pojednania i mające te same cele strategiczne, czego dowodzi wojna, nie mogą się porozumieć w kwestii coraz odleglejszej przeszłości?”.
– Faktycznie: we wspólnej tysiącletniej historii jest raptem ta jedna wielka rana, która wciąż nas dzieli: Wołyń ’43. Dla jej zagojenia konieczne jest pochowanie pomordowanych i uznanie winy UPA. A to dla strony ukraińskiej bardzo trudne, ponieważ kult tej formacji cementuje społeczeństwo w czasie wojny. Na to się jeszcze nakłada godnościowa reakcja: „nie będą nam Polacy wybierać bohaterów”.

Tragiczne jest także to, że cała banderowska akcja antypolska była – nawet z punktu widzenia ukraińskiego nacjonalisty – bez sensu. Depolonizację Wołynia, Galicji Wschodniej, Podola czy Pokucia i tak przeprowadził Stalin. Gdyby tych ludzi nie zamordowano, mieszkaliby dzisiaj w Lubuskiem albo na Mazurach.
– Stepan Bandera w ogóle nie miał zbyt wielu sukcesów. Poza wydaniem rozkazu zabicia polskiego ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego trudno mu przypisać jakąkolwiek sprawczość. Wiele lat przesiedział w polskim więzieniu i niemieckich obozach, na koniec zginął z ręki zabójcy z KGB. Pewnie dlatego stał się ikoną.

Ile jest prawdy w porównaniu, że banderowcy to faszyści?
– Na pewno należeli do tego samego ruchu, co rumuńska Żelazna Gwardia albo chorwaccy Ustasze. Do roku 1944 określenie „faszyści” opisuje ich trafnie. Potem – widząc, że alianci wygrają – upowcy porzucili nazizm i zaczęli, najpierw fasadowo, a później z rosnącym przekonaniem, głosić pochwałę demokracji. Ich głównymi wrogami pozostały jednak Związek Sowiecki, Polska i Polacy.

Tu warto wspomnieć, że w walce z komunizmem UPA ma wielkie zasługi. Bili się w sposób zorganizowany do lat 50., ostatnia odizolowana grupa została rozbita w 1960 roku. Gigantyczne komunistyczne represje objęły prawie pół miliona ludzi. Ponad 150 tys. zabito, kilkakrotnie więcej deportowano lub osadzono w łagrach.

Dmytro Klaczkiwski, czyli „Kłym Sawur”, który realizował czystkę na Wołyniu, zginął w walce z wojskami NKWD w lutym 1945 roku. Roman Szuchewycz, czyli „Taras Czuprynka”, który kierował mordami w województwach lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim, został osaczony przez specgrupę sowieckiej bezpieki w kryjówce pod Lwowem w marcu 1950 roku i także zginął z bronią w ręku.

A zatem to jednak byli ukraińscy „wyklęci”, co stwierdził w Radiu TOK FM wiceminister nauki Andrzej Szeptycki i co tak strasznie oburzyło naszą prawicę.
– Atak na Szeptyckiego jako na „Ukraińca w polskim rządzie” jest moralnie obrzydliwy. Tym bardziej że używał on w wywiadzie terminu „zbrodnia wołyńska”, co wyklucza relatywizowanie działań UPA. Ja bym powiedział w ten sposób: gdyby nie mordy na Polakach, upowcy byliby takimi samymi bohaterami walki z komunizmem, jak Leśni Bracia z Litwy.

Pan dobrze ocenia film Wojtka Smarzowskiego „Wołyń”. Jaka jest jego recepcja w Ukrainie?
– Praktycznie żadna. Nie był publicznie pokazywany. Gdy już ktoś o nim pisał, to najczęściej potępiał w czambuł bez odniesienia do treści. Uczestniczyłem natomiast w dyskusji po prezentacji tego filmu na Litwie. Przez Litwinów został odebrany jako uczciwe, choć trudne rozliczenie z przeszłością.

Po omówieniu rzezi wołyńskiej przechodzicie panowie do akcji „Wisła”. To była zemsta za Wołyń czy za śmierć sowieciarza Karola Świerczewskiego?
– Najbardziej prawdopodobna jest ta druga wersja. Wcześniej istniały plany rozwiezienia po kraju – a także oddania Sowietom – „czystych” Ukraińców. Po marcu 1947 roku partia zdecydowała o wysiedleniu także rodzin mieszanych, często mających polską tożsamość. Była to operacja zbrodnicza o założeniach rasistowskich – bo posiadanie babci Ukrainki decydowało o losie całej rodziny.

Jak pięć lat wcześniej na tym samym terenie babci Żydówki.
– Pierwotnie planowana operacja wojskowa mająca podciąć wiejskie zaplecze UPA po śmierci Świerczewskiego zamieniła się w szeroko zakrojoną akcję karną przeciw całej grupie etnicznej.

Mówi pan: akcja „Wisła” była kobietą...
– Ponieważ chciałem podkreślić, że dwie trzecie deportowanych Ukraińców, Łemków i Bojków to były kobiety i dzieci. Do tego starcy. Zdolni do noszenia broni mężczyźni byli mniejszością.

Jak by pan sformułował najkrótszą definicję rzezi wołyńskiej, a jak akcji „Wisła”?
– Zbrodnia wołyńsko-galicyjska była ludobójczą czystką etniczną. Akcja „Wisła” – stalinowską deportacją i próbą przymusowego wynarodowienia nielubianej mniejszości – była to oczywista zbrodnia komunistyczna w rozumieniu ustawy o IPN. ●

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. dr hab. Grzegorz Motyka

• Historyk, politolog. Dyrektor Wojskowego Biura Historycznego, członek Kolegium IPN, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Specjalizuje się w dziejach stosunków polsko-ukraińskich m.in. „Od rzezi wołyńskiej do akcji »Wisła«. Konflikt polsko-ukraiński 1943-1947”, „Wołyń ’43”, „Na białych Polaków obława. Wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944-1953”, „Akcja »Wisła« ’47. Komunistyczna czystka etniczna”. ●

NAD KOŚCI ANTYSEMI

Prymas August Hlond to postać tragiczna i skomplikowana, ale jego reakcja na pogrom kielecki jest nie do obrony.

Z archiwów watykańskich, które bada dr Monika Stolarczyk-Bilardie z Katolickiego Uniwersytetu Lueven wynika, że prymas Polski kard. August Hlond przekonywał papieża Piusa XII, że pogrom kielecki nie był wynikiem antysemityzmu, tylko intrygi Żydów i komunistów. Badaczka odkryła w archiwach Watykanu listy pochodzące od dyplomatów i środowisk żydowskich, które ujawniały fakty o przebiegu wydarzeń w Kielcach w 1946 roku. Stolica Apostolska zbagatelizowała te informacje. Polscy hierarchowie odmówili jednoznacznego potępieni antysemityzmu. Wspólnie z Watykanem przeprowadzili operację pijarową, która miała odsunąć krytykę od Kościoła.

Z **KSIĘDZEM PROF. ALFREDEM WIERZBICKIM**
ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Zaskoczyła księdza antysemicka reakcja Watykanu na pogrom kielecki?
KS. PROF. ALFRED WIERZBICKI: Nie, choć trzeba się oczywiście zastanowić, czy możemy mówić o antysemityzmie w dzisiejszym rozumieniu tego zjawiska, czyli z uwzględnieniem nazizmu oraz Zagłady. Reakcja papieża Piusa XII, a także prymasa Polski Augusta Hlonda nie odbiega od ówczesnej świadomości i praktyki Kościoła. Nie możemy więc patrzyć na tamte zachowania w sposób ahistoryczny, nawet jeśli zarówno wtedy jak i dziś są one moralnie nieakceptowalne. Powtórzę: stanowisko prymasa Polski oraz papieża w 1946 roku było spójne z doktryną Kościoła i to ta błędna doktryna osłabiła ocenę moralną.

Aż do Soboru Watykańskiego II Watykan uznawał Żydów za wrogów?
– To bardziej skomplikowane, ale ma pan rzecz jasna rację. Chrześcijaństwo ma swoje źródła w judaizmie, co przez wieki stawiało te dwie wielkie religie w opozycji, a nawet we wrogości wobec siebie. Szczególnie wtedy, kiedy kształtowała się średniowieczna Europa, której osiągnięcia, idee i tożsamość należą do fundamentów naszej kultury. W Christianitas, czyli w wizji świata chrześcijańskiego nie było miejsca dla Żydów, tak samo zresztą jak dla wyznawców innych religii i reprezentujących odmienne, chociażby racjonalistyczne czy ateistyczne poglądy.

W konsekwencji Kościół demonizował Żydów, co nasiliło się w okresie wypraw krzyżowych od końca XI wieku aż po wiek XIII. To właśnie wtedy pojawiły się legendy o Żydach, którzy zatruwali studnie czy porywali chrześcijańskie dzieci. Znamy opowieści z przedwojennej Polski o młodych chłopcach, którzy po liturgii wielkopiątkowej wybiegali z kościołów z kukłami Judasza symbolizującego Żydów. Wiemy z historii o pogromach wielkanocnych, kiedy tłum katolików mordował żydowskich sąsiadów. Do zmiany w doktrynie doszło dopiero podczas wspomnianego przez pana Soboru Watykańskiego II. W dokumencie Nostra aetate z 1965 roku, czyli deklaracji w sprawie religii niechrześcijańskich, opisano wszystkie błędy teologiczne, jakich dopuścił się Kościół. I zmieniono nastawienie do Żydów.

Rozumiem, co chce ksiądz powiedzieć: antysemityzm był obecny w Kościele przez wieki. Rozmawiamy jednak o konkretnym czasie historycznym, czyli o 1946 roku. Rok wcześniej zakończyła się II wojna światowa, podczas której Niemcy zabili 6 mln Żydów. Wiemy z badań niezależnych historyków, że Pius XII zdawał sobie sprawę ze skali Zagłady. Reakcja papieża jest nie do obrony?
– Dotyka pan niezwykle istotnej kwestii. Proszę pamiętać, że Jan Karski przekazał fakty o eksterminacji Żydów prezydentowi USA Franklinowi Rooseveltowi. Otoczenie amerykańskiego przywódcy – byli wśród nich amerykańscy Żydzi – nie było w stanie uwierzyć, że nazistowskie Niemcy w systemowy sposób dążą do eliminacji całego narodu żydowskiego. Wiemy skądinąd, że aż do zakończenia działań wojny, do 1945 roku, kiedy alianci i Sowieci wyzwolili Europę, opinia publiczna nie znała skali Zagłady. Zbrodnia Holocaustu dopiero w drugiej połowie lat 40. XX wieku ujrzała światło dzienne. Karski mówił wtedy, że ludzkość dopuszcza się drugi raz grzechu pierworodnego i jest on popełniany do dzisiaj poprzez zapomnienie.

Wracając do Watykanu: papież Pius XII mógł wiedzieć więcej, choć wspomnienia poszczególnych księży wskazują na coś zupełnie odwrotnego. Pochodzący z Austrii kard. Franz König wspominał w jednym z wywiadów, że jako młody ksiądz nie zdawał sobie sprawy z Zagłady, nie mógł więc wobec niej protestować. König – późniejszy przyjaciel Żydów i jeden z najważniejszych hierarchów europejskiego Kościoła – opowiadał, że świat katolicyzmu i judaizmu był przed wojną oddzielony, a od biskupów i innych księży słyszał, że „problemy Żydów nie są naszymi problemami”. Pytanie o odpowiedzialność chrześcijan za Holocaust jest jednak ważne. Historycy są zgodni, że Kościół nie odpowiada wprost za Zagładę Żydów, ale jednocześnie pytają, dlaczego Watykan milczał?

Dlatego reakcje Piusa XII i Hlonda w 1946 roku budzą mój sprzeciw: naprawdę papież mieszkający na kontynencie zaczadzonym faszyzmem i prymas kierujący Kościołem na ziemiach okupowanych przez Niemców nie wiedzieli, co niesie ze sobą antysemityzm i nie znają skali zbrodni nazistowskich?
– Rozumiem pański sprzeciw. Sądzę, że papież wiedział zdecydowanie więcej o skali Zagłady niż wspomniany prezydent USA. Wiadomo, że wielu ludzi dobrej woli słało raporty do Watykanu w czasie wojny. Stosunek do judaizmu jest jednym z największych grzechów Kościoła, o czym otwarcie powie-

eprasa.pl 4ba45f9584

OŁEM CIĄŻY
CKA AURA

• **Kardynał August Hlond, w latach 1926-1948 prymas Polski, kawaler Orderu Orła Białego, zdjęcie z 1932 roku**
FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

dział w 2000 roku papież Jan Paweł II. Co ciekawe, w dokumencie „Shoah we remember” z czasów pontyfikatu Karola Wojtyły czytamy, że bilans wzajemnych stosunków między chrześcijaństwem a judaizmem wypada niekorzystnie. Dodałbym: wręcz obciążająco dla katolików. Ta prawda gdzieś się zagubiła.

To inaczej: w 1946 roku pojawił się list biskupa częstochowskiego Teodora Kubiny, który wprost potępiał pogrom kielecki i nazywał zło po imieniu. Po krótkim czasie prymas Hlond publikuje własny list, który ocieka antysemickimi kliszami. Która z tych postaw zwyciężyła w Kościele?
– Z żalem muszę powiedzieć, że prymasa Hlonda. Reakcja biskupa Kubiny była krystalicznie ewangeliczna, czysta, bez lęków i fobii, choć została zdławiona, zduszona przez resztę ówczesnego episkopatu. A przecież biskup częstochowski, tak samo jak reszta ordynariuszy, doświadczał ofensywy ateistycznej ze strony komunistycznego państwa.

Powiem więcej: nasiąkał przedwojennym antysemityzmem.
– Nie żył w próżni, to prawda. Impregnowany na antyżydowskie nastroje pozostawał Karol Wojtyła, który nie tylko miał wśród kolegów Żydów, ale potem zawsze starał się jako kardynał i papież zbliżyć do judaizmu. Może dlatego, że młody Wojtyła bywał w domach żydowskich, a jego koledzy wyznający judaizm znali jego rodzinę? Powiem więcej: jakiś czas temu widziałem zdjęcie z ostatnim przedwojennym ordynariuszem lubelskim bp. Marianem Fulmanem, którego w 1939 roku witała delegacja Żydów z Wojsławic. Zgoda: relacje zaczęły psuć się w latach 30. XX wieku, kiedy endecja rozsiewała antyżydowski jad w społeczeństwie, ale nie wszyscy byli w Kościele w Polsce antysemitami.

Zaskoczyło mnie, że polski rząd przed wojną alarmował Watykan o antysemickich wystąpieniach kleru. Stolica Apostolska w ogóle na to nie zareagowała.
– Zgoda. Lecz w rzetelnych badaniach Moniki Stolarczyk-Bilardie widzę jeden mankament: odczytuje dokumenty odnalezione w archiwach watykańskich w kontekście dzisiejszej doktryny Kościoła katolickiego. Watykan w latach 30. XX wieku nie upominał księży, którzy z ambon głosili antysemickie kazania, ponieważ nie uważano tego za odstępstwo od doktryny i praktyki kościelnej. Jeśli historyczka zajrzałaby do innych dokumentów dyplomatycznych związanych z innymi Kościołami lokalnymi, wówczas odkryłaby, że stosunek Watykanu do Warszawy nie był niczym niecodziennym. A nota dyplomatyczna, o której rozmawiamy, w dobrym świetle stawia polski rząd, który dbał o swoich obywateli żydowskich.

Duch prymasa Hlonda unosi się nad polskim Kościołem?
– Tak, ponieważ kody kulturowe są trwalsze niż nauczanie Kościoła. Może dlatego, że zmieniło się ono dopiero 60 lat temu? Być może tropem jest rozpoznanie Władysława Bartoszewskiego, który stwierdził, że w Polsce przetrwał antysemityzm bez Żydów, a nowa doktryna Kościoła nie została zwyczajnie przyswojona. Ostatnio byliśmy świadkami kampanii przeciwko listowi biskupów polskich, którzy w rocznicę odwiedzenia przez Jana Pawła II synagogi w Rzymie krytykowali postawy antysemickie. Sporo osób chciałoby wrócić do czasów przedsoborowych, kiedy Kościół traktował Żydów jako wrogów. Osoby te twierdzą, że Kościół zapomniał o swojej własnej tożsamości.

Czegoś tu nie rozumiem: przecież formujecie nowych księży przez sześć lat. Może seminaria nie przekazują wiedzy o aktualnym nauczaniu Kościoła w sprawie stosunku do innych religii?
– Przekazują. Programy są bezbłędne, ale zderzamy się – a mówię to z własnego doświadczenia, ponieważ przez 10 lat byłem prorektorem seminarium duchownego w Lublinie – z formacją młodych ludzi wyniesioną z domów rodzinnych, parafii, zamkniętych grup na portalach społecznościowych i obracaniu się młodych mężczyzn wśród skrajnie konserwatywnych rówieśników. Młodzi wierzący wolą posłuchać na youtubie księdza Waldemara Chrostowskiego czy Pawła Lisickiego, którzy mówią o spiskach żydowskich aniżeli profesora, który wykłada im doktrynę w seminarium. Do seminariów trafiają ludzie przesiąknięci antysemityzmem, nieufnością do innych, z ukształtowanymi poglądami politycznymi i społecznymi.

Czy to oznacza, że księża w Polsce są antysemitami?
– Na tak ogólne pytanie odpowiem, że nie, ponieważ znam co najmniej kilkudziesięciu kapłanów, którzy nie mają antyżydowskich poglądów. Nie mogę jednak ukrywać, że nad Kościołem w Polsce ciąży antysemicka aura. Co roku, podobnie jak episkopaty z Austrii i Włoszech organizujemy Dzień Judaizmu. I co roku uczestniczą w nim ci sami ludzie, a diecezje nie są zainteresowane codzienną, duszpasterską pracą ze społecznościami żydowskimi. Od 20 lat jestem członkiem Komitetu Episkopatu do spraw dialogu z judaizmem i widzę na własne oczy, że sprawami żydowskimi zajmuje się mały, elitarny krąg ludzi. Wydaje się, że jesteśmy w lepszym punkcie niż w czasach prymasa Hlonda, ale nadal nie jest idealnie.

Dlaczego Kościół nie przeprosił za reakcje na pogrom kielecki?
– Powiem więcej: nie zrehabilitowano do tej pory biskupa Teodora Kubiny, który wiele wycierpiał i został zakrzyczany, uznany za człowieka naiwnego, uległego władzy komunistycznej. A przecież biskup Kubina była prorokiem, który dokładnie przewidział kształt nauczania Soboru Watykańskiego II. Jeśli więc miałbym coś doradzać moim biskupom, to przede wszystkim oczyszczenie z win biskupa częstochowskiego i przyznanie się do stłumienia autentycznie chrześcijańskiej postawy pozbawionej kalkulacji. Potrzebujemy dziś wzorców i autorytetów, i kimś takim jest bp Kubina. Nie łudźmy się jednak: episkopat do tej pory nie przeprosił za grzechy pedofilii, za które odpowiadają biskupi pozbawieni godności i urzędów w czasie pontyfikatu papieża Franciszka. W tych dwóch przypadkach najważniejsze są ofiary: w 1946 roku byli to niewinni ludzie, którzy zostali zamordowani przez katolików, co zostało nazwane przez prymasa Hlonda „żydowską i ubecką prowokacją”. Ta miała się podobno rozpocząć od porwania małego Henia, który po kilku dniach się odnalazł. Jan Paweł II mówił o „oczyszczaniu pamięci”, kiedy głośno nazwał grzechem wielowiekowe prześladowanie Żydów. Dlatego Kościół w Polsce, o ile nadal jest świadkiem Chrystusa i Ewangelii, powinien mówić swojej wspólnocie o złu, jakie popełnił. Na marginesie trzeba dodać, że tyle żeśmy postawili w Polsce pomników Karolowi Wojtyle, a żaden nie nawiązuje do bliskich związków papieża ze światem judaizmu.

Po naszym tekście prezydent Karol Nawrocki złożył kwiaty na grobie prymasa Hlonda. Podobno z okazji urodzin. Jak ksiądz to skomentuje?
– Wstydzę się za naszego prezydenta. Złożenie kwiatów na grobie kard. Hlonda w okolicy rocznicy pogromu kieleckiego jest nagannym instrumentalizowaniem ciemnej strony historii Kościoła. Karol Nawrocki próbuje nas przekonać, że Kościół zachował się chwalebnie w 1946 roku. Postać kard. Hlonda jest tragiczna i skomplikowana, ale jego zachowanie sprzed 80 lat jest nie do obrony. Ostentacyjne składanie kwiatów na jego grobie przez głowę państwa w kontekście dzisiejszych ustaleń historycznych wpisuje się w podbijanie nastrojów antysemickich, antyukraińskich i antyniemieckich. Poza tym rolą prezydenta nie jest czczenie grobów duchownych. ●

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ks. prof. Alfred Wierzbicki

• jest duchownym katolickim, teologiem i etykiem, byłym wykładowcą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, aktualnie pracownikiem UMCS. Autor wielu książek i prac naukowych. ●

eprasa.pl 4ba45f9584

DREYFUS W KAMERZE PROUSTA

Prezydent Emmanuel Macron zdecydował, że co roku 12 lipca Francuzi będą czcić człowieka, którego **niesłusznie uznano za zdrajcę.**

Radosław Korzycki

Szabla jeszcze nie dotyka bruku. Na dziedzińcu Morlan paryskiej Szkoły Wojskowej oficer wygina się w wysiłku. Za chwilę przełamie ją o kolano. Naprzeciw stoi nieruchomo kapitan Alfred Dreyfus. Ma 35 lat, ciemnogranatowy mundur pozbawiony odznaczeń i twarz człowieka, który wie, że niczego nie jest już w stanie zatrzymać. Wokół szeregi żołnierzy z bagnetami. Za bramami ludzka czerń, jak zwykł z pewną czułością mówić o motłochu Elias Canetti, domaga się śmierci zdrajcy. Niewielu uczestników ceremonii przypuszcza, że za chwilę będą świadkami narodzin jednego z najsłynniejszych kozłów ofiarnych nowoczesnej Europy.

Jest 5 stycznia 1895 r. Dwa tygodnie wcześniej uznano go za winnego zdrady stanu i szpiegostwa na rzecz Niemiec.

Francja ogląda spektakl przygotowany z precyzją teatralnej premiery. Wybrano scenę, ustawiono widownię, opracowano choreografię. Przed rozpoczęciem poluzowano guziki munduru skazańca, naderwano lampasy i naramienniki, a nawet nadłamano szablę, aby pękła we właściwym momencie. Kilka dni później miliony Francuzów zobaczą tę scenę na kolorowej ilustracji w „Le Petit Journal". To właśnie ona utrwali się w zbiorowej pamięci.

Władze wojskowe chciały czegoś więcej niż ukarania oficera skazanego za szpiegostwo. Pragnęły widowiska, które pokaże całemu krajowi, że armia potrafi oczyścić własne szeregi. Rząd, świadomy rozgrzanych emocji, odrzucił jeszcze bardziej ambitny plan ministra wojny generała Auguste'a Merciera. Ceremonia miała pierwotnie odbyć się w Vincennes, przed znacznie większą publicznością. Obawiano się jednak, że zgromadzenie zakończy się linczem.

Nie był to najlepszy czas dla III Republiki. Francja wciąż żyje wspomnieniem upokarzającej klęski w wojnie z Prusami, sporami o przyszłość państwa i narastającą falą nacjonalizmu. W takiej atmosferze oskarżenie o zdradę oficera żydowskiego pochodzącego działa jak iskra rzucona na beczkę prochu.

Dreyfus jest idealnym bohaterem tej historii. Syn zamożnej żydowskiej rodziny z Alzacji mówi z niemieckim akcentem, a część jego krewnych mieszka po drugiej stronie granicy. Jednocześnie uosabia nową Francję. Dzięki wykształceniu, talentowi i pracy trafia do elitarnej szkoły wojskowej, a potem szybko awansuje. W armii, która przez pokolenia pozostawała domeną arystokracji i tradycyjnych układów, jego kariera pokazuje, że republika potrafi nagradzać kompetencje bardziej niż pochodzenie.

Właśnie dlatego degradacja odbywa się tutaj. Na tym samym dziedzińcu, gdzie Dreyfus zdobywał stopnie oficerskie i miejsce we francuskiej elicie. Armia nie tylko odbiera mu mundur. Chce pokazać całej Francji, że człowiek, który jeszcze wczoraj wydawał się wzorem republikańskiego awansu, zostaje publicznie wyłączony ze wspólnoty, do której z takim trudem wszedł.

Jedenaście lat później wszystko wygląda inaczej.

OCZYSZCZENIE „ZDRAJCY"

12 lipca 1906 roku francuski Sąd Kasacyjny ostatecznie unieważnia wyrok i całkowicie oczyszcza Alfreda Dreyfusa z zarzutów. Państwo przyznaje, że skazało niewinnego człowieka.

Pomiędzy tymi dwiema datami mieści się jedna z największych gehenn nowoczesnej Francji. Dreyfus przechodzi przez publiczne upokorzenie, samotność Wyspy Diabelskiej, tropikalne choroby, lata izolacji i nieustanne kampanie oszczerstw. W czasie gdy większość kraju debatuje nad jego losem, on miesiącami nie wie nawet, jakie argumenty padają w jego obronie. Traci zdrowie, ale nie traci przekonania o własnej niewinności. W listach pozostaje metodyczny, zdyscyplinowany i niemal obsesyjnie wierny republice, która go zdradziła.

Prawdziwy sprawca, major Ferdinand Walsin Esterhazy, nigdy nie ponosi odpowiedzialności za swoją zbrodniczą działalność. Ucieka do Anglii i umiera na emigracji.

Zmienia się także sama Francja. Kraj, który w 1895 roku niemal jednomyślnie domagał się ukarania zdrajcy, przechodzi przez jedną z najbardziej gwałtownych debat politycznych swojej historii. Powstają nowe linie podziału. Ścierają się republikanie i nacjonaliści, laicy i katolicy, zwolennicy armii i obrońcy praw jednostki. Na ulicach dochodzi do demonstracji, w gazetach do prawdziwej wojny propagandowej. W samym centrum sporu znajduje się pytanie o to, czym właściwie jest Francja i kto ma prawo nazywać się Francuzem.

Dreyfus wraca do armii. Otrzymuje stopień majora, później służy jeszcze podczas pierwszej wojny światowej. Nie staje się trybunem ludowym ani politycznym przywódcą. Pozostaje człowiekiem powściągliwym, niemal nieprzeniknionym, bardziej zainteresowanym rehabilitacją własnego imienia niż odgrywaniem roli symbolu. Umiera w 1935 roku jako odznaczony oficer francuskiej armii.

GDY FRANCJA ZBŁĄDZIŁA

Mija 120 lat. Francja przygotowuje się do 12 lipca 2026 roku, rocznicy kasacji wyroku. Na dziedzińcu École Militaire, w miejscu, gdzie niegdyś łamano szablę Dreyfusa, państwo francuskie organizuje po raz pierwszy narodowy dzień pamięci poświęcony człowiekowi, którego samo kiedyś skazało.

Do ustanowienia święta prowadzi długa droga. Przez dziesięciolecia sprawa Dreyfusa pozostaje jednym z najważniejszych punktów odniesienia francuskiej pamięci historycznej, ale dopiero w ostatnich latach wraca do centrum debaty publicznej. W cieniu rosnącej liczby incydentów antysemickich, sporów o tożsamość republiki i miejsca mniejszości we współczesnej Francji prezydent Emmanuel Macron postanawia nadać tej pamięci nową rangę. W lipcu 2025 roku ogłasza, że 12 lipca stanie się corocznym dniem narodowej refleksji nad sprawą Dreyfusa, „zwycięstwem sprawiedliwości i prawdy nad nienawiścią i antysemityzmem". Miesiąc wcześnie francuski parlament przegłosowuje ustawę, która pośmiertnie awansuje Alfreda Dreyfusa do stopnia generała brygady (fr. général de brigade).

Macron nie wraca jednak do Dreyfusa wyłącznie jako do bohatera historycznego. Interesuje go przede wszystkim republika.

Le Petit Journal

SUPPLÉMENT ILLUSTRÉ

Huit pages : CINQ centimes

Le Petit Journal

Le Supplément illustré

ABONNEMENTS

Sixième année — DIMANCHE 13 JANVIER 1895 — Numéro 217

LE TRAITRE

Dégradation d'Alfred Dreyfus

• **Degradacja Alfreda Dreyfusa na dziedzińcu paryskiej Szkoły Wojskowej w styczniu 1895 roku. Ilustracji w dzienniku „Le Petit Journal", którego nakład sięgał miliona egzemplarzy** FOT. PHOTO12/BE&W

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

Francuski prezydent przedstawia aferę Dreyfusa jako moment, w którym państwo zbłądziło, ale ostatecznie znalazło w sobie siłę do naprawienia własnej pomyłki. Nie jest to więc opowieść o triumfie jednej strony nad drugą. To raczej próba pokazania, że republika pozostaje wierna swoim wartościom właśnie wtedy, gdy potrafi przyznać się do błędu.

W ten sposób człowiek, którego ponad sto lat wcześniej prowadzono przez dziedziniec szkoły wojskowej przy akompaniamencie okrzyków „Śmierć zdrajcy!”, staje się symbolem czegoś zupełnie innego: zdolności państwa do rozliczenia własnych win.

Po wyroku i po rehabilitacji pozostaje jeszcze jedno pytanie. Co właściwie stało się z Francją pomiędzy tymi dwiema datami?

Gdzieś pomiędzy dziedzińcem École Militaire a salą Sądu Kasacyjnego miliony ludzi muszą opowiedzieć się po jednej ze stron. Ministrowie, generałowie, dziennikarze, profesorowie. Ale także ludzie, których nie znajdziemy w podręcznikach historii: gospodarze salonów, bywalcy restauracji, prowincjonalni notariusze, aktorki, księża, lekarze, studenci. Sprawa Dreyfusa wdziera się do prywatnych rozmów, rodzinnych obiadów i wieloletnich przyjaźni. Jedni przestają podawać sobie rękę. Inni odkrywają, że od lat mieszkają obok ludzi, których poglądów w ogóle nie znali.

PRZEWODNIK PO CZASACH PRZEŁOMU

Mało kto opisał ten proces równie przenikliwie, jak Marcel Proust. Nie interesuje go sala sądowa ani kulisy ministerstw. Kamera jego siedmiotomowej monumentalnej powieści „W poszukiwaniu straconego czasu” zatrzymuje się gdzie indziej. W salonach, bibliotekach, na przyjęciach, podczas kolacji i spacerów. Tam, gdzie ludzie mówią swobodniej niż w gazetach i parlamentarnych przemówieniach.

Dlatego bohaterowie powieściowego cyklu są dziś czymś więcej niż postaciami literackimi. Ich reakcje na sprawę Dreyfusa tworzą rodzaj społecznej mapy Francji. Kiedy książęta, mieszczanie, artyści, wojskowi i Żydzi zajmują stanowisko wobec jednego oskarżonego oficera, zaczynają jednocześnie ujawniać własne wyobrażenia o narodzie, klasie, religii, lojalności i przynależności. Z tej mozaiki wyłania się nie tylko historia afery Dreyfusa. Wyłania się portret Francji u progu XX wieku.

Marcel Proust nie trafia do tej opowieści przypadkiem. Trudno wyobrazić sobie lepszego przewodnika po Francji czasu afery Dreyfusa. „Najwybitniejszy dwudziestowieczny pisarz francuski spędzał życie wyłącznie w towarzystwie. Wszystkie wydarzenia jawiły mu się odbite w towarzystwie jak w lustrze i w ten sposób przyswojone przez jednostkę i dlatego refleksje oraz przemyślenia stanowią specyficzną rzeczywistość i materię proustowskiego świata” – pisała Hannah Arendt w „Korzeniach totalitaryzmu”.

Ojciec Marcela – Adrien Proust – należy do szanowanych filarów republiki. Jest profesorem medycyny, człowiekiem nauki i etosu państwowości. Matka – Jeanne Weil – pochodzi z zasymilowanej rodziny żydowskiej. Przez większą część młodości Marcel nie postrzega siebie przede wszystkim przez pryzmat tego pochodzenia. Sprawa Dreyfusa zmienia jednak reguły gry. Nagle okazuje się, że pytania o lojalność, przynależność i żydowskość przestają być abstrakcyjnym tematem gazetowych polemik. Wkraczają do salonów, które zna od dziecka.

Proust obserwuje ten proces z miejsca wyjątkowego. Bywa niemal wszędzie. Zna arystokratów, artystów, polityków, finansistów, wojskowych. Przyjaźni się z gorącymi zwolennikami rehabilitacji Dreyfusa, ale regularnie spotyka także ludzi, którzy uważają go za zdrajcę. Jednym z nich jest hrabia Robert de Montesquiou, jedna z najbarwniejszych postaci epoki i jeden z pierwowzorów późniejszego barona Charlusa. Afera Dreyfusa stawia ich po przeciwnych stronach politycznej barykady.

• **Alfred Dreyfus (1859-1935), w 2025 roku, 90 lat po śmierci, został awansowany na generała**

FOT. PICTORIAL PRESS LTD / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

PIEWCA STAREJ FRANCJI

Proust nie ogranicza się zresztą do roli obserwatora. „Byłem pierwszym dreyfusistą” – oświadczy później z przesadą i dumą, które jednak można mu wybaczyć. To on namawia Anatole'a France'a do podpisania petycji w obronie skazanego oficera. Później współorganizuje słynny „Manifest stu czterech” – przypomina psychoanalityczka i językoznawczyni Julia Kristeva w monumentalnym „Czasie odczuwalnym. Prouście i doświadczeniu literackim”. Dokument ten w ciągu miesiąca zgromadzi blisko trzy tysiące podpisów.

Jednocześnie pozostaje przede wszystkim pisarzem. Nie interesuje go wyłącznie to, kto ma rację. Znacznie bardziej ciekawi go, co dzieje się z ludźmi, gdy wielki spór polityczny wdziera się do ich codziennego życia. Kto zmienia zdanie. Kto zmienia przyjaciół. Kto zaczyna mówić innym językiem. Kto nagle odkrywa, że świat, który wydawał się trwały i oczywisty, pęka na jego oczach.

Najbardziej nieprzejednanym przeciwnikiem Dreyfusa pozostaje wspomniany baron de Charlus, chwilami mentor, później obiekt resentymentu Marcela, ale przede wszystkim fundament „Strony Guermantes”, czyli trzeciego tomu cyklu. W przeciwieństwie do wielu bohaterów Prousta nie przechodzi politycznej przemiany. Nie przeżywa nawrócenia. Nie rewiduje poglądów. Sprawa Dreyfusa od początku do końca znajduje go po tej samej stronie barykady.

Nietrudno zrozumieć dlaczego. Charlus jest człowiekiem zakorzenionym w świecie, który od dawna znika. Pamięta Francję cesarstwa, dawną pozycję arystokracji, porządek oparty na nazwisku, pochodzeniu i hierarchii. Republika jawi mu się jako rzeczywistość coraz bardziej chaotyczna, coraz mniej elegancka i coraz mniej przewidywalna. Kiedy broni armii, nie broni jedynie instytucji państwa, tylko całego porządku społecznego, który nadaje sens jego własnemu istnieniu.

Dlatego sprawa Dreyfusa ma dla niego wymiar niemal metafizyczny. Nie dotyczy winy lub niewinności jednego oficera. Staje się kolejnym rozdziałem wojny między starą a nową Francją. W świecie Charlusa republika może popełniać błędy, ale podważanie autorytetu armii oznacza podważanie fundamentów całej cywilizacji. On po prostu nie może zmienić zdania, prawda i pozytywizm go nie interesują, jeśli stają na drodze opatrznościowemu porządkowi.

DWA WCIELENIA BARONA DE CHARLUSA

Proust nie pozwala jednak czytelnikowi zatrzymać się na tym poziomie. Stopniowo odsłania drugie życie barona. Za fasadą wielkiego pana, potomka jednego z najstarszych rodów Francji, z pozycją społeczną jeszcze od Merowingów, kryje się człowiek zmuszony do nieustannego ukrywania własnych pragnień. Charlus funkcjonuje w dwóch porządkach jednocześnie. Jeden jest oficjalny, widzialny, usankcjonowany przez tradycję. Drugi istnieje w półmroku ukrytych zakamarków i przypadkowych spotkań.

To właśnie za jego sprawą narrator po raz pierwszy dostrzega świat, którego istnienia wcześniej jedynie się domyślał. „U barona i Jupiena piękno to ukazało mi się po raz pierwszy. W ich oczach nie odbijało się niebo Zurychu, lecz jakiegoś wschodniego miasta, którego nazwy jeszcze nie odgadłem” – pisał Marcel w „Sodomie i Gomorze”, czwartym tomie cyklu. Wraz z Charlusem do powieści wkracza pojęcie inwersji, jak na przełomie XIX i XX wieku określano homoseksualność. Prousta interesuje jednak mniej sama seksualność niż szczególny sposób życia ludzi zmuszonych do nieustannego odgrywania ról, ukrywania części własnej tożsamości i poruszania się pomiędzy światem oficjalnym a światem sekretów.

W tym sensie Charlus należy do najbardziej paradoksalnych postaci całego cyklu. Broni hierarchii z bezgraniczną zaciekłością, choć sam nosi w sobie doświadczenie wyobcowania. Walczy o zachowanie starego porządku, choć doskonale wie, że w jego obrębie nigdy nie będzie mógł istnieć całkowicie otwarcie. Być może właśnie dlatego jego lojalność wobec świata Guermantesów, legitymizmu i wspomnienie Talleyranda przybiera u niego momentami niemal religijny charakter.

Nie wszyscy przeciwnicy Dreyfusa przypominają Charlusa. Większość nie mówi o zmierzchu cywilizacji, nie przywołuje dawnych dynastii i nie przeżywa polityki z podobną intensywnością. Ich argumenty są spokojniejsze, bardziej praktyczne, przez co bywają również bardziej przekonujące.

Sprawa Dreyfusa wdarła się do prywatnych rozmów, rodzinnych obiadów i wieloletnich przyjaźni. Jedni przestają podawać sobie rękę. Inni odkrywają, że od lat mieszkają obok ludzi, których poglądów w ogóle nie znali

PRAWDA NA OŁTARZU WSPÓLNOTY

Najlepiej uosabia tę postawę ambasador Norpois. To człowiek państwa, dyplomata starej szkoły, przyzwyczajony do myślenia kategoriami równowagi, interesu narodowego i racji stanu. W jego świecie prawda ma znaczenie, ale nigdy nie funkcjonuje w próżni. Każda decyzja niesie konsekwencje, każde publiczne oskarżenie może uruchomić nieprzewidziane skutki. Norpois patrzy na sprawę Dreyfusa z perspektywy człowieka, który przez całe życie obserwował kruchość politycznego porządku.

W tym sensie jest znacznie bardziej reprezentatywny dla swojego środowiska niż Charlus. Nie kieruje nim nostalgia za ancien régime'em ani marzenie o restauracji monarchii. Podobnie myślą starszy brat Charlusa, książę Bazyn de Guermantes, matriarchini rodu i ciotka obu mężczyzn, markiza de Villeparisis (przy okazji kochanka Norpoisa i przyjaciółka ukochanej babci narratora Marcela, Bathilde) i wielu bohaterów drugiego planu ze starej arystokracji. Nie muszą nawet darzyć Dreyfusa szczególną niechęcią. Wystarcza im przekonanie, że autorytet armii i państwa jest dobrem, którego nie należy wystawiać na publiczną próbę.

Dla tych ludzi niepokojąca okazuje się nie tyle możliwość pomyłki, ile sam proces jej ujawniania. Francja żyje przecież w cieniu klęski 1870 roku, utraty Alzacji i Lotaryngii oraz nieustannego lęku przed Niemcami. Armia pozostaje jedną z niewielu instytucji zdolnych podtrzymywać poczucie narodowej ciągłości. Jeżeli społeczeństwo zacznie kwestionować jej autorytet, co pozostanie?

W pewnym momencie pytanie o winę Dreyfusa schodzi więc na dalszy plan. Znacznie ważniejsze staje się pytanie o cenę, jaką Francja może zapłacić za podważenie własnych instytucji. Proust pokazuje ten mechanizm bez karykatury i bez moralnej wyższości. Jego antydreyfusiści nie są potworami. To ludzie rozsądni, dobrze wychowani, często inteligentni. Właśnie dlatego ich postawa okazuje się tak interesująca. Broniąc porządku, nie zauważają momentu, w którym porządek zaczyna wymagać obrony niesprawiedliwości.

To jedna z najtrudniejszych lekcji całej afery Dreyfusa. Największe zagrożenie dla prawdy nie zawsze przychodzi ze strony fanatyków. Czasami pojawia się w gabinetach ludzi umiarkowanych, którzy szczerze wierzą, że chronią wspólnotę przed czymś znacznie groźniejszym niż los jednego człowieka.

I NAGLE STAJESZ SIĘ OBCY

Tymczasem wśród bohaterów Prousta niewielu przeżywa sprawę Dreyfusa równie osobiście, jak Karol Swann, ten, co udostępnia nazwisko pierwszemu tomowi sagi, „W stronę Swanna”. Dla narratora jest jedną z najbardziej fascynujących postaci dorosłego świata, bywalcem letnich salonów w Combray, przyjacielem Guermantesów, człowiekiem obdarzonym niemal legendarną aurą. To zarazem jeden z najlepiej sytuowanych bohaterów całego cyklu. Syn żydowskiego maklera giełdowego, właściciel znacznego majątku, kolekcjoner sztuki, od lat porusza się pośród arystokracji z taką swobodą, że mało kto zastanawia się, jak właściwie znalazł się w tym gronie. Nie ma tytułu, ale jego opinia o Vermeerze czy Botticellim potrafi ważyć więcej niż zdanie niejednego arystokraty.

Afera Dreyfusa wydobywa jednak na powierzchnię rzeczy, o których

eprasa.pl 4ba45f9584

wcześniej nie wypadało mówić albo których po prostu nie dostrzegano. W rozmowach coraz częściej pojawiają się uwagi o Żydach, lojalności i pochodzeniu. Towarzystwo, które przez lata traktowało podobne kwestie jako drugorzędne, zaczyna widzieć je jako sprawy zasadnicze.

Proust śledzi tę zmianę z właściwą sobie cierpliwością. Interesują go nie wielkie deklaracje, lecz drobne pęknięcia: rozmowa, która nagle skręca w nieoczekiwanym kierunku, albo uwaga wypowiedziana półgłosem. Świat, który wydawał się znajomy i oswojony, zaczyna ujawniać własne granice.

Kilka dekad później Jean-Paul Sartre napisze w „Rozważaniach o kwestii żydowskiej", że antysemityzm nie potrzebuje rzeczywistego Żyda, tylko wyobrażenia o Żydzie. Kategorii, do której można przypisać lęki, uprzedzenia i zbiorowe fantazje. Czytając dziś strony poświęcone Swannowi, trudno oprzeć się wrażeniu, że Proust dostrzegł ten proces na długo przed Sartre'em. Żyda „tworzy" antysemita, a zaprzysięgłego dreyfusistę ze Swanna czyni Historia.

Karol nie traci obycia, wrażliwości na malarstwo ani manier. Ale inaczej zaczynają postrzegać go dawni pobratymcy. Jeszcze chwilę temu przyjaciel domu, teraz staje się reprezentantem obcego i wrogiego plemienia. W zmienionym polu symbolicznym człowiek ustępuje miejsca kategoryzacji.

WSZECHOBECNY DUCH ANTYSEMITY

Tymczasem w świecie Prousta sprawa Dreyfusa nie dzieli Francji wyłącznie na zwolenników i przeciwników skazanego kapitana. Tworzy również nowe języki polityczne, które zaczynają żyć własnym życiem.

Pierwsi pojawiają się antydreyfusiści. Wyrastają z Francji naznaczonej klęską 1871 roku i nieustannym poczuciem zagrożenia ze strony Niemiec. Republika potrafiła zamienić militarną porażkę w rodzaj moralnego zwycięstwa, ale nie uwolniła się od lęku o własną siłę i trwałość. W tej atmosferze rozkwita kult armii, Joanny d'Arc, suwerenności i narodowej jedności. Wraz z nim pojawia się nowy język polityczny, którego najbardziej wpływowym architektem staje się Édouard Drumont, publicysta i założyciel Ligi Antysemickiej we Francji.

On pierwszy nadaje sprawie Dreyfusa formę gotowej opowieści. Jeszcze zanim przedstawiono dowody, zanim zapadł wyrok i zanim większość Francuzów usłyszała nazwisko oskarżonego, czytelnicy „La Libre Parole" dowiadują się, że szpiegiem jest Żyd.

Od tej chwili dla wielu odbiorców sprawa przestaje dotyczyć konkretnego oficera. Staje się historią o narodzie, armii i rzekomym zagrożeniu płynącym ze strony ludzi uznanych za obcych.

Proust nie poświęca Drumontowi wielu stron. Nie musi. Jego obecność jest odczuwalna niemal wszędzie. Pobrzmiewa w rozmowach księżnej de Villeparisis, księcia de Guermantes, części bywalców Faubourg Saint-Germain. Nie zawsze przyjmuje postać otwartego antysemityzmu. Czasem objawia się jako kult armii, czasem jako nieufność wobec republiki, czasem jako tęsknota za światem, w którym każdy znał swoje miejsce. Drumont jest mniej człowiekiem, raczej słownikiem i encyklopedią pauperum, z których korzystają bohaterowie.

PRZYMIOTNIKI DO WYMIANY

Po drugiej stronie rodzi się język równie nowy, choć wyrastający z innych źródeł. Jego ambasadorką staje się u Prousta Rachela. Aktorka, kochanka Roberta Saint-Loupa (biseksualnego oficera i siostrzeńca księstwa Guermantes, przyjaciela Marcela-narratora), Żydówka, kobieta nieustannie zmieniająca role, chłonie słowa intelektualistów, radykałów i dreyfusistów z taką samą łatwością, z jaką wcześniej chłonęła teatralne kwestie. W jej ustach polityka staje się stylem mówienia, zestawem modnych pojęć, sposobem uczestnictwa w nowoczesności.

Proust pokazuje ten mechanizm z ironią. Kiedy Saint-Loup jest zakochany, zaczyna mówić językiem Racheli. Świat staje się nagle „kosmiczny", „ezoteryczny", „fatydyczny" (proroczy, wieszczy; słowo pochodzi od francuskiego fatidique). Poglądy przychodzą wraz ze słownikiem. Kiedy uczucie wygasa, zmienia się także polityka. Saint-Loup stopniowo przechodzi do obozu antydreyfusistów, a wraz z przekonaniami porzuca dawne słowa.

Tadeusz Boy-Żeleński w szkicu „Proust i jego świat" zauważał: „Kiedy Saint-Loup się odkocha i zerwie z Rachelą, przestanie wierzyć w niewinność Dreyfusa i zmieni zarazem słownik (...). Ale nasiąkłszy urokiem przymiotników, zaopatrzy się w inne, bez przymiotników życie pięknoducha byłoby zbyt uciążliwe".

To jedna z najbardziej przenikliwych obserwacji całego cyklu. Proust rozumie, że wielkie spory polityczne rzadko toczą się wyłącznie wokół faktów. Dla wielu uczestników debaty są także kwestią estetyki, przynależności i języka. Ludzie przejmują nie tylko poglądy, lecz również sposób mówienia, gesty, modne słowa i emocje przypisane do określonego obozu.

Patrząc z tej perspektywy, afera Dreyfusa przypomina coś znajomego. Dla części Francuzów była sprawą sumienia. Dla innych stawała się przede wszystkim spektaklem, kolejną wielką kłótnią epoki, w której łatwiej było wybrać drużynę, niż zrozumieć problem. Mechanizm ten wydaje się zadziwiająco trwały. Zmieniają się media, hasła i bohaterowie, ale pokusa oceniania świata przez pryzmat obozowych odruchów pozostaje niezmienna. Bańka staje się ławą przysięgłych, a prototyp gównoburzy przewodem sądowym.

STARCIE SALONÓW

Pośród wszystkich proustowskich sporów o Dreyfusa najciekawszy jest być może ten, w którym polityka schodzi na dalszy plan i z substancji nadającej treść staje się rekwizytem. W salonach Prousta przekonania rzadko istnieją w stanie czystym. Splatają się z ambicją, snobizmem, rywalizacją i walką o pozycję. Sprawa Dreyfusa staje się częścią znacznie większego konfliktu, którego stawką jest symboliczne przywództwo nad francuskim życiem towarzyskim.

Po jednej stronie stoi Oriana de Guermantes, żona księcia Bazyna, powinowata Charlusa, de Villeparisisa i Saint-Loupa, królowa arystokratycznej socjety z Faubourg Saint-Germain, kobieta obdarzona niemal nieomylnym instynktem społecznym. Po drugiej Sydonia Verdurin, bogata mieszczka, gospodyni konkurencyjnego salonu, przez lata usiłująca wedrzeć się do świata, który patrzy na nią z wyższością. Dzieli je niemal wszystko: pochodzenie, styl, gust, sposób mówienia. Łączy jedno. Obie doskonale rozumieją, że władza we Francji nie ogranicza się do parlamentu, ministerstw i gazet. Można ją sprawować także przy stole.

„Oriana jest przekonana o niewinności Dreyfusa, jednocześnie decydując się na bycie antydreyfusistką, aby zachować pozycję towarzyską" – pisze Julia Kristeva. W świecie Guermantesów racja bywa mniej istotna od przynależności. Jak notował sam Proust w szkicu opublikowanym po polsku jako „Wieczór u księżnej de Guermantes", Oriana uważała, że „wszystko powiedziane w sposób poważny, wszelkie wielkie słowa są głupie". Także polityka podlega tutaj prawom dobrego tonu. Nie chodzi o to, kto ma rację. Tylko z kim wypada ją mieć.

• **Marcel Proust (1871-1922), autor siedmiotomowego cyklu powieściowego „W poszukiwaniu straconego czasu", zdjęcie z 1895 roku** FOT. PVDE / BRIDGEMAN IMAGES / GETTY IMAGES

Proust patrzy na wielkie polityczne namiętności swojej epoki z tak wyraźną ironią. Za sztandarami, manifestami i deklaracjami dostrzega ludzi zabiegających o uznanie, miejsce przy stole i odpowiedni adres

Nawet książę Bazyn nie pozostaje całkowicie odporny na tę logikę. Przez chwilę flirtuje z dreyfusizmem, lecz szybko słyszy od przyjaciół, że podobne ekscentryzmy mogą kosztować go prezydenturę Jockey Clubu. Wystarcza to za argument.

Sydonia zajmuje pozycję odwrotną. „Pani Verdurin, naturalna, mieszczańska patriotka, jeśli nie hurrapatriotka, ze względu na swój radykalizm staje się gorącą dreyfusistką" – zauważa Kristeva. Tam, gdzie Guermantesowie bronią świata odziedziczonego, ona dostrzega szansę na awans.

Dreyfusizm przynależy do nowoczesności, do intelektualistów, artystów i ludzi, którzy kwestionują zastane hierarchie. W salonie Verdurinów staje się więc nie tylko poglądem, lecz także sztandarem.

DREYFUS PRZYDA SIĘ WSZYSTKIM

Proust obserwuje tę rywalizację z mieszaniną fascynacji i okrucieństwa. Oba obozy przedstawiają własne wybory jako kwestie zasad. Tymczasem pod warstwą wzniosłych deklaracji trwa nieustanna walka o prestiż, wpływy i uznanie. Sprawa Dreyfusa dostarcza jej symboli i argumentów. Sama nie jest jednak prawdziwą stawką gry.

Najbardziej proustowskie okazuje się zakończenie tej historii. Francja zmienia się, zmieniają się elity, zmienia się rozkład społecznych wpływów. A Sydonia Verdurin ostatecznie osiąga cel, do którego dążyła przez całe życie. Wychodzi za owdowiałego księcia Gilberta de Guermantes (stojącego wyżej w hierarchii arystokratycznego ancien regime'u kuzyna Oriany i Bazyna) i sama staje się księżną. I to princessą, podczas gdy Oriana jest „tylko" duchessą. Burżuazyjna buntowniczka, która przez lata definiowała się poprzez opozycję wobec Faubourg Saint-Germain, zostaje częścią tego świata. Granica między zwycięzcami a pokonanymi się zaciera. Dawni przeciwnicy zaczynają należeć do tej samej rodziny.

Może właśnie dlatego Proust patrzy na wielkie polityczne namiętności swojej epoki z tak wyraźną ironią. Za sztandarami, manifestami i deklaracjami dostrzega ludzi zabiegających o uznanie, miejsce przy stole i odpowiedni adres. Współczesna inkarnacja Oriany, piękna i okrutna bohaterka grana przez Romy Schneider w „Przesłuchaniu w sylwestrową noc" („Garde à vue", reż Claude Miller) ujmuje tę logikę bezlitośnie: „Krewni męża byli ludźmi gustu wyjątkowo pośledniego, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało".

Po salonach Guermantów i Verdurinów, po wszystkich sporach o republikę, armię, Kościół, po językach, modach i politycznych konwersjach można odnieść wrażenie, że Dreyfus dawno już zniknął z własnej historii. Jedni używają go do walki o prestiż, inni do obrony hierarchii, jeszcze inni do budowa-

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

nia nowoczesnej Francji. Sprawa, która zaczęła się od losu jednego oficera, rozrasta się do rozmiarów narodowego dramatu. W pewnym momencie warto więc zadać pytanie bardziej podstawowe: Dlaczego właśnie on?

IDEALNY KANDYDAT NA ZDRAJCĘ

W latach 60. wielki francuski historyk i filozof René Girard spróbuje odpowiedzieć na nie językiem antropologii. Według autora „Kozła ofiarnego” wspólnoty przeżywające kryzys nie potrafią długo żyć w stanie rozproszonego konfliktu. Potrzebują figury, wokół której mogłyby uporządkować własne lęki, gniew i poczucie zagrożenia. Chaos otrzymuje wtedy twarz. Niepokój zyskuje nazwisko. Społeczeństwo odnajduje chwilową jedność dzięki wskazaniu winnego.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że właśnie taką rolę odegrał Alfred Dreyfus.

Nie dlatego, że był najbardziej prawdopodobnym zdrajcą. Przeciwnie. Był kandydatem idealnym właśnie dlatego, że znajdował się na granicy. Francuz, ale pochodzący z Alzacji. Oficer sztabowy, ale Żyd. Człowiek całkowicie zasymilowany, a zarazem wystarczająco odmienny, by można było uczynić z niego obcego. W jego osobie spotkały się niemal wszystkie niepokoje Francji końca XIX wieku: pamięć klęski z Prusami, lęk przed nowoczesnością, nieufność wobec republiki, narastający antysemityzm i kryzys narodowej tożsamości.

Girard zauważał, że wspólnota bardzo rzadko rozpoznaje własny mechanizm. Wierzy w winę ofiary. Wierzy, że działa w imię sprawiedliwości. Dopiero z perspektywy czasu widać, że oskarżony miał przede wszystkim scalić zwaśnioną zbiorowość. „Niewinność męczennika nigdy nie jest kwestionowana. »Nienawidzili mnie bez powodu«. Duch zemsty walczy dzielnie na tyłach, zaś męczennicy modlą się za swoich katów: »Ojcze przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią«” – pisał Girard w „Koźle ofiarnym”, nawiązując do Męki Pańskiej i słów: „Eli, Eli, lama sabachthani?”.

W tym sensie degradacja Dreyfusa na dziedzińcu École Militaire przypomina scenę znacznie starszą od III Republiki. Tłum gromadzi się, aby zobaczyć upadek człowieka, którego uznano za źródło nieszczęścia. Zerwane galony, złamana szabla, okrzyki: „Śmierć Żydowi!” mają przywrócić naruszony porządek. Francja odzyskuje na moment poczucie jedności. Armia odzyskuje honor. Naród odzyskuje winnego.

Tyle że w przeciwieństwie do dawnych mitów historia Dreyfusa nie kończy się na ofierze. Dokumenty wypływają na światło dzienne. Fałszerstwa zostają ujawnione. Prawdziwy szpieg nigdy nie staje przed sądem, ale niewinność skazanego oficera staje się faktem. Mechanizm, który zazwyczaj pozostaje ukryty, zostaje odsłonięty niemal na oczach całego kraju.

OPOWIEŚĆ O LĘKACH

I właśnie tutaj spotykają się Girard i Proust.

Filozofa interesuje wspólnota. Pisarza interesują ludzie. Girard opisuje ruch tłumu, Proust przygląda się twarzom stojącym w tłumie. Jeden pokazuje strukturę, drugi emocje, ambicje, uprzedzenia i marzenia. Obaj dochodzą jednak do podobnego miejsca. Dreyfus stopniowo przestaje być człowiekiem z krwi i kości. Staje się ekranem, na który całe społeczeństwo rzutuje własne wyobrażenia. Każdy mówi o kapitanie artylerii, ale w gruncie rzeczy opowiada o sobie. O swojej Francji, lękach i o świecie, który chciałby ocalić albo dopiero stworzyć.

Po wojnie, kiedy Marcel kończy „Czas odnaleziony” (siódmy i ostatni tom cyklu), idealizm ustępuje miejsca rozczarowaniu i cynizmowi. Wielki spór, który wydawał się walką o prawdę, okazuje się także walką o wpływy, prestiż i władzę. „Sprawa Dreyfusa” zostaje obciążona znaczeniami, których nie sposób już od siebie oddzielić.

Niewinność skazanego oficera staje się argumentem w sporach o republikę, Kościół, sekularyzm, którego Proust gorliwie nie znosił, przyszłość Francji i kształt nowoczesności. Prawda zwycięża, ale w świecie, w którym każdy obóz zdążył już wykorzystać ją do własnych celów.

Także sam Proust nie przypomina bohatera z pomnika. Wspaniały biograf francuskiego pisarza Edmund White wspomina, że podczas kampanii o Nagrodę Goncourtów w 1919 roku zabiegał o względy jurorów z energią godną polityka. Zapraszał ich na wystawne kolacje, obdarowywał prezentami, budował wyborczą koalicję. Wśród ludzi, których koniec końców zjednał, znalazł się Léon Daudet, współzałożyciel nacjonalistycznej i antysemickiej Action Française. Ostatecznie Marcel zdobywa upragnioną nagrodę za drugi tom sagi, czyli „W cieniu zakwitających dziewcząt”. Życie po raz kolejny okazuje się mniej eleganckie od idei.

A kozioł ofiarny zostaje.

KTO NALEŻY DO WSPÓLNOTY

Być może właśnie dlatego Emmanuel Macron wraca dziś do Dreyfusa. Ustanawia narodowy dzień pamięci człowieka oczyszczonego z zarzutów ponad sto lat temu, w chwili gdy Francja ponownie spiera się o kwestie związane z żydowskością, przynależnością i miejscem mniejszości w republice.

Spór nie dotyczy już oficera sztabowego z Alzacji. Jego miejsce zajęły Gaza, Izrael, antysemityzm, islamofobia, kolonialna przeszłość Francji i pamięć o Zagładzie. Debata, która jeszcze niedawno wydawała się odległym konfliktem międzynarodowym, weszła do francuskich szkół, uniwersytetów, redakcji i parlamentu. Państwo jednocześnie zaostrza walkę z antysemityzmem i coraz ostrzej krytykuje działania izraelskiego rządu. Jedni widzą w tym dowód republikańskiej równowagi, inni oskarżają władzę o dwuznaczność. Francja po raz kolejny próbuje ustalić, gdzie przebiega granica między solidarnością a uprzedzeniem, między krytyką państwa a wrogością wobec ludzi.

Proust rozpoznałby ten krajobraz bez większego trudu. Pozostawił po sobie nie zbiór odpowiedzi, lecz galerię postaci. Charlusa, Swanna, Norpoisa, Orianę, Verdurin. Ludzi próbujących odnaleźć się w rzeczywistości, która wymyka się dawnym kategoriom. Ludzi przekonanych, że mówią o Dreyfusie, podczas gdy znacznie częściej opowiadają o własnych lękach, aspiracjach i wyobrażeniach o Francji.

Od tamtej epoki przybyło partii politycznych, kanałów telewizyjnych, portali internetowych i mediów społecznościowych. Pojawiły się nowe słowa, nowe sztandary i nowe podziały. Pytanie pozostało jednak zaskakująco podobne: kto należy do wspólnoty i kto ma prawo określania jej granic.

To właśnie sprawia, że bohaterowie Prousta wydają się tak bliscy współczesności. Nie przewidzieli XXI wieku. Potrafili natomiast dostrzec coś, co nie zmienia się szczególnie szybko. W chwilach niepewności społeczeństwa szukają postaci, wokół których mogą uporządkować własne emocje, gniew i nadzieje. Zmieniają się nazwiska. Mechanizm pozostaje ten sam.

Na dziedzińcu Morlan szabla nadal nie dotknęła jeszcze bruku.

Oficer wygina się w wysiłku. Tłum czeka. Za chwilę ktoś zostanie wyłączony ze wspólnoty, a wspólnota odzyska poczucie jedności. Potem miną lata. Zmienią się rządy, ideologie, gazety i bohaterowie. Powrócą natomiast pytania o winę, prawdę i przynależność.

Szabla wciąż pozostaje zawieszona w powietrzu. ●

Historia krzepi

Pierwszy po prezydencie

90 lat temu doszło do największego w naszych dziejach przekrętu konstytucyjnego: ustrój państwa zmieniono okólnikiem.

Natecz

TOMASZ NAŁĘCZ – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

13 lipca 1936 premier Felicjan Sławoj-Składkowski wydał okólnik następującej treści:

„Zgodnie z wolą Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego zarządzam, co następuje: Generał Rydz-Śmigły, wyznaczony przez Pana Marszałka Józefa Piłsudskiego jako pierwszy obrońca ojczyzny, pierwszy Współpracownik Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w zarządzaniu państwem, ma być uważany i szanowany, jako pierwsza w Polsce osoba po panu Prezydencie Rzeczypospolitej. Wszyscy funkcjonariusze państwowi z Prezesem Rady Ministrów na czele okazywać mu winni objawy honoru i posłuszeństwa”.

Nazajutrz pismo zostało odczytane przez ministrów i wojewodów na specjalnie zarządzonych zebraniach podległych im urzędników. 16 lipca 1936 okólnik opublikowano w „Monitorze Polskim”, co ciekawe w „Dziale Nieurzędowym”. Obwieszczeniu towarzyszyło wyjaśnienie, że pozycja gen. Edwarda Rydza-Śmigłego w państwie „bierze swój początek z testamentu ustnego Marszałka Piłsudskiego”.

Operacja stanowiła brutalny gwałt na konstytucji z 23 kwietnia 1935, ustanawiającej ustrój prezydencki, dający głowie państwa ogromną władzę, podobną do prezydenta USA. Nie było tu miejsca na „pierwszą osobę po prezydencie”, współrządzącą krajem. Konstytucja stwierdzała jedynie, że jeśli urząd prezydenta jest opróżniony, to jego funkcje sprawuje zastępczo marszałek senatu. Generalnego inspektora sił zbrojnych, którym był Rydz-Śmigły, konstytucja ledwie wzmiankowała, mówiąc, że mianuje i zwalnia go prezydent. Aby ustanowić duumwirat prezydenta i generalnego inspektora sił zbrojnych należało zmienić konstytucję, a uczyniono to aktem prawnym bardzo niskiej rangi. Był to jedyny w świecie przypadek zmiany ustroju okólnikiem premiera.

Towarzyszyło tej operacji jeszcze jedno gigantyczne oszustwo. Uzasadniono ją testamentem marszałka Piłsudskiego. Tymczasem ostatnia wola zmarłego dotyczyła jedynie pochówku, słowem nie wspominała o sprawach państwa.

O tych kwestiach obóz piłsudczykowski decydował już sam. Nie było to łatwe, bo odejście wodza podzieliło szeregi, które skoczyły sobie do gardeł w walce o władzę. Główną osią sporu był sposób rządzenia krajem. Kiedy 12 maja 1935 Piłsudski umierał, Polską kierowali w jego imieniu tzw. pułkownicy, na czele z premierem Walerym Sławkiem. Byli zwolennikami twardego kursu i planowali zaostrzyć dyktaturę jesienią 1935, po objęciu przez Sławka prezydentury.

Nie zgadzali się z tym zwolennicy liberalizowania systemu, chcący ustępstwami osłabić narastające protesty społeczne. Zyskali oni na znaczeniu po skompromitowaniu się „pułkowników” w wyborach parlamentarnych z września 1935. Przeprowadzono je w oparciu o niedemokratyczną ordynację wyborczą, niedającą żadnych szans opozycji. Wezwała więc ona do bojkotu głosowania, który się powiódł, znacząco obniżając frekwencję.

Reformatorzy znaleźli oparcie w prezydencie Mościckim, bardzo przywiązanym do swego stanowiska. Odmówił on podania się do dymisji, a Sławek nie potrafił tego wymusić. Popełniał błąd za błędem, oddając inicjatywę rywalom. W październiku 1935 zdominowali oni nowy rząd, który zastąpił gabinet „pułkowników”.

Sukcesy reformatorów przestraszyły większość piłsudczyków, nieżyczących sobie uszczuplenia posiadanej władzy. Porzucili oni „pułkowników” i skupili się wokół Rydza-Śmigłego. Generał urósł na tyle w siłę, że po kilku miesiącach Mościcki nie miał innego wyjścia, jak podzielić się z nim władzą.

Świadczył o tym nowy rząd, powołany w maju 1936. Zwolennicy Rydza-Śmigłego przejęli kontrolę nad polityką wewnętrzną i budową nowej partii rządzącej. Ludzie Mościckiego utrzymali resorty gospodarcze. Aby zachować równowagę sił, premierem mianowano gen. Sławoja-Składkowskiego, pozbawionego cech przywódczych, nawykłego do wykonywania cudzych decyzji, takich jak podsunięty mu lipcowy okólnik.

Warto o tej historii pamiętać, bo i dzisiaj nie brakuje polityków uzurpujących sobie władzę większą niż zapisana w konstytucji. Są też naśladowcy Sławoja-Składkowskiego, gotowi firmować takie posunięcia. Skala nadużyć nie jest jeszcze rażąca, ale wszystko przed nami, jeśli tylko zgrzeszymy tolerowaniem takich wyskoków. ●

eprasa.pl 4ba45f9584

weekend ówka

SZEROKIEJ DROGI!

Nigdy nie schodź z drogi (...) Idźcie tą drogą. I pamiętajcie: nie opuszczajcie jej pod żadnym pretekstem" – ostrzega Strażniczka Kluczy Thorgala i Shaniah w albumie „Ponad krainą cieni" (wyd. Egmont Polska). Nieustraszony komiksowy bohater rusza w misję niemal samobójczą. Musi dotrzeć aż za Drugi Świat, i spotkać się z samą Śmiercią, by uratować swą ukochaną Aaricię.

Thorgal i jego towarzyszka będą musieli zachować czujność ekstremalną, by nie zejść z drogi. A pokusy będą na nich czyhać nieliche: przystojni młodzieńcy wabiący Shaniah, białogłowa w opałach, której szlachetny Thorgal musi przecież pospieszyć z pomocą, wreszcie sama... Aaricia.

Dzisiaj jednak odważę się sprzeciwić Strażniczce Kluczy (wybaczenia proszę!) i będę namawiać was do zejścia z utartego szlaku i szukania dróg nowych, nieprzetartych jeszcze tudzież mniej uczęszczanych.

Pretekstem do tego jest niedawne święto, nieoficjalne, acz bardzo ciekawe, mianowicie Dzień chodzenia do pracy inną drogą, które przypada 9 lipca.

Czemu służy? Walce z rutyną, automatyzmami i nawykami, bowiem kursowanie do pracy nieustannie tą samą drogą być może pozbawia nas spotkania kogoś interesującego, poznania nowych miejsc, czy wręcz nauczenia się czegoś nowego.

Oczywiście, nie zawsze jest pięknie, łatwo i przyjemnie. Pamiętam, jak z okazji wizyty w Warszawie papieża Benedykta XVI, 25 maja 2006 roku postanowiliśmy z mym serdecznym przyjacielem Maćkiem wybrać się wspólnie do pracy inną drogą właśnie. Bo miasto i tak było zakorkowane, więc uradziliśmy, by połączyć przyjemne z pożytecznym i pojechać do pracy rowerami.

Maciej dotarł do mnie, na Rakowiec od siebie z Bemowa dość wcześnie, ale, jako że mój wehikuł był w opłakanym stanie (nie sprawdziłem wcześniej, jak się z nim sprawy mają, zapewne w euforii rychłego celebrowania Dnia chodzenia do pracy inną drogą), trzeba było trochę się nim zająć, stąd ostatecznie wyruszyliśmy do pracy nieco później.

Wszystko szło dobrze, do momentu zjazdu ulicą w dół, już bardzo blisko mety, kiedy trzeba było zahamować, a ja, nie wiedzieć czemu (tu owej euforii już bym raczej nie winił), zamiast tylnego hamulca nacisnąłem ten blokujący przednie koło...

Do pracy dotarłem, ale szybko przemieściłem się do przychodni, żeby zrobić prześwietlenie głowy. Skończyło się na strachu, ale prócz odkrywania nowych doznań na zmienionej trasie wyprawa nauczyła mnie, by zawsze podczas jazdy mieć na sobie kask. I raczej używać tylnego hamulca w rowerze.

Życząc Wam zatem pozytywnych wyłącznie wrażeń podczas odkrywania nowych dróg do pracy, zapraszamy do „Weekendówki" o drogach. Szerokości!

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

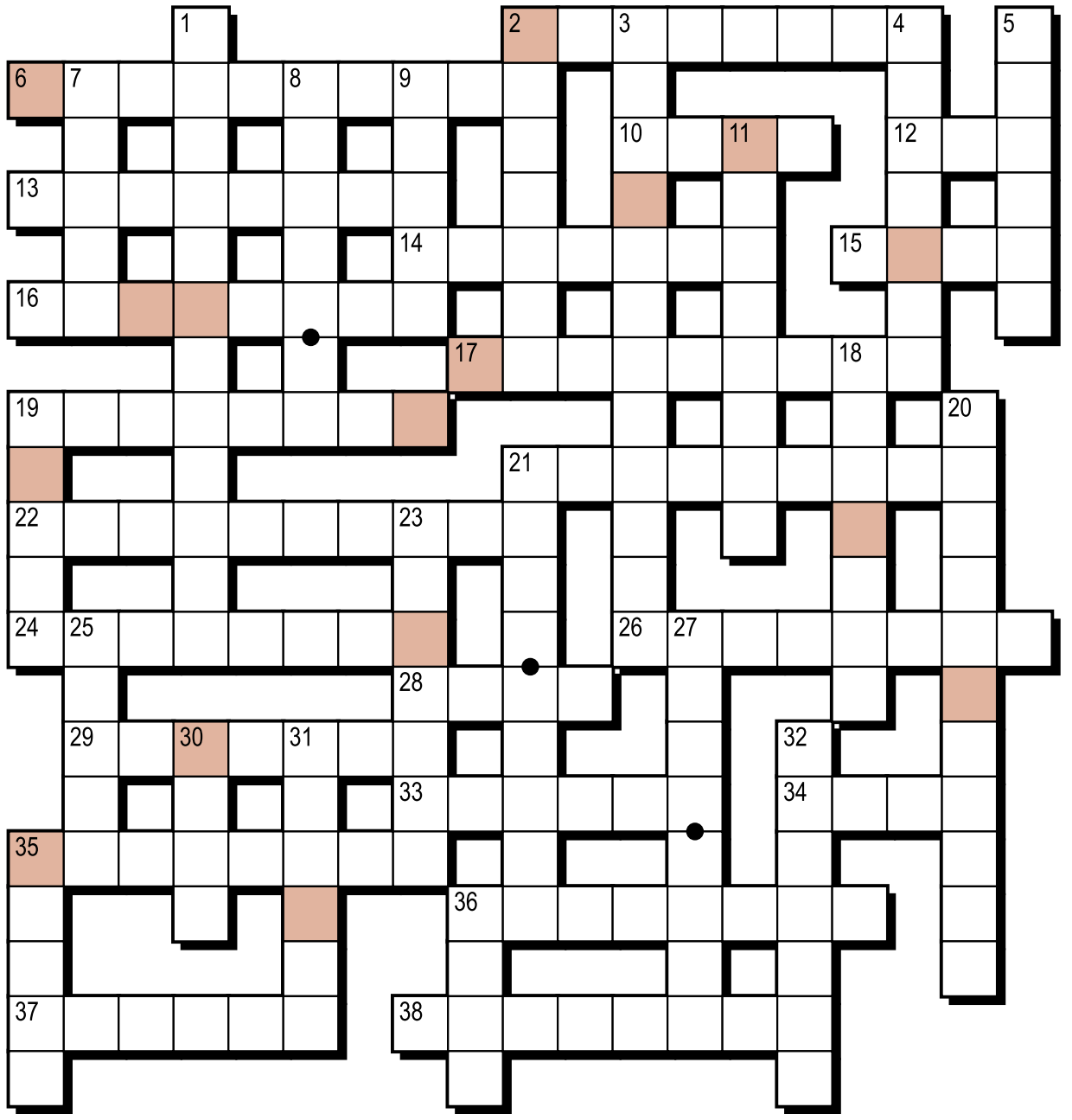

DROGÓWKA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) ... drogi, podmiot zobowiązany do dbania o jej stan (np. gmina, powiat)
6) A1 (Bursztynowa), A2 lub A4
10) ... Chrystusa, symbolicznie odtwarzana podczas drogi krzyżowej
12) kartingowy – dla miłośników małych wyścigówek
13) podróż w ... (gdzieś na koniec świata)
14) część ulicy przeznaczona dla ruchu kołowego
15) jazda pod ... (to droga jednokierunkowa, zawróć!)
16) z Krupówkami
17) droga, którą wygodnie wyjedzie się z dużego miasta
19) „akwenik" dla autobusów
21) wyjechała, by powalczyć z gołoledzią na szosie
22) droga o nawierzchni bitumicznej
24) Stefan Karwowski pracujący przy budowie 8 pionowo
26) wiadukt jako element węzła autostrad
28) kierowcy nie cierpią, gdy wolno wyprzedzają się na autostradzie
29) trudno dostępne tereny; bezdroża
33) tor jego lotu to trajektoria
34) imię autorki powieści „Podróż ludzi Księgi"
35) i znowu zima ich zaskoczyła...
36) droga bliska fanom speedwaya?
37) Czerwone ..., nagrały piosenkę „W drogę"
38) krążownik szos

Pionowo:
1) ucierpiał np. w wypadku drogowym
2) przydrożne hotele
3) naprawianie nawierzchni drogi, pobocza
4) ważny szlak komunikacyjny (jak tętnica)
5) „La ...", film Federica Felliniego („droga" po włosku)
7) „Gdzie jest ta ..., gdzie jest ten dom"
8) warszawska droga przebiegająca m.in. przez Most Śląsko-Dąbrowski
9) Solidarności – w Poznaniu, Jerozolimskie – w Warszawie
11) droga pod zarządem GDDKiA
18) szybciej przejedzie, gdy utworzy się korytarz życia
19) ... drogowe (ostrzegawcze, informacyjne, zakazu...)
20) kierowco, zwolnij, jeśli droga prowadzi przez ...
21) wyznaczone na szerokiej jezdni
23) mało uczęszczane drogi
25) ... drogi, np. S3 albo 292
27) można go pokonać serpentyną albo trawersem
30) pójść, gdzie ... poniosą
31) odtransportowywanie np. śmieci (w liczbie mnogiej)
32) ... jazdy, rozpiska na przystanku
35) „Polskie ...", serial telewizyjny
36) do wysypania parkowej alejki

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 212 z 4.07:

Poziomo: 2) Batman 5) farmer 10) Yellowstone 11) Statua 12) Joe Biden 13) Manhattan 15) Tina 16) Ameryka 18) McClane 19) Gabinet 22) Astaire 25) Steven 27) Hetfield 28) Edison 31) Augusta 33) pierwiastek 37) zamachy 39) Nevada 40) El Paso 41) nagroda 42) kasyno.

Pionowo: 1) Salt Lake City 2) Bryant 3) milioner 4) Nowy Jork 6) Mitchell 7) Street 8) Indianki 9) Vonnegut 14) Times 16) ananas 17) agentka 20) Boeing 21) noblista 23) Tennessee 24) iPhone 26) Vader 29) Zachód 30) Open 32) uczony 34) Elvis 35) Idaho 36) kraj 38) MAGA.

Hasło: FORREST GUMP

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

CODZIENNIE w Wyborczej

Krzyżówka
Sudoku
Zakreślanka
Skojarzenia

Rusz głową!
Nie nudź się w domu!

1 RP

eprasa.pl 4ba45f9584

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

10 / Psychologia
Upał a zdrowie psychiczne

14 / Być rodzicem
Nastolatki i wakacyjna wolność

MAGDA LINETTE

Zamrożenie jajeczek *to moja polisa*

– rozmowa Joanny Wróżyńskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 28 (1399) SOBOTA – CZWARTEK, 11-16 LIPCA 2026

eprasa.pl 4ba45f9584

Kwestia zaufania

MAGDALENA KARST-ADAMCZYK

Pierwsze ognisko w lesie, pierwsze samodzielne wyjście na kąpielisko, pierwszy wyjazd pod namiot. Dla rodziców nastolatków wakacje to często czas lęku. Czy moje dziecko będzie bezpieczne? Czy zachowa się rozsądnie? Czy mogę mu zaufać? I czy mogę zaufać grupie przyjaciół, z którymi będzie doświadczać pierwszych chwil młodzieńczej wolności?

Drodzy rodzice nastolatków, nie mam dla was, a tym samym dla siebie, dobrych wiadomości. Nasze dzieci nie zawsze będą bezpieczne, bo niebezpieczne sytuacje po prostu się zdarzają. Nie zawsze będą rozsądne, bo dojrzewaniu często towarzyszy brawura i testowanie granic – na tym między innymi polega rozwój. A część z nich zrobi też coś nie do końca mądrego, dokona wyborów innych, niż byśmy tego oczekiwali.

Wiem, co mówię, bo sama byłam nastolatką.

Do dziś pamiętam, jak w wakacje dla zabicia czasu jeździłyśmy z przyjaciółkami stopem do sąsiednich, większych miast. A popołudniami z paczką znajomych wchodziliśmy do lasu i po kilku upalnych dniach bezmyślnie paliliśmy w nim ognisko. Następnie wyciągaliśmy gitary i otwieraliśmy puszki z piwem. Najlepsze zostawialiśmy na koniec – gdy zapadał zmrok, kąpaliśmy się w stawie. Dziś te beztroskie, choć nie do końca odpowiedzialne dzieciaki, z którymi dzieliłam tamte wspaniałe chwile pierwszej wolności, są odpowiedzialnymi dorosłymi, mają poważne prace i właściwie ustawione priorytety. Bo jak powiedziała moja mądra koleżanka (i bardzo polecam rodzicom nastolatków zachować tę sentencję w pamięci): Ogromna większość ludzi wychodzi na ludzi.

Dziś my, „najmądrzejsi na świecie dorośli", mamy świadomość, że nasze młodzieńcze pomysły i decyzje mogły skończyć się różnie, więc ciosamy własnym nastoletnim dzieciom kołki na głowie, mówiąc, co należy, a czego nie wolno. Nam z kolei ciosali kołki na głowie nasi rodzice, choć sami, gdy byli nastolatkami, pewnie niejedno przeżyli. To jest jak sztafeta pokoleń.

W tym numerze psycholożka Justyna Żukowska-Gołębiewska mówi Agacie Gołąbek-Polus w niezwykle mądrej rozmowie, że rodzice zamartwiający się o to, jak ich nastoletnie dzieci wykorzystają wakacyjną wolność, gubią jedno, kluczowe w gruncie rzeczy, pytanie. Mianowicie: czy moje dziecko, które znajdzie się w tarapatach, zamiast wpakować się w jeszcze większe problemy i np. wsiąść do samochodu z pijanym kolegą, zadzwoni do mnie i poprosi o pomoc?

I dalej: co zrobić, aby taki telefon był dla nastolatka naturalnym wyborem? Za tym stoi z kolei ciężka praca i relacja budowana przez lata. Bo dziecko, które stale dostaje wykłady, raczej nie poprosi rodzica o wsparcie, bo uzna, że podróż z pijanym kolegą za kierownicą jest jednak mniej ryzykowna. Smutne, prawda? Tak samo jak to, że w opinii Justyny Żukowskiej-Gołębiewskiej nie alkohol, narkotyki czy niebezpieczne zachowania seksualne niosą ze sobą największe zagrożenie dla nastolatków w wakacje. Bo, jak twierdzi psycholożka, naprawdę niebezpieczna dla młodych ludzi jest w tym czasie samotność.

Zamiast więc analizować, czy nastolatek zasłużył na nasze zaufanie, odwróćmy pytanie i zastanówmy się, czy my zasłużyliśmy sobie na jego zaufanie? Bo jedno jest pewne – cokolwiek zrobi nasze dziecko, będzie bezpieczniejsze, gdy będzie nam ufać. ▲

Magdalena Karst-Adamczyk – redaktorka prowadząca

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Charlize Theron: Szczęśliwa w pojedynkę ■ **TEMAT NUMERU:** Zdrowie to nowy luksus ■ **TWARZE:** • Nicholas Galitzine: Symbol nowej męskości • Joanna Żółkowska: Nigdy nie wyszłam za mąż • Zendaya: Cztery premiery i życie • Paulina Gałązka: Angażuje się w całości ■ **HERSTORIE.** Niewidzialne służące z Zamku Książ • Aneta Szczepańska: Życie według zasad judo ■ **PSYCHOLOGIA:** • Seks: Waniliowa czułość • Urlop bez planu • Śluby: Dlaczego odnawiamy przysięgę ■ **ZDROWIE:** Menopauza i jej 101 objawów

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Magdalena Karst-Adamczyk

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 3, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 28 (1399)
NA OKŁADCE:
MAGDA LINETTE
FOT. OLA BODNARUŚ

eprasa.pl 4ba45f9584

KONKURS

KOBIETY W PODRÓŻY

Weź udział w konkursie i opowiedz nam, co TY robisz przed lub podczas wyjazdu, aby czuć się bezpiecznie?

NAGRODY:

5 x Zestaw kosmetyków **NEO MAKE UP**

1 x SUBARU FORESTER z pełnym bakiem na okres 7 dni

5 x Zestaw kosmetyków do opalania marki **Yves Rocher**

5 x Voucher na zakupy w aplikacji **Wolt**

5 x Walizka kabinowa z kolekcji **Circle Line** od marki **WITTCHEN**

5 x Zestaw 10 klasycznych lakierów do paznokci wraz z innowacyjnym topem oraz kolekcja **Foot Care** do pielęgnacji stóp marki **NEONAIL**

Konkurs trwa od 26 czerwca do 31 sierpnia 2026 r. Żeby wziąć w nim udział należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie **www.wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy**

REGULAMIN KONKURSU DOSTĘPNY JEST NA STRONIE **WYSOKIEOBCASY.PL/KOBIETYWPODROZY**

SPONSORZY:

NÉONAIL NÉO MAKE UP SUBARU Wolt WITTCHEN YVES ROCHER FRANCE

eprasa.pl 4ba45f9584

FOT. OLA BONDARUŚ, MATTHEW STOCKMAN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 4ba45f9584

MAGDA LINETTE

Nie przegapić *życia*

Tenis wciąż jest dla mnie najważniejszy, ale z tyłu głowy mam też myśl, że nie będzie trwał wiecznie. Dlatego poszłam na studia MBA i zamroziłam jajeczka

eprasa.pl 4ba45f9584

Z **MAGDĄ LINETTE**, TENISISTKĄ, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

W

W swoje urodziny napisałaś na Instagramie, że nie masz już potrzeby udowadniać światu, że potrafisz, bo bardziej zależy ci na tym, żeby każdego dnia być w zgodzie ze sobą.
– Sport, zwłaszcza taki jak tenis, wymaga ciągłej pracy nad sobą. Nie jest tak, że osiągamy pewien poziom i idziemy dalej. Wiadomo, mamy momenty zwątpienia, jesteśmy tylko ludźmi. Kilka porażek może spowodować, że wracają myśli, których próbowaliśmy się pozbyć. Dlatego bardzo ważne jest, żeby mieć wokół siebie dobrych ludzi, którzy będą potrafili pomóc nam przepracować te trudne momenty, skierują nas na odpowiednie tory. Ten wpis miał mi o tym przypominać.

Obserwując tenisistów na korcie, widzimy krew, pot i łzy, ale z wieloma rzeczami mierzycie się sami. Co dla ciebie jest największym wyzwaniem?
– Myślę, że niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, jak dużą częścią tego sportu jest logistyka. Tenis to sport indywidulany i właściwie wszystko musimy zorganizować sobie sami. I to nie od czasu do czasu, a co tydzień. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni, ale i tak zabiera to bardzo dużo czasu i energii. Wiele rzeczy nas też omija, bo właściwie do samego końca nie wiem, gdzie będę danego dnia, jak potoczy się dla mnie turniej. Jest mi bardzo ciężko coś zaplanować, praktycznie nie da się ze mną na cokolwiek umówić. Dlatego często mam wrażenie, że kogoś przez to rozczarowuję.

Największym wyzwaniem, zwłaszcza jak się jest w pierwszej pięćdziesiątce czy setce, są jednak zasady antydopingowe. Ponieważ możemy być sprawdzane codziennie, musimy na specjalnym portalu aktualizować dane o tym, gdzie będziemy danego dnia o danej godzinie. Trzeba o tym pamiętać zwłaszcza po przegranym meczu, a wiadomo, że wiele się dzieje, jesteśmy w emocjach, czasami mecz kończy się późno w nocy i musimy jeszcze zaplanować nocleg w innym miejscu. Jeśli się pomylę i zostanie to zauważone, dostaję tzw. strike. Bez konsekwencji można dostać maksymalnie dwa striki w 12 miesięcy, trzeci może skutkować zawieszeniem na dwa lata. Nie zrozum mnie źle, nie narzekam na system, chciałabym tylko, żeby nie oceniać zbyt szybko sportowców, bo o różnych zasadach, o tym, jakie to jest skomplikowane i jak łatwo się pomylić, po prostu się nie mówi.

Jesteście też ciągle w trasie, po zakończeniu sezonu masz kilka tygodni przerwy i zaczyna się kolejny. Chciałam zapytać, kiedy ostatnio byłaś w domu, ale zaczęłam się zastanawiać, czy przy takim trybie życia masz w ogóle miejsce, które nazywasz domem?
– Nie myślę o tym aż tak dużo. Gram od dziecka, więc jestem przyzwyczajona do takiego trybu życia i innego nie znam. Staram się dzielić tę odrobinę wolnego czasu pomiędzy Florydę i Polskę. Rodzinę mam w Polsce, mam też mieszkanie w Poznaniu, w którym spędzam może w sumie 3-4 tygodnie rocznie.

Na Florydzie mieszka natomiast Mark [Gellard], mój trener, więc siłą rzeczy też tam jestem bardzo często, poza tym to dla mnie najlepsze miejsce do trenowania. Już pomijając warunki pogodowe, to Delrey jest nieformalną stolicą tenisa, myślę, że około 15 dziewczyn z pierwszej setki tam trenuje. Ale domem jest Polska.

Taki tryb życia chyba nie sprzyja nawiązywaniu nowych relacji, a nawet podtrzymywaniu dotychczasowych. Bo właściwie nie widujesz ludzi spoza swojego zespołu.
– To prawda, dlatego od około roku staram się wracać częściej do Polski, żeby spotykać się z ludźmi spoza tego grona.

W pewnym momencie zorientowałam się, że mam bardzo mało znajomych, bo byłam skupiona na wyjazdach, a one zabierają naprawdę bardzo dużo czasu i energii. Wyjście później do ludzi, pielęgnowanie znajomości staje się dodatkowym wysiłkiem. W środowisku tenisowym wcale nie jest też tak łatwo znaleźć osoby, które są w podobnym przedziale wiekowym, żebyśmy mieli o czym rozmawiać. Poza tym pochodzimy z różnych środowisk, kształtowały nas różne doświadczenia, do tego dochodzą nasze prywatne upodobania i jeszcze czasami bariera językowa. Tak że pula osób, z którymi można faktycznie nawiązać bliższą relację, jest bardzo mała. Ja przez większość kariery jeszcze studiowałam, rozwijałam siebie, co pochłaniało resztę mojego wolnego czasu. Gdzie tu jeszcze wychodzić do ludzi? Dlatego od jakiegoś czasu staram się sama wychodzić z inicjatywą, poznawać nowe osoby. Brakowało mi trochę życia towarzyskiego, a myślę, że takie odłączenie się od tenisa też pomaga zachować świeży umysł.

Myślisz już też o tym, co później? Ostatnio w „The New York Timesie" razem z innymi zawodniczkami, m.in. Sloane Stephens, mówiłaś o wyzwaniach związanych z założeniem rodziny.
– Tenis jest oczywiście cały czas dla mnie najważniejszy, ale zawsze z tyłu głowy miałam myśl, że nie będzie trwał wiecznie. Wiele rzeczy może się wydarzyć i nie chcę być w takiej sytuacji, że kończę grać w tenisa i muszę zaczynać zupełnie od zera. Dlatego też poszłam na studia na Indiana University East i robię tam teraz MBA.

Jeśli chodzi o perspektywę założenia rodziny, to była ta sama historia. W pewnym momencie zorientowałam się, że mam na to limit czasowy, którego nie chciałabym przegapić. Zaczęłam się zastanawiać, jak mogę grać dalej ze spokojną głową i jednocześnie nie stracić szans na macierzyństwo. Szukałam polisy gwarancyjnej, która zdjęłaby ze mnie presję tykającego czasu i pozwoliła być dalej w 100 proc. zmotywowaną i skupioną na grze.

Zdecydowałaś się na zamrożenie jajeczek. Jak doszłaś do tego, że to najbardziej optymalna opcja?
– Można chyba powiedzieć, że miałam szczęście trenować w tym samym miejscu co Sloane Stephens. Zawsze o niej

eprasa.pl 4ba45f9584

MAGDA LINETTE

– polska tenisistka, reprezentantka Polski, zwyciężczyni turniejów WTA w grze pojedynczej i podwójnej, półfinalistka turniejów wielkoszlemowych

Wiele rzeczy mnie omija, bo właściwie do samego końca nie wiem, gdzie będę danego dnia, jak potoczy się dla mnie turniej. Jest mi bardzo ciężko coś zaplanować.

Często mam wrażenie, że kogoś przez to rozczarowuję

wspominam, bo była pierwszą osobą wśród profesjonalnych tenisistek, która zaczęła się tym tematem interesować i pokazywać innym zawodniczkom, że można grać ze spokojną głową w tourze, a jednocześnie zagwarantować sobie pewną poduszkę bezpieczeństwa na przyszłość.

Ze Sloane nie tylko trenowałam, ale też wspólnie dorastałyśmy, znamy się od małego, jesteśmy w tym samym wieku, mamy bardzo dobry kontakt. Któregoś dnia po prostu podeszłam i zapytałam, czy byłaby skłonna o tym ze mną porozmawiać, bo niektóre dziewczyny wolały utrzymywać to w tajemnicy. Od Sloane usłyszałam po raz pierwszy o procedurze, wiedziałam, że sama ją przechodziła. Wyjaśniła mi wszystko organizacyjnie, powiedziała mi, jak wpasować się w plan treningów, ile to trwa, przed jakim turniejem najlepiej poddać się zabiegowi, że sama zrobiła to przed Australian Open.

Wtedy ten pomysł zaczął we mnie kiełkować, zrobiłam różne badania, przygotowywałam się do tego spokojnie, przez około dwa lata. Temat zaczął też być bardziej nośmy w samym WTA i Player Council i w końcu okazało się, że procedura będzie refundowana przez WTA. To dało nam trochę więcej informacji, a części z nas też impuls, żeby się ostatecznie zdecydować.

eprasa.pl 4ba45f9584

Zaczęłyśmy tę rozmowę od rygorystycznych kontroli antydopingowych, jakie przechodzicie. Jak w tym kontekście wygląda taka procedura? Zakładam, że istnieje ryzyko przyjęcia substancji, które mogą być uznane za doping.
– Jeśli chodzi o same leki hormonalne, nie ma z tym problemu. Ten może się pojawić jednak w przypadku innych leków albo suplementów, które przyjmujesz, żeby przygotować się do zabiegu. Bo przecież chodzi o to, żeby trochę oszukać ciało, zadbać o jego zdrowie, żeby było w stanie wyprodukować odpowiednią liczbę jajeczek.

Bierzemy więc dużo suplementów, a nie wszystkie są certyfikowane. Poza tym sam certyfikat też nie daje nam 100 proc. gwarancji. A to ja jako sportowiec odpowiadam za wszystko, co przyjmuję, czy to jedzenie, suplementy, czy leki. Nieważne, że jakiś lek przepisał mi lekarz, odpowiedzialność jest i tak po mojej stronie. Jeśli jest zanieczyszczony, to ja jestem winna przyjęcia dopingu. Mogę się oczywiście odwołać i komisja może mi przyznać rację, ale jestem zawieszona i nie wiadomo, ile proces odwoławczy i przywrócenie mnie do gry może potrwać. No i umówmy się, kiedy taka informacja wychodzi do wiadomości publicznej, nawet jeśli zostanę oczyszczona z zarzutów, noszę na sobie szkarłatną literę. Mało komu wierzy się całkowicie, że nie miał złych zamiarów.

To mnie chyba najbardziej bolało i stresowało. Nie wiem, ile jeszcze potrwa moja kariera i nie chciałabym jej kończyć w atmosferze niedomówień czy podejrzeń, bo naprawdę z wielką uważnością i starannością wszystko sprawdzam. Ale, jak mogliśmy się niedawno przekonać, zanieczyszczenia suplementów czy leków nie są wcale takie rzadkie.

Długi czas zajęło mi pogodzenie się z tym ryzykiem, ale w końcu znalazłam najlepsze suplementy, jakie mogłam, ze wszystkimi certyfikatami, i zaczęłam je przyjmować. Rozmawiałam z różnymi zawodniczkami, nie wszystkie miały takie podejście jak ja, niektóre wcale się tym nie przejmowały. Mam wrażenie, że każdej z nas towarzyszył inny strach związany z tym procesem.

Jakie wsparcie gwarantuje wam PIF WTA Maternity Fund Program, o którym wspomniałaś? Czy sugerują np. jakieś leki albo suplementy, które są uznane za bezpieczne?
– Nie, bo nikt nie weźmie odpowiedzialności za zawodniczkę. Tak jak wspominałam, nawet lekarz jest zwolniony z tej odpowiedzialności. A nie wspomniałam jeszcze o tym, że doping może znaleźć się też w jedzeniu. Na przykład w większości Azji i Ameryki Południowej mięso jest zakażone chlorobutanolem, środkiem konserwującym, który ma też działanie np. znieczulające i jest na liście substancji zakazanych. Więc musimy bardzo uważać także na to, co jemy. Bp. w Chinach i Ameryce Południowej możemy jeść tylko na kortach albo w hotelu, który sprowadza mięso odpowiednio albo z Australii, albo ze Stanów Zjednoczonych.

Jaka w takim razie jest rola tego programu wsparcia?
– Przede wszystkim dostajemy refundację 20 tys. dolarów za cały proces. W Stanach Zjednoczonych ta procedura jest bardzo droga, nie wszystkie kraje ją refundują, więc to jest duże wsparcie. Polska jest akurat pod tym względem wyjątkowa, bo ma opcje, że cała procedura in vitro może być za darmo.

Oprócz tego, że dostajemy zwrot kosztów procedury, leków etc., jeśli nie będzie nas przez 10 tygodni, możemy zamrozić ranking, czyli utrzymać miejsce zajmowane przed przerwą, i użyć go po powrocie na kolejne turnieje. Kiedyś można było to zrobić tylko w przypadku ciąży, teraz także np. w sytuacji mrożenia jajeczek. Ja z tej możliwości nie korzystałam, bo zdecydowałam się na zamrożenie jajeczek po skończeniu sezonu. Nie chciałam tracić turniejów i rankingu, więc skończyłam sezon trochę wcześniej. Po ostatnim meczu dosłownie tego samego wieczora wsiadłam w samolot, zadzwoniłam do lekarza i umówiłam się na kolejny dzień. Rano byłam już w klinice.

Co było w tym wszystkim najtrudniejsze?
– Obawiałam się, jak zareaguje moje ciało. Myślałam, że będę mieć dużo więcej problemów natury emocjonalnej, co się jednak nie stało. Moje ciało czuło się natomiast średnio, byłam bardzo spuchnięta. Mentalnie trudne i męczące było dla mnie wstrzykiwanie sobie rano i wieczorem hormonów, bo boję się igieł, więc uporanie się z tym zajmowało mi dużo czasu i było obciążające.

Sama procedura to z kolei był najlepszy 15-minutowy sen mojego życia! Czułam się fantastycznie do momentu obudzenia, bo wtedy odczuwałam naprawdę duży ból. Moje ciało bardzo silnie na to zareagowało. Nie byłam w stanie wykonać absolutnie żadnej aktywności fizycznej, na początku ledwo chodziłam. Dopiero po około trzech tygodniach stopniowo zaczęłam się czuć lepiej, mogłam się obrócić z boku na bok.

Wiem, że niektóre osoby nie mają takich dolegliwości, odczuwają tego dnia dyskomfort, a kolejnego wszystko już jest w porządku. Ale to nie był mój przypadek.

Ten czas przerwy przed nowym sezonem wystarczył ci, żeby dojść do siebie?

Zawodowy sport to jest biznes.
Prowadzę małą firmę i mam pracowników,
o których muszę zadbać, za których odpowiadam,
a moje decyzje mają wpływ także na ich przyszłość

eprasa.pl 4ba45f9584

– Byłam w dobrej sytuacji, bo miałam trzy tygodnie treningów, a później jechałam na mecze pokazowe do Indii, więc akurat nie grałam żadnego turnieju. Ale faktycznie pięć tygodni wystarczyło, co nie znaczy, że nie miałam żadnych dolegliwości bólowych. Tak naprawdę dopiero Australian Open był pierwszym turniejem, który grałam w pełni bez żadnego bólu i stresu, czy sobie nie zrobię krzywdy.

Mówisz o obawie, że sobie zrobisz krzywdę. Pewnie po tylu latach uprawiania zawodowo sportu znasz swoje ciało na wylot i wiesz, którymi objawami musisz się przejmować, a którymi nie. Podejrzewam jednak, że ta sytuacja mogła cię zaskoczyć.
– Tak, i to było dla mnie bardzo ciekawe, bo to był pierwszy raz, kiedy faktycznie czułam, że nie jestem w stanie przemóc tego na siłę. Jeśli nawet próbowałam, ciało od razu pokazywało mi, że nie. Koniec. Idziesz leżeć, bo tutaj nie dajemy rady. Czas był jedyną rzeczą, która mogła tu pomóc.

Nie wiedziałam, ile to wszystko zajmie, czy to, co czuję jest normalne, kiedy minie ból, ile mogę w tym czasie trenować. Z drugiej strony widziałam, że inne zawodniczki trenują, czułam, że mi uciekają. Miałam w głowie miliard myśli, dlatego cieszyłam się, że miałam trochę więcej czasu na regenerację. A później widziałam już poprawę dosłownie z dnia na dzień, mogłam trenować choćby 15 minut dłużej na korcie.

Jaki masz dalej plan?
– W październiku powtarzam całą procedurę i mam nadzieję, że tym razem przejdę to wszystko łatwiej. W zależności od wyników badań, myślę, że to będzie już ostatni raz.

Ciąża i urodzenie dziecka wyłącza cię pewnie realnie na około dwa lata? Nie zarabiasz wtedy na korcie, możesz pewnie polegać na prywatnych sponsorach, ale zakładam, że też tylko do pewnego stopnia?
– To prawda. Większość umów sponsorskich obliguje cię do zagrania określonej liczby turniejów w roku. Więc kiedy ja nie zarabiam, nie zarabiają też moi współpracownicy, którzy prawdopodobnie będą szukali nowej pracy. Nie mam pewności, że po tych dwóch latach będą chcieli do mnie wrócić.

Kiedy publicznie liczy się wasze zarobki, mało kto wspomina o tym, że jesteście jak firma. Z tego, co zarobicie musicie zapłacić trenerom, fizjoterapeutom, menedżerom... całemu waszemu sztabowi.
– Tak. I znowu, nie narzekam, tylko mówię, że tak wygląda zawodowy sport. I kiedy planuję założenie rodziny muszę to wszystko wliczyć sobie w koszty. Koniec końców to jest po prostu biznes. Prowadzę małą firmę i mam pracowników, o których muszę zadbać, za których odpowiadam i moje decyzje mają wpływ także na ich przyszłość. Wydaje mi się, że kiedy mówi się o nagrodach finansowych dla zawodniczek czy zawodników, często się o tym zapomina.

Założyłaś sobie jakąś datę, do kiedy chcesz grać w tenisa, czy zostawiasz to losowi?
– Nie mam tu żadnego konkretnego planu. Wszystko będzie zależało od tego, na ile pozwoli mi moje ciało i w jakiej będę formie sportowo. Na razie mój tenis wygląda nieźle, więc mogę o nim dalej myśleć, ale mam też czas na inne rzeczy. Daję sobie na wszystko szasnę. Biologię oszukasz tylko do pewnego stopnia. Jest jeszcze kwestia finansowa. Są zawodniczki, które mają taki ranking i poduszkę finansową, że mogą sobie pozwolić na to, żeby zrobić przerwę. Po powrocie dostaną np. dziką kartę, stać je też na zabranie dodatkowych osób do opieki nad dzieckiem. Ja jestem jedną z tych, które takiej swobody do końca nie mają, też dlatego, że nie wyobrażam sobie, żebym miała urodzić dziecko i wrócić na tzw. tour i dalej w 100 proc. poświęcać się tenisowi. Jestem pewna, że w takiej sytuacji cała moja energia kierowałaby się ku rodzinie i nie byłabym już w stanie grać na takim poziomie, który by mnie zadowalał. Nie lubię robić rzeczy na pół gwizdka i też powiedzmy sobie szczerze, że nie jestem tak dobra, żeby wygrywać, nie grając na maksimum swoich możliwości.

Czy jest coś takiego, czego kiedyś nie doceniałaś, a dzisiaj myślisz o tym w kategorii sukcesu?
– Trudne pytanie. Dzisiaj chyba nie byłabym w stanie przejść przez te wszystkie małe turnieje, które grałam na początku. Nie miałabym energii, żeby to zrobić, ale wtedy miałam zapał, coś mnie napędzało, chociaż bywało bardzo trudno. Bardzo to w sobie doceniam.

Założyłaś swoją fundację. Jakie masz związane z nią plany?
– Jest takim moim małym dzieckiem. Na razie próbuję się w tym odnaleźć bez wywierania na siebie presji.

W statucie jest pomoc dzieciakom, żeby dać im chociaż posmakować sportu w sytuacji, w której z różnych powodów, czy to finansowych, rodzinnych, społecznych, czy po prostu dlatego, że nigdy im to nie przyszło do głowy, same się ze sportem nie zetknęły. Żeby mogły się poruszać dla zdrowia, także psychicznego, ale też żeby zobaczyły, że sport daje różne możliwości w życiu, że może być planem na przyszłość. Mnie na przykład dał bardzo wiele, czyli fajne, komfortowe życie.

W tym urodzinowym poście, który cytowałam na początku, napisałaś też, że prawdziwą siłą jest świadomość, o co walczyć do końca, a co można odpuścić bez poczucia winy. Już to wiesz?
– Powoli się dowiaduję. Odpuszczam turnieje, które wiem, że nic mi nie dadzą. Kiedyś to była dla mnie bardzo trudna sprawa, żeby darować sobie jakieś granie. Przyjmuję mniej propozycji od mediów. To wszystko to też proces, nie ma tak, że osiąga się jakiś poziom i można powiedzieć „pas". Ale wydaje mi się, że jestem w tym coraz lepsza i to jest fajne, bo łatwiej mi się dzięki temu żyje.

Powiedziałaś co odpuszczasz, a o co warto walczyć?
– O siebie. Wiecznie jesteśmy porównywani do innych, nawet jeśli nie jesteś na świeczniku, to platformy społecznościowe powodują taką niezdrową rywalizację. Nie jest łatwo dzisiaj dorastać, odnaleźć siebie, odciąć się od tego, co dookoła, zaufać sobie i poszukać własnej drogi. A o to warto walczyć, tak samo jako o nasz wewnętrzny dobrobyt, poczucie własnej wartości. ▲

eprasa.pl 4ba45f9584

Ciemna strona *lata*

Latem epizody manii i psychozy są częstsze. Częściej też dochodzi do samobójstw

Z PROF. DR. HAB. N. MED. **NAPOLEONEM WASZKIEWICZEM**, PSYCHIATRĄ, ROZMAWIA **EWA PĄGOWSKA**
RYSUNEK **MIKITA RASOLKA**

Dobra pogoda na zewnątrz kojarzy się z dobrym stanem wewnątrz. A jednak są problemy, z którymi właśnie latem pacjenci przychodzą częściej do psychiatry.

– Lato, zwłaszcza jeśli jest suche i słoneczne, zwykle nas pobudza. Doświadczają tego osoby, u których zdiagnozowano zaburzenia dwubiegunowe, polegające na naprzemiennych epizodach hipomanii lub manii oraz depresji. Między nimi mogą pojawić się okresy remisji. Latem częściej występują te pierwsze. To się objawia tym, że pacjenci są ekspansywni, mało śpią, mają dużo energii i mnóstwo pomysłów, które uważają za genialne, a które w rzeczywistości często są bardzo ryzykowne.

Szybko jeżdżą samochodem, wydają pieniądze na prawo i lewo, uprawiają ryzykowny seks...

– Może tak właśnie być. Hipomanię, która jest łagodniejszą formą manii, często najpierw zauważają bliscy osoby z zaburzeniem. Ona ma często więcej energii, więcej mówi i jest bardziej aktywna. Na przykład o piątej rano sprząta mieszkanie, ale nadal ma kontakt z rzeczywistością. Chociaż jej samej ten stan nie przeszkadza, ważna jest interwencja, żeby hipomania nie przeszła w manię. Ich epizody zwykle są obserwowane właśnie latem i właśnie wtedy choroba jest często diagnozowana. W tym okresie częstsze są też psychozy – zarówno u osób chorych na zaburzenia dwubiegunowe, jak i na schizofrenię. To wszystko jest związane z aktywacją odporności TH2.

Czym jest ta odporność?

– Układ TH2 jest rodzajem odporności immunologicznej, która uaktywnia się w reakcji na pasożyty i w alergii. Alergie, zwłaszcza wziewne, dają o sobie znać wtedy, kiedy jest ciepło, bo wtedy w otoczeniu pojawia się mnóstwo alergenów. Wiele wskazuje na to, że TH2 ma tendencję do aktywowania kory mózgowej – stąd gonitwa myśli i przyspieszone działanie u osób na to podatnych.

Czyli u kogo?

– U tych, którzy mają bardziej reaktywny układ TH2 niż układ TH1. TH1 uaktywnia się w kontakcie z wirusami i niektórymi bakteriami, czyli rzadziej w gorące lato, a częściej jesienią oraz deszczową zimą i wczesną wiosną. Wtedy się przeziębiamy. Są teorie – w tym teoria mojego zespołu badawczego – zgodnie z którymi to właśnie wilgotność i jej zmiany przyczyniają się do rozwoju objawów depresyjnych, bo TH1 działa na człowieka hamująco. Proszę zwrócić uwagę, że często nawet lekka infekcja nas spowalnia. Nic nam się nie chce, mniej rzeczy nas cieszy. Każdy organizm jakoś zareaguje na wirusa, ale ci, którzy mają bardziej wrażliwy układ TH1, zareagują mocniej. Oczywiście ludzie cierpią na depresję także w słoneczne ciepłe miesiące. Co więcej, to właśnie na ten okres przypada największa liczba samobójstw.

> Jeśli ktoś cierpi na lęk napadowy, czyli zdarzają mu się ataki paniki, to np. wycieczka do miejsca z klimatem tropikalnym *może te ataki wyzwolić*

Dlaczego?

– Depresja jest jedną z głównych przyczyn samobójstw, ale ludzie, którzy na nią chorują, są przez większość czasu wycofani i mają mniej energii. Lato im jej dodaje. Stają się bardziej impulsywni i w trudnej chwili łatwiej mogą się targnąć na swoje życie.

To tak jak z niektórymi lekami przeciwdepresyjnymi? W tym okresie, kiedy już zdążyły dać człowiekowi napęd, a jeszcze nie zdążyły poprawić nastroju, mogą zwiększyć ryzyko samobójstwa.

– To niestety czasami się zdarza u osób bardziej impulsywnych, dlatego w szpitalu czekamy minimum cztery tygodnie, zanim osobę z takim ryzykiem wypiszemy do domu.

W jakich miesiącach bardziej dokucza nam lęk, np. częściej dają o sobie znać zaburzenia lękowe?

– Lęk to jest taki specyficzny stan, który pojawia się w większości zaburzeń psychicznych. Boryka się z nim 80-90 proc. osób z diagnozą depresji. Odczuwają go zwłaszcza w godzinach rannych.

U niektórych osób może przyczynić się do epizodu manii, a u innych do rozwoju czy nawrotu depresji. Wiele zależy od tego, co nasila u danej osoby odczuwanie lęku, oraz od sposobu radzenia sobie z nim i okoliczności życiowych. Czasem jest on związany z przewlekłym stresem wywołanym wieloma zmianami w życiu, a czasem to może być stała większa czujność. Niektórzy mają tzw. zespół wartownika – gorzej śpią, wystarczy drobiazg, żeby się

eprasa.pl 4ba45f9584

eprasa.pl 4ba45f9584

obudzili, a w ciągu dnia niewielka rzecz potrafi ich postawić w stan gotowości. To jest charakterystyczne dla zespołu stresu pourazowego czy lęku uogólnionego. Zaburzenia lękowe nie mają jednak swojej sezonowości. Nie można jednoznacznie powiedzieć, że są częstsze latem lub zimą.

Latem jednak częściej wyjeżdżamy, więc mamy stres związany z nowymi miejscami i sytuacjami, może z lotem samolotem. Czy to nie sprawia, że tego lęku jest w nas więcej?
– To zależy. Jeśli ktoś przeżywa wiele trudnych sytuacji w pracy, to wakacje raczej przyniosą mu ulgę, ale jeśli ktoś boi się podróży czy konkretnie lotu samolotem, to wyjazd gdzieś daleko będzie się wiązał z większym stresem. Wiele zależy od tego, jak i z kim to lato spędzamy. Jednym z bardziej stresogennych czynników jest samotność. Ktoś, kto jedzie na wakacje sam, bo nie ma z kim, a nie dlatego, że tak wybrał, rzeczywiście może się na tym urlopie bardziej stresować i częściej reagować lękiem. U innych duże napięcie może wywołać spędzenie tygodnia od rana do wieczora z rodziną, co zależy od relacji wewnątrz niej.

Czy można powiedzieć, że osoby, które mają zaburzenia lękowe, powinny unikać jakiegoś rodzaju wakacji, np. nie jechać do kraju, w którym klimat jest zupełnie inny niż nasz, żeby nie narazić się na stresory fizyczne?
– To znów zależy od wielu czynników. Jeśli ktoś cierpi na lęk napadowy, czyli zdarzają mu się ataki paniki, to np. wycieczka do miejsca z klimatem tropikalnym może je wyzwolić. Wysoka temperatura i wilgotność mogą sprawić, że poczuje się, jakby się dusił. Ale tak się nie musi zdarzyć. No i można się do takich warunków przyzwyczaić. Wiele zależy też od tego, czy czujemy się bezpiecznie z osobami, z którymi podróżujemy, czy mamy poczucie, że w razie czego możemy na nie liczyć. Osobie, która ma napady lęku, nie radziłbym jechać na wakacje tylko z trójką małych dzieci.

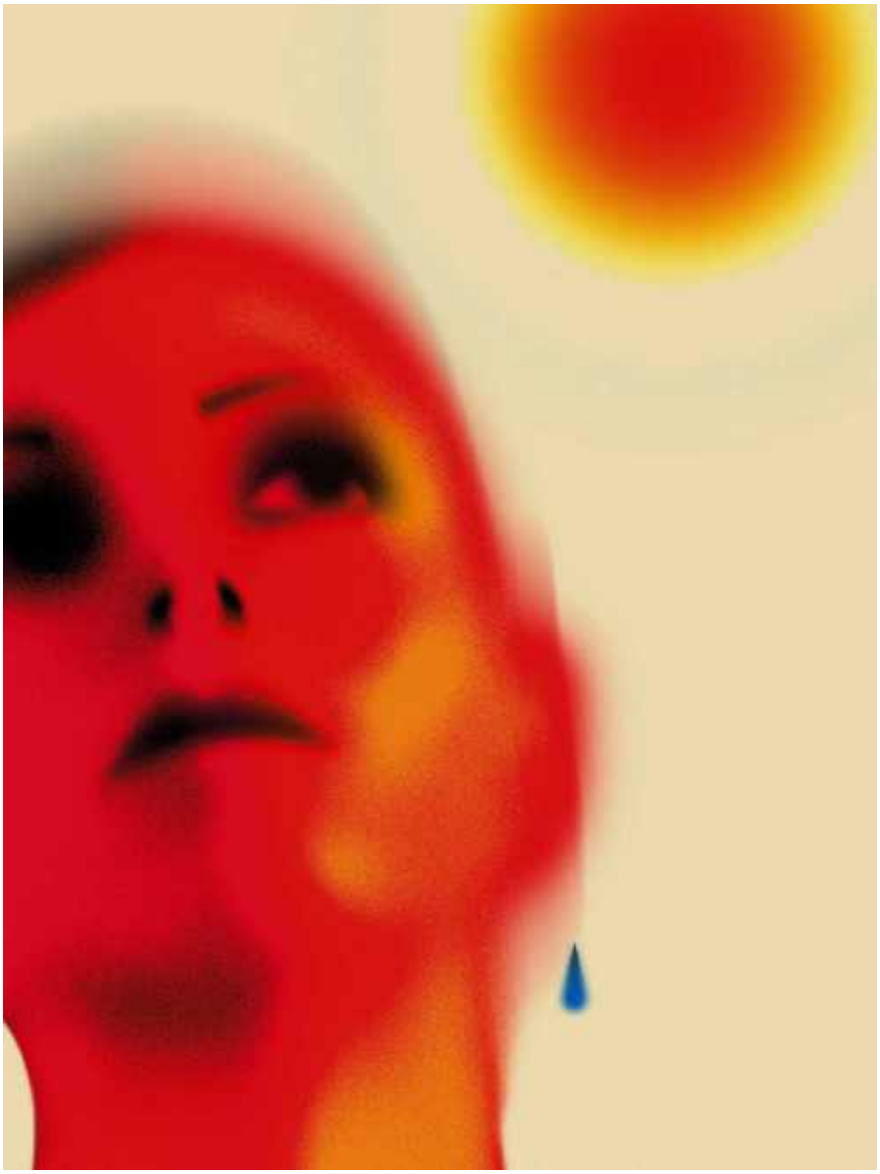

Wakacjom częso towarzyszy alkohol. Miałem pacjentów, którzy tuż po powrocie z urlopu skarżyli się: „Nie wiem, o co chodzi, czuję niepokój, jestem nerwowy, źle się czuję”, *a okazywało się, że mieli alkoholowy zespół abstynencyjny*

No właśnie, jakie wakacyjne rady pan daje swoim pacjentom?
– Przede wszystkim: „Proszę jechać z osobami, z którymi będzie się pan czy pani czuła w miarę bezpiecznie”.

A co mówi pan latem tym, którzy przez pogodę są bardziej narażeni na pogorszenie stanu chorobowego, np. osobom z dwubiegunówką?
– Tych pacjentów bardzo często instruuję, żeby przyszli do mnie, kiedy widzą zwiastuny zbliżającej się manii, czyli mają np. zaburzenia koncentracji, dużo więcej energii czy mniej śpią. Ja mogę wtedy dać im coś na sen lub zwiększyć dawkę leku, który biorą, i to zwykle wystarczy, żeby zapobiec pogorszeniu. Potem jesienią możemy wrócić do wcześniejszej daw-

eprasa.pl 4ba45f9584

ki. Mam pacjentów, którzy już doskonale znają różne swoje stany i potrafią je rozpoznać. Oni w porę przychodzą do gabinetu i mówią np.: „Mam wrażenie, że idę trochę w górę”.

A czy sami mogą coś zrobić?
– Na pewno mogą bardziej zadbać o sen i w ogóle higienę życiową. O właśnie! Ciepłe miesiące i wakacje to też więcej imprez, spotkań, grillowania. Temu wszystkiemu często towarzyszy alkohol. On uaktywnia różne reakcje układu odpornościowego. Nadużywanie alkoholu działa też mocno depresyjnie, skraca sen i powoduje, że jest on mniej efektywny. Miałem pacjentów, którzy tuż po powrocie z wakacji skarżyli się: „Nie wiem, o co chodzi, mam niepokój, jestem nerwowy, źle się czuję”, a okazywało się, że mieli alkoholowy zespół abstynencyjny.

Jak to?
– Na początku alkohol nas wycisza, ale jeśli pijemy go przez dłuższy czas, to organizm się adaptuje i zmniejsza wydzielanie swoich naturalnych substancji uspokajających. Dba o to, żeby zupełnie nie stracić czujności. Kiedy nagle rezygnujemy z alkoholu, stajemy się nadmiernie pobudzeni. Potrzeba czasu, by organizm wrócił do swojej normy. Jeśli więc przez dwa tygodnie urlopu ktoś codziennie pił po kilka drinków, a po powrocie do domu przestał, to nie ma się co dziwić, że ma zespół abstynencyjny. Ludzie są bardzo zaskoczeni, gdy im to mówię. Czasem słyszę, że przecież to jest normalne na wakacjach. Poza tym to były takie lekkie drinki, „rozwodnione”. Jeśli jednak to wszystko zsumują, wychodzi im, że przyjęli sporo alkoholu.

PROF. DR HAB. N. MED. NAPOLEON WASZKIEWICZ

– psychiatra, psychoterapeuta po kursie psychoterapii psychodynamicznej. Kieruje Kliniką Psychiatrii Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku i wykłada na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku

Mamy dużo przekonań na temat tego, jak powinny wyglądać wakacje. Wydają mi się one szkodliwe. Np. sądzimy często, że wszyscy jeżdżą do dalekich pięknych krajów na długie fantastyczne urlopy z mnóstwem atrakcji. Ci, których nie stać na wyjazd albo spędzają urlop kilkadziesiąt kilometrów od domu pod namiotem nad jeziorem, mogą mieć poczucie, że coś z nimi jest nie tak.
– Wiele zależy od tego, czy siebie i własne życie odnosimy do tego, co jest wokół nas, czy do tego, co widzimy w social mediach. Wiadomo, że ludzie prędzej wstawią na Instagram piękny posiłek w słonecznej scenerii niż kanapkę, która moknie w deszczu. A prawdziwe życie, także to na wakacjach, składa się z różnych chwil. Dżdżysto-nostalgicznych też. Warto więc dobrze wybierać to, do czego się odnosimy, i to, na czym we własnym życiu się skupiamy. Są osoby, które zdobyły mnóstwo, a wciąż koncentrują się na tym, czego im jeszcze brakuje, i stale porównują się z tymi, którzy według nich mają więcej. Taka postawa na pewno sprzyja rozwojowi depresji.

Mam koleżankę, która pierwszego dnia każdego wyjazdu ma gorszy nastrój. Na początku to ją dodatkowo martwiło, uważała, że to jest coś dziwnego, ale po pewnym czasie się do tego przyzwyczaiła. Wie, że tak ma, przechodzi nad tym do porządku dziennego, i w rezultacie czuje się lepiej.
– Po prostu zaakceptowała siebie. Zresztą wiele osób potrzebuje na wakacjach trochę czasu, żeby przestać myśleć o pracy i o codziennych problemach. Dopiero po tym poziom ich stresu się obniży. Zwłaszcza że sam wyjazd – pakowanie, pośpiech, podróż itp. – mogły go podnieść. Bardzo przeszkadzają różne oczekiwania, jakie często mamy wobec siebie samych, np. że mamy być radośni od rana do wieczora, że mamy wypoczywać w określony sposób. A jeśli się napniemy: „Mam urlop, muszę się zrelaksować!”, to właśnie się nie zrelaksujemy. ▲

OGŁOSZENIE

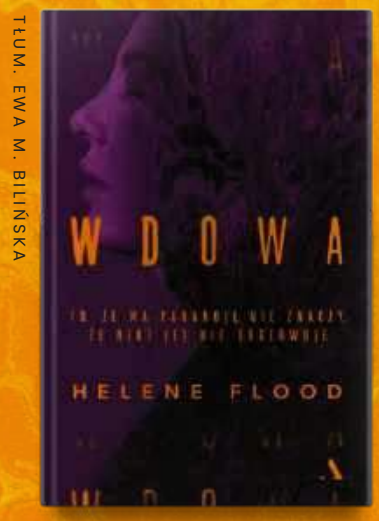

TŁUM. EWA M. BILIŃSKA

Klaustrofobiczny thriller o mechanizmach manipulacji

I PUŁAPCE ZAWODNEJ PAMIĘCI.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
www.wydawnictwoagora.pl

WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

eprasa.pl 4ba45f9584

FOT. SHUTTERSTOCK, MARIANNA SOSNOWSKA

Mamo, *odbierz*

Nie alkohol, narkotyki czy ryzykowne zachowania seksualne najbardziej zagrażają nastolatkom w wakacje. Najniebezpieczniejsza jest samotność

Z **JUSTYNĄ ŻUKOWSKĄ-GOŁĘBIEWSKĄ**, PSYCHOLOŻKĄ, ROZMAWIA **AGATA GOŁĄBEK-POLUS**

Wakacje kojarzą się nastolatkom z wolnością, ale czy dorośli uczą ich, co z tą wolnością zrobić?

– Myślę, że problem zaczyna się dużo wcześniej niż w wakacje. Przez większą część roku życie nastolatka jest bardzo mocno zorganizowane przez dorosłych. Szkoła, zajęcia dodatkowe, obowiązki, terminy, sprawdziany. Nawet czas wolny bywa zaplanowany. Potem przychodzi lato i nagle dziecko słyszy: „Baw się dobrze. Podejmuj rozsądne decyzje. Uważaj na siebie". Tylko skąd miał się tego nauczyć? W psychologii rozwoju mówimy często o autonomii, ale autonomia nie pojawia się nagle w dniu zakończenia roku szkolnego. To proces, który trwa przez całe życie i odbywa się sekwencyjnie. Jeśli dziecko przez lata nie miało okazji podejmować własnych decyzji, popełniać błędów, ponosić ich konsekwencji i wracać po wsparcie, trudno oczekiwać, że raptem w wieku piętnastu czy szesnastu lat będzie świetnie zarządzało swoją wolnością. Czasami odnoszę wrażenie, że bardziej niż wolności uczymy dzieci posłuszeństwa. A to są dwie różne kompetencje.

Dlaczego dla nastolatka większym lękiem bywa telefon do rodzica niż wejście do samochodu prowadzonego przez pijanego kolegę?

– Kilka miesięcy temu podczas jednego ze spotkań z młodzieżą licealną rozmawialiśmy o różnych wakacyjnych sytuacjach kryzysowych. Zapytałam, co byłoby dla nich trudniejsze: zadzwonić do rodzica w środku nocy czy wrócić z kimś, kto wypił alkohol. Ku zaskoczeniu wielu młodych ludzi bez wahania wskazało telefon. A przecież młodzi doskonale wiedzą, czym grozi jazda z pijanym kierowcą, kampanii społecznych jest dziś mnóstwo. Problem leży gdzie indziej. Nastolatek bardzo często nie boi się samego rodzica. Boi się tego, co jego zdaniem wydarzy się po drugiej stronie słuchawki lub po powrocie do domu. Obawia się rozczarowania rodzica, jego złości, wykładu, kary, a także utraty zaufania. Czasem także zawstydzenia.

Dla dorosłego ryzyko jest proste do oceny: pijany kierowca może doprowadzić do tragedii. Jednak dla nastolatka sytuacja wygląda często inaczej. W wieku dorastania mózg jest wyjątkowo wrażliwy na ocenę społeczną, odrzucenie i utratę relacji. Dlatego wyobrażone konsekwencje emocjonalne bywają odczuwane jako równie realne, a czasem nawet bardziej realne niż

eprasa.pl 4ba45f9584

zagrożenie fizyczne. I właśnie dlatego tak ważne jest, aby dziecko jeszcze przed wakacjami wiedziało jedno: „Jeśli wydarzy się coś głupiego, niebezpiecznego albo wstydliwego, najważniejsze jest dla mnie twoje bezpieczeństwo, pomogę ci choćby nie wiem co; obiecuję, że nie będę cię osądzać".

Która wakacyjna sytuacja z pozoru wydaje się błaha, a psychologicznie stanowi poważne zagrożenie dla młodego człowieka?

– Tu panią zaskoczę, moim zdaniem to samotność. Wiem, że wielu osobom, w tym rodzicom, bardziej niebezpieczne wydają się alkohol, narkotyki czy ryzykowne zachowania seksualne. Oczywiście mogą one prowadzić do bardzo poważnych konsekwencji. Jednak w swojej pracy widzę, że pod wieloma kryzysami znajduje się coś znacznie mniej spektakularnego. Poczucie, że nigdzie nie pasuję. Że wszyscy gdzieś wyjechali, wszyscy mają przyjaciół, wszyscy świetnie się bawią, tylko ja siedzę sam w domu.

Latem ten problem bywa szczególnie dotkliwy. Szkoła przestaje pełnić funkcję miejsca codziennych kontaktów, a serwisy społecznościowe pokazują nie rzeczywistość, lecz jej starannie wyselekcjonowaną wersję. Nastolatek patrzy na dziesiątki zdjęć i dochodzi do wniosku, że szczęście spotkało wszystkich oprócz niego. To bardzo niebezpieczny punkt wyjścia do kryzysu psychicznego.

Czy współczesna młodzież jest bardziej nieodpowiedzialna niż wcześniejsze pokolenia, czy po prostu mierzy się z większą liczbą pokus i bodźców?

– Mam pewien opór przed porównywaniem pokoleń. Kiedy słucham dorosłych opowiadających o własnej młodości, zwykle okazuje się, że również robili rzeczy ryzykowne, impulsywne i niezbyt rozsądne. Różnica polega na tym, że większość tych historii nie została udokumentowana, sfotografowana ani opublikowana w internecie. Te „głupoty" trwały tylko chwilę, wiedzieli o nich nieliczni, co najwyżej kilkanaście osób z klasy czy z podwórka. Młodzi ludzie od zawsze testowali granice. To część dorastania.

Zmieniło się natomiast środowisko, w którym dorastają. Dziś pokusa nie kończy się wraz z wyjściem z imprezy. Telefon sprawia, że grupa rówieśnicza jest obecna przez całą dobę. Porównania społeczne, presja, komentarze i oczekiwania nie znikają po zamknięciu drzwi do własnego pokoju. Nie sądzę więc, że mamy do czynienia z bardziej nieodpowiedzialnym pokoleniem. Raczej z pokoleniem funkcjonującym w warunkach, których większość dorosłych sama nigdy nie doświadczała.

Czy presja rówieśnicza dziś wygląda inaczej niż 10-15 lat temu?

– Kiedyś presja rówieśnicza miała twarz konkretnej grupy stojącej pod blokiem, na boisku albo pod szkołą. Dzisiaj często jest znacznie bardziej subtelna. Młody człowiek budzi się rano i widzi zdjęcia ze spotkania, na które nie został zaproszony. Odkrywa, że istnieje grupa na komunikatorze, do której go nie dodano. Widzi wspólne relacje, komentarze, żarty i rozmowy, których nie rozumie, bo nie było go przy ich początku. Nie trzeba już nikogo otwarcie odrzucać. Czasem wystarczy subtelnie pominąć. Z psychologicznego punktu widzenia mechanizm pozostaje ten sam. Człowiek jest gatunkiem społecznym. Potrzeba przynależności należy do naszych podstawowych potrzeb. Zmieniły się narzędzia, ale emocje się nie zmieniły.

> Młoda osoba odrzucona przez grupę rówieśniczą może poczuć *ból emocjonalny tak silny jak fizyczny*

W którym momencie potrzeba przynależności staje się silniejsza niż instynkt samozachowawczy?

– To może zabrzmieć zaskakująco, ale dla wielu nastolatków nie jest to jakiś wyjątkowy moment. Dorośli lubią myśleć, że kiedy pojawia się zagrożenie, człowiek automatycznie wybiera bezpieczeństwo. Tymczasem okres dorastania jest szczególnym etapem rozwoju. Młody człowiek stopniowo oddala się od rodziców i coraz mocniej zwraca się w stronę grupy rówieśniczej. To właśnie tam szuka odpowiedzi na pytania: kim jestem, do kogo przynależę, czy jestem wystarczająco dobry? W praktyce oznacza to, że odrzucenie przez grupę może być przeżywane jak bardzo realne zagrożenie, można wówczas poczuć ból emocjonalny tak silny jak ból fizyczny. Kiedy rozmawiam z nastolatkami po różnych niebezpiecznych sytuacjach, bardzo rzadko od nich słyszę: „Nie wiedziałem, że to może źle się skończyć". Częściej mówią: „Nie chciałem wyjść na tchórza", „Wszyscy poszli", „Nie chciałam zostać sama". Nam, dorosłym, wydaje się, że to skrajna głupota. A to właśnie tak wygląda psychologia rozwoju. Problem pojawia się wtedy, gdy potrzeba przynależności staje się jedynym źródłem poczucia własnej wartości. Wtedy młody człowiek zaczyna płacić za akceptację coraz wyższą cenę.

Jak nauczyć nastolatka stawiania granic tak, żeby nie czuł, że ryzykuje utratę przyjaciół?

– Myślę, że najpierw sami musimy przestać opowiadać o stawianiu granic jak o magicznej umiejętności, która zawsze działa. Bo prawda jest taka, że czasem postawienie granicy kończy relację. Któż z nas nie miał takich doświadczeń? Jeżeli nastolatek słyszy od dorosłych: „Po prostu powiedz »nie«", a potem traci miejsce w grupie, przestaje nam wierzyć. Ja nie wezmę odpowiedzialności za to odrzucenie, a potem hejt czy inne konsekwencje, które mogą spotkać młodego człowieka w dzisiejszych czasach, zatem nie będę opowiadać im bajek o tym, jak asertywność zawsze działa tak, że można mieć ciastko i zjeść ciastko. Bo najczęściej nie można.

Dużo bliższe rzeczywistości jest pokazanie młodym, że zdrowe relacje potrafią przetrwać różnicę zdań, odmowę czy rozczarowanie. Jeżeli jedna odpowiedź „nie" powoduje wykluczenie z grupy, to warto zadać sobie pytanie, czy była to bezpieczna relacja. Widzę też, że młodzi znacznie częściej uczą się granic przez obserwację nas, dorosłych, w praktyce niż przez słuchanie naszych wykładów. Jeśli rodzic stale zgadza się na wszystko, nie dba o własne potrzeby albo przeciwnie, narusza granice innych ludzi bądź samego dziecka, to trudno oczekiwać, że nastolatek będzie zachowywał się inaczej. Granice są mniej lekcją komunikacji, a bardziej lekcją relacji.

Co tak naprawdę słyszy w głowie nastolatek, który boi się zadzwonić do rodzica po pomoc?

– To zależy od historii, którą przez lata zbudowano w tej relacji. Jeden nastolatek pomyśli: „Rodzice będą źli, ale przyjadą". Inny uzna: „Powiedzą, że sam jestem sobie winien". Jeszcze inny usłyszy w głowie zdania, które naprawdę kiedyś padły:

eprasa.pl 4ba45f9584

„Po co tam poszedłeś?"; „A nie mówiłam?"; „No to jak sobie nawarzyłeś tego piwa, to je teraz wypij".

Bardzo często dzieci nie boją się samego telefonu, ale przewidywanej reakcji dorosłego, której kiedyś doświadczyli. Dlaczego zatem teraz miałoby być inaczej? Warto pamiętać, że zaufanie nie powstaje podczas kryzysu. Ono buduje się przez setki zwykłych, zwyczajnych dni. Przez to, jak reagujemy na rozlane mleko, nieposprzątany pokój, pomimo że nastolatek obiecywał, że posprząta, na słabą ocenę, zgubiony klucz od domu czy kłótnię z koleżanką. Dziecko na podstawie tych doświadczeń tworzy sobie odpowiedź na pytanie: „Czy kiedy naprawdę będzie źle, ten człowiek będzie po mojej stronie?".

JUSTYNA ŻUKOWSKA-GOŁĘBIEWSKA

– psycholożka, ekspertka projektu „MŁODE GŁOWY. Otwarcie o zdrowiu psychicznym" Fundacji UNAWEZA Martyny Wojciechowskiej, autorka książki „Dla dobra dziecka"

Jak rodzic powinien reagować na drobne kryzysy na co dzień, żeby w poważnym kryzysie dziecko rzeczywiście chciało zadzwonić?

– Mam czasem wrażenie, że dorośli bardzo nie doceniają znaczenia małych spraw. Kiedy prowadzę szkolenia czy warsztaty dla rodziców lub nauczycieli oczekują oni, że zdradzę im jakąś tajemną, specjalistyczną wiedzę, którą wprowadzą w życie od zaraz i to naprawi lata zaniedbań. Podam taki przykład: nastolatek przychodzi i mówi, że pokłócił się z przyjaciółką. Rodzic odpowiada: „Przesadzasz", „Za tydzień nawet nie będziesz pamiętać". I żeby nie było, być może ma rację. Tylko że dziecko nie zapamięta tego, czy rodzic trafnie ocenił wagę problemu; zapamięta za to, czy poczuło się wysłuchane i poważnie potraktowane. Jeżeli przez lata słyszy, że jego trudności są nieważne, przesadzone albo śmieszne, to w sytuacji naprawdę poważnej również może uznać, że nie warto przychodzić po pomoc. Nie chodzi też o to, żeby dramatyzować każdą dziecięcą porażkę. Raczej o ciekawość, o zadanie pytania: „Widzę, że jest ci trudno. Opowiesz mi o tym?". Uwielbiam postawę niewiedzy, metodę na „matkę kretynkę", której trzeba wszystko wytłumaczyć. Zakładam wtedy, że jedynym aktualnym źródłem wiedzy o tym dziecku jest samo dziecko. To ono jest ekspertem od tego co czuje, co myśli, co się mu przytrafiło. Zatem warto je o to zapytać, a nie wyciągać wnioski na podstawie tego, czego sami doświadczyliśmy w jego wieku.

Jakie jedno zdanie każdy rodzic powinien powiedzieć swojemu dziecku przed wakacjami?

– Może być to zdanie: „Niezależnie od tego, co się wydarzy, jaką głupotę odwalisz, nawet jeśli będziesz się tego bardzo wstydzić albo będziesz tego bardzo żałować, pamiętaj, że nie jesteś sam, nadal możesz do mnie zadzwonić i wracaj do domu. Wspólnie znajdziemy rozwiązanie".

Pamiętajmy, że większość kryzysów nie zaczyna się od błędu, lecz od samotności po tym błędzie.

Gdyby mogła pani przekazać jedno zdanie 15-letniej sobie przed pierwszym samodzielnym wakacyjnym wyjazdem, co by to było?

– Powiedziałabym: „Nie musisz udawać, że wszystko wiesz i że ze wszystkim musisz poradzić sobie sama".

Mam poczucie, że wielu nastolatków żyje dziś pod ogromną presją kompetencji. Powinni być odważni, samodzielni, pewni siebie, towarzyscy i odporni psychicznie. A prawda jest taka, że dorastanie polega między innymi na tym, że czasami się gubimy i robimy głupie rzeczy. Nie wstydziłabym się dziś własnej niepewności. Potraktowałabym ją jako część podróży ku dorosłości.

Jaka historia młodej osoby w sposób szczególny uświadomiła pani, jak ważne jest przygotowanie „planu awaryjnego"?

– Paradoksalnie nie była to historia z mojego gabinetu, lecz moja własna. Byłam dość trudną nastolatką. Upartą, krnąbrną i przekonaną, że najlepiej wiem, co jest dla mnie dobre. Potrafiłam zrobić coś po swojemu tylko dlatego, że ktoś próbował mnie od tego odwieść. Jak mówi stare powiedzenie, czasem odmrażałam sobie uszy na złość rodzicom. Eksperymentowałam, podejmowałam głupie decyzje, pakowałam się w sytuacje, których dziś nie polecałabym żadnemu nastolatkowi. Wielokrotnie zawodziłam dorosłych, którzy mi ufali. I właśnie dlatego tak często o nich dziś myślę.

Miałam ogromne szczęście spotkać na swojej drodze ludzi, którzy widzieli we mnie coś więcej niż moje błędy. Nie definiowali mnie przez najgorszą decyzję, jaką podjęłam w danym tygodniu czy miesiącu. Potrafili oddzielić moje zachowanie od tego, kim byłam jako człowiek. Stawiali granice, ale nie odbierali nadziei. Byli wtedy, gdy ich potrzebowałam, nawet jeśli nie zawsze na to zasługiwałam. Dopiero po latach zrozumiałam, jak ogromne miało to znaczenie.

Kiedy dziś rozmawiam z młodymi ludźmi w kryzysie, bardzo często widzę, że nie potrzebują kolejnego wykładu o konsekwencjach. Zwykle doskonale wiedzą, że popełnili błąd. Potrzebują kogoś, kto pomoże im zrobić następny krok. Dla mnie właśnie tym jest „Plan awaryjny", czyli bezpłatny scenariusz dla szkół, który przygotowaliśmy z projektem MŁODE GŁOWY. Nie jest instrukcją, jak uniknąć wszystkich złych decyzji. Takich instrukcji nie ma. Jest raczej odpowiedzią na pytanie: „Jeśli wydarzy się coś trudnego, jeśli się pogubię, jeśli popełnię błąd, to do kogo zadzwonię, gdzie pójdę i kto pomoże mi wrócić na właściwą drogę?". Bo z mojego doświadczenia wynika, że o życiu człowieka często nie decyduje to, czy popełni błąd, tylko czy po drugiej stronie znajdzie się ktoś, kto pomoże mu się po nim podnieść.

A co daje pani największą nadzieję, kiedy patrzy pani dziś na młodych ludzi?

– To, że nie dają sobie wciskać kitu. W debacie publicznej często mówi się o młodych przez pryzmat ich problemów. Że są uzależnieni od telefonów, mniej odporni psychicznie, bardziej lękowi. Ja widzę też coś innego. Pokolenie, które znacznie częściej niż wcześniejsze pyta o emocje, zdrowie psychiczne i relacje. Widzę ludzi, którzy potrafią zatrzymać kolegę po lekcjach i zapytać, czy wszystko w porządku. Widzę uczniów, którzy zgłaszają dorosłym, że martwią się o przyjaciela. Oczywiście nie zawsze wiedzą, co zrobić dalej. Czasami sami potrzebują wsparcia. Ale ich gotowość do zauważania drugiego człowieka daje mi ogromną nadzieję. ▲

eprasa.pl 4ba45f9584

CZYSTY ZYSK

Marka Clean est. 2003 powstała 23 lata temu. Słynie z zapachów, które pachną czystością, świeżością, jak świeżo wyprane ubrania. Receptury i opakowania są przyjazne dla środowiska. Nowe mgiełki do ciała i włosów wyglądają jak lody na patyku. ***(88 ml/99 zł, Douglas)***

SPOJRZENIE W PIĘCIU WYMIARACH

Formuła nowej maskary Clarins Wonder Perfect 5D opiera się na pantenolu i sfinganinie, które pogrubiają rzęsy. Kwas hialuronowy unosi, rozdziela, ekstrakt z mastyksu wzmacnia rzęsy. Szczoteczka wykonana jest z włókien pochodzących z oleju rycynowego. Rzęsy są wydłużone i bez grudek. ***(8 ml/159 zł)***

TRIO ANTY-UV

Kremy z filtrem Repaskin Urban 365 dr Gabriel Serrano, twórca marki Sesderma, stworzył z myślą o osobach narażonych na UV, smog, blue light i przewlekły stres oksydacyjny. W linii są trzy produkty: Anti-Aging SPF 50+ wspierający naprawę DNA, Sensitive Skin SPF 50+ dla skóry wrażliwej oraz Bleaching SPF 50+ na przebarwienia. ***(50 ml/143 zł)***

DZIEŃ 50+

Już mało co jest bez filtra. W KLOO też jest coś z filtrem. Bo te ochronne to must have w portfolio każdej marki. To lekki krem nawilżający z kwasem hialuronowym, filtrami fizycznymi i chemicznymi, chroniącymi przed UVA, UVB i HEV. ***(50 ml/149 zł, Rossmann)***

BEZ KOMPROMISÓW

Twórczyni Glowery, Alex Kolasiński, po 12 latach pracy dla innych marek kosmetycznych stworzyła własną. Buduje ją we współpracy ze trzema przyjaciółkami. Opakowania wyglądają jak dzieła sztuki. Zawartość jest bardziej zwyczajna - ma dbać o barierę ochronną skóry. Formuły są delikatne, kojące, bogate w antyoksydanty. Kosmetyki mają fajne nazwy, np. krem No walk of shame ***(50 ml/169 zł)***. Dostępne są w Sephorze.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl 4ba45f9584

Prezent ode mnie dla *mnie*

Przez lata mówiłyśmy o sporcie głównie językiem centymetrów. Schudnij, wyrzeźbij, spal, zmniejsz obwody. Ale najlepsze z tego, co dał mi sport, nie jest widoczne w lustrze

FOT. ADA PALKA TRX BOOT CAMP CLASS

Dominika Wantuch (stoi w krótkich różowych spodenkach) z trenerką Adą Palką TRX Boot Camp Class (siedzi z przodu z telefonem) oraz z koleżankami z sali treningowej

TEKST
DOMINIKA WANTUCH

Kilka dni temu świętowałam jedną z najdziwniejszych rocznic w swoim życiu. Nie okrągłe urodziny, nie rocznicę związku czy zawodowy jubileusz. Minął rok, odkąd weszłam do sali fitness i zostałam.

Możecie się uśmiechnąć, bo przecież wiele z nas uprawia sport, ja sama zresztą też należę do osób, które raczej regularnie się ruszają. Ale ta historia nie będzie o sporcie. Będzie o głowie.

ZAWSZE WAŻNIEJSZE SPRAWY

Sport zawsze był w gruncie rzeczy obecny w moim życiu. Ale bywały okresy, kiedy znikał, bo były ważniejsze sprawy. Praca, przeprowadzka, obowiązki, dzieci, lista spraw do załatwienia, która każdego ranka odrastała jak głowa hydry. W takich momentach rezygnowałam najpierw z tego, co wydawało mi się najmniej pilne. Czyli z siebie. I zapewne nie jestem w tym wyjątkiem. Jestem wręcz pewna, że wiele z nas zostało wychowanych w przekonaniu, że własne potrzeby można odłożyć na później. Najpierw dzieci, praca, partner, dom, rodzina, zakupy, rachunki, pies... A jeśli zostanie chwila, to może wreszcie zrobię

eprasa.pl 4ba45f9584

coś tylko dla siebie. Problem w tym, że ta chwila bardzo często nie nadchodzi.

Aż w końcu moja przyjaciółka powiedziała „dość". Poszłyśmy razem, żeby się mobilizować. Żeby nie odwoływać, nie szukać wymówek, że jesteśmy zmęczone, pada deszcz, nie ma czasu, nie lubimy się pocić... Kobiety potrafią znaleźć naprawdę tysiące bardziej i mniej racjonalnych powodów, żeby nie poświęcić godziny samej sobie.

I WRESZCIE KTÓREGOŚ DNIA PRZESTAŁAM SZUKAĆ WYMÓWEK

Nie, nie uzależniłam się od sportu. Uzależniłam się od grupy kilkunastu fantastycznych kobiet, które spotykają się raz, dwa razy w tygodniu i wyciskają z siebie siódme poty z uśmiechem na twarzy. Mój nastoletni syn mówi, że idealnie wpisujemy się w żartobliwy, tiktokowy trend „middle aged woman trying to be doing anything but a normal workout" (kobiety w średnim wieku robiące wszystko, tylko nie normalny trening), czyli w filmiki, na których kobiety z pełnym zaangażowaniem wykonują przedziwne ćwiczenia. Może ma rację, zwłaszcza kiedy wisimy na taśmach TRX z dziwnymi wyrazami twarzy.

Ale to nie ma znaczenia. Jesteśmy w różnym wieku, nasze ciała mają różne możliwości, nieraz na zajęciach narzekamy, nie dajemy rady, żartujemy, że można było zostać w domu i odpoczywać. Ale zawsze dużo się śmiejemy. Przekazujemy sobie pozytywną energię, cieszymy się z każdego, nawet małego sukcesu. Nasze zajęcia nie są miejscem zwierzania się sobie z traum, narzekania na pracę, dzielenia się tym, co złe i trudne. Są miejscem, w którym można na chwilę o codzienności zapomnieć.

A że przy okazji któraś z nas jest dziś w stanie przebiec 5 km zamiast 2, inna zrobić już nie 5, a 10 pompek, a kolejna powtórzyć 30 razy (znienawidzone przez większość z nas) ćwiczenie „padnij powstań"? Super!

NAJWIĘKSZA ZMIANA WYDARZA SIĘ W GŁOWIE

Największa zmiana nie wydarzyła się jednak w moim ciele. Wydarzyła się w głowie. A najlepsze z tego, co dał mi sport, nie jest widoczne w lustrze. Lepiej śpię, mam więcej cierpliwości, lepiej radzę sobie ze stresem, rzadziej czuję napięcie w ramionach. Częściej wracam do domu z poczuciem, że to był udany dzień. I wcale nie dlatego, że spaliłam kilkaset kalorii.

Nie będzie odkrywcze, jeśli powiem, że sport działa zbawiennie na naszą psychikę. Psychologowie powtarzają od lat, że ruch działa jak naturalny regulator emocji. Zmniejsza poziom stresu, poprawia nastrój, pomaga odzyskać poczucie sprawczości. Światowa Organizacja Zdrowia podkreśla, że aktywność fizyczna zwiększa wydzielanie endorfin, hormonów, które pomagają zmniejszyć uczucie bólu i poprawiają nastrój, oraz prowadzi do wytwarzania serotoniny, dopaminy i noradrenaliny, czyli neuroprzekaźników zaangażowanych w regulację nastroju i emocji. Pomaga leczyć objawy depresji i zaburzenia nastroju. To nie cudowny lek, nie zastąpi terapii, jeśli jej potrzebujemy. Nie rozwiąże problemów, ale może dodać nam sił, by się z nimi mierzyć.

Dlaczego dziś o tym piszę? Bo przez lata mówiłyśmy o sporcie głównie językiem centymetrów. Schudnij, wyrzeźbij, spal, popraw, zmniejsz obwody. Serwisy społecznościowe dziś bardziej niż kiedykolwiek budują opowieść o tym, że ciało jest projektem do nieustannego poprawiania.

To fatalny sposób opowiadania o ruchu, bo jeśli jedyną nagrodą ma być mniejszy rozmiar spodni, to łatwo się poddać. A co, jeśli nagrodą będzie spokojniejsza głowa, lepszy sen, wyższy poziom energii i godzinka, która należy tylko do ciebie? Czułość i troska wobec swojego organizmu, który łatwo zaniedbać w natłoku obowiązków?

Dopiero po czterdziestce zaczynam myśleć, że ruch nie jest prezentem dla naszego ciała. Nie jest karą za zjedzone ciastko ani nagrodą za dobrze przepracowany dzień. Nie jest kolejnym obowiązkiem do odhaczenia w imię mniejszego rozmiaru spodni. Jest jedną z najczulszych form troski o siebie, a najbardziej wdzięcznym jego odbiorcą jest nasza psychika. ▲

OGŁOSZENIE

XIV edycja Nagrody imienia Wisławy Szymborskiej

2026

LAUREATKA ZA NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĘ WYDANĄ W 2025 ROKU

MARLENA NIEMIEC
Skroń

LAUREACI ZA NAJLEPSZE TŁUMACZENIE NA JĘZYK POLSKI

MARTA ELOY CICHOCKA
za przekład tomu
Zurita
RAÚLA ZURITY

ORGANIZATOR DOFINANSOWANIE PARTNER STRATEGICZNY PARTNERZY PARTNERZY MEDIALNI GOSPODARZ GALI

eprasa.pl 4ba45f9584

Oto ciało *moje*

25 czerwca w Tate Modern otwarto wystawę „Frida: The Making of an Icon". Jej popularność zaskoczyła nawet organizatorów – żaden artysta nie sprzedał tylu biletów jeszcze przed otwarciem

TEKST **IZABELLA ADAMCZEWSKA**

Londyńczycy i turyści fotografują się pod muralem przy stacji Blackfriars. Kultowy autoportret Fridy z cierniowym naszyjnikiem i kolibrem jest wszędzie – na billboardach, w metrze i oczywiście w muzealnym sklepiku z pamiątkami.

„Bomba przewiązana wstążką" – pisał o niej papież surrealizmu André Breton. W trakcie ledwie 47-letniego życia Frida Kahlo namalowała siebie ponad 50 razy. Chętnie stawała też przed obiektywem. Umiała pozować – nauczył ją tego ojciec, fotograf. Była performerką świadomą siły image'u. Ale charakterystyczna monobrew, seksowny wąsik i tehuańskie stroje to tylko dekoracja. Kuratorzy wystawy „Frida: The Making of an Icon", koprodukcji Tate Modern z Museum of Fine Arts w Houston, pokazują, jak perfekcyjnie zarządzała wizerunkiem, jak stała się fenomenem kulturowym i jak wygląda jej życie po życiu.

ROZTRZASKANE CIAŁO

Jedną z prac Kahlo pokazanych na londyńskiej wystawie jest obraz przedstawiający Dorothy Hale (1939). Niespełniona aktorka, uderzająca piękność, w wieku 33 lat rzuciła się z szesnastego piętra nowojorskiego wieżowca. Natychmiast rozpoczął się spektakl śmierci – w magazynach plotkarskich pisano o miłosnym rozczarowaniu, społecznej i towarzyskiej porażce femme fatale oraz jej finansowych problemach. Upamiętniający aktorkę obraz zamówiła u Fridy Clare Boothe Luce, pisarka i polityczka. Miała wyrzuty sumienia – nie przyszła na imprezę zorganizowaną przez Hale w dzień poprzedzający samobójczą śmierć, bo podejrzewała koleżankę o wydanie pieniędzy, które dała jej na czynsz, na niebotycznie drogą suknię wieczorową (potem okazało się, że nie była to prawda). Kahlo namalowała Dorothy Hale rozciągniętą na bruku – w czarnej aksamitnej sukni Madame X, z żółtym, imprezowym bukiecikiem. Niekonwencjonalny, brutalny obraz zaszokował Boothe, która opowiadała Hayden Herrerze, biografce Kahlo, jak zdębiała, wyciągnąwszy go ze skrzyni. Myślała, że zemdleje: co zrobić z wizerunkiem roztrzaskanego ciała przyjaciółki i jej krwią skapującą po ramie?

Frida rozumiała Hale. Traktowała własne ciało jako dziennik, ale też pole walki. W dzieciństwie przeszła polio, przez co jej prawa noga była krótsza od lewej. Kiedy miała osiemnaście lat, w autobus, którym jechała, wbił się trolejbus. Artystka wyszła z wypadku ze złamanym kręgosłupem i miednicą, ale najgorsze obrażenia zadał jej stalowy pręt – przebił macicę. Frida trzykrotnie traciła ciąże.

Pozostaje inspiracją – dla osób niepełnosprawnych, queerowych (była biseksualna; plotkowano o jej romansach z aktorką Josephine Baker czy malarką Georgią O'Keefe), obsoletek. Ale też – po prostu – kobiet na skraju załamania nerwowego. Herrerze powiedziała: „Spotkały mnie w życiu dwie katastrofy. Raz, gdy najechał na mnie autobus... A po raz drugi, kiedy spotkałam Diega".

Rivera, pieszczotliwie zwany przez nią ropuchą (on zwał ją kolibrem), dwukrotny rozwodnik, wpadł Kahlo w oko, gdy malował w jej szkole mural. „Będę jego żoną" – postanowiła piętnastolatka. I dopięła swego, dwukrotnie. Kiedy ją zdradzał (np. z jej siostrą), szalała.

SZTUKA ZAWŁASZCZANIA

Frida jest polityczna. Była twarzą ruchu Chicanos (w USA mówi się tak na Amerykanów o meksykańskich korzeniach) i neomeksykanizmu, inspirowały się nią artystki drugiej fali feminizmu, została guru surrealistycznej popkultury. Nikt nie zrobił dla artystek tyle co ona. W Tate Modern powieszono obok jej obrazów słynną pracę Guerilla Girls. Kolektyw pytał: czy żeby dostać się do galerii sztuki, kobieta musi być naga?

Wizerunki Fridy Kahlo przy Carnaby Street w Londynie

eprasa.pl 4ba45f9584

Autoportret
w aksamitnej sukni,
1926 r.

Autoportret
z cierniowym
kołnierzem
i kolibrem,
1940 r.

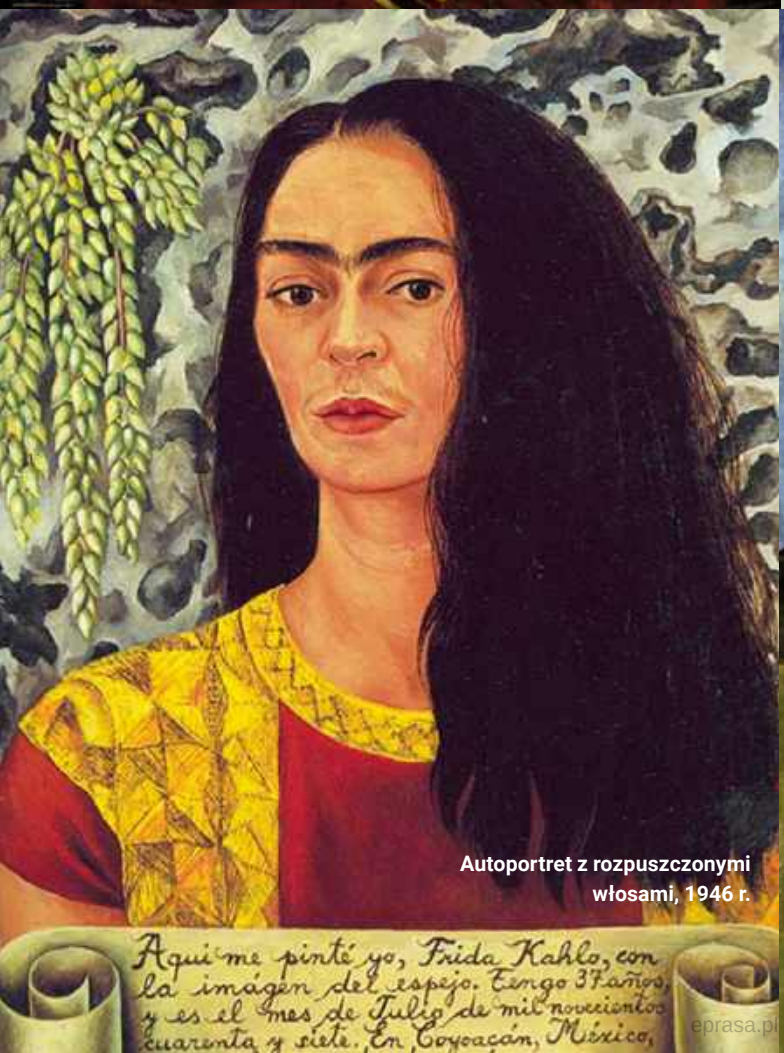

Autoportret z rozpuszczonymi
włosami, 1946 r.

Pamięć, serce, 1937 r.

eprasa.pl/4ba45f9584

Julien Levy, Frida Kahlo 1938 r.

W dopisanym na stulecie surrealizmu rozdziale książki „Spiskowcy wyobraźni" Agnieszka Taborska przypomina film dokumentalny „WAR! Women Art Revolution" Lynn Hershman Leeson z 2010 roku. Przechodnie, pytani przed nowojorskim Whitney Museum i Muzeum Sztuki Współczesnej w San Francisco o nazwiska trzech artystek, z trudem wymieniali jedno jedyne: Kahlo.

Za życia w cieniu Diega Rivery, po śmierci prześcignęła go popularnością. Dziś to Rivera jest mężem Fridy; o dwóch pozostałych z „trzech gigantów" artystycznych rewolucji meksykańskiej (José Clemente Orozco i David Alfaro Siquieros) niewielu pamięta. Fridamanię rozpoczęła londyńska wystawa zorganizowana w 1982 roku w Whitechapel. Potem była biografia autorstwa Herrery i oparty na niej film z Salmą Hayek. Posypały się książki, filmy i opery (El Último Sueño de Frida y Diego", czyli „Ostatni sen Fridy i Diego" – ostatnio na deskach MET). Frida stała się inspiracją dla marek odzieżowych. Oriana Baddeley krytykowała prezentowanie ubrań służących do zakrywania połamanego ciała na modelkach („Her Dress Hangs Here: De-frocking the Kahlo Cult"). Wycena obrazów Fridy wystrzeliła, w ruch poszła produkcja gadżetów: masek do spania z Fridą, lalek Barbie, kieliszków na jajka. Feministyczny i antykolonialny pazur się tępił. Kto ma prawo do podszywania się pod Fridę?

WIĘCEJ NIŻ DWIE FRIDY

Mistrzem sztuki zawłaszczania jest japoński performer Yasumasa Morimura. Mówi o sobie „konceptualny syn Warhola". Wyspecjalizował się w cosplayach – był już m.in. Mona Lisą, Marilyn Monroe, Van Goghiem bez ucha, Marcelem Duchampem i Albertem Einsteinem. W cyklu „Wewnętrzny dialog z Fridą Kahlo" (premiera w Tokio, w 2001 roku) zrekonstruował m.in. „Strzaskaną kolumnę" (1944). „Zacząłem tworzyć autoportrety w 1985 roku, wykorzystując protezy, kosmetyki i scenografię, by wcielić się w role postaci, które znaczą więcej niż one same" – mówił w wywiadzie dla „Artforum". Opowiadał, że jego „teatr jaźni" ma pokazać puste miejsce po tożsamości.

W 1939 roku Kahlo namalowała jeden ze swoich najsłynniejszych obrazów, „Dwie Fridy". Ten podwójny autoportret przedstawia Fridę meksykańską i Fridę nowoczesną, Fridę europejską i Fridę rdzenną, Fridę kochaną i Fridę porzuconą – siedzą obok siebie na ławce, połączone tętnicą. Pół wieku później przed obiektywem chilijskiego fotografa Pedra Marinello zasiedli Pedro Mardones Lemebel (1952-2015) i Francisco Casas Silva (1959), czyli kontrkulturowy, transwestycki duet krytykujący dyktaturę Pinocheta (jedyną po-

eprasa.pl 4ba45f9584

Od lewej: Yasumasa Morimura, Wewnętrzny dialog z Fridą Kahlo, 2001 r.; „Klacz Apokalipsy" Pedra Mrinellego, zdjęcie inspirowane obrazem Kahlo, 1989 r.; Mary McCartney: Tracey Emin „Being Frida", 2000 r.

wieść Lemebela, „Drżę o ciebie matadorze", w przekładzie Tomasza Pindla, wydało w Polsce Claroscuro). Tableau vivant (żywy obraz) Klaczy Apokalipsy („Yeguas del Apocalipsis") przedstawiał Lemebela i Silvę połączonych transfuzją krwi. W epicentrum epidemii HIV/AIDS ta inscenizacja wymiany płynów ustrojowych wykonana przez homoseksualnych artystów (Lemebel miał AIDS, zmarł na raka) była prowokacją.

KALEKI OPÓR

W 2013 roku w dwie Fridy wcieliły się dwie peruwiańskie drag queens – Giuseppe Campuzano i Germain Machuca. U Campuzano lata wcześniej zdiagnozowano SLA (stwardnienie zanikowe boczne). Kilka miesięcy przed śmiercią, gdy Campuzano ledwo już oddychał, zapozował z Machucą na wózku inwalidzkim. Ubrani w lustrzane stroje, w kołnierzach ortopedycznych i gorsetach, przyjaciele trzymają się za ręce.

Częścią ekspozycji są fotografie Gracieli Iturbide, na których widać kule, gorsety medyczne i leżącą w wannie protezę nogi. Zostały one zrobione pół wieku po śmierci artystki, kiedy Casa Azul stała się Muzeum Fridy Kahlo. Rivera zamknął w łazience ponad 300 rzeczy zmarłej Fridy i nakazał nieotwieranie pomieszczenia do 15 lat po swojej śmierci.

Czy to prywatne życie na sprzedaż? Fetyszyzacja niepełnosprawności? Nie sądzę. Z obrazami Kahlo i pamiątkami po niej dialogują w Tate m.in. prace Berenice Olmedy. Mieszkająca w Meksyku artystka tworzy rzeźby i instalacje kinetyczne z wykorzystaniem protez i ortez. Tego typu prace amerykański badacz Robert McRuer, twórca „kalekiej teorii/ teorii kalectwa" (crip theory), nazwał „kalekim oporem". Używa on słowa „kaleka" w sposób subwersywny. Queerując neuroróżnorodność, zwraca uwagę na kulturowy przymus pełnosprawności, sprzyjający wydajności i optymalizacji.

FRIDA ON MY MIND

Za Kahlo przebrała się również Tracey Emin – leżącą w łóżku, sfotografowała ją Mary McCartney („Being Frida", 2000). Czynna do końca września wystawa – „Tracey Emin. Second Life" wchodzi zresztą w dialog z prezentowaną na tym samym piętrze opowieścią o Kahlo. W tekście „Frida on My Mind" (do przeczytania na stronie Tate) Emin (która została zgwałcona, usuwała ciąże, chorowała na raka) pisze humorystycznie:

„Niektórzy twierdzą, że istnieją podobieństwa między pracami Fridy Kahlo a moimi. Myślę, że chodzi tu mniej o tematykę, a bardziej o zbiegi okoliczności – zwłaszcza dlatego, że jestem kobietą. (Miałam zrośnięte brwi, zanim je wyrwałam). Kobiety mogą się z nią utożsamiać. Pokazywała obrazy siebie krwawiącej w wannie, płodów wychodzących z niej, a także zdjęcia swojej rodziny i kochanków. Jednym z obrazów, który jednocześnie nienawidzę i kocham, jest „Diego on My Mind" z 1943 roku, na którym maluje portret swojego męża na czole. W pewnym momencie mogłabym sobie wytatuować Mata Collishawa na całym ciele. Rozumiem, co myślała. Ludzie pytali: „O czym myślisz?". A ja odpowiadałam: „Nie widzisz, w kim jestem zakochana? Mam to na czole, nie mam już mózgu".

Może to jest klucz do jej popularności – utożsamiasz się z nią, gdy jesteś inna, ale nie musisz mieć ani gorsetu ortopedycznego, ani protezy nogi. Widzisz siebie również w tych obrazach, na których malarka dokumentuje złamane serce.

Nieprzypadkowo o napisanie eseju o Fridzie do muzealnego magazynu poproszono Catherine Lacey, autorkę znakomitej „Biografii X" – zwodniczej powieści o artystce konceptualnej, która niestrudzenie żonglowała tożsamościami. Obie zachowywały kontrolę nad wizerunkiem – Frida: konserwując go, X – nieustannie zmieniając.

Parafrazując RuPaula: nikt nie rodzi się Fridą, każdy się nią staje. I to jest w tej wystawie, na którą recenzenci narzekają, że pokazuje tylko 36 prac samej Kahlo, najciekawsze. ▲

FOT. JACK HALL; PRIVATE COLLECTION (3); COURTESY PHILADELPHIA MUSEUM OF ART; TATE COLLECTION, IMAGE COURTESY MALBA FOUNDATION, MUSEUM OF LATIN AMERICAN ART OF BUENOS AIRES; YASUMASA MORIMURA; COURTESY OF THE ARTIST; MARY MCCARTNEY; COURTESY THE ARTIST; NICKOLAS MURAY COLLECTION OF MEXICAN ART

eprasa.pl 4ba45f9584

Ryba wyciągnięta z *wody*

Elle Woods to wymarzona postać do ubierania. Na dodatek mogłyśmy osadzić ją w świecie grunge'u lat 90. Czego chcieć więcej?

W 16-letnią wersję Elle Woods wcieliła się Lexi Minetree, a partneruje jej m.in. Zac Looker jako Dustin

eprasa.pl 4ba43f958

Z **SOPHIE DE RAKOFF** I **SARĄ BYBLOW**, KOSTIUMOGRAFKAMI SERIALU „ELLE”, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

W 2001 r. świat oszalał na punkcie Elle Woods, ubranej w róż studentki prawa, która zadaje kłam stereotypowi „głupiej blondynki”. Dwa lata później do kin trafiła druga część filmu „Legalna blondynka”, a od 1 lipca tego roku możemy oglądać serial, który cofa nas do licealnych lat panny Woods. W „Elle”, na skutek pewnego niefortunnego zdarzenia, tytułowa bohaterka przeprowadza się z rodzicami ze słonecznego Los Angeles do pochmurnego Seattle połowy lat 90., w sam środek mody na grunge. W serialu pada zdanie, że „Seattle to nie kostium, a różowy to nie osobowość”. Co wy na to?

SARA BYBLOW: To dla Elle moment, w którym naprawdę czuje się jak ryba wyciągnięta z wody. Do tej pory doskonale wiedziała, kim jest, a teraz zaczyna to kwestionować. Jej siłą zawsze było pozytywne nastawienie i determinacja. W świecie Elle Woods wszystko sprowadza się do wzmacniania kobiet i kobiecej siły. Myślę, że właśnie tego dotyczy to zdanie z serialu: „Bądź sobą, nie próbuj być kimś innym”.

A to, że akcja dzieje się w Seattle, mieście kojarzonym z kulturą grunge, i że Elle ma na sobie świetny skądinąd T-shirt Nirvany, sprawia, że całość jest jeszcze bardziej zabawna i urocza. Ale wydaje mi się, że najważniejszym przesłaniem tej sceny, przynajmniej dla nas, jest właśnie to, by pozostać sobą niezależnie od okoliczności.

Kiedy rozmawiam z aktorami, często podkreślają, że to właśnie kostiumy pozwalają im po raz pierwszy naprawdę wejść w rolę, wczuć się w postać, stać się kimś innym. Co to oznacza dla was?

SOPHIE DE RAKOFF: To, o czym wspomniałaś, stanowi ważną część naszej pracy jako projektantek kostiumów. Bardzo często jesteśmy pierwszymi osobami z ekipy, z którymi aktorzy mają kontakt, kiedy dołączają do filmu czy serialu. Gdy po raz pierwszy wchodzą do naszej przymierzalni, są na początku procesu budowania swojej roli. Właśnie wtedy może wydarzyć się prawdziwa magia.

Aktorzy często zwracają się do nas, bo żyjemy tymi postaciami od wielu tygodni. Mamy już na ich temat własne przemyślenia, wyobrażamy sobie, kim są i kim się staną. Naszym zadaniem jest jednak współpracować z aktorami w taki sposób, by stworzyć bezpieczną przestrzeń, w której oni będą mogli odkrywać swoje bohaterki i bohaterów, a my – dzielić się z nimi własnymi pomysłami i wspólnie je rozwijać. Myślę, że właśnie ta część procesu w dużej mierze decyduje o tym, jak ostatecznie ukształtuje się dana postać.

SARA: Wiele razy zdarzało się, że Sophie i ja byłyśmy razem na przymiarkach i kiedy ktoś zakładał jakiś element stroju, nagle mówiłyśmy: „To ona” albo „Mamy go!”. Przypomina to układanie puzzli.

Koszulka Nirvany w wydaniu Elle Woods i dodatki, które wykorzystywały kostiumografki

Zawsze staramy się najpierw wejść w świat, w którym żyje dana postać, jeszcze zanim w ogóle zaczniemy myśleć o ubraniach. Zastanawiamy się, co ją otacza, co dzieje się w popkulturze, czym taka osoba mogłaby się inspirować. Dopiero potem bierzemy po trochu z każdego z tych źródeł inspiracji i przenosimy je na kostiumy.

Kiedy projektowałyście stroje dla Elle, myślałyście, jak prezentowałaby się w latach 90. taka nastolatka jak ona, czy raczej jak dorosła Elle zapamiętała swoją młodszą wersję?

SOPHIE: Myślę, że to dwa osobne pytania. Jeśli chodzi o same lata 90., to nie tworzyłyśmy serialu dokumentalnego. Patrzymy na tę dekadę z dzisiejszej perspektywy i przez współczesną wrażliwość, wnosząc do tego nasze własne doświadczenia.

W latach 90. miałam dwadzieścia parę lat, więc znam ten czas z autopsji. Ale dziś patrzymy na tamtą epokę zupełnie innymi oczami i tworzymy ją dla innej publiczności. Dlatego nigdy nie traktowałyśmy tego projektu jak typowej produkcji kostiumowej osadzonej w przeszłości. Nie zależało nam na wiernym odtworzeniu epoki. Raczej czerpałyśmy z niej pomysły, wybierałyśmy różne elementy i inspiracje, a potem budowałyśmy z nich świat – dla wszystkich bohaterów, miejsc i każdej sceny. Zresztą myślę, że to bardzo dobrze oddaje ducha oryginalnych filmów, w których również tworzono pewną rzeczywistość. Na tym polega nasza praca – zarówno jako projektantek i projektantów kostiumów, jak i filmowców – na kreowaniu światów.

Jeśli natomiast chodzi o Elle... Sarah, może ty mogłabyś coś o tym powiedzieć? Mnie jest o tyle trudno spojrzeć na to z dystansu, że projektowałam kostiumy do oryginalnego filmu. A ta Elle jest przecież inną postacią.

SARA: Sophie wykonała świetną pracę przy oryginalnych filmach, budując tę wyjątkową rzeczywistość. Myślę, że to jeden z powodów, dla których „Legalna blondynka” przetrwała próbę czasu. Minęło 25 lat, a my wciąż o tych filmach rozmawiamy, a ich bohaterka nadal nas fascynuje. Historia okazała się ponadczasowa.

Lata 90. są oczywiście obecne w serialu. Przeglądałyśmy archiwalne materiały, pokazy mody, słuchałyśmy muzyki i przyglądałyśmy się temu, co działo się wtedy w popkulturze. Z każdego z tych źródeł wybierałyśmy elementy, które najbardziej przywoływały ten nostalgiczny klimat, a następnie starałyśmy się przenieść to uczucie do świata, który budowałyśmy. Nie chodziło o to, żeby odtwarzać lata 90.

eprasa.pl 4ba45f9584

Sara Byblow (na zdjęciu z chihuahuą): Przez cały sezon opowiadamy historię Elle, która zostaje wyjęta ze swojego środowiska

FOT. KIMBERLEY FRENCH/PRIME VIDEO; JESSICA BROOKS/PRIME VIDEO; MATERIAŁY PRASOWE

element po elemencie ani wykorzystywać wyłącznie autentyczne ubrania z tamtego okresu. Znacznie ważniejsze było uchwycenie tego, co sprawia, że myślimy o tamtej dekadzie z sentymentem, i przedstawienie tego w nowy, świeży sposób, tak, aby przemówiło również do młodszego pokolenia.

Sophie, wspomniałaś, że projektowałaś też kostiumy do oryginalnych filmów. Czym różniła się tamta praca wtedy od pracy przy serialu „Elle"?

SOPHIE: To zupełnie inne doświadczenie. Jest wiele różnic, choćby tych czysto praktycznych. „Legalna blondynka" była filmem i to my przedstawialiśmy tę postać publiczności. Wcześniej nikt jej nie znał. Owszem, historia powstała na podstawie książki, ale nie była szeroko znana. 25 lat temu Reese [Witherspoon] i ja spotkałyśmy się na zupełnie innym etapie naszego życia i wspólnie stworzyłyśmy film, który z czasem stał się częścią popkultury.

O ile tamtą bohaterkę powołałyśmy do życia z Reese, o tyle serialowa Elle opiera się na Lexi Minetree, znakomitej młodej aktorce, która tworzy własną interpretację tej postaci. Do tego cofamy się w czasie i opowiadamy wcześniejszy etap jej życia. Dlatego nie sądzę, żeby te dwa projekty w ogóle dało się porównywać. Są tak różne, że każde z nich funkcjonuje na własnych zasadach.

Oglądając pierwsze odcinki serialu, zastanawiałam się nad znaczeniem ubrań, a także nad tym, co próbujemy przez nie powiedzieć światu. Wrzuciłyście tę różową Elle w sam środek legendarnej sceny grunge'owej, która kojarzy się z buntem, sprzeciwem wobec konsumpcjonizmu i odrzuceniem wszystkiego, co idealne, dopracowane i wystylizowane, czyli tym, czego Elle Woods jest kwintesencją. Paradoksalnie jednak to ona wydaje się najbardziej autentyczna i wierna własnym przekonaniom na tle tej masy ludzi, którzy, choć deklarują indywidualizm, w gruncie rzeczy wyglądają i zachowują się bardzo podobnie.

SOPHIE: Trafnie ubrałaś w słowa to, co chciałyśmy pokazać. Już w pierwszej scenie, kiedy Elle wchodzi do stołówki, zależało nam na tym, żeby wszyscy byli ubrani we flanelę i utrzymani w niemal identycznej, stonowanej kolorystyce. Mieli pewnego rodzaju mundurek, byli jednolitą grupą, częścią stada, zaś Elle stała się jedyną osobą, która wyraźnie się z tłumu wyróżnia.

SARA: Jak wspomniałyśmy, przez cały sezon opowiadamy historię Elle, która zostaje wyjęta ze swojego naturalnego środowiska. Do sceny, o której wspomniała Sophie, wybrałyśmy sukienkę w bardzo delikatnym odcieniu różu, który odzwierciedla wrażliwość i niepewność bohaterki w chwili, gdy wkracza do zupełnie nowego świata. Zrobiłyśmy nawet próbne zdjęcia tej sukienki na tle specjalnie dobranych przez nas flanelowych wzorów. Celowo wyeliminowałyśmy wszystkie kraty zawierające czerwone lub białe akcenty, żeby od samego początku uzyskać jak największy kontrast między Elle a otoczeniem.

Wiemy, że Elle Woods potrafi poradzić sobie z każdą sytuacją. Ale zależało nam na tym, żeby widzowie mogli dosłownie zobaczyć to, co ona czuje, a czuje, że jest kimś, kto zupełnie nie pasuje do tego miejsca, i że prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu doświadcza tego, jak to jest być outsiderką.

eprasa.pl 4ba45f9584

SOPHIE DE RAKOFF

– brytyjska kostiumografka, wcześniej dziennikarka. Pracowała m.in. przy obu częściach „Legalnej blondynki", „The Morning Show", „Dziewczynie z Alabamy", czy „Zatańcz ze mną"

SARA BYBLOW

– kanadyjska kostiumografka. Pracowała m.in. przy serialach „Spod powierzchni" i „Fire Country"

Czy któryś ze strojów Elle jest waszym ulubionym?

SARA: Uwielbiamy wszystko, co stworzyłyśmy do tego serialu, ale myślę, że szczególne miejsca w sercach nas obu zajmuje sukienka, w której Elle pojawia się na imprezie z okazji swoich 16. urodzin.

Usiadłyśmy we dwie w jednym pokoju i zaczęłyśmy szkicować. Rysowałyśmy kolejne projekty, przeglądałyśmy niezliczone zdjęcia i wspólnie szukałyśmy inspiracji. Włożyłyśmy w tę sukienkę naprawdę wiele serca i dlatego ma takie wyjątkowe znaczenie. W pewnym sensie jest też kwintesencją samej Elle Woods i ucieleśnia wyobrażenie o wymarzonym urodzinowym stroju wielu nastolatek.

SOPHIE: Od samego początku nakreśliłyśmy sobie też motywy wizualne, które chciałyśmy konsekwentnie wykorzystywać przez całą historię – kokardy i serca. Tworzyłyśmy wariacje na temat rzeczy, które odkryłyśmy w trakcie researchu. Ta sukienka była dla nas czymś w rodzaju potwierdzenia całej koncepcji.

Zarówno Elle, jak i jej garderoba na stałe wpisały się do popkultury. Świadomość, że to taka ikoniczna postać, sprawiała, że praca była łatwiejsza, czy wręcz przeciwnie? Czułyście na sobie presję?

SARA: Oczywiście, bo poprzeczka była zawieszona bardzo wysoko. Sophie wykonała w tych filmach niesamowitą pracę, dlatego możliwość wspólnego projektowania i przejęcia tej, powiedzmy, „różowej pałeczki", była z jednej strony ekscytująca, ale też onieśmielająca. Jednocześnie sama bohaterka jest tak silna i ma tak solidne fundamenty, że to naprawdę dawało nam przestrzeń do zabawy i eksperymentowania.

SOPHIE: Wszystko sprowadza się do postaci, do słów zapisanych na kartce. To od nich my, jako projektantki, zaczynamy i to one towarzyszą nam przez cały proces twórczy. Trzeba temu procesowi po prostu zaufać, odciąć się od głosów z zewnątrz i konsekwentnie robić swoje.

SARA: Mamy ogromne szczęście, bo Elle Woods to wymarzona postać do ubierania. Na dodatek mogłyśmy osadzić ją w świecie grunge'u lat 90. Czego chcieć więcej?

Wychodząc poza kwestię kostiumów, jak myślicie, czego współcześnie uczy nas Elle Woods?

SARA: Jak wspominałam, siła Elle Woods tkwi przede wszystkim w jej pozytywnym nastawieniu i determinacji. Mam nadzieję, że młode dziewczyny wyniosą z tej historii poczucie kobiecej mocy, ale też radość, zaufanie do własnych decyzji i brak lęku przed byciem sobą. Chodzi o to, by iść przez świat z wiarą w siebie i w to, kim się jest. ▲

Pierwszy sezon serialu „Elle" dostępny jest w Prime Video.

OGŁOSZENIE

14-15-16.08
Olsztyn green festival
NA WARMII I MAZURACH
VITO BAMBINO
KACPERCZYK
KAYAH
PEZET
ARTUR ROJEK
SISTARS
SOKÓŁ
GRZEGORZ TURNAU
ZALEWSKI
BASS ASTRAL
HUBERT.
IGO
RALPH KAMINSKI
KASIA LINS
JOHN PORTER
KASIA SIENKIEWICZ
MERY SPOLSKY
VOO VOO
MISIA FURTAK · HELA · BARTEK KRÓLIK · OFELIA · PRZEBIŚNIEGI · RUNFORREST
SONBIRD · THE CASSINO · ZABŁOCKI/MOZIL · PIOTR ZIOŁA
3 SCENY, 30 KONCERTÓW, TEATRY I STAND-UPY
NAD JEZIOREM UKIEL
A → Z
POCZUJ LATO! ☺
ORGANIZATOR: wyborcza.pl
WSPÓŁORGANIZATOR: OLSZTYN
PARTNER GŁÓWNY: #gen Warmii i Mazur
PARTNER STRATEGICZNY: LOTTO
SPONSORZY STRATEGICZNI: ING, Energa GRUPA ORLEN, Kinder bueno, Casablanca, LECH
PARTNER TECHNOLOGICZNY: NASK
PARTNER EKO: dobra energia
PARTNERZY EDUKACYJNI: KORTO SFERA
PARTNER TERENU: OSR
PATRONI MEDIALNI: ZET, chillizet, GAZETA.PL, ams, HELIOS, helios media
SPONSORZY: Biedronka, Coccolino, essence, instax, Jordan, Alcon, MICHELIN, SERWIS NOSOWICZ, MPEC, zgok, GALERIA WARMIŃSKA, Aura, Apollo, REKOPOL, REMONDIS

eprasa.pl 4ba45f9584

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

TEMAT NUMERU:
ZDROWIE TO NOWY LUKSUS

Herstorie: Niewidzialne służące z Zamku Książ

Podróże: Ikaria, wciąż niezadeptana grecka wyspa

Balkon: Dekoracje na styl włoskiego podwórka

Numer dostępny z prezentem do wyboru:
skarpetkami złuszczającymi **Silcatil**
lub kolagenem do picia **Primabiotic Collagen***

eprasa.pl 4ba45f9584